

Frederick S. Perls

WOKÓŁ ŚMIETNIKA

Przekład Wiesław Marcysiak

**Zysk i S-ka
Wydawnictwo**

Copyright © 1969 by Real People Press

All rights reserved

Copyright © 2002 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j.,
Poznań

Ilustracje

Russ Youngren, Menlo Park, California

Opracowanie graficzne okładek
Mirosław Adamczyk

Redaktor serii
Tadeusz Zysk

Wydanie I

ISBN 83-7150-959-6

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26
Dział handlowy, ul. Zgoda 54, 60-122 Poznań
tel. (0-61) 864 14 03, 864 14 04
e-mail: sklep@zysk.com.pl
nasza strona: www.zysk.com.pl



Drukarnia Narodowa S.A.
Kraków, ul. Marszałka J. Piłsudskiego 19
Druk z dostarczonych diapozytywów

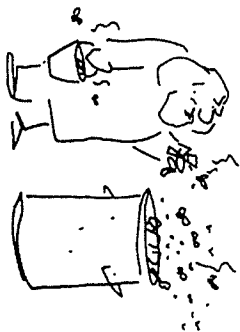
Drogi Fritzu,

Zjawiłeś się i zrobiłeś to, co chciałeś, a wielu z nas zakochało się w tobie takim, jaki byłeś. Byłeś taki, jak mówiłeś, że jesteś, a to rzadkie wśród ludzi. Łatwo się ciebie słuchało, twój głos budził we mnie uśpioną nadzieję, a teraz przypominam sobie łzy, które często pojawiały się w twoich oczach, kiedy wokół była odpowiednia doza miłości. Czasami widziałem twoje zmęczenie... tak niewielu żyło tam, gdzie ty, a tak wielu ciągnęło cię w dół, niezdarnie próbując wynieść się ku górze.

Lecz to wszystko minęło i od roku ciebie nie ma. Są jeszcze tacy, uczniowie w twojej szkole życia, którzy nadal uczą się od ciebie. Tak często nagle znowu dociera do mnie, co miałeś na myśli, nie będąc rozważnym. Nie wierzyłem ci, kiedy mówiłeś, że nikogo nie „potrzebujesz”, ale teraz widzę, że prawdziwą nauką było żyć na tym świecie, nie pragnąc niczego, nieprzesuwanie rzeki było życiem zgodnym z wolą Bożą. Słyszę, jak parszczasz na to ostatnie. Uczyłeś świadomości dla samej świadomości. Niektórzy z nas obserwują siebie dokładnie. Budzimy się w obcym świecie i okazuje się, że jesteśmy inni od reszty, która śpi wszystkiego nieporna i zapatrzona w kończące się przedstawienie. Często za dnia, niczym we śnie lub w nieprzespaną noc, trafiam na ślady twojej bytności tutaj. Odnalezienie twych błyskotliwych wskazówek — udzielonych kiedyś, za czasów Big Sur, ale obecnych tu i teraz przy tym biurku, gdzie napisałeś fragmenty *Wokół śniutnika* — odnalezienie twych wskazówek wypełnia mi serce wdzięcznością, że kiedyś dotknąłeś mego życia i sprawiłeś, że siedzę teraz z piórem w ręku i piszę, i wysyłam energię miłości korytarzami mego umysłu do ciebie, starego nauczyciela, gdziekolwiek jesteś.

Jak zawsze

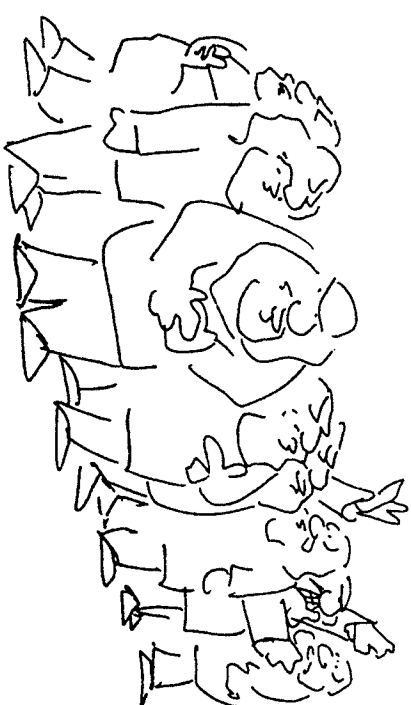
Bob Hall



Rozłożone wokół śmietnika
Moje stworzenie,
Może kwitnie, może znika,
Radość lub zasmucenie.

Moje smutki, moje radości
Powrócą na nowo;
Zdrowy rozsądek, dzikie dnie
Szkodliwie i zdrowo.

Chaos i śmiecie — za dużo narazi!
Koniec zamieszania,
Niechaj z was powstanie obraz
Sens i znaczenie mego dokonania.



Tym razem zamierzam pisać o sobie. W zasadzie... kiedykolwiek ktoś pisze, pisze o sobie... mniej więcej. Oczywiście można pisać o tak zwanych obiektywnych postrzeżeniach lub koncepcjach i teoriach, ale obserwator tak czy inaczej jest częścią tychże obserwacji. Lub też wybiera to, co obserwuje. Może też być poślusznny wymaganiom nauczyciela, w którym to przypadku jego zaangażowanie może zostać pominięte, ale mimo to ciągle tam jest. I proszę, znowu to zrobiłem. Prawie kazania. Nigdy nie powiem: „Według mnie...”

Nazywam się Friedrich Salomon Perls, po amerykańsku: Frederick S. Perls, przeważnie nazywają mnie Fritz albo Fritz Perls, czasami doktor Fritz... Pisząc to, czuję się nadgorliwie i lekko. Zastanawiam się także, dla kogo piszę, a przede wszystkim, jak bardzo będę szczery. Och, już wiem, nie powołano mnie, bym spisywał prawdziwe wyznania, ale chciałbym być szczery ze względu na samego siebie. Co mam ryzykować?

Staję się osobą publiczną. Z nieznanego żydowskiego chłopaka ze średniej klasy, poprzez średniej miary psychoanalityka, aż do prawdopodobnie twórcy „nowej” metody leczenia i przedstawiciela praktycznej filozofii, która mogłaby uczynić coś dla ludzkości.

Czy to znaczy, że jestem dobroczyńcą lub że chcę służyć ludzkości? Fakt, iż formułuję to pytanie, wskazuje na moje wątpliwości. Wierzę, że robię to, co robię, dla samego siebie, dla własnych zainteresowań w rozwiązywaniu problemów, a przede wszystkim dla własnej próżności. Najlepiej czuję się jako prima donna, kiedy mogę popisać się umiejętnością szybkiego dotarcia do samego sedna danej osoby i jej kłopotu. Jednak musi być jeszcze inna strona mnie. Kiedy tylko wydarza się coś rzeczywistego, jestem głęboko poruszony, a kiedy jestem głęboko zaangażowany w spotkanie z moim pacjentem, całkowicie zapominam o widowni i jej możliwym podziwie i wtedy jestem prawdziwie skupiony.

Potrafię to. Mogę „się zapomnieć” do reszty. W 1917 roku, na przykład, ukrywaliśmy się na kwaterze w pobliżu dworca kolejowego. Kiedy dworzec został zbombardowany i trafiono dwa składy pociągów z amunicją, poszedłem tam, bez strachu o własną skórę i po eksplozji zajmowałem się rannymi.

Proszę, znowu to zrobiłem. Przechwalam się. Popisuję. Może przesadzam albo zmyślam? Jakie są granice zmyślonego życia? Jak Nietzsche to ujął: Pamięć i Duma walczyły ze sobą. Pamięć powiedziała: „Było tak”, Duma odpowiedziała: „Tak nie mogło być!”. I Pamięć ustąpiła.

Zajmuję stanowisko obronne. Kapitan mego batalionu był antysemitą. Poprzednio wstrzymał żelazny krzyż dla mnie, ale teraz musiał podpisać rekomendację i dostałem mój krzyż.

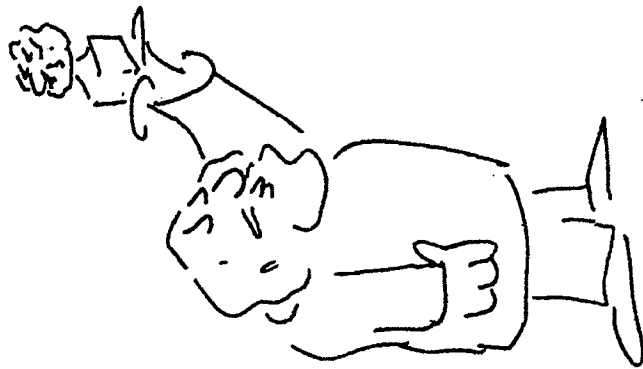
Co ja robię? Zaczynam grę w samoznęcanie? Znowu się popisuję. Słuchajcie, jakże skrupulatnie szczerzy staram się być!

Ernest Jones nazwał mnie kiedyś ekshibicionistą. Nie złośliwie. Był łagodny i lubił mnie. Prawda, miałem pewne skłonności do ekshibicionizmu... nawet seksualne... ale zainteresowanie podglądaniem zawsze przeważało. Co więcej, nie wierzę, by moja potrzeba popisywania się można było wyjaśnić, nazywając ją zboczeniem seksualnym.

Jestem przekonany, że pomimo tego całego przechwalania się nie mam o sobie wysokiego mniemania.

Moje drugie imię to Salomon. Mądry król Salomon powiedział: „Próżność, wszystko to próżność!”.

Nie mogę nawet się pochwalić, że jestem szczególnie próżny. Jednak jestem pewien, że to całe moje popisywanie się to rekompensata. Nie tylko za brak pewności siebie, ale aby przerekompensować się, zahipnotyzować was, byście uwierzyli, że jestem kimś naprawdę niezwykłym. I nie wątpicie w to!



Przez wiele lat wraz z żoną bawiłem się w grę: „Czyż ciebie nie urzekłem? Możesz się temu przeciwstawić?”, aż zrozumiałem, że zawsze sromotnie przegrywałem i nigdy nie mogłem wygrać. W tamtym okresie interesowała mnie rozpowszechniona wśród ludzi głupota, że ważne jest, a nawet konieczne, by wygrać. Wszystko to w końcu prowadzi do pojęcia samooceny, samomiłości, samowyoobrażenia. Samooceny doświadcza się na dwóch

biegunach, jak każdego psychologicznego pojęcia. Wysoka samocena, duma, chwała, poczucie tryumfowego wzrostu przeciwstawia się niskiej samoocenie: przygnębieniu, bezwartościowości, pogardy, małości. Bohater przeciwstawia się mlichowi.

Nadal muszę czytać większość prac Freuda. Dziwi mnie fakt, że przy tym całym skupieniu na seksie nie dojrzał on związku między samooceną a teorią libido. Podobnie Sullivan, który specjalizował się w systemie samooceny, nie zauważył tego. Podobieństwo funkcji tego systemu do erekcji i kurczenia się genitaliów jest dla mnie oczywiste. Tklliwość starej dziewczyny jest przysłowiowa. We wstydzie krew nabiega do głowy i genitaliów. Po niemiecku genitalia nazywają się *die Schamteile* — części wstydlive.

W terminologii Freudowskiej zachowanie zmysłowe systemu samooceny moglibyśmy nazwać zagubieniem/dyslokacją. Jednocześnie możemy po raz pierwszy zerknąć w związku psychosomatyczne. Oczywiście erekcja jest zdecydowanie funkcją psychologiczną, podczas gdy samoocena jest sprawą „umysłu”: to funkcja (która fałszywie pojawia się jako miejsce wydarzenia), którą ja nazywam fantazją lub wyobraźnią... tworzeniem obrazów.

To prowadzi nas bezpośrednio do królestwa filozofii egzystencjalnej. Wyjaśnienie kwestii egzystencjalnej, moim zdaniem, rzuciło zdecydowane światło na sprawę próżność kontra autentyczne istnienie, być może nawet pokazało drogę do wyleczenia podziatu między naszą istotą biologiczną a społeczną.

Jako osobnicy biologiczni jesteśmy zwierzętami; jako istoty społeczne odgrywamy rolę i gry. Jako zwierzęta zabijamy, by przeżyć; jako istoty społeczne zabijamy dla chwały, zysku i zmysłu. Jako stworzenia biologiczne prowadzimy życie związane z przyrodą i całkowicie w niej pogrążone; jako istoty społeczne prowadzimy egzystencję „jak gdyby” (Vaihinger: *Philosophy of „as if”*), w której rzeczywistość, fantazja i udawanie mocno się miesza. Dla współczesnego człowieka kwestia ta ogranicza się do różnicy, a często też do niespójności między samouaktualizacją a samokoncepcją lub aktualizacją samowyoobrażenia.

W roku 1926 byłem asystentem profesora Kurta Goldsteina

w instytucie dla żołnierzy z uszkodzeniem mózgu. Później opowiedział mi o tym szerzej. W tym miejscu chcę jedynie nadmienić, że profesor używał terminu „samoaktualizacja”, jednak nie w moim rozumieniu. Kiedy usłyszałem ten sam zwrot dwadzieścia pięć lat później z ust Masłowa, nadal go nie pojmowałem, a jednak wydawał się dobry, jakby człowiek wyrażał siebie szczerze, a jednocześnie czynił to rozmyślnie. I z tego terminu mógł powstać program, koncepcja. Minęło jeszcze kilka lat, zanim pojąłem naturę samoaktualizacji w kategoriach cytatu z Gertrudy Stein, „Róża jest różą, jest różą”.

Była w tym, na przykład, aktualizacja samokoncepcji, pod Freudowską nazwą ideał ego. Jednakże Freud używał terminów superego i ideał-ego wymiennie, jakby wykonywał sztuczkę malizującą, kontrolującą funkcja, którą można określić mianem ideału jedynie poprzez stuprocentowe ego poddania-pragnienia. Freudowi nigdy nie udało się zrozumieć „ja”. Utknął w ego. Ci, którzy porozumiewają się po angielsku, będą mieć kłopoty, podążając za rozumowaniem Freuda. Po niemiecku ego jest równoważne z „ja”. Po angielsku ego zbliża się do znaczenia systemu samooceny. Możemy przetłumaczyć zdanie „Chcę uznać” na „Moje ego chce uznać”, ale nie „Chcę trochę chleba” na „Moje ego chce trochę chleba”. Dla naszych uszu brzmi to absurdalnie.

Samoaktualizacja to skromny termin. Została wyniesiona i przekształcona przez hippisów, artystów i, przykro to mówić, wielu humanistycznych psychologów. Rozwinięła się jako program i osiągnięcie. Jest to rezultat konkretyzacji, potrzeby uznania rzeczy z procesu. W tym przypadku oznacza to nawet wyniesienie do rangi boskości i uwielbienia miejsca, albowiem „ja” wskazuje zaledwie to, „gdzie” się coś dzieje, a „ja” należy traktować jako przeciwstawne (i jedynie przez to nabierające sensu) odmienności.

„Ja” jako indyktor, „ja robię to sam” zaledwie wskazujące, że nikt inny tego nie robi, musi być napisane przez matkę. Kiedy już zostanie wyniesione do „Ja” za sprawą wielkiego J, łatwo zajmuje miejsce części — i to bardzo szczególnej części — całego

organizmu. Coś zbliża się do staromodnej duszy lub do filozoficznej esencji jako „przyczyny” tegoż organizmu.

Przeciwstawieniem tego jest potencjał i aktualizacja. Ziarno pszenicy posiada potencjał stawania się rośliną, a sama pszenica to jego aktualizacja.

Zatem samoaktualizacja znaczy, że ziarno pszenicy zaktywizuje się jako pszenica, a nigdy jako żyto.



Muszę tutaj przerwać. Jeżeli to, co piszę, zostanie kiedykolwiek opublikowane, redaktor prawdopodobnie wykreśli to, co następuje, albo umieści w stosownym kontekście.

Dla mnie jeden z dwóch moich „problemów” nosi miano „popisywanie się”. Drugi — problem palenia i zatrutowania się — może poczekać. Jeżeli chodzi o pierwszy, to doświadczenie nudy często wiąże się z „popisywaniem”. W jaki sposób — mam nadzieję dowiedzieć się podczas pisania. Często w czasie rozmów proszę o poklask, uznanie i podziw. Niby przypadkiem często kieruję się lub spycham rozmowę na dane tematy nie po to, by być błyskotliwym i promieniować, ale by przechwalać się uznaniem, jakie otrzymuję ja lub — co uważam za to samo — terapia gestaltyczna.

Nuda także często prowadzi mnie (zauważcie zrzucenie odpo-

wiedzialności za własną nudę!) do obrażania innych ludzi lub „wprowadzania ponurego nastroju”, a nawet flirtowania i gier seksualnych. To będzie wymagało szerszego omówienia w innym kontekście. Powinna znaleźć się tutaj jedna z przechwałek. W „Nation” napisano: „I wszystkie dziewczęta przyznają, że nikt nie całuje jak Fritz Perls”.

Ostatnio znalazłem bardziej konstruktywny sposób na nudę: siedzieć i pisać. Gdyby nie nuda, prawdopodobnie nie usiadłbym i nie przelewał zdań na papier. Brzmi to niczym odwrócenie pewnych badań, jakie prowadziłem w szpitalu psychiatrycznym, a mianowicie nuda jest wynikiem zablokowania szczyrzych zainteresowań. Czy mam teraz wyciągnąć wniosek, że samogloryfikacja to szczerze zainteresowanie, dla którego żyję, że zamęczam się dla służby w imieniu Wielkiego Fritza Perlisa? Że nie aktualizuję swojego „ja”, lecz samokoncepcję? To wydaje mi się nagle takie słuszne oraz konieczne. Aktualizacja samokoncepcji grzechem. Czyżbym stawał się purytaninem?



Wróćmy zatem do „cnoty” samoaktualizacji i rzeczywistości samoaktualizacji. Naciągnijmy przykład ziaren pszenicy i żyta do granic absurdu. Oczywiście jest, że potencjał orła będzie zaktywizowany w szybowaniu w przestworzach, w spadaniu na mniejsze

zwierzęta, by się żywić, i w budowaniu gniazd. Oczywiście jest, że potencjał stonia będzie aktualizowany rozmiarem, siłą i niezarnością. Żaden orzeł nie będzie chciał zostać stonem, żaden słoń orłem. One „akceptują” siebie; akceptują swoje „ja”.

Nie, one nawet nie akceptują siebie, bo to mogłoby sugerować odrzucenie. Przyjmują siebie takimi, jakie są. Nie, nawet nie to, to mogłoby sugerować możliwość odmienności. Są, czym są, czym są. Jakież byłoby to absurd, gdyby, jak ludzie, fantazjowały, były niezadowolone i zwodziły siebie! Jakież byłoby to absurd, gdyby stół zmęczony stąpieniem po ziemi zechciał latać, jeść króliki i składać jaja. A orzeł chciał posiadać siłę i grubą skórę stonia.

Zostawcie to ludziom... niech próbują być tym, kim nie są... niech mają ideały, którym nie mogą dorównać, niech będą przekleci perfekcjonizmem, by oszczędzono im krytyki, niech otworzą drogę nie kończącym się torturom umysłu.

Różnica między czymś potencjalnym a jego aktualizacją po jednej stronie płotu a zniekształceniem autentyczności po drugiej staje się oczywista. Przypus podnosi przydki łeb „Pówniśmy” wyeliminować, odrzucić, stłamsić, zanegować wiele cech i źródeł szczerości i dodać, udawać, odgrywać, rozwijać rolę nie wspierane przez zapal twórczy, co kończy się głupim zachowaniem różnego stopnia. Zamiast całości realnej osoby mamy fragmentację, konflikty i pustą rozpacz papierowych ludzi.

Homeostaza, ten subtelny mechanizm samoregulacji i samokontroli organizmu, jest zastąpiony przez zewnętrzne, narzucone, kontrolujące szaleństwo podkopujące zdolność przetwarzania osoby i gatunku. Psychosomatyczne symptomy, zagubienie, zmęczenie i kompulsywne zachowanie zastępują radość życia.

Najgłębszy rozłam, od dawna wtopiony w naszą kulturę i przez to brany takim, jaki jest, to dychootomia umysł-ciało: przesąd, że istnieje podział, a jednocześnie współzależność dwóch rodzajów substancji, umysłowej i fizycznej. Stworzono nie kończący się ciąg filozofii, by potwierdzić, że jedna z dwóch idei, duch lub umysł, powoduje ciało (np. Hegel) lub że materialistycznie te zjawiska lub epizjawiska są wynikiem lub superstrukturą materii fizycznej (np. Marks).

Nic z tego. Jesteśmy organizmami, my (to znaczy jakieś tajemnicze „ja”) nie mamy organizmu. Jesteśmy jedną, całościową jednostką, ale mamy swobodę wyodrębniania wielu aspektów z tej całości. Wyodrębniania, nie odcimowania, nie odrzucania. Możemy wyodrębnić, zgodnie z naszymi zainteresowaniami, zachowanie danego organizmu lub jego społeczną funkcję, fizjologię, anatomię, to czy tamto, ale musimy pozostać czujni i nie brać jakiegokolwiek abstrakcji za „część” całego organizmu. Pisaniem już o związku zainteresowania z abstrakcją, o wyłonieniu się aspektów i gestaltu. Możemy mieć całą kompozycję abstrakcji, możemy przybliżyć się do poznania osoby lub rzeczy, ale nigdy nie posiadziemy całkowitej świadomości (używając języka Kanta) *das Ding an Sich*, samej rzeczy.

Czyżbym stawiał się aż nadto filozoficzny? W końcu bardzo potrzebna jest nam nowa orientacja, nowa perspektywa. Potrzeba orientacji to funkcja organizmu. Mamy oczy, uszy itd., które orientują nas w świecie, i mamy nerwy proprioceptywne, by wiedzieć, co się dzieje pod naszą skórą. Filozofować znaczy na nowo orientować się we własnym świecie. Wiara to filozofia, która przyjmuje za pewnik nasz całokształt odnośników.

Filozofowanie to ekstremalny przypadek naszych intelektualnych gier. Zasadniczo należy ono do klasy gier w „dopasowywanie się”.

Prawdopodobnie są jeszcze inne gry, ale według mnie te dwa rodzaje w znacznym stopniu zdominowały naszą orientację i nasze działania. Gry w porównywanie i dopasowywanie. Abstrakcje są funkcjami organicznymi, ale kiedy wyrywamy nasze abstrakcje z kontekstu, wyizolujemy je, zamienimy na symbole i dane, stają się materiałem dla gier. Weźmy kalambur lub krzyżówki jako przykłady tego, jak dalece możemy usunąć abstrakcje z oryginalnego tekstu.

Największą książką na temat gier jest *Magister Ludi* (Mistrz gier) Hermanna Hessego. Sensowne dla mnie jest obserwowanie Bacha bawącego się dźwiękami, tworzącego skomplikowane układy tematów, głęboko oddanego ekstazyjącym modom.

Nie mogę przystać na twierdzenie, że zabawa jest zła, a powa-

ga warta uznania. Scherza mistrza nie są poważne, jednak on sam zachowuje powagę przez cały czas. Szczeniaki bawią się. Lecz czy bez tych gier nauczyłyby się polować i żyć?

Zagubiłem się.

Muszę zagrać, by się odnaleźć.

Alergii dostaje, gdy coś nie pasuje, chociaż bałaganiarskie Mam obyczaje — pokój i ubranie — potrzeba mi porządku

W głowie,

Żeby poskładać fragmenty w całość.

Gestalt i chaos walczą ze sobą.

Czym innym jest zrozumienie?

Zaczynamy od seksu.

To wiele gier między mężczyzną i kobietą,

Rodzicami i dziećmi,

Od delikatnego dotyku po gwałt i zbrodnię.

Tak wiele rodzajów i barw,

Perwersyjny i normalny, koszmarny i rozkoszny w grze.

Koniec widać wyraźny:

Orgazm to ostateczny cel.

Brak panowania,

Rytm przyspiesza.

Bezmyślna natura bierze górę: happening bez gry.

Wyrywa unisono,

Głębokie oddalenie od świata

I zamknięcie silnego gestaltu.

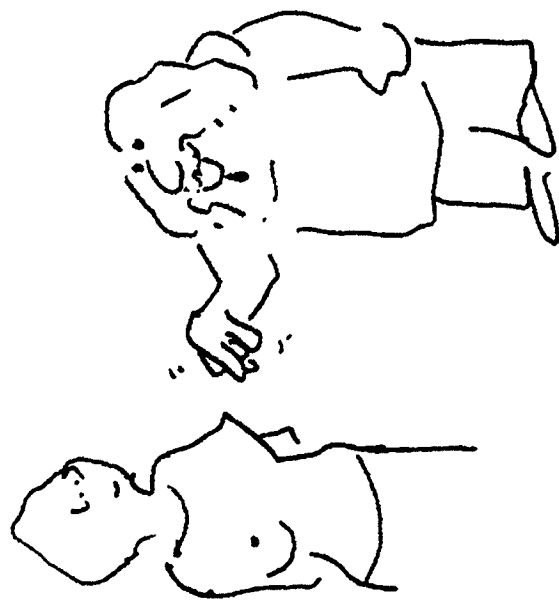
Widać już jasno dwa stadia.

Jedno to miłość wieloraka;

Drugie pieprzenie.

Jedno to po tysiąckroć cudowna rzecz, wysublimowana i wyrafinowana;

To środki zastosowane, jak mawia Dewey.



Jedność z siłą eksplodującą

Jak zwierzę, którym stajemy się na koniec.

Gra w końcu daje ukojenie.

„Nic” nirwany choć przez chwilę trwa.

Gestalt zamknięty, a satysfakcja

Przez pory skóry i duszy napływa.

Lecz życie toczy się dalej. Następna potrzeba, następna gra

Wyłania się z żywej pustki.

Apetyt, zadanie, ból

Nie zaleczony, zepchnięty na bok przez seks,

Wymaga uwagi, domaga się, byś go wysłuchał.

Zbudź się i do dzieła!

Albowiem życie trwa, nieskończonym strumieniem

Niekompletnych gestaltów!



Życie toczy się dalej tak jak ta książka.
Przez kilka dni nic nie pisałem.
Przyjaciom pokazałem poprzednie stronicę,
Albowiem cieszyłem się z niczego,
I nagle napisałem do rytmu,
Czując przenikający suchy opis.
Jakby pojawić się miał nowy styl.

Począwszy od muzyki, skończywszy na rytmie,
Gram słowami, a jednocześnie
Obraz sam się określa
I całkowity kształt przelewa się na papier.

Muszę pisać o sobie.
Jestem moim laboratorium. Nie znana mi jest prywatność
twoich doświadczeń.

Poza objawieniami.
Człowieka z człowiekiem nie łączy most.
Domyślam się, wyobrażam, współczuję, cokolwiek to znaczy.
Albowiem jesteśmy sobie obcy i tacy pozostaniemy
Poza wspólnymi elementami, gdzie ty i ja
Scalimy się w podobieństwie.
Albo jeszcze lepiej, tam gdzie ty mnie dotkniesz,
A ja ciebie,
Kiedy obcość stanie się znajoma.

Przez większość czasu prowadzimy gry
I krążymy wiecznie dookoła,
Unikając kolizji-dotknięcia.
Nadal bawię się autystycznie rytmem słów,
Walczę, by wracać do tematu.
Chcę także nauczyć się
Pisać wierszem.
Nie wierszem, który się rymuje, ale który ma rytm.
Co płynie górami.
I w dół, i w górę,
Co płynie jak woda,
Szemrząc z cicha.
A jednak proza, by wypowiedzieć, co
W myśli i w sercu.
Bez oschłych nauk.
Ani poezji.
Kształt wyłania się z ziemi,
Życie siebie żyje.
Bez plastikowej śmierci.

Ale słowa są towarzyskie, czy tak?
Zatem, siebie żyjąc, szukam niezdarnie
Słów, co grają w kalkulację.
Lecz gra według ściśłych zasad
Daje mi wsparcie i wzbogaca umięjętności.
Żadna wygrana nie wydrwi przegranej!
To zbyt poważne, nieomal jak śmierć!
Radość z nowo odkrytych dróg,
Nauka, jak iść nową drogą,
Wynajdowanie, czego jeszcze nie było,
Lub słów jeszcze nie wypowiedzianych.
„Fritz, odpocznij sobie.
Już dosyć zrobiłeś.
Znalazłeś swój zen, tao i prawdę.
Innym też to wyjaśniłeś...”

Nie kończący się rozwój szczerzego znoju.
Czegoż chcesz więcej?
Jeszcze ci nie wystarcza?"

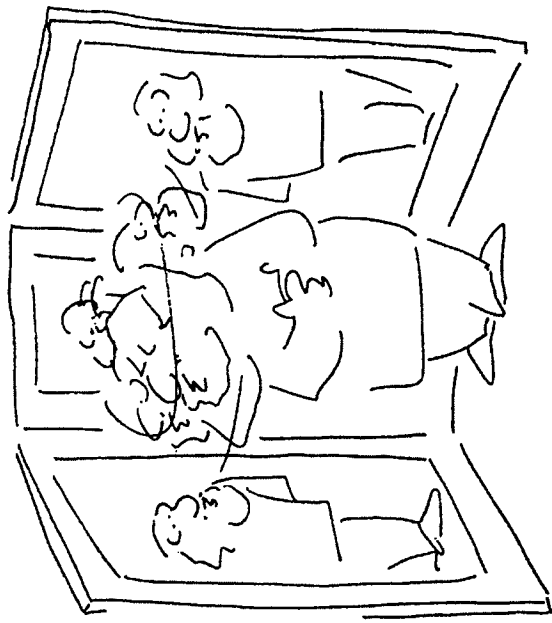
Niczego więcej już mi nie trzeba nad spokoj odpoczynku,
Co siedzi, lecz nie nieruchomo jak kostki lodowe.
Spoczynek, co porusza się od środka,
Tam z głębi środka, na rytmiczną modłę. Wahadło, co jest jak
czas,

Serce, co bije, kurczy się i idzie.
Kontakt — cofnięcie, świat i ja
W wypełniającej harmonii.

„Chodź, nauczaj innych, czego chcesz.
Myślisz o sobie, nie o świecie.
Bo tam, gdzie myślisz, że patrzysz w jasną głębię okien,
Są lustra.

Widzisz siebie, nie widzisz nas.
Wyrzuć siebie, pozbadź się siebie.
Zużyte ja, zabierz, co twoje,
Stań się obrazem, zagraj z uczuciem.
Rola innych to ty sam.
Chodź, zabierz to i urośnij jeszcze.
Przyswój to, co odrzuciłeś.

Jeżeli żywisz do czegoś nienawiść,
To do samego siebie, choć trudno to znieść.
Albowiem ty to ja, a ja to ty.
Nienawidzisz w sobie tego, czym gardzisz.
Nienawidzisz siebie i myślisz, że to ja.
Obrazy to najpodlejsza rzecz.
Niszczą cię i oślepiają.
Pagórkom nadają ogrom gór,
By usprawiedliwić twoje uprzedzenia.
Nabierz rozumu. Przejrzyj na oczy.
Patrz na to, co realne, nie na swoje myśli”.



Lecz co jest realne? Czy ktoś wie?
Teraz utknąłem, to pewne.
Pojawiają się symptomy impasu:
Zmieszanie, panika i skarga
„Ktoś” nie potrafi się zdecydować, „to” nie płynie.
Obiecuję bogactwa, bronię się.
Chcę się ruszyć, ale utknąłem w błocie
I nie mogę unieść butów, by iść dalej.

Za bardzo kocham rytmiczny potok
By pozwolić nauczycielowi prawić kazanie
I sortować zjawiska
Niewidoczne, którym potrzeba perspektywy jak światła
By wyrazić to, co nieznane.

Co wiemy o grach?
Co jest ich przeciwnością?
Król Lear na scenie, traci władzę
Gdy zostawi szekspirowskie rekwizyty, papierową koronę.



Może to pijaczyna
Bez grosza i domu.

Lecz król na scenie też jest samotny
Bez władzy i domu.
Cóż więc jest prawdziwe? Co jest grą?
Zapytaj Pirandella, zapytaj Geneta.
Oni poznali strefę zmiroku
Gry i prawdy.
To może być to,
To może być tamto,
To może być jedno i drugie.

Albowiem gra ma podwójny cel:
Rosnąć i kochać happening.
Albo: szczęście wzrastania
Zaprzecza stagnacji
Która nadchodzi z monotonią i implozji.
Wytarte słowa, niezmiennie wzory
Są bezpieczne i pewne jak śmierć.
Rigor mortis, rigor vitae
Są takie podobne na wiele sposobów,
Jak widział to Freud.
Freud widział też największą rzecz:
Że myślenie to próba, przygotowanie.
Lecz cóż próbujemy?
Sztukę, działanie? Jakie przedstawienie?

Bez próby podejmujemy ryzyko.
Jesteśmy spontaniczni
Impulsywni
Gotowi działać bez baczenia
Na niebezpieczeństwa
Prawdziwe lub zmyślone.

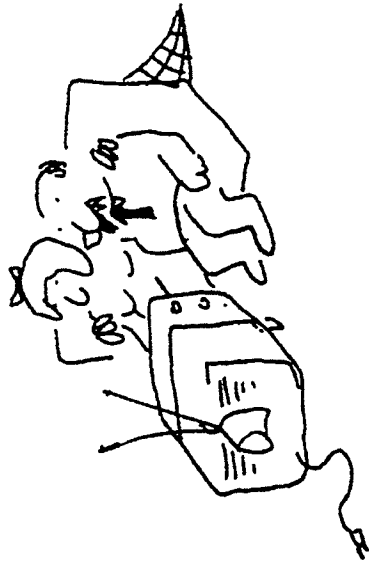
Bez próby wskazujemy
Nie sprawdzając czy to gorące czy lodowate.
Do diabła z konsekwencjami!
Po bohatersku
Z klapkami na oczach by przeżyć.

Lecz większość z nas jest inna.
Boimy się ryzyka i musimy się upewnić
Że nic się nie stanie, co zakłóci
Bezpieczną rutynę między dziewczątą a czwartą.
Ubezpieczenie, czek, stałe związki.
Uczyliśmy się społecznych ról
Na studiach i w szkołach
Właściwe zachowanie by osiągnąć sukces.
W ten sposób pchamy drabinę ku górze,
Odgrywamy największy hałas na ziemi
Używając siły w celach sadystycznych
Mnożąc pieniądze, których nam nie trzeba.

Wrzód żołądka wzmaga apetyt
Szyderstwo rodzi się ze śmiechu.
Koneksje lepsze niż przyjaźń
Wysilek w grze, na próżno odzyskując
Naszą duszę w kościele w niedzielę i noworoczne postanowienia.
Lecz są także inne strony:

Ten grzeczny chłopiec to wredny bachor
Ten czysty narzuca się.
Ten słaby strzela z ukrycia

Ten pomocny okazuje się szkodnikiem.
 Sny o młodości stały się koszmarami
 By uprzykrzyć naszą egzystencję.
 Cóż zrobiliśmy? Jakaż upiorna gra wyłoniła się
 Z tych wszystkich obietnic?

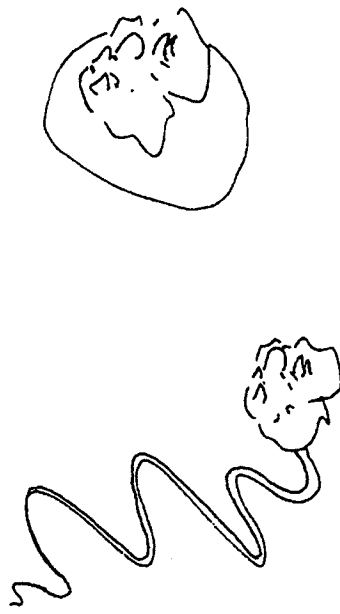


Biorę za pewnik, że plemnik
 Który wygra wyścig pośród milionów
 Może nie zostać wybrany.
 Jajo może wybrać jego kumpla.
 (Mechanika nie ma zastosoowania w życiu)
 Życie to świadomość swoich potrzeb,
 Swoich samowspierających uczuć. Każda komórka wybiera,
 Asymiluje pokarm z plazmy.
 Wykorzystuje materiał, z którego powstaje
 Żółć, hormony lub myśli.
 Ma umysł, zna swoje obowiązki.
 Posiada społeczną świadomość.

Jego przetrwanie to pieśń, co służy
 Całemu organizmowi.

Nie jak samolubna komórka rakowa
 Co odbiera innym komórkom
 Czego do życia potrzebują, kryminalista
 Mikrożycia.

Komórki wiedzą znacznie więcej
 Niż my uważamy w aroganckiej kalkulacji.
 Świadomość-czucie (utracone)
 Nadal jest nieknięte, jeśli pozwolimy.
 Jajo może więc nie przyjąć
 Najambitniejszego zalotnika.



Małżeństwo dokonało się.
 Uni-komórka zaczyna się dzielić, namnażać.
 Potencjalny człowiek, samopowstający jako początkowy
 człowiek,
 Otrzymuje wsparcie — tak, wszelkie wsparcie — w samym
 Łonie matki.
 Pokarm, ciepło, tlen,
 Materiał
 Do budowy zgodnie z wcześniej określonymi planami
 w genach.

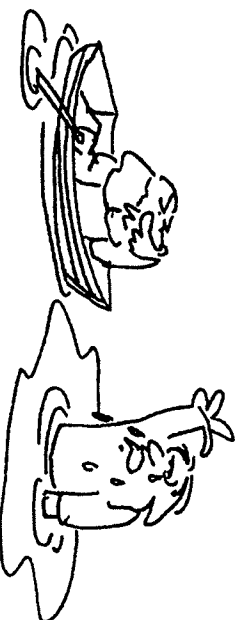
By zyskać *Lebensraum* do zmobilizowania mięśni.

Bolesne narodziny, olbrzymia zmiana
 Bez schronienia, ciepła, tlenu.
 Teraz musi zacząć oddychać
 Bo życie to oddech.

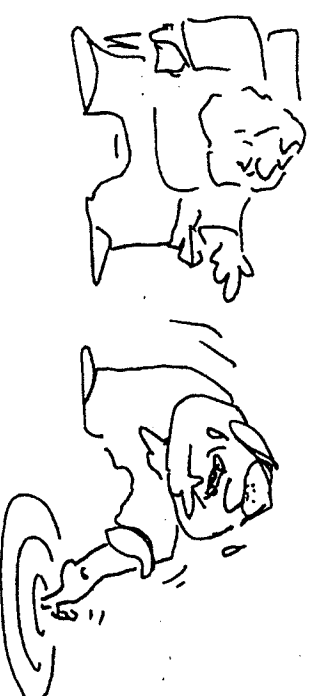
(Zasady psyche-oddechu nazywają się *Psychologica*)
Pojawia się pierwsza potrzeba wspierania siebie
Chcesz żyć, więc oddychaj,
(Sinica to ten impas,
Który tworzy się po wielokroć później) bo przyjdzie
Śmierć, jeżeli nie zaryzykujesz
Samowspierającego oddechu.

Krzycz z bólu, bo krzyk to oddech
By pokonać impas.
I przychodzi rozwój. Więcej samo-
-wsparcia, więcej samo-wsparcia, więcej samo-wsparcia
Zastępuje zewnętrzną pomoc.
Wsparcie z zewnątrz znika.

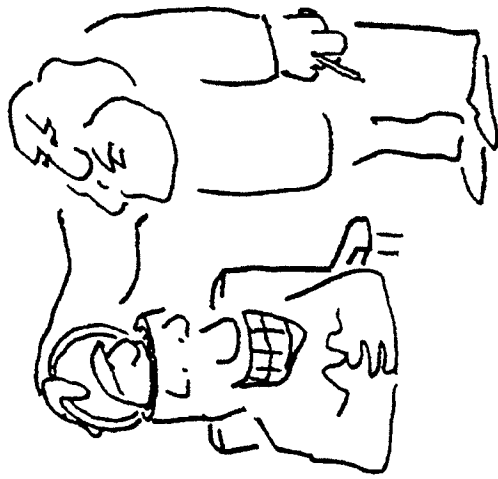
Uczysz się chodzić, nie jesteś noszony
Bawisz się dźwiękami, potem słowami
Porozumiewasz się, wyrażasz siebie.
Napadasz na lodówkę, jeżeli cię nie nakarmili.
Wybierasz przyjaciół, jeśli miłość znika
Zarabiasz na chleb, tworzysz własne idee
I zajmujesz miejsce z równymi sobie.
Jesteś dorosły
Reagujesz na istnienie
Nie obciążasz innych.
Nie jesteś neurotykiem, który żąda
Wsparcia z zewnętrznych źródeł.



Neurotykiem nazywam tego
Kto wykorzystuje swój potencjał do
Manipulowania innymi
Zamiast dorastać samemu.
Przejmuje kontrolę, szaleje od władzy
I mobilizuje przyjaciół i krewnych
Tam, gdzie jest impotentem
I nie korzysta z własnych źródeł.
Czyni tak, bo nie zniesie
Takich napięć i frustracji
Które towarzyszą dorastaniu.
I: podejmowanie ryzyka też jest ryzykowne
Zbyt przerażające, by je brać pod uwagę.



Myśli, że bez pomocy przepadł.
Wciąża ciebie, wykorzystuje
Nie bacząc na twe żądania.
Manipulacja innymi to sztuka
Którą on wcześniej nabywa.
Odgrywa pewne role, wybrane dobrze
By zdominować innych, którzy mu wierzą.
Tworzy postać, która stuprocentowo
Każe ci wierzyć w jego szczerłość
Gdzie baczne oko, nawykłe do wybornych sztuczek
Widzi tylko fałsz.



W co grają twoi pacjenci?

Jakie wybierają rolę?

Najczęściej w gry uzależnienia:

— Nie mogę żyć bez ciebie, mój drogi.

Jesteś taki wspaniały, mądry, dobry.

Rozwiązujesz moje problemy za drobną opłatą

A jeszcze lepiej, za to, że mnie lubisz. —

Gra w „jaki ja biedny” podobno

Sprawdza się też

Gdy trzeba stopić serce odległe

Okrutne i niechętne;

Niech poleją się tobie rzęsite łzy

Mój ty spryciarzu

Aż rozpuści się maskara i rozmaże

Twoją fotogeniczną urodę.

Szantaż to następna:

— Nienawidzę cię, zabiję się.

Zostanę odkupiony, a ciebie czeka paskudna reputacja. —



Przeniesienie odpowiedzialności to fajna gra
Którą można grać wiecznie.

— Doktorze, widzę w panu mego ojca

Będziesz kochany i mądry.

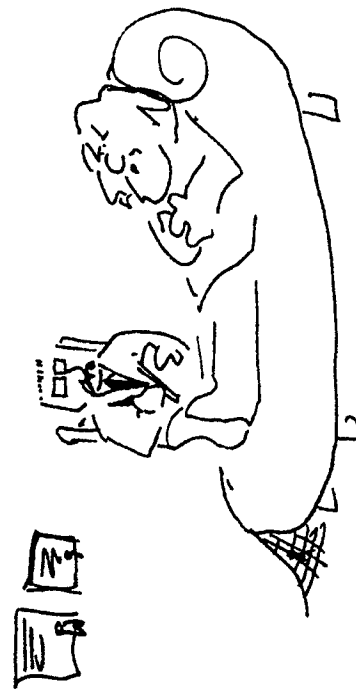
Co on zrobił i czego nie zrobił!

Co powinien zrobić i czego nie powinien!

Co pamiętam lub czego zapomniałem....

Dlaczego pieprzyłem się z moją matką?

Leżę na tej twojej wspaniałej kozetce



Przez lata, dekady i wieki
(Powinienem tyle przeżyć!)
Unikać dotyku i spotkania z tobą
Zatem oboje odgrywamy nieporuszonych
Symbolami, zrozumieniem i tabu. —

Naprawdę zaczynam się sobie podobać.
Szczególnie pisząc tę winietę atakującą psychoanalizę.
W końcu, Freudzie,
Datem ci siedem najlepszych lat mojego życia.

Niepokoje się. Czuję podniecenie z pisania wierszem. Szczególnie ten ostatni zbliżony jest do szczytowania. Jest jeszcze wiele gier i ról do opisania. Ev Shostrom w *Man the Manipulator* i Eric Berne w *Games People Play* szczegółowo opisali ten temat.

Oczywiście jako młody człowiek w Niemczech pisywałem wiersze. Od roku 1934, kiedy zacząłem mówić po angielsku, bardzo rzadko mam kontakt z poezją. Teraz fascynuje mnie zabawa z rytmem i szukaniem słów pasujących do rytmu, które nie są toporne, a jednocześnie wyrażają coś, co ma znaczenie dla mnie i, mam nadzieję, dla was także.

Nie popychaj rzeki, ona płynie sama.
Teraz jestem zmęczony. Spotkajmy się kiedyś niedługo i porozmawiajmy o impasie...



Jak się kiedyś dowiedziałem, Rosjanie nazywają, to chorym punktem. Twierdzą, że w centrum nerwicy tkwi jądro, którego nie da się leczyć. Jednak energie wokół jądra można zreorganizować i zmusić do społecznie pożytecznej pracy.

Amerykańska psychiatria nie przyjęła ani nie uznała chorego punktu, pomimo że przy istnieniu wieloletnich terapii, według około stu różnych szkół, rzadko dochodziło do pełnego wyleczenia nerwicy.

W zasadzie pacjent ma się coraz lepiej, ale praktycznie utrzymuje swój *status quo*. Możliwe, że nerwica to społeczny symptom chorego społeczeństwa. Możliwe, że dla większości terapeutów stosowanie terapii jest raczej symptomem, a nie powołaniem: że uzewnętrzniają swoje trudności i pracują nad nimi w innych osobach zamiast w sobie.

Faktycznie wielu z nas widzi drzazgę w cudzym oku, a w swoim nie widzimy kłody. „Jeśli wpadły ci muchy do oczu, to nie widzisz much w oczach” (*Paragraf 22*).

Możliwe, że nerwica błędnie brana jest za problem medyczny, że uznawana jest za chorobę raczej niż uznawanie choroby za nerwicę; że odgrywanie chorego to jeden z wielu sposobów, w jaki ci, którzy nie czują się bezpiecznie, manipulują światem. To często było określane „lotem w chorobę”, a różnica między chorobą a nerwicą a symulacjom jest bardzo mała. Jako psychiatra wojskowy miałem wiele okazji studiowania tych przypadków, szczególnie kiedy brak pewności siebie wymagał wsparcia środowiska w postaci pensji.

Uznaję nerwicę za symptom niepełnej dojrzałości. Mogłoby to oznaczać przejście z medycznego do pedagogicznego punktu widzenia, a to obejmowałoby reorientację nauk behawioralnych.

Domaganie się przez Lawrence’a a Kubiego nowej dyscypliny, nie doktoratu z medycyny czy psychologii, ale integracji podstawowych kursów w medycynie, psychologii, filozofii i pedagogice, to wskazanie właściwego kierunku.

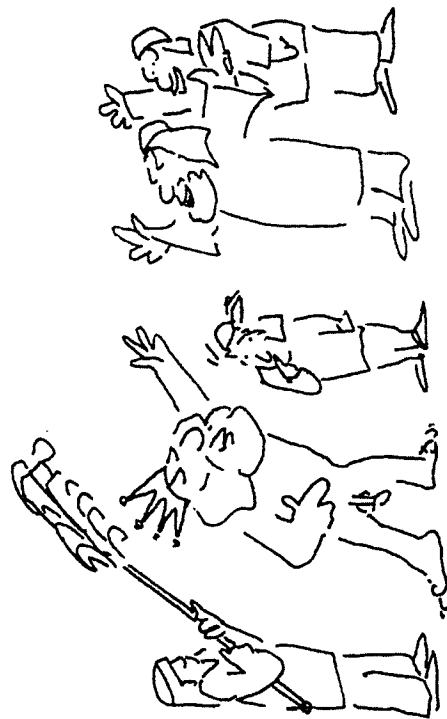
Jeżeli kiedyś stanę się „świętą krową” i ludzie będą mnie słuchać, z pewnością będę zalecać taką dyscyplinę tak samo, jakbyś promował społeczności gestaltyczne jako skuteczne sposoby produkowania realnych ludzi.

Podczas moich doświadczeń z warsztatami nabrałem przekonania, że w takim miejscu, pod adekwatnym przewodnictwem, uczestnicy mogliby w ciągu kilku miesięcy odkryć w sobie po-

tencjał aktualizowania samych siebie jako odpowiedzialnych, w końcu dojrzwiałych ludzi i wyjść z tego impasu, który blokuje wszelkie szanse takiego osiągnięcia.

Impas zmanifestuje sam siebie na różne sposoby, ale w każdym przypadku zostanie uziemiony w fantastyczne (oparte na fantazji) zniekształcenie ważnej rzeczywistości. Nerwowiec nie widzi tego, co oczywiste. Stracił zmysły. Zdrowa osoba ufa swoim zmysłom, a nie pojęciom, uprzedzeniom.

W *Nowych szatach cesarza* Andersena wszyscy inni są zahipnotyzowani, ale dziecko nie ma deluzji. Dla niego cesarz jest nagi.



Dorośli złością się i syczą:

— Jak możesz być tak bardzo krnąbrny?
Wszak piękny jest cesarski strój.
Ty mały głupcze, tylko spójrz.

Malec zbikował, świat mu się wali.

— Jak teraz ufać mam zmysłom własnym?
Jak nie ujrze, koniec z kochaniem.

A bardzo mi potrzebne jest.
Więc przeżykam z trudem tę lekcję
I obym już przystosować się umiał. —

A przecież mogło być zgoła inaczej
(Któż zgłębił zasady powieściopisarstwa?)
Jeżeli dziecięć okrzyk wzniesie
„Ten król, o, przecież król jest nagi!”
Marsowa mina ani skarga
Nie stłumi dziecięcego wrzasku
I zedrze głupcom maski z lica
Tym co przystają na oszustwo
Och, wstyd, upadły królu, wstyd
Oszuście oszukańczy oszukany!!!

Widzę, że rytm naprzednienny nie wystarcza. Musi być tematyczny ruch muzycznie powiązany z wersami. Od czasu do czasu widzę, że to naprawdę się dzieje.

Bo wiersz powinien być jak song
Co niesie się doliną
Dźwięcznie niczym chiński gong.

Następna linijka nie chce się pojawić. Ja sam to moje gryzmoły! Nie chcę tracić czasu na próby i dopasowywanie słów. Nie chcę pracować w mozołe nad tym, by forma przerosła treść. Nie chcę stworzyć impasu, przyznając się do ambicji.

Nie będzie mi przeszkadzał akcent
Kiedy oddam się pisaniu
A gdyby krytyk zabrał głos
Szykanując i podgryzając
Pokażę ja mu piekło
Bo aż świerzbi mnie
Żeby pokazać mu jak
Umiem nieźle się pieklić.

Fritz (buńczucznie): No to co? Zaprzeczam samemu sobie i bawię się w dobieranie rymu.



Świadomość to podstawa
Pojęcie uniwersalne.
Dlatego mamy je aż dwa
I oba rozdzielone:
To „przestrzeń” co pokrywa całe „gdzie”
I „czas” co odpowiada wszystkim „kiedy”
Minkowski-Einstein pojednali je
Gdyż proces zawsze przecież
Trochę trwa i ciągnie się.

Dodawszy teraz też świadomość
Pojawia się tu wymiar trzeci
Co materię definiuje i twierdzi:
„Akceptuj nowy wymiar”:
Proces który jest „samo”-świadomy.

Jak węgiel nie odbija światła
Lecz mieni się jak bursztyn
Co świeci własnym blaskiem z wnętrza
Co płonie i ginie w transformacjach.

($E = mc^2$)



I tak materia w moich oczach
Nabiera boskich związków.
I ty i ja, i ja i Ty
To związek śmiertelności;
Bierzemy udział, istniejemy
W naturze iście buddyzystycznej

Bóg potrójny jest regułą
On siłą jest tworcą
Wszelkich rzeczy we wszechświecie.
To jest *prima causa* świata.
Rozciąga się po wieczność
I wiecznie rośnie, nieskończony;
Wszystkowiedzący, a więc wie
O wszystkim, co do poznania jest.

Zatem materia także wieczna jest
Przestrzeń nad przestrzenią
A czas wiecznością zowie się...
Jeśli na kawałki nie potniemy
Zegarem ograniczonym
By mierzyć jego trwanie.

Gdy Berkeley-Whitehead powiedzieli:
Materia ma świadomość
Wiemy na pewno, że tak jest
I to udowadniany.
Szczura uczymy orientować
Się w krętych labiryntach.

A wtedy ów pokaże jak ma kumpel też to robić
Co użyteczne dla gryzonia jest...
I to zadziwi wnet
Studenta behawioryzmu młodego.

A potem zmiel szcztura mózg
I nakarm nim pobratymców.
Zdobędzie wiedzę o materii.
I bez zbędnego trudu
Prób i błędów.
To warunkowanie takie nudne
(Kij i marchewka na okrągło).

Drzewo sobie rośnie
Rozciaga swe korzenie
Ku soczystemu nawozowi.
Wykop to kuszące jądło
I schowaj w jakimś innym dole.
A potem patrz, jak się gną korzenie.
Namiary poprawione!

Nie można tego wytłumaczyć
I nazwać zwykłą „mechaniką”.
Tropizim wyczulony
Żywa świadomość swoich potrzeb
To jest właściwa nazwa.

Sprawności tyle dziedziczymy
Od przodków, których już nie znamy.
A umysł i materia jednoczą się
W organizmie.

Molekuła będzie mieć
Drobniotki, mały kwant
Miliardowa część miliardowej.
Świadomość jednak nie da się
Tak dokładnie zmierzyć.

Ssaki posiadły takie miejsce
W którym świadomość kondensuje się:
To mózg, gdzie różnorakie nerwy
Przekazują tę świadomość.
Świadomość doświadczeniem jest...
A doświadczenie świadomością.

Bez świadomości nie ma nic
Nawet wiedzy, że nic nie ma.
Nie ma przypadkowych spotkań



Czegokolwiek z czymkolwiek
I uczucia, że zmysłom miejsca brak
By zdobyć zawartość.
Przedmiot i podmiot
Nie mogą złączyć się.

Świadomość jest subiektywna
Obiektywna jest „co-ność”.
I wszystkie media świata

Wzrok, dźwięk, myśli i dotyk
Oparte są na wspólnym gruncie,
Który, denominując, obwieszczam:
Środkiem nad środki
Jest nie tylko świadomość
Która rozróżnia — jak oczy i uszy
Jak kinesteza i jak dotyk
I pachnie-śmierdzi-pachnie.

Wszelobecność Boga
To odzwierciedlenie świadomości.
Doświadczenie jako zjawisko
Pojawia się zawsze w teraz
I jest dla mnie prawem.
Prezent prezentujący prezencję
Pewność, która prawdziwie wyraża rzeczywistość.

Rzeczywistość jest niczym innym
Tylko sumą wszelkiej świadomości
Którą doświadczasz tu i teraz.
Tak pojawia się sedno nauki
Jak jednostka zjawisk Husserla
I odkrycie Ehrenfelda:
Niezmienne zjawisko z wszelkiej
Świadomości, tej, którą nazwał
I my nazywamy
GESTALT

Filozofowanie to nuda
I nie zaprzeczaj temu.
I jeśli przebrniesz przez to wszystko
O czym pisałem w poprzednim rozdziale
To należy ci się wyjaśnienie
Tego, co niejasne; co nie pasuje
Gdzie powstają dziury i niekompletna
Konceptualizacja wymaga naprawy.



Bo jestem uprzedzony i, jak ty,
Perspektywę mam niekompletną.
I słabą mam nadzieję, że uda mi się
Stworzyć pogląd taki,
Co obejmie składowe
Sfery i rzeczy, uczniów
Umysł, i ciało, medyczne
I dorastanie.
Filozofia
Która ogarnie ludzkość
I wszystko.

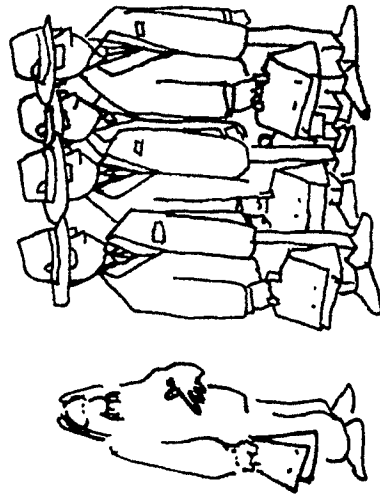
Taka jaka jest
Teoria
Nicości lecz świadomości
Okazała się skuteczna.
Nie mogę rzucić „do diabła z tym”
Gdy wyjawiałem tę ideę
W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim.

Lecz grupa niejedna się utworzyła
 O wielu śmiesznych nazwach
 To grupy T i grupy spotkań
 I świadomość sensoryczna.
 Laboratoria i inne szufladki
 By uczyć
 Tralalitata, wyczulenia, wyczulenia.
 (T brzmi niczym silnik...
 Muzyka go zagłusza
 Poważna dyskusja).

Nie są z nich cymbały, chcą dobrze
 Nie zawsze ślepi naśladowcy, fragmentarycznie zorientowani.
 Nie można na nich się pieklić
 Za to, że składają części niepasujące
 Do dorastania i do całości
 Przez co omijają ważne stadia
 W drodze do celu terapeutycznego:
 By kupić swe istnienie.

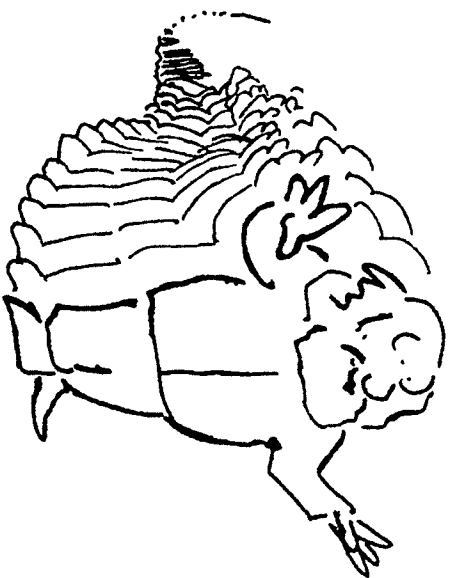
Bez środka rozpaczasz
 Że realny kiedyś byłeś.
 Pustoczlówiek naszych czasów
 Plastikowy robot, żywy trup
 Odnajdzie tysiąc sposobów
 Na samozniszczenie.

Bez środka jesteśmy zagubieni,
 Kuśtykamy bez przystanku.
 Tak: nieświadomi, bez wyważonej łaski
 Tak: galaretki i zeszytnienie
 Frazesy i zwodniczość
 Typowe są dla człowieka współczesnego
 Lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku.



On nie ma środka, on ma śmierć,
 Katatoniczne odrętwienie.
 Potrzeba mu podniety, artefaktów
 Bez względu na to, w jakiej sferze
 Wysokiej czy też niskiej klasy
 Spędza swe istnienie.

Bankierowi trunku trzeba
 Hippiosowi marihuany
 By ich nakręciło i zapomnieli
 Że zdrowy środek
 Da im wystarczająco silne podniecenie
 By żyć
 (By żyć)
 I tworzyć
 (I tworzyć)
 I być realnym
 (Realnym)
 I na czasie
 (Na czasie)
 I cały czas
 Z pełną świadomością.



Ostatnie dwa ustępy powstawały z wielkim trudem. Rzeka przestała płynąć. Musiałem wrócić i „pracować” nad nimi rozmyślnie; chociaż ostatecznie ubawiły mnie dwa przykłady świadomości materii. Docinanie behawiorystom. Sam jestem behawiorystą, ale w innym sensie.

Bardziej wierzę w powtórne uwarunkowywanie niż w uwarunkowywanie, w uczenie się przez odkrywanie, a nie przez zakuwanie i powtórki.

Przez całe życie nienawidziłem dyktu, nadmiernej dyscypliny i nauki na pamięć. Zawsze ufałem w odkrywanie, wznosząc okrzyk „aha!”, i szok rozpoznania.

Nawet teraz w prozie rzeka nie płynie. Siedzę przy biurku, a zdania, zamiast spontanicznie płynąć, kotłują się: „Co powie-dzieć?”, „Jak powiedzieć?”. Innymi słowy, znowu utknąłem — nie wiem, do kogo się zwracać, straciłem kontakt, zbyt wiele pomysłów, wszystkie potrzebne, by skończyć strukturę, podej-scie, jakie przedstawiam.

Mam sporo nie dokończonych rękopisów. Za każdym razem, kiedy utknąłem w niespójności, wyrwie w mojej teorii, rezygno-wałem z próby pisania książki.

Lecz teraz wierzę, że jest kompletna, tak jak mnie na to stać. Wierzę, że jest to praktyczna teoria stosowna do naszego wieku.

Widzę we Freudzie Edisona psychiatrii, zmieniającym podej-scie opisowe na dynamiczne i od niechcenia, Prometeusza i Lu-cyfera, niosących światło.

Za czasów Freuda bogowie, jako manipulatorzy świata, prze-kazali swą magiczną moc siłom natury: gorąco, grawitację, elektryczność. Sam Freud stał się niewolnikiem tej przemiany: Eros, potęga miłości, i Tanatos, potęga odwróconej destrukcji. Zain-teresowanie fizycznym aspektem życia zaczęło zastępować to duchowe, tak jak w filozofii materializm dialektyczny Marksa zastąpił dialektyczny idealizm Hegla.

W naszych czasach wydarzyło się coś wielkiego, porówny-walnego i podobnego do unifikacji bogów przez Mojżesza — nastanie elektroniki. Atom, materiał budulcowy w chemii, staje się przystanią wszelkiej energii. Pojęcie przypadkowości, pojęcie „dlaczego?” runęło, ustępując miejsca zgłębianiu procesu i stru-ktury „jak?”.

Zainteresowania naukowe przenoszą się z historii na zachowanie materii lub — jak w naszym przypadku — na „proces i strukturę ludzkiego zachowania”. Nie odkrycia Freuda, lecz jego filozofia i technika stały się bezużyteczne i muszą zostać skrytykowane jako niewłaściwe, jako myślenie ukierunkowane na historię. Nawet jeżeli tysiąc analityków zacznie korzystać z tej metody, to nie sprawi to, że stanie się ona właściwa.

Poprzez zrozumienie zmiennej natury organizmu i jej zależ-ności od praw dynamiki gestaltu postawiłem następny krok po Freudzie w historii psychiatrii i nosi on miano efektywności.

Jaki będzie trzeci krok, nie wiemy, ale mam już pewne wolne przemyślenia co do tego. Podzielię się z wami moimi fantazjami na ten temat. Wszystkie teorie i hipotezy są fantazjami o modelach funkcjonowania świata. Kiedy zostają zweryfikowane i zastoso-wane w fizycznej rzeczywistości, same przyjmują charakter rze-czywistości. Stąd „nieświadomość” i „libido” są tak samo rzeczy-wistością dla freudyisty jak „łuk odruchowy” i „bodziec-reakcja” dla behawiorysty. Terminy te stają się określnikami wiary. Wąt-pić w ich rzeczywistość, zakrawa na bluźnierstwo. To samo dotyczy mojego nastawienia do terminu „gestalt”.

Teraz moja fantazja o trzecim kroku kieruje się ku psychoanalizie i praniu mózgu. Szokujące, prawda? Przywykliśmy do równania: pranie mózgu równa się propagandzie indoktrynacji, zatem klóci się z moim przekonaniem do autentyczności i spon-taniczności. Lecz poczekajmy chwilę, wstrzymajmy oddech. Pra-nie to oczyszczanie — pranie mózgu z wszelkiego umysłowego błota, jakie z sobą nosimy. Dla indoktrynatora oznacza to jedynie wyczyszczenie do cna, dla wpisania nowego przekonania. Dla niego oznacza to wypędzenie diabła, aby zrobić miejsce dla Belzebuba. Nie ku Freuda i mojej ucieście.

I znowu Freud zrobił pierwszy krok. Uświadomiwszy sobie, że pacjent nie ma kontaktu z rzeczywistością, utraciłszy zdol-ność bezkonfliktowych relacji ze światem, uświadomiwszy sobie, że coś pośredniego zakłóciło związek ze światem, nazwał ten niepokojący czynnik „kompleksem”. Na przykład, mężczyzna nie może spać z własną żoną ze względu na podświadome fantazje na temat swojej matki.

Freud śnił o praniu mózgu, uświadamiając sobie sytuację Edypa i „analizując” ją, co dla niego oznaczało uświadamianie sobie „zapomnianych” wspomnień związanych z manią pacjenta.

Choć trudno w to uwierzyć, podejrzliwy Freud zaufał ulotnym wspomnieniom. Z własnego doświadczenia wszystkie te „urazy wytwarzające nerwicę” okazały się wymysłami *ad hoc* pacjentów dla usprawiedliwienia. To, co Freud nazywa „kompleksem”, ja nazywam silnym, patologicznym gestaltem. Zawsze, kiedy ktoś traci kontakt ze światem, powstaje rodzaj ziemi niczyjej, strefy zdemilitaryzowanej, zamieszkanej przez wielkie siły, które roz-dzielają „siebie” i „odmienność”. Obie strony, ja i odmienność, łączą się tylko z tym, co przejściowe, a nie z sobą.

Nie dochodzi do twórczego spotkania. Jeżeli nakładasz ma-skę, nawiązujesz kontakt z wewnętrzną stroną maski. Każdy, kto spróbuje dotknąć ciebie dłońmi lub wzrokiem, nawiąże kontakt jedynie z maską. Porozumiewanie, podstawowy związek między-ludzki, jest niemożliwe.

Ta przejściowa strefa pełna jest uprzedzeń, kompleksów, im-pulsów, myśli, myśli, gadania, gadania, myśli, myśli,

gadania, gadania, myśli, słów, słów, słów, słów, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Czy nadal jesteście przeciwni praniu mózgu?





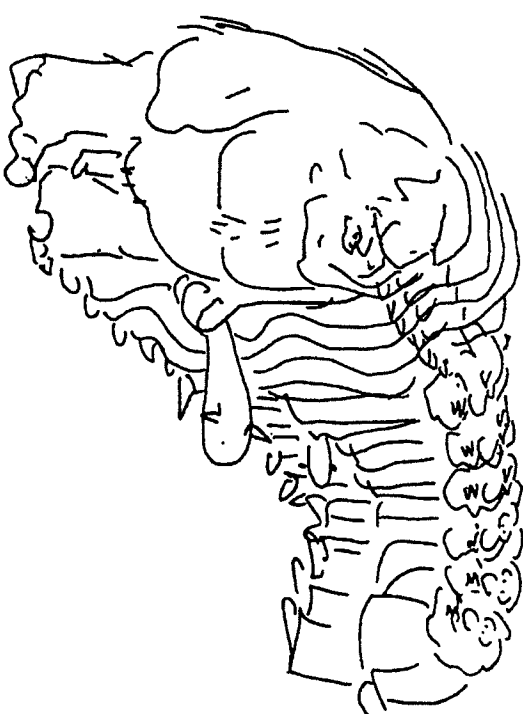
Jestem dość zdesperowany tym rękopisem. Mam obraz, spoglądając na kilim, już nieomal całkowicie utkany, a jednak nie potrafię przenieść całego widoku, całkowitego gestaltu. Wyjaśnienia nie pomagają specjalnie w zrozumieniu. Nie mogę dać wam tego; możecie wziąć to, co oferuje, ale czy znam wasze apetyty?

Kiedy mogłem pisać wierszem, wiedziałem, że spodoba się wam płynięcie z prądem; wiedziałem, że coś przekażę, nastój, sedno, nawet małą grę słów.

Nadal tkwię w tym i zamierzam przebrnąć przez ten impas. Zbyt łatwo ulegam chęci poddania się i rezygnacji. Jednak zmuszenie siebie do zrobienia czegoś wbrew skłonnościom też się nie sprawdza. I tak zawieszony między Scyllą a fobią, unikiem, ucieczką, a Charybdą ciężkiej pracy, obowiązku i wysiłku, cóż mam począć?

Nie byłbym fenomenologiem, gdybym nie przewidział oczywiście, to znaczy doświadczenia wciągnięcia w bagno. Nie byłbym gestalistą, gdybym nie potrafił doświadczyć utknięcia w bagnie i zachować pewności siebie, że z chaosu ta wyłoni się jakaś postać.

I uważa! Temat wytania się. Organiczna samokontrola kontra dyktatura. Dynamika tworzenia gestaltu kontra narzucanie z góry prefabrykowanych celów. Dominacja życia kontra bieżących uprzedzeń, zaplanowany potężny przepływ organicznego zaangażowania kontra ciężar powinności. Wracam do ludzkiego podziatu: zwierzę kontra społeczeństwo; spontaniczność kontra rozmyślność.



Jaki rodzaj wbudowanej samokontroli posiada organizm; jaki rodzaj samoregulacji umożliwia organizmowi, tym niezliczonym milionom komórek, współpracować harmonijnie? Aż do epoki mechanicznej dychotomia organizmu była idealna. Człowiek dzielił się na ciało i duszę. Dusza miała oddzielne istnienie, często nieśmiertelne, często poprzez ponowne narodziny wchodziła w inne ciało, by nad nim zapanować. Kiedy sobie biologicznie uświadomimy, że to, co nazywamy życiem, jest specyficzną funkcją organizmu i że dowolny przedmiot pozbawiony tej funkcji klasyfikujemy jako martwy, jako rzecz, doszło do pewnych teoretycznych przesunięć. Dlatego właśnie dychotomia nie została wyeliminowana, ale przesunięta gdzieś indziej, gdzie akceptowali ją zarówno naukowcy, jak i laicy, do dychotomii umysłu

i ciała. Funkcja ciała jest tłumaczona przez kilka częściowo sprzecznych teorii: od mechanicznego łuku odruchowego na wzór automatyzmu wrzutowego na monety (to ten fragment z bodźcem—reakcją) do mnogości biochemicznych reakcji, do kilku tajemniczych elementów zarządzających regulacją, utrzymaniem i celowością życia. Absolutność teorii bodziec—reakcja została obalona przez Kurta Goldsteina. Chemiczny aspekt to jedna z kilku możliwych abstrakcji, bardzo interesująca i ważna, ale jak do tej pory nie potrafiona wytłumaczyć teorii instynktu.

Coś jest nie tak z teorią instynktu, w innym razie nie mielibyśmy tak wielu autorów zajmujących się wagą i różnorodnością rozmaitych „instynktów”.

Znowu zbaczam z tematu. Zamiast zapisać własne myśli i doświadczenia, zachowuję się, jakbym chciał napisać podręcznik i ułożyć, posortować, zreformułować, wyklarować problem. W zasadzie sprawę instynktu opisałem w roku 1942. Moje obecne zmieszanie bierze się z pytania, czy mogę przypisywać sobie oryginalność mojej teorii „braku instynktu”, jakby miało to jakieś znaczenie.

Książkę, którą napisałem w 1942, zatytułowałem *Ego, Hunger and Aggression* (Ego, głód i agresja) — tytuł naprawdę niezdamy. W tamtym okresie chciałem nauczyć się pisać na maszynie. Po kilku latach ćwiczeń znudziło mi się. Postanowiłem więc, podobnie jak z niniejszą książką, napisać cokolwiek, co chciałem, by zostało napisane. Po dwóch miesiącach cała książka była skończona i bez specjalnej redakcji wydana w Durbanie, w Republice Południowej Afryki.

Do Republiki Południowej Afryki przyjechałem w roku 1934. W 1933, kiedy nastąpił Hitler, uciekłem do Holandii, co przerwało moje kształcenie jako psychoanalityka. Moim analitykiem był wówczas Wilhelm Reich, a opiekunami Otto Fenichel i Karen Horney. Fenichel dał mi zagubienie; Reich — hardość; Horney — ludzkie zaangażowanie bez terminologii. W Amsterdamie moim zwierzchnikiem był Karl Landanner, inny uciekinier, psychoanalityk mojej żony we Frankfurcie w Niemczech. Był to człowiek niezmiernie ciepły, który robił wszystko, aby system

freudowski stał się bardziej zrozumiały. A przynajmniej nie robił tego, co robił Fenichel i inni: nie wykonywał intelektualnej żonglerki z „uśpioną, negatywną kontrotransferencją”, „infantylną-zmysłową sublimacją” itd., przedstawieniem, od którego zazwyczaj kręciło mi się w głowie i którego nigdy nie potrafiłem powtórzyć. Nic dziwnego, że Fenichel często niecierpliwił się za moją przyczyną.

Trudno jest sobie wyobrazić większy kontrast między naszym życiem w Amsterdamie a tym rok później w Johannesburgu. W kwietniu 1933 roku przekroczyłem granicę niemiecko-holenderską ze 100 markami (25 dolarów) ukrytymi w zapalniczkach. W Amsterdamie mieszkalem razem z innymi uciekinierami w domu zaofiarowanym przez gminę żydowską. Byliśmy upchanymi jak śledzie w beczce. Oczywiście panowała przygnębiająca atmosfera. Chociaż deportacje jeszcze nie nabrały rozmachu, to mocno wyczuliśmy niebezpieczeństwo. Podobnie jak większość pierwszych uciekinierów z Niemiec, byliśmy wyczerpani na wojnę i przygotowania obozów koncentracyjnych.

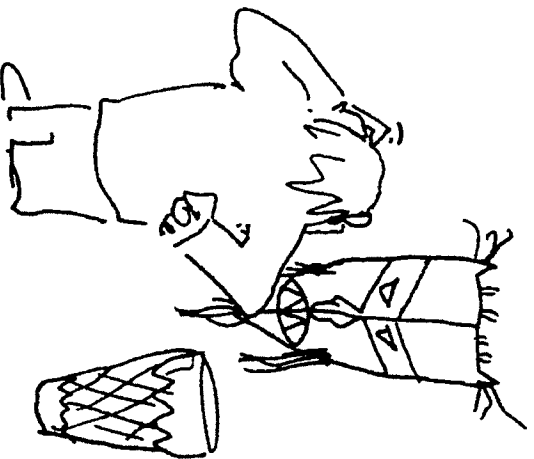
Pomimo że Lore z naszym pierwszym dzieckiem znalazła dom u jej rodziców, nie byłem pewien, czy jesteśmy bezpieczni, gdyż moje nazwisko znajdowało się na czarnej liście nazistów. Przyjechali do Holandii kilka miesięcy później. Znaleźliśmy małe mieszkanie na poddaszu i w kompletnej nędzy przeżyliśmy następne kilka miesięcy.

Tymczasem starałem się jak najlepiej wykorzystać charytatywność, ciągle pamiętając dwie osoby. Jedną z nich był aktor, w zasadzie aktorzyzna. Zwracał na siebie uwagę jedynie pewną prawdziwą umiejętnością. Potrafił wypierdzieć całą melodię. Po-dziwiałem tę jego zdolność i poprosiłem go kiedyś, by powtórzył swoje przedstawienie. Wówczas wyznał, że dzień wcześniej musiał nająć się fasoli lub kapusty. Drugą osobą była młoda mężatka, dość ekscentryczna i historyczna. Przez pewien czas byłem jedynym z jej dwóch kochanków. Nie wspominałbym jej, gdybym w pewnym okresie życia nie stał się naprawdę przesadny i nie uwierzył w coś nadprzyrodzonego — w potęgę „minogry”.

Moja minogry to japońska statuetka z brązu, wysoka na dwa-dziesiąt pięć centymetrów, coś między jaszczurką a smokiem.

Podarowano mi ją w Berlinie niedługo przedtem, zanim Hitler doszedł do władzy. Dał mi ją słynny reżyser filmowy jako wyraz uznania, zapewniając, że przyniesie mi szczęście.

Byłem co do tego sceptyczny. Jemu szczęścia nie przyniosła. Mnie zdecydowanie też nie. Życie w Holandii było trudne, szczególnie gdy przyjechała moja rodzina i musieliśmy mieszkać na tym lodowatym strychu, kiedy na dworze było poniżej zera. Nie mieliśmy zezwolenia na pracę. Kosztowne meble, które ostatecznie udało się nam wydostać, przyjechały w otwartym wagonie, mocno zniszczone od deszczu. Pieniądze za meble i mój księgozbiór nie wystarczyły na długo. Lore miała skrobankę, a po niej depresję. Na dodatek, młoda kobieta, o której wspominałem, zaczęła sprawiać kłopoty.



Wtedy postanowiłem pokusić los. Byłem już wtedy przekonany, że ta minogra (minogame) przynosi mi pecha. Podarowałem ją tej złoŹnicy i, to zbieg okoliczności lub nie, jej bogaty mąż wyrzucił ją, a do tego miała jeszcze sporo innych kłopotów.

Jednocześnie nasza sytuacja zmieniła się całkowicie. Zupewnie jakby zdjęto klątwę. Ernest Jones, przyjaciel i biograf Freuda,

wykonął znakomitą pracę dla prześladowanych żydowskich psychoanalityków. W Johannesburgu proszono go o stażystę-analityka. Posadę dostałem ja. Nie prosiłem o żadne gwarancje. Nie tylko chciałem uciec przed tą desperacką sytuacją w Amsterdamie. Przewidywałem także przyszłość. Powiedziałem przyjaciółtom: „Nadciągaj największa wojna świata. Nie ma takiego miejsca, dokąd moglibyście uciec z Europy”. Wtedy myśleli, że zwariowałem, ale później gratulowali mi wyczucia.

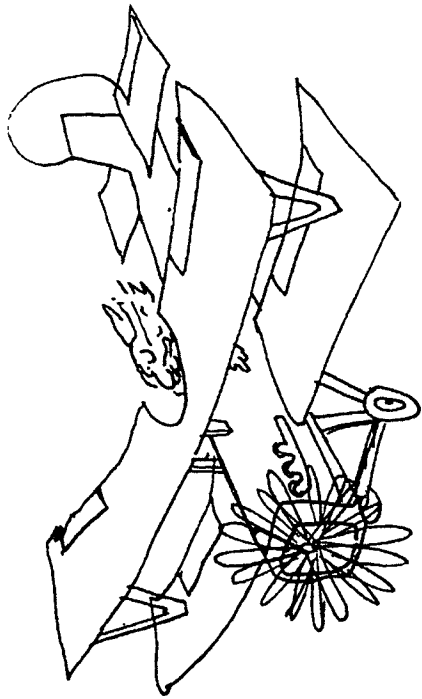
Inna przeszkoda, dwieście funtów jako gwarancja za emigrację, cudownym sposobem została wkrótce pokonana. Dostałem pożyczkę, która pokryła to plus koszt podróży.

Ostatnią przeszkodą była bariera językowa. Poza łaciną, greką i francuskim uczyłem się trochę angielskiego w szkole. Uwielbiałem język francuski i byłem w nim niezły, ale nigdy nie przepadałem za angielskim. Teraz musiałem się go nauczyć, i to szybko. Zaatakowałem go na czterech frontach. Podczas trzytygodniowego rejsu na „Balmoral Castle” czytałem każdą łatwą i ekscytującą powieść, jaka wpadła mi w ręce, na przykład kryminał. Czytałem, nie martwiąc się detalami, domyślając się z kontekstu, co się dzieje. Studiowałem także gramatykę i słownictwo za pomocą samokształcającej metody, Langenscheidt. Pokonałem również własne zazenowanie i nakłaniałem załogę i pasażerów do rozmowy. Później chodziłem na filmy i kilkakrotnie oglądałem ten sam obraz. Nigdy nie zgubiłem akcentu niemieckiego, czego wstydziałem się bardzo długo, ale nie kłopotalem się lekcjami dykcji. Później w Ameryce często zaskakiwały mnie różnice w wymowie amerykańskiej i brytyjskiej. Jak to obwieszczali paryskie sklepy: „Mówimy po angielsku, amerykański rozumiemy”.

Przywitano nas wylewnie. Otworzyłem praktykę i założyłem Instytut Psychoanalizy w Republice Południowej Afryki. W ciągu roku zbudowaliśmy pierwszy własny dom w stylu Bauhausu, w eleganckiej dzielnicy, z kortem tenisowym i basenem, z nianią (urodziło nam się następne dziecko), gosposią i dwiema służącymi Murzynkami.

Przez następne lata mogłem pozwolić sobie na liczne hobby: tenis ziemny i stołowy. Zrobiłem licencję pilota. Moi przyjaciele

le lubili ze mną latać, chociaż Lore nigdy mi nie ufała. Moją największą radością było, kiedy sam pilotowałem samolot, wyłączałem silnik i w cudownej samotności i ciszy schodziłem lotem ślizgowym.

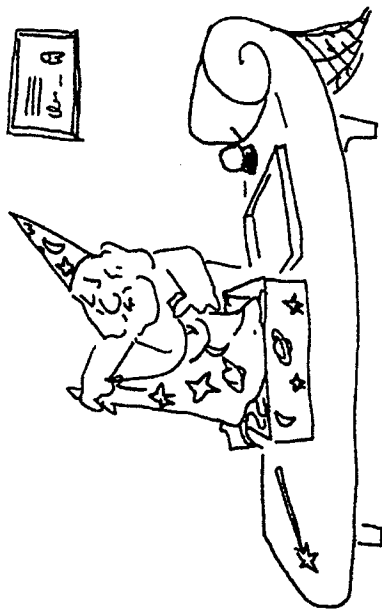


Mieliśmy także bardzo rozległe lodowisko. Jakże ja uwielbiałem tańczyć na lodzie. Obszerne, zamaszyste ruchy, gracia i równowaga... temu nic się nie równa. Nawet zdobyłem medal w pewnych zawodach.

Wycieczki na pełne morze, pływanie w Oceanie Indyjskim, mnogość zwierząt do obserwacji w naturze, kręcenie filmów na skromną skalę, reżyserowanie sztuk (studiowałem u Maxa Reinhardta) i wydobywanie z amatorów, co się da, wizyty u szamanów, opracowywanie wynalazków, nauka gry na altówce, dorobienie się kosztownej kolekcji znaczków, przejście kilku zadowalających romansów i paru niezbyt zadowalających, zawiązanie ciępych i trwałych przyjaźni.

Jakaż różnica w porównaniu z naszym poprzednim życiem. Zawsze zarabiałem dosyć pieniędzy, aby związać koniec z końcem, i zawsze byłem zaangażowany na wiele sposobów, ale nigdy nie do tego stopnia. Była to eksplozja aktywności, zarabiania i wydawania pieniędzy. Lore nazywała mnie skrzyżowaniem pro-ropa i menela. Zdecydowanie pojawiło się niebezpieczeństwo utraty obydwu.

Wpadłem w pułapkę skostnienia psychoanalitycznego tabu: dokładna pięćdziesięciominutowa godzina, żadnego fizycznego kontaktu wzrokowego i społecznego, żadnego osobistego zaangażowania (kontrtransferencja!). Osaczyły mnie wszystkie atrybuty prostolinijnego, szacownego obywatela: rodzina, dom, służba, zarabianie większej ilości pieniędzy, niż mi było potrzeba. Pochwyciła mnie dychotomia pracy i zabawy: od poniedziałku do piątku kontra weekend. Właśnie wypłatałem się ze złośliwości i zbuntowania, aby nie stać się zautomatyzowanym zombi jak większość ortodoksyjnych analityków.



Pierwsza przerwa nastąpiła w roku 1936, roku wielkich nadziei i wielkich rozczarowań. Miałem wygłosić odczyt w Czechosłowacji na Międzynarodowym Kongresie Psychoanalitycznym. Chciałem wywrzeć wrażenie za sprawą samodzielnego pilotażu i artykułu przesączonego Freudem.

Zamierzałem przelecieć 4000 mil ponad całą Afryką... pierwszy latający psychoanalityk. Znalazłem używaną Gypsy Moth, która latała sto mil na godzinę. Kosztowała dwieście funtów, ale ktoś się wtrącił i mnie przeliczywał. Zatem to zostało wyeliminowane i musiałem płynąć statkiem.

Artykuł, jaki przedstawiłem, dotyczył „oralnych oporów”, i nadal napisany był w terminologii freudowskiej. Spotkał się z głęboką niechęcią. Werdykt: „Wszystkie opory są analne” za-



skoczył mnie. Chciałem rozwinąć teorię psychoanalizy, ale nie uświadamiałem sobie wówczas, jak bardzo rewolucyjny był mój artykuł i jak bardzo wstrząsał, a nawet burzył podwaliny teorii Mistrza.

Moi przyjaciele krytykują mnie za polemizujący stosunek do Freuda. „Tyle masz do powiedzenia, twoja pozycja jest bezpieczna, nie osadzona w rzeczywistości. Po co ta wieczna agresywność wobec Freuda? Zostaw go w spokoju i rób, co do ciebie należy”.

Nie potrafię. Freud, jego teorie, jego wpływ są dla mnie nazbyt ważne. Mój podziw, zmieszanie i mściwość są bardzo silne. Jestem głęboko poruszony jego cierpieniem i odwagą. Czuję wielki przestrach przed tym, jak wiele, i praktycznie całkiem sam, osiągnął, za pomocą nieadekwatnych umysłowych narzędzi psychologii asocjacyjnej i mechanistycznie zorientowanej filozofii. Jestem głęboko wdzięczny za to, co osiągnąłem, sprzeciwiając się jemu.

Czasami natrafiamy na twierdzenie, które nagle i niespodziewanie rozświeca ciemność ignorancji jaskrawym błyskiem. Doświadczylem tego jako nastolatek. Schiller, bardzo niedoceniany przyjaciel Goethego, napisał:

Und so lange nicht Philosophy
Die Welt zusammen haelt,
Erhaelt Sie das Getriebe
Durch Hunger und durch Liebe.
(Dopóki nie nadejdzie dzień, kiedy nad światem zapanuje filozofia, będzie nim rządzić głód i miłość).

Później Freud pisał w podobnym nastroju: „Żyjemy za sprawą sił w naszym wnętrzu”. Wtedy popełnił straszny błąd, by ratować swój system zorientowany na libido. Dla niego usta noworodka miały energię jeszcze nie podzieloną na strefę libido i funkcję przyjmowania jedzenia. Praktycznie opuścił drugą funkcję i zajął stanowisko przeciwstawne z Marksem. Za główną siłę motoryczną człowieka Marks uznaje podtrzymywanie życia; Freud na pierwszym miejscu stawia libido. Nie jest to kwestia „to czy tamto”, ale „obu”. Dla przetrwania osobnika ważną funkcją jest utrzymanie życia, dla przetrwania gatunku jest to seks. Lecz czy nie jest sztuczne stawianie jednego przed drugim? Czy gatunek może przetrwać bez utrzymywania osobnika i czy osobnik istniałby bez seksu swoich rodziców?



Wszystko to jest takie oczywiste. Wstyd mi, że o tym w ogóle piszę. Nie mówiłbym o tym, gdyby nie sugestie, że stanowi to podstawę nie tylko Marksowskiej, ale i Freudowskiej filozofii.

Wilhelm Reich spróbował te dwie rzeczy połączyć. Popętnił błąd, próbując te dwa *Weltanschauungen* łączyć na wysokim poziomie abstrakcji zamiast na podstawowym. W rezultacie doszło do odrzucenia i ubliżania. Komuniści odrzucili go, ponieważ był psychoanalitykiem, a analitycy odrzucili go, bo był komunistą. Zamiast na krzesło o szerszej podstawie wpadł między dwa krzesła. Narobił sobie kłopotów, łącząc oba systemy, zanim jeszcze zdążył połączyć własne utrzymanie z własnym seksem. Został, jakby to powiedzieć, ukarany za pogwałcenie podstawowych praw ogólnej semantyki — Korzybski pomszczony.

Góra: Przestań mówić o Reichu. Trzymaj się własnych zamiarów i tematu, oporów oralnych.

Dół: Zamknij się. Mówiłem ci nieraz, to moja książka, moje wyznania, moje przemyślenia, moja potrzeba wyjaśnienia tego, co dla mnie niejasne.

Góra: Słuchaj! Czytelnicy uznają cię za starego gadułę.

Dół: Więc wróćmy do mojego „ja” kontra mój obraz. Jeżeli czytelnik chce zaglądać mi przez ramię, to proszę bardzo, może nawet patrzeć przez dziurkę od klucza. Co więcej, nieraz namawiano mnie, abym spisał swoje wspomnienia.

Góra: Fritz, zaczynasz się bronić.



Dół: A ty marnujesz czas mój i czytelnika. Więc siedź cicho, czekaj, bo ja ci tak każę. Pozwól, że będę, jaki jestem, i przestań chronicznie szczeakać.

Góra: Dobrze, ale wróć, kiedy będziesz się mnie najmniej spodziewać i potrzeba ci będzie wsparcia od własnego mózgu: „Komputerze, proszę, prowadź”.

Nie chcę już więcej o tym myśleć.

Ale bez reszty oddać jak na złość

Myśli, w której pojawia się

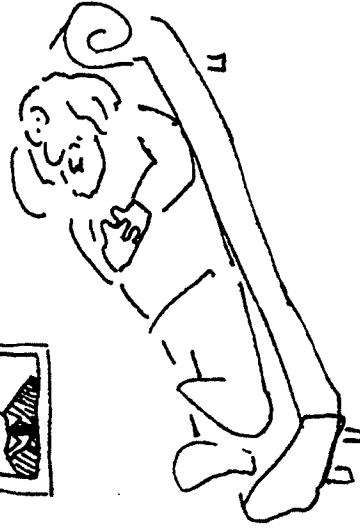
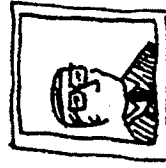
Poważna postać, ważny gość.

Wróć do seksu i żywności,

Byście się nauczyli wiele,

Bo czuję, jak teraz wchodzi mi w kości

Smutek za nauczycielem.



By lepiej zrozumieć mój szacunek dla Reicha, musimy wrócić do mojego psychoanalitka przed nim, Węgry nazwiskiem Har-nick. Żałuję, że nie potrafię, w pewnym sensie, opisać stanu głupoty i moralnego tchórzostwa, do jakich zredukowało mnie jego tak zwane leczenie. Może wcale nie miało to być leczenie.

Prawdopodobnie była to dydaktyczna analiza, by przygotować mnie do statusu akredytowanego psychoanalityka. Zostało jedynie stwierdzone, co następuje: „Terapeuta powinien być wolny od kompleksów, niepokojów i winy”. Później doszła mnie plotka, że Harnick zmarł w szpitalu dla umysłowo chorych. Ile w tym pomogła mu psychoanaliza, nie wiem.

Harnick wierzył w bierną analizę. Ten spreczny termin oznacza, że chodziłem przez półtora roku, pięć razy w tygodniu, aby leżeć na kozetce i nie być analizowanym. W Niemczech uścisk dłoni brało się za pewnik: on nie podawał mi ręki ani na początku, ani na końcu. Pięć minut przed końcem godziny, drapał podłogę nogą, aby dać znak, że wyznaczony czas wkrótce się skończy.

Zajmował się co najwyżej jednym zdaniem na tydzień. Na początku jednym z jego twierdzeń było to, że wydawałem mu się bawidamkiem. To wskazało mi drogę. Pustkę kozetkowego życia wypełniłem romantycznymi opowieściami, by zbudować obraz casanowy, jakim on mnie widział. Aby dotrzymać tempa, musiałem angażować się w coraz więcej, głównie zmyślonych, przygód. Po około roku chciałem się od niego uwolnić. Byłem zbyt wielkim tchórzem moralnym, aby to po prostu rzucić. Po nieudanej analizie u Clary Happel jakież miałem szanse, by samemu stać się psychoanalitykiem?

W tamtym okresie Lore zaczęła naciskać na ślub. Wiedziałem, że nie należę do tych, co to się żenią. Nie byłem zakochany w niej do szaleństwa, ale łączyło nas wiele wspólnego i często dobrze się bawiliśmy. Kiedy rozmawiałem o tym z Harnickiem, zrobił typową psychoanalityczną sztuczkę: „Nie wolno ci podejmować ważnych decyzji podczas psychoanalizy. Jeżeli się ożenisz, zerwę nasze sesje”. Będąc zbyt tchórzliwym, by skończyć swoje życie na kozetce na własną odpowiedzialność, przeniosłem ją na niego i wymieniłem psychoanalizę na małżeństwo.

Jednak nie byłem gotowy, by zrezygnować z psychoanalizy. Ciągłe prześladowany myślą, że sam jestem zbyt głupi albo upośledzony, byłem zdeterminowany pokonać ten problem. Zrozpaczony, skonsultowałem się z Karen Horney, jedną z niewielu osób, którym naprawdę ufałem. Jej werdykt brzmiał: „Je-

dynym analitykiem, który dotarłby do ciebie, jest Wilhelm Reich”. W ten sposób rozpoczęła się pielgrzymka do kozetki Wilhelma Reicha.

Następny rok, to już zupełnie inna historia. Reich był żywy, pełen temperamentu i buntu. Bardzo chciał omawiać moją sytuację, szczególnie polityczną i seksualną, a jednocześnie oczywiście nadal analizował i prowadził normalną grę w poszukiwanie geonów. Lecz przy nim znaczenie faktów zaczynało słabnąć. Zainteresowanie nastawieniem przeniosło się na dalszy plan. Jego książka *Character Analysis* (Analiza charakteru) znacznie się do tego przyczyniła.

Podczas jego seminariów poznałem kilku miłych ludzi, którzy później okazali się dobrymi terapeutami, takich jak Helmut Kaiser. Potem uderzył Hitler. Reich także musiał w pośpiechu uciekać. Wyjechał do Norwegii. Od tamtej pory stał się dość szczególny. Z wyjątkiem pośredniczenia w tłumaczeniu jego książki przez Sylvię Beerman, jedną z moich studentek w Afryce, straciłem z nim kontakt, aż do ponownego spotkania na Psychoanalitycznym Kongresie w roku 1936. Był moim trzecim rozczarowaniem. Siedział z dala od nas i ledwo mnie rozpoznał. Spędzał tak długie przerwy, gapiąc się i rozmyślając.

Znowu straciłem z nim kontakt, aż dziesięć lat później odziedziliem go na krótko przed moim wyjazdem do Stanów. Wtedy naprawdę się przestraszyłem. Nadął się jak olbrzymia ropucha, a egzeza na twarzy przybrała na sile. Jego głos dudnił pompatycznie, kiedy pytał mnie niedowierzająco: „Nie słyszałeś o moim odkryciu, orgone?”. Zapytałem więc o to. Oto, czego się dowiedziałem.

Jego pierwsze odkrycie, muskularna zbroja, było ważnym krokiem poza Freuda. Abstrakcyjne pojęcie oporu zostało sprowadzone na ziemię. Opory stały się wtedy funkcjami organicznymi, a opór analny, ciasna dupa, musiał oddać swój monopol rezystancji.



Następny krok naprzód z kozetkowego życia to fakt, że terapeuta teraz faktycznie nawiązał kontakt z pacjentem. „Ciało” trafiło na należne mu miejsce.

Później, kiedy zajmowałem się pacjentami, leczonymi uprzednio przez zwolenników Reicha, zazwyczaj trafiałem na pewne paranoidalne symptomy, choć niezbyt silne i łatwe do wyleczenia. Wówczas przyjrzałem się teorii zbroi po raz kolejny i uświadomiłem sobie, że sama idea zbroi jest formą paranoidalną. Zakłada atak ze strony otoczenia i obronę przed nim. Zbroja muskularna w zasadzie pełni funkcję gorsetu, zabezpieczenia przed eksplozją ze środka. Mieśnię przejęły funkcję implozywną.

Moją drugą obiekcją wobec teorii zbroi jest to, że wzmacnia teorię defekacji Arystotelesa-Freuda: „Emocje sprawiają kłopot. Potrzeba katharsis, by pozbyć się z organizmu zakłócający spokój”.

Natura nie jest tak marnotrawna, by stwarzać emocje jako kłopoty. Bez emocji jesteśmy martwymi, znudzonymi, niezangażowanymi maszynami.

Trzecią obiekcją jest, że te przełomy uzewnętrzniają materiał, wypierają się i odrzucają go, a mógłby on być zasymilowany jako część „ja”. Promują one formację cech paranoidalnych. Innymi słowy, materiały, które wychodzą w tych przełomach, nadal uznawane są za ciała obce. Wszystko, co zostało zmienione, to miejsca akcji. Szansa wzrostu i wyzdrowienia została utracona.

Jednakże w porównaniu z wagą postawienia ogromnego kroku ku podejściu holistycznemu niniejsze obiekcje na niewiele się zdają. Nie przy wynalezieniu orgone, wytworu fantazji Reicha, która już wtedy zbłądziła.

Rozumiem, co się stało. Uczyniwszy z pojęcia rezystancji rzeczywistość do zweryfikowania, Reich musiał uczynić to samo z głównym terminem Freuda, libido.

Teraz opór istnieje, nie ma co do tego wątpliwości, ale libido było i jest hipotetyczną energią wynalezioną przez Freuda dla wyjaśnienia jego modelu człowieka. Reich zahipnotyzował siebie samego i swoich pacjentów, by wierzyli w istnienie orgone jako fizycznego i widzialnego odpowiednika libido.

Zbadałem działanie orgone-boksu z pewną liczbą jego właścicieli i nieodmiennie natrafiłem na błędne myślenie: sugestynowość, którą można skierować w dowolną stronę, jaką wybrałem. Reich zmarł w więzieniu, ale nie wyrzekł się swych idei. *Enfant terrible* wiedeńskiego instytutu okazał się geniuszem, jedynie by przyćmić siebie jako „szalonego naukowca”.

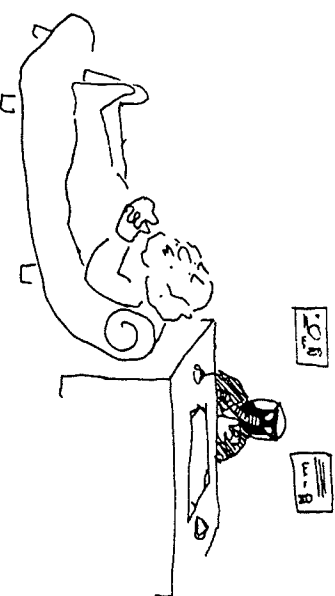
Pisać o czwartym rozczarowaniu, moim spotkaniu z Freudem, jest o wiele trudniejsze. Nie, to nieprawda. Spodziewałem się, że będzie trudniej, ponieważ w moim ekshibicjonistycznym okresie traktowałem to lekko i udawałem, że wiedziałem więcej o Freudzie, niż było w istocie. Fakty są następujące: z wyjątkiem S. Friedlandera i K. Goldsteina moje spotkania z takimi sławnymi ludźmi, jak: Einstein, Jung, Adler, Jan Smuts, Marlena Dietrich i Freud, były przypadkowe. Głównie prowadziły do niczego, poza dostarczeniem mi pewnego materiału do przechwatek i niebezpośredniego ujmowania moich słuchaczy tym, jaki jestem ważny — blichtr często przyćmiewał wzrok i osąd.

Jedno popołudnie spędziłem z Albertem Einsteinem: beztensjonalność, ciepło, pewne fałszywe polityczne domniemanie. Wkrótce straciłem samoświadomość, rzadka dla mnie sztuczka w tamtym okresie. Nadal lubię cytować pewne jego twierdzenie: „Dwie rzeczy są nieskończone, wszechświat i ludzka głupota, a ja nie jestem jeszcze całkowicie pewien co do wszechświata”.

Moje spotkanie z Sigmundem Freudem, przeciwnie, okazało

się rozczarowaniem roku 1936 numer cztery. W Wiedniu byłem już wcześniej. Pojechałem tam w 1927 za namową Clary Happel. Od około roku uczęszczałem do niej na terapię we Frankfurcie. Pewnego dnia, ku memu zdziwieniu, oświadczyła, że moja terapia skończyła się. Powinenem pojechać do Wiednia na kontrolę. Byłem zadowolony, ale sceptyczny. Nie czułem, że cokolwiek skończyłem, i fakt, że werdykt zbiegał się z końcem pieniędzy, nie wzmocnił przekonania.

Tego roku poznałem Lore. Najwyraźniej w uniwersytecie uznawany byłem przez nią i inne dziewczęta za kawalera nadającego się do ożenku. Nadszedł czas, by ująć mackom prerażającej ośmiornicy małżeństwa. Nigdy nie przyszedłoby mi do głowy, że Lore dogoni mnie wszędzie, gdzie się udam. Wiedeń, miasto moich snów... a może raczej powiemy, miasto moich koszmarów?



Pojechałem do Wiednia bez pieniędzy. Nie miałem żadnych źródeł utrzymania i nie zarabiałem dużo. Kiedy miałem pieniądze, lubiłem je wydawać, a kiedy ich nie miałem, udawało mi się przeżyć bez niczego. Clara Happel nie wyleczyła mnie z mojej niespokojnej, cygańskiej natury, z czego się cieszę. Wynająłem tani, meblowany pokój w *Eisengasse* tylko po to, aby porzucić go bardzo szybko z dwóch powodów. Pierwszy, jak niesie opinie, to zdechły karaluch w moim łóżku, fakt, którym nie przejmowałbym się zbyt, ale za to dziesiątki jego krewnych, którzy przyszli wyrazić swój żal! Nie! nie! nie!

A na dodatek werdykt mojej gospodyni, która powiedziała:

— Żadnych odwiedzin pań po dziesiątej wieczorem.

— Dlaczego właśnie po dziesiątej?

— Hm, przed dziesiątą może dojść do czegoś. Po dziesiątej na pewno dojdzie!

Z takim rozumowaniem trudno było polemizować. Freud określał to mianem *Suppen Knödellogik* — logika macy.

Wiedeń mnie przynębiał. W Berlinie miałem wielu przyjaciół i dużo rozrywki. My, głupcy, wierzyliśmy, że możemy zbudować nowy świat bez wojen. We Frankfurcie czułem, że należę — nie całkowicie, raczej dodatkowo — do egzystencjalnej, gestaltycznej grupy, która miała tam swój ośrodek. Psychoanaliza

z Happel była bardziej przymusem, obsesyjną myślą, wymuszoną regularnością, z pewnym — niezbyt dużym — doświadczeniem.

W Wiedniu psychoanaliza miała dla mnie znaczenie zasadnicze. Zakochołem się powierzchownie w pięknej, młodej pani doktor na stażu. Była jak wszyscy freudyści ogarnięta rozmaitymi tabu. Zupełnie jakby wszyscy wiedźscy, hipokrytyczni katolicy zaatakowali praktyków „żydowskiej nauki”.

Trudno jest mi pisać o tym roku spędzonym w Wiedniu. Ostatnie piętnaście stron napisałem bez wysiłku, między seminariami. W końcu tak się podnieciłem pisaniem „tego”, że zawiadnęła mną całkowicie. Widzę, że kilkakrotnie wymieniam środek. Jak dotąd ostatni tydzień pisania najwyraźniej formuje mój środek, podniecenie przenosi się z kręcenia filmów i taśm na samoekspresję. Pisanie wierszem zniknęło. Ha! Nieprawda, nie całkowicie. Oto interesujące przeciwstawienie: Moja pogarda dla poezji znika. Doświadczam poetycko Esalen, naszego pięknego miejsca i naszych seminarzystów. (Prowadzę akurat czterotygodniowy warsztat). Wobec obecnego okresu w mej biografii nie czuję tego samego. W zeszłym tygodniu napisałem wiersz dla dziewcząt w recepcji i nie uważam go za zbyt poetycki. Od czasu do czasu pojawia się w mojej fantazji wiersz na temat: Śmierć kontra umieranie. Ten temat wart jest poezji. A jednak strofy pisane dla dziewcząt, o co goście zasypują mnie ustawicznie pytaniami, były miłą rozrywką. Wykorzystaliśmy nawet ten wiersz w filmie pod tytułem *Fritz*, który kręci Larry Booth. Co więcej, byłem zadowolony, kiedy usłyszałem odpowiedź: Dobra dykcja i wyczucie. Niewiele z mojego ciężkiego berlińskiego akcentu.

Chcecie posłuchać wiersza?

„Oczywiście!”

Cóż, skoro nalegacie, to ulegnę z przyjemnością.

Jest takie miejsce podobne do Raju,
Gdzie wszelkich uciech mnóstwo,
Dziewki jak w Seraju,
Łażnie i słońce,
Istne bóstwo.



Lecz nagle rzecz diabeł stary:

— Mnie też potrzebna praca.

Mam w głowie cud tortury,

Niech mi zabawa się optaca.

— Wnet zadam ci pytania głupie,

Aż będzie ciebie skrecać.

Brak odpowiedzi — ciebie złupię,

Staraj się nie wykręcać.

I tu anielski dzwonek dzwoni:

— Mój Boże, po co się tak wściekasz?

Nic złego diabeł ci nie zrobi!

On tylko jest bardzo ciekaw!

Mam nadzieję, że podoba się wam tak bardzo jak mnie. Cóż, te popisy na nic się zdały. Nadal nie mam ochoty wracać do Wiednia, 1927. Co jest przyczyną takiej fobii natle Wiednia? Coś, czego się wstydzę? W ciągu ostatnich dziesięciu lat pojechałem do Wiednia kilkakrotnie. Podoba mi się opera, teatr, kawiarnie, jedzenie.

Podnosi się mgła. *Die Wiener Mädeln*, wiedeńskie dziwki, pomimo swej reputacji, nie atakowały mnie specjalnie. Nigdy w Wiedniu nie miałem romansu. Pomiędzy ekstremami burzowego purytanizmu a prostytutką nie było tam zbyt wiele. Brakowało mi łatwego i swobodnego nawiązywania związków erotycznych, jakie znałem dobrze z Berlina i Frankfurtu.

Przyjąłem posadę asystenta w szpitalu psychiatrycznym, w którym moimi szefami byli Wagner-Jauregg, słynny z leczenia syfilisu mózgu, i Paul Schilder. Schilder był bystry i całkiem dobrze pojmował strukturę/funkcję/związki organizmu. Na jego wykładach nie czułem się zbyt dobrze. Jego fałset i niespokojne ruchy sprawiały, że kuliłem się w sobie, a jednak było w nim coś, co dało się lubić, coś szczerzego. Inny psychoanalityk, który wywarł na mnie wrażenie, to Paul Federn, szczególnie pewne zdanie z jego wykładów. Wyobraźcie sobie bardzo szacowną, patriarchalną postać, która mówi: „*Man kann gar nicht genug vögeln*” (Nigdy dosyć jebania). I to w atmosferze, gdzie szanowano jedynie rzemiecie umysłu.

Kiedy spotkałem go ponownie w Nowym Jorku, odbyliśmy wiele dyskusji na temat natury ego. On widział ego jako rzecz-wistość; ja zajmuję stanowisko, że „ja” jest zaledwie symbolem identyfikacyjnym. Co to oznacza, nie mam ochoty teraz omawiać. Moimi przełożonymi byli Helene Deutsch i Hirschman, ciepły i spokojny człowiek. Kiedy raz go zapytałem, co sądzi o różnych parafeudowskich szkołach, jakie się rozijały, jego odpowiedź brzmiała: Wszystkie robią pieniądze.

Helene Deutsch, z drugiej strony, wydawała mi się bardzo piękna i zimna. Kiedyś dałem jej prezent i zamiast „dziękuję” dostałem interpretację.

Był tam Mistrz, gdzieś w tle. Spotykane się z nim byłoby zbyt bezcelne. Jeszcze nie zaskrzyłem na taki przywilej. W 1936 roku uznałem, że już nadszedł czas. Czyż nie byłem siłą przewodnią tworzenia jednego z jego instytutów i czyż nie pokonałem 4000 mil, by uczestniczyć w jego kongresie? (Sweđzi mnie, żeby napisać: „w Jego kongresie”).

Umówiłem się na spotkanie, przyjechała mnie starsza kobieta (prawdopodobnie jego siostra) i czekałem. Nagle drzwi otworzyły się na jakieś siedemdziesiąt centymetrów i tam był on, przed moimi oczami. Wydawało się dziwne, że nie chce przejść przez drzwi, ale wtedy nic nie wiedziałem o jego fobiach.

— Przyjechałem z Afryki Południowej, aby wygłosić odczyt i zobaczyć się z panem.

— A kiedy pan wraca? — zapytał.
Nie pamiętam dalszego ciągu rozmowy (może czterominutowej). Byłem zszokowany i rozczarowany.

Jeden z jego synów został wydelegowany, aby zabrać mnie na obiad. Zamówiliśmy moją ulubioną potrawę, pieczoną gęś. Spo-dziwałem się szybkiej, „bolesnej” reakcji, ale byłem zaledwie otepiaty. Potem powoli, powoli, przychodzili zwroty: Ja ci pokaze... Nie możesz mi tego zrobić. Oto, co dostaję za moją lojalność w dyskusjach z Kurtem Goldsteinem.



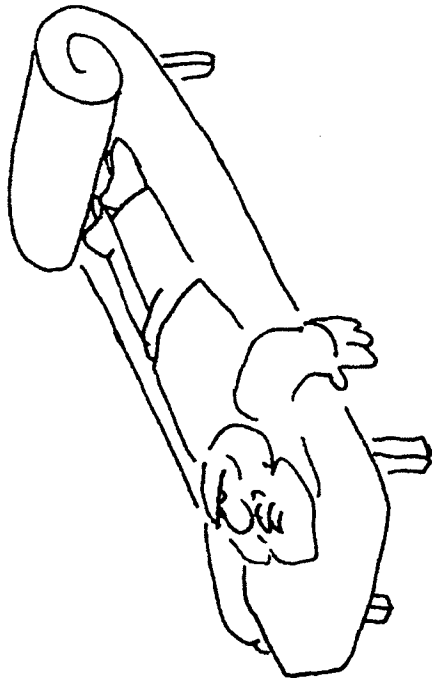
Nadal w moim życiu, chociaż w ciągu ostatnich kilku lat mój umysł jest coraz bardziej zrównoważony, pozostają cztery nie-dokończone sprawy. Fatszuje, chociaż idzie mi coraz lepiej. Nigdy nie skończyłem na spadochronie. Nigdy nie nurkowałem (choć znalazłem w Monterey szkołę i jeszcze mogę się nauczyć). I ponadto nie spotkałem się w cztery oczy z Freudem, żeby wytknąć mu jego błędy.

Ta wielka potrzeba pojawiała się niedawno, jako niespodzianka podczas komicznej sesji ze studentem. Ta sesja była, jak setki jej podobnych, filmowana na wideo i — jak to się czyni z niektórymi — przegrana na film szesnastomilimetrowym.

Moje rozszalenie z freudyistami nastąpiło kilka lat temu, ale duch nigdy nie zniknął. Spoczywaj w spokoju, Freudzie, ty uparty, święty-diabelski geniuszu.

Oto historia moich czterech rozczarowań w Roku Pańskim 1936.

Wycieczka do Europy w 1936 roku wcale nie była całkowitym rozczarowaniem i nie wszyscy zwrócili się przeciwko mnie, ale tylko nieliczni trwali przy mnie. Czułem na przykład wsparcie ze strony Ernesta Jonesa, mojego sponsora z Republiki Południowej Afryki. Wydawał się nawet entuzjastycznie nastawiony do moich uwag w dyskusji o niepokoju.



Po kongresie spędziłem kilka dni na Węgrzech. Podczas partyjki szachów zapytał mnie:

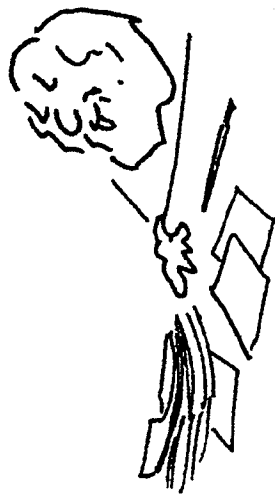
— Jak człowiek może być taki cierpliwy? — Przytuliłem ten komplement do zapadniętego brzucha.

Nie pamiętam, jak wróciłem do Johannesburga. Prawdopodobnie statkiem, jak gdyby w tym zakątku świata linie lotnicze jeszcze nie powstały. Mojej samoocenie oberwało się, a jednocześnie czułem się wolny. Między biegunami bezwartościowości i arogancji zdawał się rosnąć ośrodek pewności siebie. Nie, to nieprawda. Ta pewność była tam zawsze, ale nie byłem jej świadom. Raczej uznawałem, że wiem, czego chcę. Byłem wstrząśnięty, kiedy zaskoczyła mnie przerażająca, boska machina, przed którą spokorniałem i znalazłem. Mógł to być cesarz albo Freud, wielka aktorka lub inspirująca myśl; heroiczny czyn, śmiały zbrodnia albo niezrozumiały język... to wprawia mnie w podziw.

W drodze powrotnej pasażerowie — wszyscy obcy i tacy

pozostali przez trzy tygodnie rejsu — wybrali mnie na skarbnika sportowego. W ostatni dzień podróży zaszczycili mnie śpiewem *Auld Lang Syne*. Nie zastugiwałem na to. Byłem poruszony do głębi, pobiegiem do kabiny i wypłakałem się. Samotny Cygan lamentujący nad brakiem przynależności?

Jakże pięknie pomaga takie pisanie. Próbowałem sprawić, by psychoanaliza stała się moim duchowym domem, moją religią. Moja niechęć do podejścia Goldsteina nie wynikała z lojalności wobec Freuda, ale ze strachu przed ponownym brakiem duchowego wsparcia.



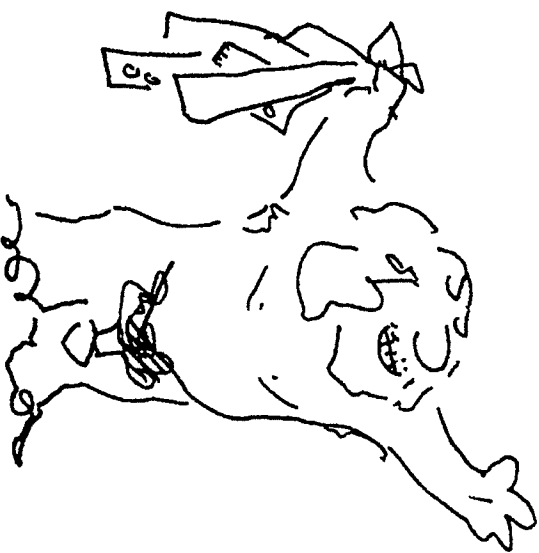
W Stanach Zjednoczonych jesteśmy świadkami dezintegracji zorganizowanej religii. Kościół jako centrum społeczności, kapłan jako duchowy przywódca i *Seelsorger* (nadzorca dusz) tracą znaczenie. Desperacka próba ratowania Boga trwa. Liczne denominacje, wygładzanie różnic, które poprzednio były paliwem dla wściekłej nienawiści, wzywają do międzydenominującego zrozumienia. „Duchowni świata, jednoczcie się!” „Jednoczcie się, by zaprzeczyć wyrokowi Nietzschego, że Bóg nie żyje!” Wielu kapłanów zaczęło polegać na psychoterapii bardziej niż na modlitwie.

Jako dziecko doświadczyłem podobnej dezintegracji religii żydowskiej. Rodzice mojej matki przestrzegali ortodoksyjnych obyczajów. To rodzina, w której zachodzą dziwne, ale często ciepłe i piękne wydarzenia. Moi rodzice byli Żydami zasymilowanymi, szczególnie ojciec. To znaczy szedł na kompromis między wstydem za swoje pochodzenie a przestrzeganiem niektórych obyczajów — chodzeniem do świątyni w ważne święta na wypadek, gdyby przypadkiem gdzieś był Bóg. Ja na taką hipokryzję

nie mogłem się zgodzić i dość wcześniej zdeklarowałem się jako ateista. Ani nauka, ani przyroda, filozofia czy marksizm nie mogły wypełnić pustki duchowego domu. Dzisiaj wiem, liczyłem na psychoanalizę, że zrobi to dla mnie.

Po roku 1936 próbowałem znaleźć dla siebie nową orientację. Ogarniały mnie przekłęte i nieokreślone wątpliwości co do systemu freudowskiego. Stałem się sceptykiem, niemal nihilistą... negowałem wszystko. Buddyzm... zen... religia bez Boga? Prawda, spodziewałem się wiele po zen, w chłodny, intelektualny sposób.

Potem przyszło oświecenie: koniec z wszelkim duchowym, moralnym, finansowym wsparciem z jakiegokolwiek źródła! Wszystkie religie to niezaradne twory człowieka, wszystkie filozofie to intelektualne gry na przystosowanie. Sam musiałem wziąć pełną odpowiedzialność za własne istnienie.



Wpadłem we własną pułapkę. Kiedy zajmowałem się psychoanalizą we Frankfurcie, zupełnie nie zajmowałem się taniejszym egzystencjalistami: Buberem, Tillichem, Schelerem. Tyle tylko się przedostało: egzystencjalna filozofia wymaga wzięcia odpo-

wiedzialności za własne istnienie. Lecz która z egzystencjalnych szkół posiada Prawdę przez duże P?

Peten sceptycznemu szukałem dalej i oto, gdzie się znalazłem. Pomimo wszystkich antykonceptualnych i fenomenologicznych uprzedzeń żadna egzystencjalna filozofia nie stoi na własnych nogach. Nie mówię nawet o typowym amerykańskim egzystencjalście, który prawi i głądzi o istnieniu, ale stąpa po ziemi jako martwy, konceptualizujący komputer. Nie, mówię o zwykłych egzystencjalistach. Czy jest ktoś, kto nie potrzebuje zewnętrznego, konceptualnego wsparcia?

Kim jest Tillich bez swego protestanizmu, Buber bez chasydizmu, Marcel bez katolicyzmu? Czy wyobrażacie sobie Sartre'a bez wsparcia komunistycznych idei, Heideggera bez wsparcia ze strony języka lub Binswangera bez psychoanalizy?

Czy nie ma zatem możliwości ontologicznej orientacji tam, gdzie *Dasein* — fakt i sposób naszego istnienia — sam siebie manifestuje, zrozumiały bez wyjaśnień; sposób postrzegania świata nie poprzez przeciwstawianie się jakiejś idei, ale gdzie rozumiemy uprzedzenia wobec konceptualizacji; perspektywa, gdzie nie jesteśmy zadowoleni, biorąc abstrakcję za cały obraz — gdzie, na przykład, fizyczny aspekt brany jest jako wszystko, co jest?

Rzeczywiście, jest! Co dosyć dziwne, przychodzi z kierunku, w którym nigdy nie uznawano sobie statusu filozofii. Przychodzi z nauki zgrabnie upchanej w college'ach; przychodzi z podejścia zwanego... psychologią gestaltyczną.

Gestalt! Jakże mam udowodnić, że gestalt to nie jest jeszcze jedna koncepcja człowieka? Jak mam twierdzić, że gestalt jest — nie tylko dla psychologii — czymś, co jest wrodzone w naturze?

Gdyby za czasów bogów lub odmiennych form energii ktoś twierdził, że wszystkie energie mieszczą się w najmniejszej, niepodzielnej cząsteczce — zwaney atomem — cały świat śmiałyby się z niego. Dzisiaj bierze się za pewnik, że energia atomowa to energia nad energię. Bomba atomowa z pewnością jest rzeczywistością.

Rozumiem dobrze, że możecie nie zgadzać się ze mną, iż wszystko jest świadomością, ale nie mogę przyjąć waszej niechę-

ci wobec idei gestaltu i będę cierpliwie opisywać pewne aspekty jej znaczenia.

Jednak wpierw podstawowa identyfikacja: 1926, Frankfurt — Kurt Goldstein, Clara Happel, Lore, a teraz profesor Gelb, wykładowca psychologii gestaltycznej, uczeń Wertheimera i Köhlera.

Bawię się „szóstką”:

- 1896 Moi rodzice przenoszą się z dzielnicy żydowskiej do centrum Berlina, do modniejszej części. Nic z tamtego okresu nie pamiętam.
- 1906 Bar micwa, kryzys dorastania. Jestem bardzo niegrzeczny i sprawiam rodzicom wiele kłopotów.
- 1916 Wstępuję do wojska.
- 1926 Frankfurt.
- 1936 Kongres psychoanalizy.
- 1946 Emigracja do Stanów.
- 1956 Miami na Florydzie. Zaangażowanie z Marty, najważniejszą kobietą w moim życiu.
- 1966 Terapia gestaltyczna pojawia się na mapie. W końcu znalazłem społeczeństwo, miejsce istnienia; Esalen.

Dodałem jedno nazwisko do ważnych osób z Frankfurtu. Profesor Gelb — zapomniałem, jak miał na imię. Oczywiście, mógłbym zadzwonić i spytać Lore, która była zaangażowana aż do stopnia pisania rozprawy doktorskiej na temat stałości Farbena. Nie, nieprawda, nie mogę się z nią skontaktować teraz. Jest w Tampie, z warsztatem, prawdopodobnie dla Amerykańskiej Akademii Psychoterapeutycznej.

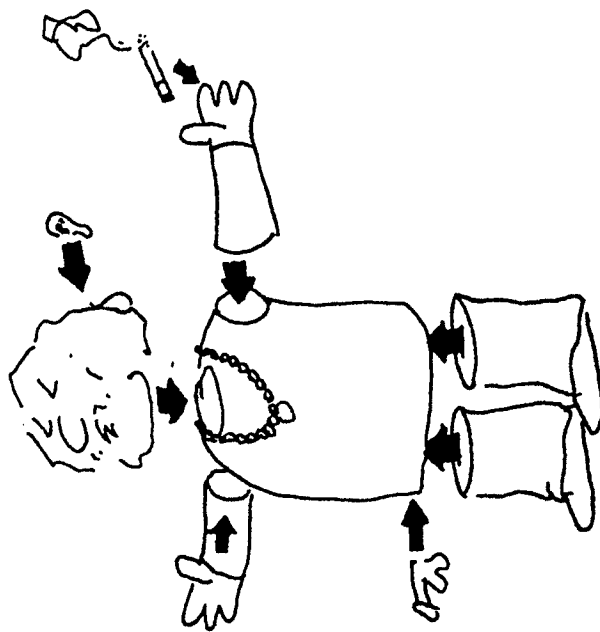
Gelb był postacią raczej bezbarwną, ale dobrym nauczycielem. Znany jest ze swej pracy nad urazami mózgu, którą pisał wraz z Goldsteinem, szczególnie nad przypadkiem Schneidera. Odkryli oni, że uraz mózgu oznacza nie tylko utratę pewnych umiejętności, ale zmianę całej osobowości. Następuje regresja, dedyferencjacja. Co najważniejsze, pacjent traci zdolność myślenia i rozumienia w pojęciach abstrakcyjnych i używania języka. Nabiera niewinności dziecka. Na przykład, nie umie kłamać.

Prosisz go o powtórzenie zdania „Śnieg jest czarny”, a on nie umie tego zrobić i nic na świecie nie zmusi go do tego. Będzie z uporem trwał przy twierdzeniu „Śnieg jest biały”.

Mój związek z psychologami postaci był szczególny. Podziwiałem większość ich prac, szczególnie wczesne dzieła Kurta Lewina. Nie mogłem podążać za nimi, kiedy stali się logicznymi pozytywistami. Nie czytałem ich książek, jedynie niektóre artykuły Lewina, Wertheimera i Köhlera. Najważniejsza dla mnie była idea nie dokończonych sytuacji, niepełnego gestaltu. Akademicy gestaltycy oczywiście nigdy mnie nie akceptowali. Z pewnością nie byłem czystym gestaltystą.

Najczęściej wyobrażałem to sobie tak, że oni wszyscy byli alchemikami szukającymi złota, całkowitej weryfikacji, a ja cieszyłem się, wykorzystując mniej ujmujące, ale równie użyteczne produkty uboczne.

Gestalt to niepodzielne zjawisko. To esencja, która jest i znika, jeżeli całość zostaje rozerwana na komponenty.



Właśnie wydarzyło się coś bardzo interesującego. Zastanawiałem się, jak wyjaśnić zasadę gestaltu na przykładzie cząsteczki wody — H_2O i jej części składowych, atomów wodoru i tlenu — kiedy uświadomiłem sobie, że twierdzenie wyrażone przez gestaltystów nie może być słuszne. Uznają oni, że całość to więcej niż części składowe. Innymi słowy, poprzez konfigurację coś zostaje dodane do świata. To zrujnowałoby nasz obraz równowagi energii we wszechświecie. Coś zostałoby stworzone z niczego, idea, która przewyższyłaby nawet boską siłę twórczenia. Zostało bowiem napisane, że Bóg stworzył świat z *toh u wawohu*, czyli z chaosu. Czy zatem pozwolimy gestaltystom przypisywać tworzeniu gestaltu więcej siły, niż nasi bogobojni przodkowie przypisywali Bogu?

Zanim zezwolimy na to, jeszcze raz przyjrzmy się i — nawet jeśli jest to wyłącznie moją fantazją — spróbujmy innego wyjaśnienia. Nie jestem ani chemikiem, ani fizykiem, zatem mogę rozumieć się z prawdą. $2H + O = H_2O$ jako wzór jest poprawny; w rzeczywistości jest to fałsz. Jeżeli spróbujemy wymieszać te dwa gazy, tlen i wodór, nic się nie dzieje. Jeżeli dodamy temperaturę, eksplodują, zrezygnują ze statusu atomów i stworzą molekularny gestalt H_2O , czyli wodę. W tym przypadku gestalt jest, mówiąc dynamicznie, czymś mniej niż części składowe, to znaczy minus wyprodukowane ciepło. Podobnie dla rozdzielania atomów, rozbitcia gestaltu, trzeba dodać elektryczność, by dać atomom oddzielne istnienie. Z tego możemy wyciągnąć kilka wniosków. Bez elektronicznego wsparcia i po wydaniu wrodzonej energii cieplnej atomy te tracą swoją niezależność i muszą tworzyć związki. Ta integracja, związek, może nie być symptomem siły, ale słabości.

Gestaltysty mogą się nie zgodzić: „Popatrz na ten silnik. Całość to coś więcej niż części składowe. Nawet jak mamy nadmiar części — dodatkowe świece i tłoki itd. — są one niczym w porównaniu z silnikiem”. Nie zgadzam się. Akceptuję funkcjonujący silnik jako jeden gestalt i akceptuję oddzielne części jako inny — może jako towar, złom albo potencjalny silnik — zgodnie z kontekstem, w jakim się pojawiają. Z pewnością nie silny

gestalt, z wyjątkiem może sytuacji, kiedy części byłyby złożone w domu pośrodku salonu.

Gestaltysty w inny, wysoce interesujący sposób przyczynili się do naszego rozumienia: różnicowanie gestaltu na pierwszy plan i tło. Ten przyczynek wiąże się z semantyką, czyli znaczeniem znaczenia.

Zazwyczaj, jeżeli myślimy o znaczeniu, mamy dwie przeciwstawne opinie — obiektywną i subiektywną. Obiektywna twierdzi jedno lub też słowo ma jedno albo kilka znaczeń, które można ująć w definicje — w innym razie słowniki nie zarobiłyby na sobie.

Druga, opinia subiektywna, to ta „Alicja w Krainie Czarów” twierdząca, że „Słowo oznacza to, co chce, aby znaczyło”. Żadnej z nich nie da się obronić. Znaczenie nie istnieje. Znaczenie to proces twórczy, przedstawienie tu i teraz. Akt tworzenia może być naukowy i tak szybki, że nie potrafimy go wysłledzić lub też może wymagać godzin dyskusji. W każdym razie, znaczenie zostaje stworzone poprzez powiązanie pierwszego planu z tłem, na którym pojawia się figura. To często jest nazywane kontekstem, powiązaniem lub sytuacją. Wyrwanie twierdzenia z kontekstu łatwo prowadzi do fałszu. W *Ego, Hunger and Aggression* napisałem oświecenie o tej kwestii. Bez jasnego zrozumienia związku między figurą a tłem nie jest możliwe żadne wyrażenie porozumienia. To tak, jakbyś spodziewał się słuchać radia, kiedy sygnał (na przykład słowa) tonie w głośnych szumach tła (trząski statyczne).

Może najciekawszą i najważniejszą właściwością gestaltu jest jego dynamika — potrzeba spełnienia silnego gestaltu. Każdego dnia wielokrotnie doświadczamy tej dynamiki. Najlepsza nazwa na niekompletny gestalt to nie zakończona sytuacja.

Chcę wykazać błąd Freuda i porównać go z akademickim i moim własnym, gestaltycznym podejściem, i w ten sposób przebrnąć przez pewne powierzchowne podobieństwa. W tym kontekście chcę wykazać terapeutyczną bezradność Freudowskiej (i każdej innej) teorii instynktu.

Freud zauważył, że niektórzy z jego pacjentów wykazują

potrzebę ciągłego powtarzania tego samego układu doświadczeń. Niektórzy, na przykład, sabotowali samych siebie w momencie odnoszenia sukcesu. Freud nazwał takie nastawienie „kompulsywnym powtarzaniem”. To jest z pewnością ważna obserwacja i adekwatny termin. Powtarzające się koszmary i podobne gesty z łatwością można odnaleźć w wielu nerwicach. Wątpliwe jest, czy powinniśmy włączyć do tej kategorii potrzebę pięciu wizyt w tygodniu u tego samego terapeuty, o tej samej porze, w tym samym miejscu, na tej samej kozetce, bez względu na deszcz czy słońce, w smutku i radości, w zdenerwowaniu czy w spokoju.

Freud zakończył swoją teorię twierdzeniem, że życie to konflikt między Erosem a Tanatosem. Tak jak każdy z nas uczestniczy w życiu, tak samo on uczestniczy, według własnej teorii, w śmiertelnym instynkcie, Tanatosie. Oznacza to, że każdy z nas cierpi z powodu kompulsywnego powtarzania. To przypuszczenie nie zdaje się mocno naciągane.

Jak można przejść z kompulsywnego powtarzania do instynktu śmierci (Skąd szpinak wziął się na dachu? Krowa nie umie latać!)? Jednym zwoźniczym ruchem, panowie! Widzicie, oto to powtarzanie — teraz stało się ono nawykiem. Nawyk pozbawia was wolności wyboru. Sprawia, że wasze życie kamienieje. Skamienienie to śmierć. *Voilà!* Proste, prawda? Teraz patrzcie: śmierć też może być życiem. Jeżeli skamienienie skierujemy na zewnątrz, stanie się ono agresją, która jest bardzo żywa. Czuję się jak skurczybyk, ale ktoś musi zobaczyć, że król jest nagi.

Gdzie tkwi błąd? W założeniu, że każdy nawyk to skamienienie. Nawyki to zintegrowane gesty i jako takie z zasady są ekonomicznymi narzędziami natury. Jak Lore kiedyś mi wyjawiała, „dobre” nawyki wspierają życie.

Jeżeli uczysz się pisać na maszynie, na początku będziesz musiał zorientować się, gdzie znajdują się poszczególne litery, potem przesunąć palec nad klawisz, który cię interesuje, i naciśnij go z pewną siłą. Twoja orientacja, jak również manipulacja klawiszami, przejdzie drogę od obcości ku znajomości, od niekończącego się strumienia odkryć i powtórnych odkryć do pewności — to znaczy wiedzy. Coraz krótszy czas koncentracji, aż

czynność staje się automatyczna, staje się częścią „ja”, usuwa tło i ustępuje miejsca „myśleniu”, niezakłóconemu szukaniem klawiszy. Innymi słowy, „dobre” nawyki są częścią procesu wzrastania, aktualizacją potencjalnej umiejętności.

Prawdą jest, że kiedy powstanie nawyk — kiedy ustalony jest kształt — jest tam i staje się częścią organizmu. Zmiana nawyku wymaga ponownego usunięcia nawyku z tła i zainwestowania energii (jak zaobserwowaliśmy na przykładzie H₂O), by zdeintegrować lub zreorganizować nawyk.

Freud nie rozpoznał różnicy między patologicznym, kompulsywnym powtarzaniem a organicznym tworzeniem się nawyku.

Kompulsywne powtarzanie nie może opróżnić przedpola i zostać zasymilowane. Wręcz przeciwnie, pozostaje ono ciągłym źródłem uwagi i stresu tylko dlatego, że kształt nie ma końca, tylko dlatego, że sytuacja pozostaje nie zakończona, tylko dlatego, że rana się nie zagoi.

Kompulsywne powtarzanie nie jest nakierowane na śmierć, ale na życie. Jest to powtarzana próba radzenia sobie z trudną sytuacją. Powtórzenia to inwestycja w stronę spełnienia kształtu, aby uwolnić energię wzrostu i rozwoju. Nie dokończone sytuacje powstrzymują działanie; są blokadami na ścieżce dojrzewania.

Najprostszym przykładem nie dokończonej sytuacji jest choroba. Chorobie może położyć kres lekarstwo, śmierć albo transformacja organiczna.

Fakt, że choroba, zniekształcona forma życia, zniknie za sprawą leczenia lub śmierci, jest oczywisty. A także, że choroba, szczególnie jeżeli towarzyszy jej ból, nabierze wagi zjawiska chronicznego, które niechętnie będzie cofać się w tło, a już zupełnie nie da się zasymilować i nie zechce zniknąć z pierwszego planu. To często zmienia się za sprawą transformacji organicznej.

Jeżeli ktoś jest całkowicie ślepy, będzie inwestować wiele wysiłku w utrzymanie lub polepszenie tego, co ze wzroku mu zostało. Porzucił już nadzieję. W oczach współtowarzyszy jest kaleka, ale on sam staje się innym organizmem, żyjącym w innym *Umwelt* (środowisku), polegającym na różnych sposobach orientacji. Jest teraz organizmem bez oczu, tak jak my jesteśmy orga-

niznami o dwóch, a nie o dziesięciu nogach. Jego szanse na zadowolenie znacznie się poprawiły, parz Helen Keller, która miała kilka wad.



Jeżeli nie sprawujemy kontroli, jeżeli organizm nie jest kontrolowany rozkazami, jakże możemy funkcjonować? Jak osiąga się współpracę tych milionów komórek? Jak one mają radzić sobie ze sprostaniem innym wymogom życia? Jeżeli odrzucimy nawet dyktowanie umysł/ciało, jakąż cudowną siłą sprawia, że nadal tkamy?

Czy mamy wbudowanego dyktatora, który podejmuje decyzje, czy mamy zgodną radę, rząd z władzą wykonawczą? Czy jest tam nieświadomość, emocje, liczący mózg, które wykonują to zadanie? Czy jest Bóg, dusza przenikająca ciało i zajmująca się jego wszelkimi wymaganiami i zadaniami z nieskończoną mądrością?

Nie wiemy! Możemy jedynie fantazjować, rysować mapy, budować modele, opracowywać hipotezy i sprawdzać co sekundę ich poprawność i niezawodność. A jeżeli wiemy, co nam to da?

Zadna teoria się nie liczy, jeżeli jest od niej jeden wyjątek. Jeżeli oszukujemy, ukrywamy dowody, nie jesteśmy naukowcami, ale manipulatorami, hipnotyzerami, szarlatanami lub przynajmniej propagatorami wysokiego mniemania o sobie.

Czy z mgły ignorancji wyłaniają się jakieś kamienie na budowę godnej zaufania, kompletnej, dającej się zastosować i zunifikowanej teorii człowieka i jego funkcji?

Kilka, jeszcze niezbyt wiele, ale dosyć, aby wskazać nam konkretne cele.

Osią mego podejścia uczyniłem świadomość, uznanie fenomenologii za pierwszy i niezastąpiony krok ku poznaniu wszystkiego, co jest do poznania.

Bez świadomości nie ma niczego.

Bez świadomości jest pustka.



Przeciętna osoba jest ostrożna wobec nicości. Wyczuwa w tym coś podejrzanego. Dla niej absurdałne jest zwrócenie się ku niej i wykorzystanie jej filozoficznie.

Jest wiele istnień: rzeczy, istoty, związki chemiczne, wszechświat, gazety i tak dalej, bez końca. Z pewnością nie traktujemy ich jako należących do jednej kategorii.

Nie widzę zbyt wielu kategorii nicości i wierzę, że warto, a dla naszych celów nawet trzeba, omówić kilka z nich. Jako przykład weźmy historię stworzenia.

Z tego, co wiemy, czas jest nieskończony, nie ma początku ani końca. Dla człowieka niemożliwe było tolerowanie idei, że na początku jest „nic”. Wymyślił więc historie o tym, jak powstał świat, historie, które różniły się tak jak kultury i które sprytnie omijają odpowiedź na to, skąd wziął się stwórca. Historie te

wypełniają nicość, którą moglibyśmy nazwać nadprzyrodzoną pustką lub próżnią.

Czasami nicość przybiera pożądaną rolę, na przykład kiedy jest doświadczana w kontekście bólu, niepokoju lub rozpacz. Szalom, hebrajskie powitanie, to pokój, brak konfliktu. Nirwana to zakończenie kłopotów życia. Lete to zapomnienie, wyrugowanie tego, co nietolerowane.

Czasami nicość jest wynikiem destrukcji, a w psychoanalizie — represji: anihilacja niechcianych rzeczy, ludzi i wspomnień.

Nicość w pojęciu Zachodu można także przeciwstawić wschodniej idei nicości. Rzeczy nie istnieją; każde wydarzenie jest procesem; rzecz jest jedynie przejściową formą wiecznego procesu. Wśród filozofów sprzed Sokratesa to samo utrzymywał Heraklit: *panta rei* — wszystko płynie; nigdy nie wchodzimy do tej samej rzeki dwukrotnie.

Kiedy mówimy, że dziewczyna ma pusto w głowie, jest to obraza. W orientacji może to być wielkim komplementem; moja głowa nie jest zaśmiecona, jest otwarta.

Moje pierwsze filozoficzne spotkanie z nicością to nic w formie zera. Znalazłem je pod postacią kreatywnej obojętności za sprawą Sigmunda Friedlanda.

W moim życiu uznaję trzech guru. Pierwszy to S. Friedlander, który nazywał siebie neokantystą. Nauczyłem się od niego znaczenia równowagi, wyzerowania przeciwności. Drugim jest Selig, nasz rzeźbiarz i architekt w Esalen Institute. Wiem, że byłby bardzo zły, gdyby wiedział, że o nim piszę. To naprawdę jest wtargnięcie w jego prywatność. *Ecce homo!* On jest prawdziwym *Mensch*, człowiekiem całkowicie bezpretensjonalnym, pokornym, mądrym i obeznanym. Jako mieszczuch nie miałem zbyt wielu kontaktów z przyrodą. Obserwacja jego, jego zaangażowania i rozumienia ludzi, zwierząt i roślin, porównywanie jego wyszczenia i zdobywanie zaufania z moim podnieceniem i odgrzywaniem primadonny, poczucie w końcu obecności człowieka, wobec którego czuję się gorszy, i ostatecznie poczucie wzajemnego poszanowania i przyjaźni, która nastąpiła... wszystko to pomogło mi pokonać większość mojej pompatyczności i pretensjonalności.

ści. Moim ostatnim guru była Mitzie, piękna, biała kotka. Nauczyła mnie zwierzęcej mądrości.

Dwukrotnie w życiu byłem wściekły przez to, że straciłem zapis wizyty. Za pierwszym razem członek mojej grupy doznał *déjà vu* razem z transem i *petit mal* (drobnego napadu epilepsji). Mieliśmy włączony magnetowid. Byłem przejęty faktem, że mam szansę na uwiecznienie prawdopodobnie jedynej taśmy z takim symptomem. Pomimo mojej wyraźnej uwagi „Nie zmazywać” taśma została wymazana i użyta powtórnie.

W następnym wydarzeniu brała udział Mitzie. Pewnego ranka obudziłem się i zobaczyłem moje półmetrowe sombrero przesuające się obok łóżka. Podniosłem kapelusz, a w środku znajdowała się Mitzie, która w przednich łapach trzymała ptaszkę. Doznałem szoku. Trzy tygodnie wcześniej mój salon usłany był piórami, pewny znak, że Mitzie złapała i zjadła ptaka. Zabrałem ptaka sprzed jej smutnych oczu. Ptak był nieknięty i po dziesięciu minutach dochodzenia do siebie sam odleciał. Skąd mogłem wiedzieć, że Mitzie jedynie wyraża swoją czułość? Ktośkolwiek słyszał o kocie tulącym ptaka? Gdybym nie był szokowany, mógłbym zrobić zdjęcie, uwieczniając to rzadkie zjawisko.



Wiem, jak dostałem Mitzie, pamiętam delikatnie krytyczne oczy moich pierwszych spotkań z Seligiem, ale Friedlander raczej kryje się we mgle. Kiedy moja matka wspominała pewnego dnia paczki żywnościowe, jakie mu wysyłałem, byłem zaskoczony. Te paczki należą do roku 1922.

Inflacja marki niemieckiej już nabierała tempa, chociaż jeszcze nie galopowała. Żywności, szczególnie mięsa, brakowało. Moja zdolność do postrzegania rzeczy w perspektywie była w tamtym okresie zaletą, tak jak później dokonaniem niebezpieczeństwo obozu koncentracyjnego i zamętu drugiej wojny światowej, tak samo pokaźną inflację.

Obawy co do obecnych niebezpieczeństw związanych z inflacją w Stanach wywołały śmiech. Inflacja! Nie macie pojęcia, co to takiego inflacja! Jeżeli pieniądź wytrzymuje oprocentowanie, powiedzmy, czterech procent, prawo równowagi mówi, że pieniądź traci na wartości 4% rocznie, i to właśnie jest stopień waszej inflacji.

Czy niemiecka inflacja została spreparowana, aby wymazać dług wojenne, nie wiem, ale tak podejrzewam. Fakt jest taki, że dolar szybko powędrował z czterech marek do dwudziestu, potem do stu, potem do tysiąca i ostatecznie do wielu tysięcy, później pogalopował do milionów marek i skończył kursem kilku miliardów. Wartość marki zbliżyła się do „zera”. Mam historyczną kolekcję niemieckich znaczków od podzielonych ksiąstek do imperium, przez Trzecią Rzeszę aż do rozpadu na RFN/Berlin/NRD. Znaczkę z inflacją zajmują kilka stron.

Papierowe pieniądze trzeba było nosić w torbach. Ludzie biegali, aby kupić coś za pieniądze, które zarobili tego dnia wieczorem, ponieważ nazajutrz rano ich wartość był już mniejsza o połowę. Hipoteka nie była warta tyle co papier, na którym została podpisana.

Tę krytyczną sytuację uratowało dwóch pacjentów plus moja czujność. Jeden z nich był bankierem. Nie wiem nic o giełdzie i jej manipulacjach. Pewnego dnia bankier zaproponował, abym kupił trochę akcji za cenę około stu razy większą od moich miesięcznych zarobków. Powiedziałem mu, że oszalał, ale on tylko się uśmiechnął: „Może mi pan zaufać! Ja podejmuję ryzyko. Kupi pan udziały teraz, a zapłaci za nie za cztery tygodnie”. Tak też zrobiłem i po miesiącu zapłaciłem jedną piątą ich wartości. Zrobiłem to jeszcze raz; potem nie było już potrzeby. Ocalenie przyszło z innego źródła, od pacjenta, który był rzeźnikiem z Bremenhaven.

Wkrótce po wybuchu pierwszej wojny światowej gospodarka żywnościowa w Niemczech zaczęła podupadać. Wkrótce słowo *Ersatz* (środek zastępczy) nabrało złowieszczych konotacji. Po wojnie, a szczególnie podczas inflacji, zaopatrzenie w żywność nie poprawiło się. Pewien zabawny epizod może to zobrazować.

Rok 1919. Mój przyjaciel Franz Jonas udał się wraz ze mną na semester studiów do Freiburga. Pewnego pogodnego dnia poszliśmy na wycieczkę, z nadzieją na zdobycie jakiegoś pożywienia u rolników. Wszystko, co zdobyliśmy w wyniku całodziennych wysiłków, to dwa jajka. W drodze do domu trochę się upiliśmy, co wpawiło nas w wesoły nastrój. Wyglupialiśmy się, a kolega klepnął mnie w kieszeń, gdzie schowałem jajka. Od tej pory poszukiwania prowiantu zostały zakazane. Bałagan zamiast drogiego śniadania! W Niemczech gotowane jajko na śniadanie to nieomal symbol statusu.



Koniec wolnych skojarzeń! Wróćmy do mojego zbawcy, rzeźnika-aniola, który spadł z nieba nad Bremerhaven wprost do mego gabinetu... a może lepiej powiedzieć, do spiżarni? Rzeźnik cierpiał na bóle głowy i oczywiście chciał zostać wyleczony, jak twierdzą wszyscy neurotocy. Bremerhaven było oddalone o osiem godzin podróży pociągiem, a on przyjeżdżał raz w tygodniu z wielką paczką mięsa i kielbas. Mieszkałem z rodzicami i siostrą Else. Nigdy nie było nam tak dobrze, ale to nie wszystko. Po kilku tygodniach rzeźnik zaczął twierdzić, że czuje się lepiej,

ale nie jest wyleczony, a te długie podróże pociągami nie poma- gały jego głowie. Miał wielu przyjaciół, którzy chcieli skonsultować się ze mną, a w Bremerhaven nie było żadnego *Nervenarzt* (rodzaju neuropsychiatry).

— Nie jestem zainteresowany — odpowiedziałem — tortu- rami w rozklekotanym pociągu.

— Cóż — odparł — moglibyśmy płacić panu amerykańskimi dolarami.

Serce mi zamarło. To niemożliwe. Takie cuda się nie zdarzały. Ale to była prawda.

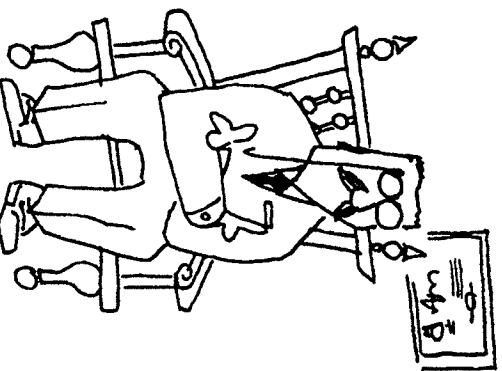
Trudno pojąć, co oznaczał dolar w czasach galopującej inflacji. Choćby jeden przykład zamiast wielu. W 1923 roku zamie- rzałem wyjechać do Stanów. Nigdy nie miałem pieniędzy na wydrukowanie mojego dyplomu lekarskiego, co można było zrobić dopiero po zapłaceniu za wydruk pracy. Nie interesowałem się medycyną jako taką, a moja praca opisywała głupi temat: *Lipodystrophia adiposo-genitalis*, czy coś w tym rodzaju, rzadka choroba, kiedy to kobiety wyglądają jak kangury z wielkimi fałdami tłuszczu ponad talią i szczupłą dolną partią. Nie byłem zainteresowany jej publikacją. Pojechałem do kasztelana, swego rodzaju kvestora uniwersytetu, i zaproponowałem mu dolara, jeżeli załatwi mi wydruk. Oczy mu zapłonęły; nie wierzył włas- nym uszom. „Całego dolara?” — zajął się tym i w ciągu tygodnia miałem wszystko wydrukowane i podpisane, a kasztelan był mi dożywnie wdzięczny, chociaż sam nie musiałem nawet ruszyć palcem. Taka była magia dolara w roku 1923.

Wówczas byłem już bogatym człowiekiem. Uzbierałem 500 do- larów, za które mogłem kupić kilka kamienic w Berlinie. Zamiast tego wykorzystałem je na wyjazd do Nowego Jorku.

Bremerhaven miało reputację przedmieścia Nowego Jorku. Był to niemiecki port dla jednej z dwóch transatlantycznych linii, które posiadały takie wielkie statki jak „Bremen” i „Europa”. Załogi opłacano w dolarach. Przez kilka miesięcy jeździłem do Bremerhaven raz w tygodniu na dwa dni. Miałem nawet sporo pacjentów, a w tamtym okresie wykorzystywałem głównie hipno- zę. Poza tym sporo się bawiłem.

Niemieccy lekarze przeważnie byli sztywni i przywdziewali maski wielkiej szacowności. Jestem pewien, że podczas tych wypraw przyglądali mi się, marszcząc brwi. Ja też marszczyłem. Oni należeli do snobów, do snobistycznohuberzajnyjnej wyższej klasy średniej. Ja i kilku moich przyjaciół należeliśmy do berlińskiej bohemy, która zbierała się w Cafe of the West, a później w Romanische Cafe.

Spotykało się tam wielu filozofów, pisarzy, malarzy, politycznych radykałów oraz pewna liczba czepialskich. Oczywiście do tłumu należał także Friedlander, chociaż głównie spotykaliśmy się w pracowni malarskiej. Friedlander zarabiał, pisząc bardzo humorystyczne opowiadania pod nazwiskiem Mynona, które czytane od tyłu brzmi *anonym*. Jego filozoficzne dzieło *Creative Indifference* (Kreatywna obojętność) wywarło na mnie olbrzymi wpływ. Jako osobowość, był pierwszym człowiekiem, w którego obecności czułem się pokornie i skłaniałem się w uwielbieniu. Nie było miejsca dla mojej chronicznej arogancji.



Jeżeli spróbuję zracjonalizować i posortować to, co przyciągało mnie do Friedlandera i jego filozofii, myśli, uczucia i wspomnienia winną mi w głowie. Filozofia to magiczne słowo, coś,

co trzeba zrozumieć, aby zrozumieć siebie samego i świat, antidotum na moje egzystencjalne zmieszanie i zaskoczenie. Zawsze radziłem sobie z tym, co trudne i wyszukane. Pytanie „Ile aniołów może tańczyć na teбку od szpilki?” to tanie oszustwo mieszejące symbole i rzeczy. „Co było pierwsze, jajo czy kura?” nie tylko zakłóca ogólny obraz ciągłego procesu, ale celowo opuszcza punkt roz pocęcia, „Które jajo i która kura?”. Reich był typową ofiarą takich bałaganarskich rozważań.

W szkole czytaliśmy Sofoklesa i Platona w greckim oryginale. Lubiełm dramaturga, ale Platon, jak wielu innych filozofów, stawiał ideały i domagał się zachowań, których oni sami z pewnością nie przestrzegali. Miałem dosyć tej hipokryzji za sprawą mego ojca, który głosił kazania o jednym, a robił co innego.

Jeżeli chodzi o Sokratesa, to zdystansował moją arogancję, mówiąc: „Wszyscy jesteście głupcami, skoro uważacie, że coś wiecie! Ale ja, Sokrates, nie jestem głupcem. Wiem, że nic nie wiem! To daje mi prawo torturowania was pytaniami i wykazania, jacy z was głupcy!”. Ile chwały możecie dać temu intelektualowi?



Ówczesna psychologia była mieszaniną fizjologii i czterech klas umysłu: rozsądku, emocji, siły woli i pamięci.

Nie mógłbym nawet zacząć wymienić jakiejs setki różnorodnych wyjaśnień i celów, które stworzono dla przedstawienia Prawdy (znowu przez duże P).

W całe to zamieszanie Friedlander wprowadził prosty sposób

bezpośredniej orientacji. Czymkolwiek to jest, rozmieni się ono na elementy przeciwstawne. Jeżeli pojmie nas jedna z przeciwnych sił, to wpadłeś w pułapkę lub przynajmniej przewróciłeś się. Jeżeli pozostaniesz w punkcie zerowym, trzymasz równowagę i masz perspektywę.

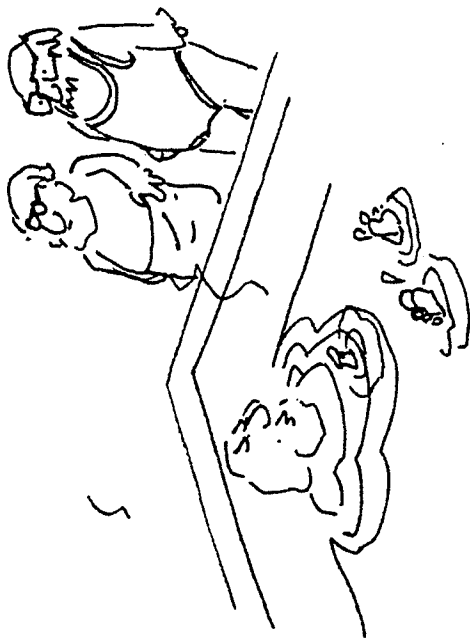
Później zrozumiałem, że jest to zachodni odpowiednik nauk Lao-Cy. Nastawienie kreatywnej obojętności jest dla mnie oczywiste. Nie mam nic do dodania do pierwszego rozdziału *Ego, Hunger and Aggression*.

O, rany, utknałem! Było to jedyne zdanie, jakie się pojawiło. Odnosiło się do starego gówna! Sesja terapeutyczna sprzed godziny była ciężka i przeładowana. Ostatecznie wydobyłem pewne animozje. Czarne nietoperze opuściły pokój. Poleciały do dziury. Tańczyły, zawróciły jeszcze raz nad garbem.



Siedziałem smutny, nie reagując na uwertury oka, sam otwierałem oczy, smutek, zmęczenie, brak reakcji. Minęło kilka dni, zanim przeszła mi depresja. Tym razem powstrzymywałem się w pełni, opierałem się impulsowi, by nie sięgnąć po fałszywe pocieszenie. Dzisiaj zajęło mi to jedynie dwadzieścia minut. Znowu jestem sobą. Pióro wędruje po papierze. Jest prawie pierwsza. Przez ostatnie dwie noce pisałem aż do trzeciej nad ranem. Wstałem wcześniej. Wysłuchałem wiadomości o pierwszej. Nie mamy UKF-u ani telewizji. Tylko długie fale ze słabną-

cym sygnałem i trzaskami. W nocy audycja z muzyką klasyczną „American Airline” dociera całkiem niezłe. Nie mamy też żadnej gazety. Słucham więc jednej audycji, jeśli to możliwe. Raz na tydzień łapię wiadomości z „Newsweeka”. Sensacja tego tygodnia: znaleźliśmy się w „Life”. Dziwne, zupełnie jakby nas szanowano. A mam jeszcze pracować na złą reputację!



Dalej, Fritz, przestań już narzekać,
Po co ci się wściekać?
Bądź pisarzem zabaw i płasów!
Poezja bywa dobra, jak i kontemplacja
Twych niepokojących dąsów,
Szaleństw i wariactwa.
Siadaj i opowiedz nam, jak
Lepiej aniżeli dusza lub Bóg
Twórcza pustka może
Dać nam zrozumienie.
Wrzuć no ten rozdział do kosza,
Niech idzie do śmieci.
Dodaj próbek, ilustracji,
A światła ciemnościom.

Światło i ciemność — przeciwności nie dające się pogodzić, widziane z abstrakcyjnego punktu widzenia. Jak może być światło, kiedy jest ciemno, sama esencja nicości? Jedno wyklucza drugie.

A teraz popatrzmy na to drzewo w słońcu. Widzicie cień? Cień bez światła, światło bez cienia? Niemożliwe! W takim razie, światło i ciemność określają siebie nawzajem; dają sobie powód do istnienia.

Czy w kinie na wolnym powietrzu wyświetla się filmy za dnia? Aby utrzymać postacie na pierwszym planie, w tle potrzebujemy ciemności. Dla uproszczenia trzymajmy się porównania do czarnobiałego filmu. Potrzebny nam jest kontrast między bielą a czernią. Potrzeba nam zrównoważonego kontrastu. Zbyt mocny kontrast, a obraz będzie ciężki, zbyt słaby, a będzie płaski. Wasze telewizory mają pokrętła do nastawienia optymalnie wyważonego kontrastu. I znowu biel i czerń nawzajem się określają. Obraz, który jest całkowicie biały lub czarny, stanowi nic oś wobec swej zawartości. Zawartość obrazu to rozróżnienie na czarne i białe kropki posiadające znaczenie.

Idąc dalej po drabinie, znajdujemy Rembrandta, którego przeciwstawienie światła i ciemności to jedno z największych osiągnięć sztuki.

Zero to nicłość. Punkt obojętności, z którego rodzą się przeciwności. Obojętność, która automatycznie staje się twórczą, gdy tylko zacznie się rozróżnianie. Możemy wybrać na chybił trafił dowolny punkt i wycelować w niego. Jeżeli postanowimy wystrzelić pocisk w dniu x/y/z, zaczynamy odliczać dni, godziny, minuty, sekundy aż do zera, a potem liczymy w górę sekundy, minuty, godziny i dni.

Zbilansowany budżet to taki, w którym kredyt i debet zerują się, obojętnie, czy budżet dotyczy groszy czy milionów.

Mamy w zwyczaju nazywanie punktu zerowego „normalnym”. Następnie mówimy o normalnej temperaturze, normalnych wynikach krwi itd..., bez końca. Jakikolwiek plus czy minus nazywamy anomalią, oznaką dysfunkcji... choroby, jeżeli plus lub minus jest znaczny.

W przypadku biologicznego organizmu punkt normalności zero musi być utrzymywany, bo inaczej organizm przestanie funkcjonować i umrze. Każda komórka, każdy organ, każdy organizm ma znaczną liczbę funkcji do utrzymania. Każda komórka, każdy organ, każdy organizm zajęte są pozbywaniem się wszelkiego nadmiaru (+) i wypełnianiem braków (-), by utrzymać punkt zero, punkt optymalnego funkcjonowania. Każda komórka, każdy organ mają wewnątrzorganiczne środowisko (płynny ustrojowy, nerwy itd.), w którym są zamknięte. Dla całego organizmu środowiskiem jest świat, w którym musi on utrzymać subtelną, organiczną równowagę.



Jakikolwiek zakłócenie równowagi organicznej stanowi niekompletny kształt, nie dokończoną sytuację zmuszającą organizm do kreatywności, do znalezienia sposobów i środków przywrócenia równowagi. Jakikolwiek brak — wapnia, aminokwasów, tlenu, czułości, uznania itd. — stwarza potrzebę utrzymania tego skądkolwiek. Nie posiadamy „instynktu” zdobywania wapnia, aminokwasów, tlenu, czułości, uznania itd., stwarzamy tysiące możliwych „instynktów” *ad hoc*, kiedykolwiek konkretna równowaga zostaje zakłócona.

Wszelki nadmiar stwarza tymczasowy instynkt pozbycia się go — dwutlenku węgla, kwasu mlekowego, nasienia, kału, zderiwowania, niechęci, zmęczenia itd. — po to, by odnowić organiczną równowagę.

Każdy oddech odnawia zapas tlenu i pozbawia dwutlenku węgla. Oddychanie często, niesymetrycznie, równe jest wdychaniu. „Odetchnij”.

Aby oczyścić „brudne” powietrze, w pierw zrób wydech! Jeżeli wdychanie staje się feytszem, to możesz zapasć na astmę, desperacką próbę natury wycisnienia zużytego powietrza.

W szybkim tempie „leczyłem” każdą psychogeniczną astmę, na jaką natrafiłem. W większości przypadków za astmą krył się wstyd, strach przed dzikim dyszeniem towarzyszącym orgazmowi. Strach przed zdradzeniem się z masturbacją, spodziewaniem, że ktoś odkryje naszego kochanka w łóżku, to sytuacje, nad którymi pracowałem. Pozwalałem im odgrywać „jebanie”. Kończyli ten impas z małymi zawrotami głowy, a potem z ogromną ulgą.



Mam w swoim śmietniku pewną liczbę tak zwanych cudownych wyleczeń. Oto królik wyciągnięty z cylindra. Te wszystkie ozdrowienia są niczym cuda w takiej samej mierze jak to, że widzimy drzewo, którego niewidomy zobaczyć nie może. Rzecz jedynie w tym, że moje najbliższe otoczenie jest mniej zatłoczone niż u innych, a zatem widzę to, co oczywiste. Muszę opisać następujący przypadek jako dowód braku równowagi.

Przysłano do mnie pewnego skrzypka, który dostawał skurczu lewej ręki zaledwie po piętnastu minutach gry. Miał ambicję zostania solistą. Skurcze nie zdarzały się, kiedy grał w orkiestrze. Wszystkie badania neurologiczne dały ujemny wynik. Najwy-

rażniej przypadek psychosomatyczny, zatem potrzebna była psychoanaliza. Widziałem wiele długotrwałych psychoanaliz. Często się spotyka okresy od pięciu do dziesięciu lat, ale ten był wyjątkowy. Ów skrzypek uczył się do sześciu różnych terapii przez dwadzieścia siedem lat. Nie trzeba mówić, że ciągle na nowo przerabiano kompleks Edypa, masturbację, ekshibicjonizm itd. Kiedy trafił do mnie i rzucił się w stronę kozetki, powstrzymałem go i poprosiłem, aby przyniósł skrzypce.

— Po co?

— Chcę zobaczyć, jak udaje się panu wywołać ten skurcz.

Przyniósł skrzypce i zagrał pięknie, na stojąco. Zauważyłem, że opiera się na prawej nodze, a lewą krzyżuje. Po około dziesięciu minutach zaczął nieznacznie drżeć. Drżenie narastało i w ciągu następnych kilku minut zaczął coraz wolniej przebieierać palcami, a wiele nut zagrał niedokładnie. Przerwał.

— Widzi pan? — zapytał. — Jest mi coraz trudniej. Jeżeli zmuszam się do grania, dostaję skurczu i w ogóle nie mogę grać.

— A w orkiestrze nie dostaje pan skurczu?

— Nigdy.

— Siedzi pan?

— Oczywiście, ale jako solista muszę stać.

— Dobrze. Pozwoli pan, że wymasuję mu ręce. Proszę stanąć z nieco rozstawionymi stopami, uginając nogi nieznacznie w kolanach. I proszę zacząć jeszcze raz.

Po dwudziestu minutach idealnej gry do oczu napłynęły mu łzy.

— Nie mogę w to uwierzyć — wyszeptał. — Nie mogę.

Minęła już godzina przeznaczona na jego wizytę, ale kazałem poczekać następnemu pacjentowi. To było nazbyt ważne! Chciałem mieć pewność i pozwolić mu pograć jeszcze kilka minut.

Co się wydarzyło? Mam kilka biegunów, które w przypadku braku równowagi będą wywoływać konflikt i rozłam. Najpowszechniejsza jest dychotomia prawo/lewo. Mniej powszechna przód/tył lub podstawowa góra/dół rozpoznana przez Lore. Część nad talia spełnia głównie funkcje kontaktowe, dolna funkcje wspierające. Mój pacjent miał wystarczającą podporę, kiedy sie-

dział, ale stanie głównie na prawej nodze nie zapewniało mu wystarczającego wsparcia dla subtelnych ruchów palcami lewej dłoni. Gdy tylko prawa noga zmęczyła się dźwiganiem całego ciężaru, zaczynał się chwiać i musiał odzyskiwać równowagę nieomal co sekundę. Ten brak równowagi stwarzał wysiłek dla górnej części ciała, a szczególnie dla lewej dłoni. Musieliśmy jeszcze popracować przez kilka tygodni, nie tylko, by odzyskać go od korekty terapeutycznej, ale by zmieknąć „ponurą determinację” — zaciśnięte szczęki itd. Nie wiem, czy mu się udało. Grał wystarczająco dobrze, ale nigdy nie widziałem na afiszach jego nazwiska jako solisty.

W tamtym okresie zdobyłem już pewną pozycję w Nowym Jorku i zacząłem zyskiwać sławę kogoś, kto chętnie zajmował się niemożliwymi przypadkami. W zasadzie decyza o pozostaniu w Stanach była bardzo delikatną sprawą.

Jestem w niewielkim impasie. Mam ochotę pisać o moim przyjeździe do Stanów, a jednocześnie nie jestem z tego zbytnio zadowolony. To skłanianie z jednego kontekstu w drugi zdaje się być tanim chwytym, techniką. Nie jest to nawet kontrapunkt wspierający się wzajemnie. Ale kto inny, jeśli nie ja, ma ustanowić reguły tego, co wrzucać do śmietnika, a co z niego wyjmować? Co więcej, nie piszę nawet o tym, co martwi mnie w tej chwili.

Jest kwadrans po trzeciej w nocy, a ja nie mogę spać. To bardzo rzadki przypadek. Zazwyczaj potrafię zlokalizować moje nadmierne podniecenie i dojść z nim do ładu. Rozpływa się i znika. Świadomość „ja” błędnie, świadomość ciała pomniejsza się, a potem „nic” aż do rana.

Larry Booth nakręcił film w kolorze pod tytułem *Fritz*. Ten film to wiesz, dość ekscytujący portret mnie samego, chociaż pojawiła się uwaga, że moje ciepło i miłość nie pojawia się tak jak na filmach z sesji terapeutycznych. To mi nie przeszkadzało. Natomiast niepokoi i denerwuje mnie moja własna paranoiadna postawa. To stało się dosyć rzadkie. Czuję, że jestem wykorzystywany. W zasadzie i faktycznie jestem usprawiedliwiony, jeżeli chodzi zgodę i sytuację finansową. Jednak nie mogę sobie pozwo-

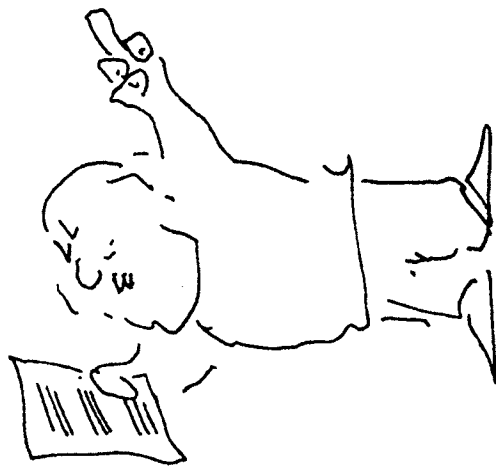
lić na szczodroblliwość i zrobienie z siebie naiwniaka. Nie strać mnie na to. Zarabiam dobre pieniądze. Zatem do diabła!



Przeżyłem okropieństwa Flandrii, przeżyłem wiele obrzucańia błotem, przeżyłem ten czas w Holandii i wiele innych kłopotów... nadal nie mam do tego racjonalnego stosunku. Nadal jest to owo aroganckie „samonastawienie”: „Nie możesz mi tego zrobić!”.

Miałem okresy paranoi, nawet w sytuacjach, kiedy byłem po niewłaściwej stronie. Po pierwszych kilku dawkach LSD te okresy bardzo się wyróżniały i zwykle były przesadzone. Wtedy traciłem perspektywę i doświadczałem wielu fantazji na temat zemsty. Wiem, że to pora, aby opowiedzieć o środkach psychodelicznych i moich związkach z nimi, ale robię się ociężały i zmęczony. Muszę to odłożyć na później. Czy to pisanie da mi sen?





Dzisiaj podczas lunchu rozmawialiśmy o uczeniu. Zasugerowałem, że nauka to odkrywanie. To odnosi się do faktów. Nauka umiejętności to odkrywanie, że coś jest możliwe. Nauczanie to pokazanie, że coś jest możliwe. Odkrywaj: odkryj, zdejmij pokrywę, spraw, że wyłoni się coś lub umiejętność, dodaj coś „nowego”.

Komórka lub organizm, straciwszy swój środek — punkt zero, normalność, punkt twórczej obojętności — odkrywa tę nierównowagę i jednocześnie odkrywa sposoby jej odzyskania. Może być to proces prosty lub bardzo skomplikowany, który sugeruje, że przynajmniej całe życie organiczne posiada świadomość. Brak wody, na przykład, stwarza tymczasowy instynkt zwany pragnieniem, potem odkrywa źródło wody, powiedzmy butelkę piwa, potem odkrywa sposób otwarcia tej butelki, a następnie odkrywa, że picie gasi pragnienie. Wyrażone wzorem, brzmi: Stan organizmu to $-x$ woda. Poprzez przyjęcie $+x$ woda, otrzymujemy zero, zniewelowanie nierównowagi.

Otrzymawszy taki wzór, czynimy mały postęp w porównaniu

z wybraniem duszy lub Boga, albo też „życia” za sprawcę funkcjonowania organizmu. Mamy już jakiś ruch; mamy jeden, dobrze zdefiniowany związek organizmu ze środowiskiem i wprowadziliśmy podstawową funkcję organiczną — konieczność odkrywania.

Czuję teraz potrzebę obrony przed mianem behawiorysty. W pewnym sensie jest to prawda. Interesuje mnie zgłębienie, jak zachowuje się materia, a szczególnie ludzka istota. Różnica między moim nastawieniem a wielką klasą psychologów, którzy nazywają się behawiorystami, jest zdecydowana. Jest to różnica między zaludnionym miejscem a miastem-widmem.

Świadomość to doświadczenie nad wyraz osobiste. Ja nie mogę być świadom twojej świadomości, mogę jedynie uczestniczyć w niej niebezpośrednio. Behawiorysta obserwuje ludzi i szczyry, „jak gdyby” nie posiadali świadomości, „jak gdyby” byli rzeczami. W rezultacie behawiorysta staje się inżynierem i warunkiem zachowania — to znaczy kontrolerem i manipulatorem.

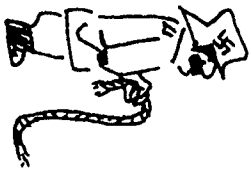
Lecz nawet on uzna podstawową funkcję odkrywania. Nie uświadomiwszy sobie wstrząsów i apetytów, żadne zwierzę nie zada pytania: „Jakiego zachowania ten eksperymentator spodziewa się po mnie?”.

Ważne jest dla mnie, aby używać terminów, które obejmują cały zakres abstrakcji i pasują do każdego języka. Szkoda, że nie mamy jakiegoś wspólnego terminu na określenie gestaltu — wzór, melodia, konfiguracja są już nazbyt konkretne. Wierzę, że w trakcie naszych rozważań natrafiemy na pojęcie gestaltu. Mam nadzieję, że całe to pisanie ostatecznie pomoże w dobrym jego sformułowaniu. Zrozumienie gestaltu jest proste w przypadku melodii. Jeżeli przetransponujemy temat muzyczny z jednej gamy na drugą, temat pozostanie taki sam, chociaż faktycznie zmieniliśmy wszystkie nuty. Jeżeli dobrze znamy melodię, a ktoś zaśpiewa jej pierwsze trzy nuty, automatycznie ją dokończysz.

W ten sposób wróciliśmy do podstawowych praw tworzenia gestaltu — napięcie wynikające z potrzeby spełnienia nazywa się frustracją, spełnienie to satysfakcja. *Satis* — dosyć; *facere* — robić: Zrób tak, aż będziesz miał dosyć. Innymi słowy, spełnienie,

napętnienie siebie, aż będziesz miał dosyć. Przy satysfakcji nierównowaga zostaje zniesiona, znika. Incydent skończył się.

Tak jak na wszelkich poziomach egzystencji spotyka się równowagę i odkrywanie, podobnie jest z frustracją, satysfakcją i spełnieniem. Myślę o sytuacji przedłużonej wojny z jej frustracjami i możliwym spełnieniem — pokojem. Mam na myśli oczywiście konkretne frustracje walczącego człowieka i porównuję własne położenie podczas pierwszej i drugiej wojny światowej — przerażenie kontra wygodny schron przeciwniczny.



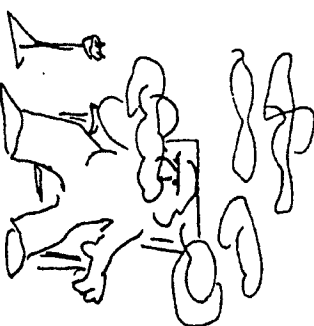
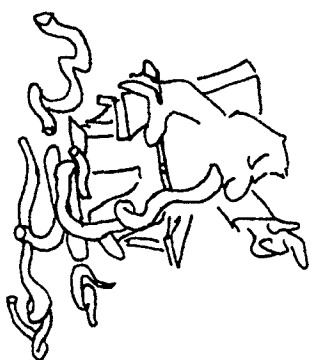
Kiedy pojawił się Hitler, miałem już pozycję w Johannesburgu; to znaczy my mieliśmy, ponieważ Lore także prowadziła praktykę. Oficjalnie jeszcze nie zerwałem z freudyzmem. To przyszło później. W zasadzie co do minuty mogę określić moment, kiedy zrzuciłem ideologiczne kajdany i zacząłem przeciwstawiać się systemowi Freuda. Przez lata miałem inklinacje do wyolbrzymiania tej opozycji. Nie potrafiłem docenić Freuda i jego odkryć.

Przełom nastąpił, kiedy spotkałem w Kapsztadzie Marię Bonaparte, grecką księżniczkę. Była przyjaciółką i uczennicą Freuda. Właśnie skończyłem i skopiowałem rękopis *Ego, Hunger and Aggression*, i dałem jej do przeczytania. Kiedy go zwróciła, zastanowiła wobec mnie terapię wstrząsową, której mi było potrzeba.

— Skoro nie wierzysz już w teorię libido — powiedziała — to lepiej złóż rezygnację.

Niezupełnie wierzyłem własnym uszom. Naukowe podejście oparte na wierze? Oczywiście miała rację. Libido w pewien nieokreślony sposób związane było z hormonami płciowymi, ale

Freud, cierpiący tak jak ja na systemasyfę, musiał znaleźć powszechny sposób określenia swojego modelu człowieka. To narzędzie do określenia nosiło nazwę libido. Po bliższym przyjrzeniu okazywało się, że to powszechne narzędzie było niby dżoker w talii kart. Mogło oznaczać wiele rzeczy, niech to będzie popęd płciowy, miłość, czułość, oddanie, tworzenie gestaltu, siła twórcza. Biedny Wilhelm Reich, próbował znaleźć odpowiednik tej semantycznej mieszanki w fizycznej rzeczywistości.



W każdym razie nie złożyłem rezygnacji. Nie zostałem wyrzucony. Mój związek z Instytutem Psychoanalizy itp. stopniowo uwiadł. Mogłem o to walczyć, gdyby nie wojna. Afrika Corps Hitlera swobodnie wędrował po północnej Afryce. Dywizja południowoafrykańska została odcięta w Tobruku. Nie wiedziałem, co robić. Mój doktorat z medycyny nie był ważny. Chciałem wstąpić do wojska jako lekarz, ale odesłano mnie do domu z zadaniem, abym zdał egzamin z higieny. Dzięki temu mógłbym dostać przydział. Przez kilka miesięcy studiowałem przedmiot, wraz z dwoma kolegami, ale kiedy przyszło do egzaminu, oni zdali, a ja oblałem.

Wkrótce potem wydano ustawę tymczasowo uznającą zagrażające stopnie naukowe. Zostałem zatem przyjęty jako oficer medyczny i przeszedłem szkolenie. Nazwano nas gangiem łańcuchowym. Nieżył z nas był widok. Dziwnie było znowu stać się żołnierzem i przechodzić musztrę. Potem przydzielono nas do szpitali.

Tam życie bieгло wyznaczoną rutyną. Dziwiły mnie ilości wypijanej herbaty. Mój ordynans budził mnie „dobrą filiżanką herbaty”. Potem herbata na śniadanie, herbata o dziesiątej, o czwartej, herbata do obiadu i herbata przed snem.

Nasz dowódca był oficerem rezerwy i postanowił udowodnić swoją przydatność. Wszystko musiało być zapisane w trzech kopiach i zarejestrowane. Pozbyliśmy się go po roku. Jego miejsce zajął regularny zawodowy pułkownik. Zwołał nas i powiedział: „Panowie, jesteście oficerami i lekarzami. Ufam, że jesteście ludźmi odpowiedzialnymi i wiecie, co robicie. Proponuję, abyście zamiast pióra raczej używali telefonu”. Poczuliśmy ulgę, że on nie cierpi na biurokrację. Obrót pacjentami podwoił się w mgnieniu oka.

Stostrą oddziałową na moim oddziale była ochotniczka z Vancouver, piękna, wysoka blondynka. Była ciepła, a zarazem asekualna. Osoba cicha i jednocześnie najwydajniejsza, najbardziej godna zaufania, jaką spotkałem w życiu. Szanowałem ją tak bardzo, że nigdy się do niej nie zalecałem. Czyżby lis i kwasne winogrona? Może.

Pacjenci oczywiście byli dzieleni według rasy. Podział rasowy po apartheidzie w 1946 roku wzrósł, nie wiercie ani przez moment, że pod bardziej liberalnym reżimem Jana Smutsa gdziekolwiek czuć było równość. Biali nazywali się Europejczykami, a czarni tubylcami. Żadnemu tubylcowi nie wolno było spać w jednym domu z Europejczykiem ani korzystać z tej samej ubikacji. Mieli oddzielne autobusy i wydzielone miasta.

Wśród tubylców wyróżniałem z zasady dwa rodzaje załamań umysłowego. Jedno z nich przynależało do zurbanizowanych tubylców, którzy zazwyczaj mówili po angielsku lub w afrikaans, niesłubnej wersji holenderskiego. Taki pacjent poważnie cierpiał na poważny neurotyczny niepokój. Jednak prosty tubylec, rekrutowany spośród pasterzy bydła lub z kopalni, miał schizofreniczny rodzaj nerwicy. Z takimi nie mogłem nawiązać kontaktu, nawet poprzez tłumacza, więc posyłałem ich do szamana; często wracali wyleczeni.

Europejskie nerwice można było zazwyczaj zaszufładować,

choć jest to zbyt nieuproszczenie. Brytyjczycy przeważnie mieli nerwice charakteru, Żydzi histerię, a Burowie cechy kompulsywne.

Moi koledzy powoli zaczęli pojmować istnienie chorób psychosomatycznych. Szef oddziału chorób wewnętrznych na początku powiedział: „Za każdą nerwicę kryje się wrzód żołądka”. A na końcu: „Perls (nie uznawano amerykańskiej zażyłości zwracania się po imieniu, chyba że między bliskimi przyjaciółmi), miałeś rację: Za każdym wrzodem żołądka kryje się nerwica”. Byłem zadowolony, wybaczyłem mu nawet tę małą omyłkę, jaką uczynił co do mnie.

W palcu u prawej stopy rozwinęło mi się zapalenie. Objawiło się bolesną opuchlizną. Zdiagnozował to jako podagrę, a ja się wściekłem. Ja i podagra, to nie pasuje! Pomimo zastosowanych leków ból był nie do wytrzymania. Nalegałem na prześwietlenie. Ukazało ono drżagę, najwyraźniej pozostałą po poprzednim pęknięciu. Mała operacja i po kilku dniach znowu byłem zdrow.

Miałem sporo małych ran po jeździe na motocyklu i uprawianiu innych sportów i tylko jeden poważniejszy uraz: wstrząs po ciężkim upadku na lodowisku. Na szczęście nie było pęknięcia czaszki ani trwałego urazu mózgu.

Pierwsze olśnienie przyszło po jednym z moich tak zwanych cudownych uzdrowień. Pewien żołnierz cierpiał na duże obrzęki na całym ciele. Przysłano go do mnie jak do ostatniej deski ratunku.



Psychiatra nigdy nie opiera diagnozy na podstawie braku objawów neurologicznych lub podobnych. Musi istnieć wyraźna psychologiczna wskazówka. Ów żołnierz miał wielką rozpacz w oczach i trwał jakby w odrętwieniu. W wojsku oczywiście nie mieliśmy czasu na zabawy w psychoanalizę lub w jakąś inną czasochłonną formę terapii. Zaaplikowałem mu pentothal i do wiedziałem się, że był w obozie koncentracyjnym. Mówiłem do niego po niemiecku, doprowadziłem go do tych momentów rozpaczy i zdjąłem z niego ciężar, aż się rozplakał. Wypłakał wszystko, co mu leżało na sercu, a może lepiej powiedzieć, na skórze. Obudził się zdeorientowany, a kiedy już całkiem doszedł do siebie, doświadczył typowego *satori*, swobodnego i całkowitego bycia na świecie. W końcu zostawił obóz koncentracyjny i był z nami. Obrzęki zniknęły.

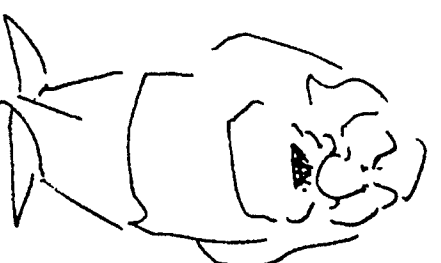
Takie spektakularne ozdrowienia jak to były oczywiście rzadkie. Zazwyczaj zastosowanie psychoterapii oznaczało ciężką pracę. Bang! Ktoś przeszkadza. Wejdz, G. Zjedz marcepana. Grete, moja siostra, okazuje mi swoją miłość, przysyłając najwyborniejsze słodycze. Dziele się nimi niechętnie, ale czynię to.

Opowiedziałem G. tę cudowną rzecz, która właśnie się wydarzyła. Zaczynam doceniać siebie samego, moją ostrość widzenia. Jakże to odmienne od popisywania się i przechwalek. Jakże różne od żądz bycia docenianym i od jej krótkiego żywota.

Dzisiaj rano przy śniadaniu — nie, tuż po przebudzeniu — znowu zaczął się wir. Szukam czegoś po omacku jak we mgle. Fantazjując, znowu piszę zawzięcie, tematy toczą się, ale wiele kwestii stworzy symfonię tylko wtedy, gdy nada się im strukturę i zintegruje.

Widzę, że moje pisanie przybiera formę książki, i to opastego tomu. Nigdy nie uświadamiałem sobie, co mieści się w moim śmietniku i czego trzeba się pozbyć. Wiem, że wiele moich doświadczeń będzie miało wartość dla licznych czytelników. Już otrzymałem wartościowe recenzje od przyjaciół, którym pozyczyłem fragmenty rękopisu.

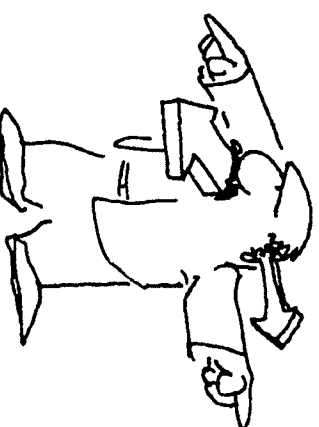
Pewna uwaga zawstydzła mnie i doprowadza do wściekłości: „Kiedy ta książka wyjdzie?”.



— Czy możecie zostawić mnie w spokoju i pozwolić robić swoje! Cieszę się, że mam ochotę pisać. Cieszę się, że robię coś, co integruje wasze i moje potrzeby. Zatem nie popychajcie rzeki, ona płynie sama!

A jeśli te myśli napierają na mnie, żadne fantazjowanie, oczekiwanie, próby nie wskażą im nurtu. Formacja postać/tło, najsilniejsza, przejmie tymczasowo kontrolę nad całym organizmem. Takie jest podstawowe prawo organicznej samoregulacji — żadna konkretna potrzeba, żaden instynkt, cel, żadne konkretne założenie nie będzie miało wpływu, gdy nie jest poparte przez energetyzujący gestalt.

Jeżeli będzie pojawiał się więcej niż jeden gestalt, zuniifikowana kontrola i działanie są w niebezpieczeństwie. W naszym przypadku z pragnieniem nie pragnienie zdąża za wodą, ale cały organizm. Ja idę za nim. Pragnienie mną kieruje.



Jeżeli pojawi się więcej gestaltów, to może dojść do rozłamu, dysharmonii, wewnętrznego konfliktu, osłabienia potencjału, który trzeba zainwestować w dopełnienie nieskończonej sytuacji. Jeżeli pojawi się więcej gestaltów, to ludzka istota zaczyna „decydować”, często decydując się na zabawę w samotność i brak zdecydowania. Jeżeli chce się pojawić więcej niż jeden gestalt i natura zostawiona jest samej sobie, wówczas nie będzie decyzji, ale preferencje. Taki proces oznacza porządek zamiast konfliktu. Nie ma hierarchii „instynktów”; jest hierarchia pojawiania się najpilniejszego gestaltu.

Po zamknięciu ów gestalt wycofa się w tło, by opróżnić pierwszy plan i by mógł się pojawić następny gestalt lub nagle sytuacja. Kiedy jeden gestalt jest usatysfakcjonowany, organizm może zająć się następną pilną frustracją. Wszystko po kolei. Kiedy jakiś gość, pilny list lub rachunki, albo seminarium, wymagają mojej uwagi, pisanie będzie odbywać się w tle. Nie zniknie, nie będzie zapomniane ani stłumione. Zachowa żywotność wymiany pierwszy plan/tło. Kiedy moje zajmowanie się książką pozostaje blisko pierwszego planu, zwracam mało uwagi na gadanie przy stole lub piękno krajobrazu. Każda interwencja w elastyczność wymiany pierwszy plan/tło wywołuje neurotyczne lub psychotyczne zjawisko.

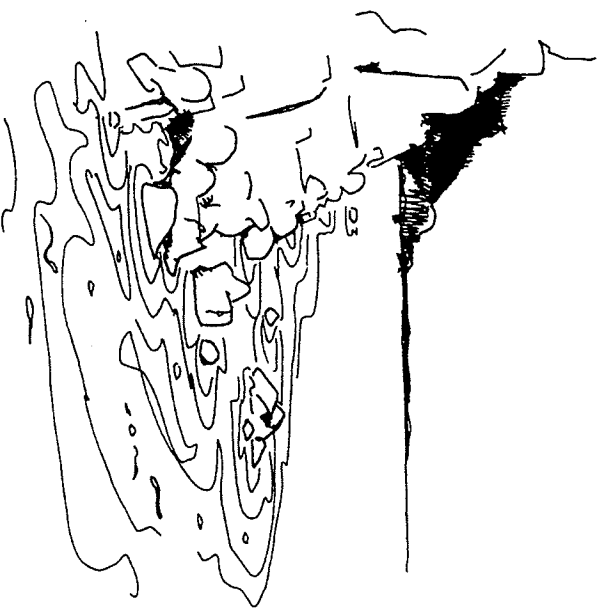
Pierwszy plan i tło muszą wymieniać się z łatwością. W innym razie pojawiają się zakłócenia zgodnie z wymaganiami mojej istoty. Jeżeli nie, dochodzi do akumulacji nie dokończonych sytuacji, utartych poglądów, sztywnej struktury charakteru. Pierwszy plan i tło muszą łatwo wymieniać się rolami. W innym razie dochodzi do zakłóceń w systemie uwagi — zagubienia, utraty kontaktu z rzeczywistością, braku koncentracji i zdolności zaangażowania.

Kiedyś przeczytałem artykuł personelowi szpitala. Chciałem go tak uprościć, aby nawet lekarze mogli zrozumieć zasadę tworzenia się gestaltu. Wybrałem częsty symptom, bezsenność, i opisałem znaczenie bezsenności jako próbę organizmu radzenia sobie z problemami, które są ważniejsze od snu. Przeróżające przesłuchanie następnego dnia, niespełniona zemsta, niespodziewana niechęć, silne i nie kontrolowane impulsy to tylko niektóre

z takich nie dokończonych sytuacji, które przeszkadzają w wycofaniu się ze świata, które my nazywamy snem. Aby poradzić sobie z nie dokończoną sytuacją, organizm musi produkować zwiększoną ilość podniecenia. Zbytne podniecenie i sen nie współgrają ze sobą. Dlatego, jeżeli nie możesz zasnąć i nie zastosujesz podniecenia wobec niekompletnego gestaltu, wówczas musisz poszukać innego zaworu bezpieczeństwa i zezłościć się na bezsenność, twarzą poduszkę albo ujadającego psa. Im bardziej się złości, tym mniej możesz spać. Zamknięcie oczu nie sprząda snu; sen pozwala zamknąć oczy. Możesz także szukać pomocy u współczesnej psychiatrii, wśród środków nasennych, tłumika podniecenia naszej siły życiowej, i wepchnąć nie rozwiązany problem pod dywan.

Niech żyje amerykańskie życie umiarkowanego podniecenia z jego uzupełnieniem — przemocą. A może zalecimy każdemu obywatelowi dużą dawkę środków uspokajających na śniadanie?





Mieszkam na terenie Esalen Institute. Jak zwykle położyłem się spać późno i wstałem wcześniej, wyglądając przez okno. Klify Big Sur, niespokojne fale, wodorosty unoszące się na powierzchni wielkimi, brązowymi łatami. W zeszłym roku zbocza przed moim domem były nieomal nagie. Teraz pokrywają je najrozmaitsze kwiaty, nasycając kolorami, czekając, aż namaluje je Corot lub Renoir. Plaża nie ma piasku. Tylko gładzi i skały czekające, aż fale przyjdą się z nimi bawić. A one przychodzą, jedna po drugiej. Łagodnie podpełzają, a potem skaczą i tańczą, obejmując kamienie i topnieją, umierają w biele.

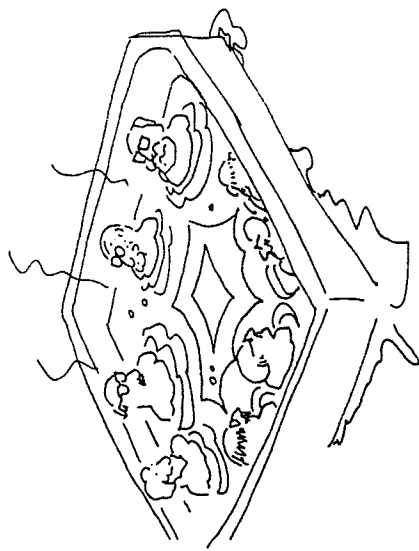
Jedna ze skał schodzących na plażę ma historyczne znaczenie. W pewnym filmie siedziała na niej Elizabeth Taylor. Nigdy nie zszedłem na dół i nie oddałem hołdu skale. Styszałem, że — jednak nie mam na to dowodu — w tej scenie kamień został pokryty pianką i pomalowany, aby był bardziej fotogeniczny,

albo też uczynił zimną skałę wygodniejszą i bezpieczniejszą. W końcu tyłek gwiazdy filmowej to prawdopodobnie wysoko ubezpieczona ruchomość.

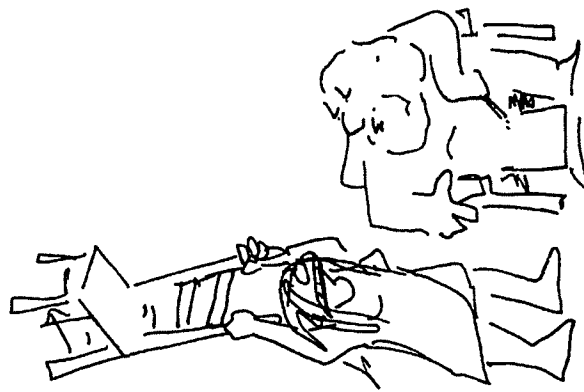
Wydry morskie, które bawią się dookoła, najwyraźniej nie doceniają świętości skały. Mój dom stoi na samym klifie, równe trzysta stóp nad stynnymi gorącymi źródłami siarkowymi, które nadały nazwę naszej miejscowości. Bije ich tu około dwudziestu do trzydziestu. Temperatura sięga 130 stopni. Odór siarki nie jest odrażający, woda jest cudownie miękka. Łażnie wychodzą na morze i nocne nabite diamentami. Często występuje mgła, a zimną przychodzą ulewne deszcze. Temperatura powietrza nigdy nie spada poniżej zera, a dni upalne są naprawdę rzadkie.

Ta prezentacja nie mówi nam nic o roli kąpieli. Po obu stronach są wanny i baseny. Czasami nawet szesnaście osób tłoczy się w jednym basenie. W wannach myjemy się i namydlamy. Te czynności nie są akceptowane w basenie. Czasami płcie się dzielą, a czasami mamy wspólne sesje kąpielowe, zazwyczaj po wieczornych seminariach. Czasami grupy terapeutyczne spotykają się po południu, a rodziny personelu przed kolacją.

Moim nieprofesjonalnym grupom zalecam te wspólne kąpiele, ale wymagam ich bezwzględnie od zawodowców — psychologów, pielęgniarzy itd. Przychodzą często pełni rezerwy, zupełnie pozbawieni wsparcia poza zawodową rolę, boją się zejść do nas, śmietelników, często nie chcąc przyłączyć się do cudownego odkrycia Whittakera — „pacjenta ukrytego w terapii”. (Zbyt wielu terapeutów nadal niechętnie przyznaje się, że jest, a nawet, że zostało wyniesionych do roli pacjenta). Oni zwykle — spotkałem chyba tylko jeden czy dwa wyjątki — są rozczarowani brakiem pruderystyki i nadskakiwania i szokuje ich brak oczekiwanego podniecenia nagością. Można tam zobaczyć wszystko, od spokojnego, zrelaksowanego unoszenia się na wodzie po wściekłe uściski, od wspólnych śpiewów po omawianie seminariów. Czasami nudzą się, zamykają w sobie i zniżają się do niskiego poziomu opowiadania żartów. Dotykają siebie nawzajem, głównie w formie masażu. Otwarty seks i przemoc są rzadkie.



Kiedyś trafiła się prawdziwa dziwka, która skłóciła dwóch mężczyzn. Jeden z nich, najwyraźniej chcąc się popisać, przemówił zadziornie i groził, że zabije drugiego i popadnie w amok. Kiedy przyszedł do naszego basenu, wstałem i pomimo mojego wieku walnąłem go prosto w nos. Ku memu zdziwieniu przewrócił się, nie stawiając jakiegokolwiek oporu, i rozplakał się.



Rzadko się boję. Dobry psychiatra musi ryzykować życie i reputację, jeżeli chce osiągnąć coś rzeczywistego. Kompromisy i służenie pomocą nie sprawdzają się. Jedna osoba, która okazała się terapeutką pierwszej klasy, ostatecznie dała upust wściekłości, kiedy pracowała ze mną. Stała nade mną z ciężkim krzesłem, gotowa mnie uderzyć. Powiedziałem ze spokojem: „Proszę, już przeżyłem swoje życie”, a ona przebudziła się z transu.

Raz wezwano mnie do grupy, abym uspokoił dziewczynę, która atakowała każdego fizycznie. Członkowie grupy próbowali ją przytrzymać i uspokoić. Na próżno. Ona ciągle wstawała i biła się. Kiedy wszedłem, wycelowała głową w mój brzuch i zaatakowała, a ja niemal się przewróciłem. Pozwoliłem jej się wyżyć, aż sprowadziłem ją na podłogę. Wstała znowu. Potem trzeci raz. Znowu ją powaliłem i powiedziałem, dysząc: „Pobiłem w życiu niejedną sukę”. Wtedy ona wstała, objęła mnie ramionami: „Fritz, kocham cię”. Najwyraźniej dostała to, o co prosiła przez całe życie.

Takich kobiet w Stanach są tysiące. Prowokują, kuszą, są wredne, grają mężom na nerwach i nigdy nie dostają za swoje. Nie trzeba być paryską prostytutką, aby dostać to i szanować swojego mężczyznę. Przysłowie mówi: „Mój mąż już się mną nie interesuje, przestał mnie bić”.

Kiedyś wydarzyło się coś, co naprawdę mnie przestraszyło. Wielu pacjentów cofa agresję i skierowuje ją na samych siebie, na przykład dusząc się. Pozwalałem im wyżywać się na mnie i dusić mnie samego. Aż pewnego dnia jedna dziewczyna potraktowała to dosłownie. Nie przejrzałem jej schizofrenicznej natury. Zacząłem już tracić przytomność, kiedy w ostatniej chwili wepchnąłem ręce między jej dłonie i rozerwałem uścisk. Od tej pory pozwalałam im jedynie dusić moją rękę. To też potrafi być bolesne. Po świecie chodzi całkiem sporo dusicieli. U pacjentów ze sporą fantazją do tego celu wystarczy poduszka.

Ja sam mam słabe skłonności do agresji bez odpowiedniej provokacji. Mogę się zdenerwować i dwukrotnie dosłownie wyrzucić ludzi z seminarium, jeżeli destruktywność stawiała się nie do opanowania, a sami nie chcieli wyjść. Jeżeli jestem zaatakowany,

oddaje mocno. Kilka razy do agresji doprowadziła mnie zazdrość, ale przeważnie zadawała mi torturowanie mojej ukochanej pytaniami i nieubłaganyimi żądaniami szczegółowej spowiedzi.

Jeżeli chodzi o gry miłosne, w łazni i gdzie indziej, powściągliwość nie ma do mnie zastosowania. Freud nazwałby mnie polimorficznym zбочeńcem. Nauczyłem się nawet czerpać radość z ukradkowych pocałunków przyjaciół płci męskiej. Kiedyś potrafiłem z radością pieprzyć się godzinami, ale teraz, w moim wieku, wolę, jak ktoś mnie uwodzi, a ja sam nie muszę niczego robić. Podobna mi się moja reputacja, jednocześnie starego zbereźnika i guru. Niestety ten pierwszy traci siły, a drugi wzrasta.



Kiedyś urządziliśmy przyjęcie w „dużym domu” w Esalen. Piękna dziewczyna leżała kusząco na kanapie. Ja siedziałem obok niej i powiedziałem coś w rodzaju:

— Strzeż się mnie, jestem starym zbereźnikiem.

— A ja — odpowiedziała dziewczyna — jestem młoda zbereźniczką.

Potem mieliśmy krótki i rozkoszny romanś.

W zasadzie to pisanie sprawia mi przyjemność. Nigdy nie spodziewałem się, że pójdzie ono tak łatwo. Rozważałem możliwość napisania sztuki... jeszcze tego sobie nie wyobrażałem. Jeszcze jest dość nieokreślona. Będąc dobrym aktorem i producentem

pierwszej klasy, wszystko robiłbym pod szyldem *Fritza*. Teraz sporo osób tłoczy się w tej książce, szydzi z mej chuci, gardzi mną za brak opanowania, dziwi się moim językiem, podziwia moją odwagę, jest zaskokowanych mnogością przeciwnych cech i desperowanych, ponieważ nie mogą mnie zaszufłakować. Mam ochotę nawiązać rozmowę, ale...

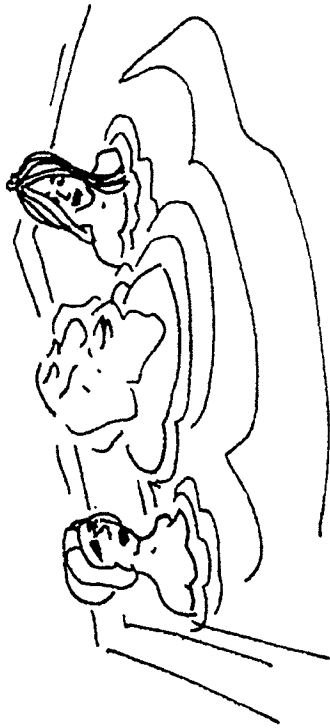


Okno jest szeroko otwarte. Lekko przerażający pomruk fal. Delikatny wiatr porusza papiery na biurku, zbyt słaby, by je porwać. Tak jak moja miękka broda głaszcze twarz i piersi dziewczyny, które aż drżą w niemej rozkoszy, a ich sutki preżądają się w dumnej erekcji, cierpliwie czekając, aż je lekko ugryzę.

Moje dłonie są silne i ciepłe. Ręce starego zbereźnika są zimne i wilgotne. Mam uczucie i miłość... nazbyt wiele. A skoro pocieszam dziewczynę w smutku i rozpacz, a szloch ustępuje, ona przytula się mocniej, a głaskanie wypada z rymu i prześlizguje się po piersiach i biodrach... gdzie kończy się żal, a perfumy nakładają twe nozdrza do wąchania zamiast popuszczania kropelek.

Te spotkania i odkrycia są jak temperatura w Big Sur. Oczywiście, nie ma tu mrozów ani upałów. Lecz wówczas nie ma indolencji jednostajności tropikalnej wyspy. Chłód jest zimny i przejmujący. Deszcz moky i błotnisty. Popołudniami słońce

praży dach, aż można się udusić. Nie znam żadnych innych takich ekstremów. Nie zabijam i nie zdradzam stosunków kawalersko-mażeńskich. Prowadzę płynne związki, począwszy od nazbyt częstych pocałunków do długotrwałej lojalności.



Pierwszy całus jest niby test Rorschacha
 Dotykasz ust nieznanego
 Zastajesz je zaciśniętym „Nie chcę”
 Albo chciwością, co cię wciąga
 Obojętność, która cię sprawdza
 Dziobnięcie, które cię oddala
 Delikatne ostrzeżenie: uważaj
 Druzgocący cios, aż braknie tchu
 Przeciagły liz sugerujący seks
 Cuchnąca gardziel, z żołądka smród
 Suchość — oziebłości znak
 Sztynność jak zapaśniczy chwyt
 Nijakość gąbczastości
 Nieliczne tylko dają ci spełnienie:
 Oczekiwanie skrywające obietnicę
 Scalenia się w jedno.
 Odgródź się od środowiska
 I zatop w izolacji.
 Każdy pocałunek jest inny
 Jeżeli odkryjesz subtelności
 W wigorze zaangażowania.

Die Engel die nennen es Himmelsfreud
Die Teufel die nennen es Höllenleid
Die Menschen die nennen es Liebe (H. Heine)
 (Aniołowie zwą to „niebiańska radością”
 Diabły — „piekielną torturą”
 Człowiek zaś „miłością”)

Esalen zaczęło się od gospody, a jedyną jej atrakcję stanowiły gorące łaźnie. Kiedy tu przybyłem, nadal była ona powszechnie dostępnym zajazdem, w którym zaczęto organizować wykłady i seminaria, a bar i restauracja były otwarte dla wszystkich. Go-spodę prowadzili Mike Murphy i Dick Price. Teraz jesteśmy rozwijającym się prywatnym instytutem, którego dyrektorami są Mike Murphy i Dick Price. Przejżdżające mieszczuchy i domokrańcy sprzedający narkotyki są wyprowadzani lub wyrzucani. Przez pewien okres, jakiś rok temu, z łatwością można było tu zaopatrzyć się w marihuanę lub LSD, ale Mike postawił temu kres. Teraz jesteśmy dumni, że potrafimy wprawić ludzi w nastrój bez narkotyków. Mówi się, że dajemy natychmiastowe lekarstwo, natychmiastową radość i natychmiastową świadomość sensoryczną.

Jak, do diabła, weszliśmy w to wszystko? Oczywiście, z początku była intensywna tęsknota za odkupieniem i zbawieniem. Mistycyzm, ezoteryka, ponadnaturalność, pozamysłowa percepcja najwyraźniej pasują do ducha tego miejsca. Medytacja jogi dla wejścia na wyższe poziomy egzystencji widocznie zbiega się z niezadowolaniem z nudy miejskiego życia. Odrzucona dusza dokonywała komercyjnego ponownego wejścia.

Piękno polegało na tym, że ludzie szczerze próbowali wejść na niewerbalny poziom egzystencji, ale nie uświadamiali sobie, że medytacja, podobnie jak analiza, to pułapka. Podobnie jak psychoanaliza zakłóca równowagę, chociaż po drugiej stronie skali.

Te dwie nierównowagi można porównać do procesu defekacji. Zatwardzenie i rozwolnienie to przeciwne typy wydalanania, oba zakłócające optymalną funkcję. (+) konta (-). W psychiatrii mamy przeciwności katatonicznego odrętwienia (- podniecenie) i schizofrenii (+ podniecenie).

Medytacja, ani nie sraj, ani nie wstawaj z nocnika, wydaje mi się edukacją w stronę katonii, natomiast psychoanalityczna technika walki idej promuje myślenie schizofreniczne. Doświadczyłem zarówno spokojnego siedzenia w Zendo, jak i słowotoku na kozetce. Teraz obie te rzeczy spoczywają w grobowcach w moim śmietniku.

Nie cierpię używania i zatwierdzania słowa „normalny” w odniesieniu do kreatywnej obojętności. Używane ono jest o wiele za często dla przeciętnej, a nie optymalnej funkcji. Nie cierpię używania i uznawania słowa „idealny” w odniesieniu do kreatywnej obojętności. Czuć je osiągnięciem i pochwałą.

Uwielbiam używać i uznawać słowo „środek”. To dziesiątka na tarczy. Takiej tarczy, która za każdym razem trafia w strzałę. Uwielbiam wszystkie nieudane spotkania strzały z celem z prawej i z lewej, z góry i z dołu. Uwielbiam wszystkie próby, które zawiodą na tysiące sposobów. Dziesiątka jest tylko jedna, a dobrą wolę liczy się tysiącami.

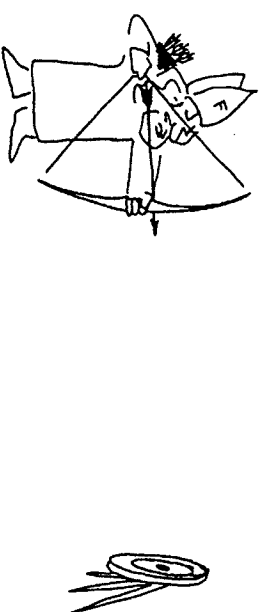
Przyjacieliu, nie bądź perfekcjonistą. Perfekcjonizm to przekleństwo i stres. Albowiem drzysz, żeby tylko trafić w sam środek. Jesteś perfekcyjny, jeżeli sobie na to pozwolisz. Przyjacieliu, nie bój się błędów. Błędy to nie grzechy. Błędy to jedynie sposób zrobienia czegoś inaczej, może bardziej twórczo. Przyjacieliu, nie przepraszaj za błędy. Bądź z nich dumny. Miałeś odwagę dać coś z siebie.

Aby skupić się na środku, trzeba lat, jeszcze więcej lat trzeba, aby zrozumieć i być teraz. Do tego czasu strzeż się obu ekstremów, zarówno perfekcjonizmu, jak i cudownego uzdrowienia, natychmiastowej radości, natychmiastowej sensorycznej świadomości. Do tej pory strzeż się wszelkich pomocników. Pomocnicy to oszuści, którzy obiecują coś za nic. Psują cię, uzależniają i powstrzymują przed dojrzałością.

Dobrze jest odgrywać karnodzieję i cieszyć się pompatycznym stylem Nietzschego.

Jak cel Esalen trafił w moją strzałę, wycelowany w jej stronę na całe lata, zanim dowiedziałem się o istnieniu celu?

Okolo roku 1960 praktykowałem w Los Angeles. Nadal cier-



piłem po dwóch operacjach w Miami, odrywaniu się od Marty i nazbyt częstych wycieczkach w LSD. Nie zjawilo się nic, co byłoby tego warte. Pomimo wsparcia nie mogłem przedostać się do profesji i nie mogłem pozbyć się uczucia skazania na życie. Nie miałem nawet depresji. Miałem dosyć tego psychiatrycznego bałaganu. Nie wiedziałem, czego chciałem. Przejszcia na emeryturę? Wakacji? Zmiany zawodu? Wybrałem wycieczkę z Los Angeles do Nowego Jorku, ale inną drogą — statkiem dookoła świata.

Zawsze kochałem rejsy, dokładnie odwrotnie do zatoczonych samolotów pasażerskich. Z wyjątkiem jednego razu, kiedy w zenicie naszej miłości Marty i ja poleciliśmy do Europy. Wówczas siedzenie blisko siebie było dobre.

Przeważnie jestem wciśnięty między nieznanymi, którzy zasympują mnie pytaniami i wymagają mojej uwagi. Potem czekam w klatce powietrznej i błogosławie moment, kiedy uda mi się zasnąć.

Lubię latać tak samo, jak nienawidzę bycia pasażerem w samolocie. W przeciwieństwie do jazdy samochodem... tak samo lubię, kiedy mnie wożą, jak nie lubię prowadzić samochodu.

Rejs z Los Angeles do Nowego Jorku trwał piętnaście miesięcy. Pierwszy przystanek, Honolulu na Hawajach. To było jak *déjà vu* Miami Beach. Zanim wpłynęliśmy do portu, doświadczyłem chyba najwspanialszego widoku w życiu.

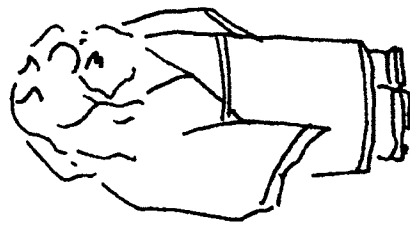
Kiedy ląduje się w Los Angeles w nocy, widać ściśnięte choinki olbrzymich rozmiarów, które na ciebie czekają. Ich przerwanych sprawia, iż zapominasz, że to tylko tandetne neony. Zapom-

minasz o wiszącym nad miastem smogu, który wita cię przy wjeździe do miasta stu miast.

Teraz pomnóż wielokolorowy blichtr wielokrotnie i wykap się w nim. To mi się przytrafiło przed Hawajami.

Kocham srebrne migotanie firmamentu, jak wszyscy. Teraz zostało ono wzmocnione czystym oceanicznym powietrzem i po-myślałem, że może uda mi się wydobyć z tego coś jeszcze. Wziąłem małą dawkę LSD i wtedy to się stało.

Nie do opisanie to nijakie określenie. Nie było żadnej odległości, żadnych dwóch wymiarów. Każda gwiazda była bliżej lub dalej, każda wykonywała kolorowy taniec niczym Wenus, zanim spadnie do oceanu. Wszelświat, pustka nad pustkami, po raz pierwszy został wypełniony.



Potem Japonia — Tokio i Kioto. Niemożliwością jest opisanie kontrastu między tymi dwoma miastami, chociaż dzieli je zaledwie nocny przejazd szybkim pociągiem. W Tokio ludzie nieczuli, nieświadomi siebie nawzajem, stłoczeni tak, że dla porównania sardynki w puszcze mają więcej *Lebensraum*. Przynajmniej nie nabijają sobie siniaków. A jednak przeżyłem tam największe doświadczenie: kochające oczy staruszki kucającej w rynsztoku, która czyściła mi buty. Wówczas oddałem jej opróżnioną do połowy paczkę. Odwróciła głowę w moją stronę. Ciemne oczy rozpyływa-

ły się i błyszczały miłością, aż zrobiło mi się miękko w kolanach. Do tej pory czasami widzę te oczy. Niemożliwa miłość stała się możliwa.

Przedtem tylko raz w życiu widziałem taką miłość w czyichś oczach. Lotte Cielinsky, moja pierwsza miłość. Musiałem grać w komedii francuskiego szlachcica. Ona przyszła na tyły sceny i kiedy mnie zobaczyła w kostiumie i makijażu, jej twarz przeszła transformację, jak gdyby niebo otworzyło się tylko dla niej. Piękna, najpiękniejsza.

Pewien japoński lekarz opracował metodę leczenia nerwic. Trzy dni w łóżku. Pacjentowi wolno wstać jedynie po to, aby pójść do ubikacji. Wyprobujemy to! Wykorzystajmy to, żeby zrobić przerwę w paleniu! Młody lekarz nie mówić angielski. Wszystko organizuje asystent bez wykształcenia medycznego. Proszę o tłumacza. Tak, ale muszę zapłacić ekstra.

Mam dobry pokój dla siebie. Może jestem tutaj pierwszym Europejczykiem. Inni pacjenci gapią się na mnie jak na dziwne zwierzę. Żona lekarza przynosi mi jedzenie, podaje mi je na kolanach. Mijam gabinet lekarski drugiego dnia mojego pobytu. Lekarz siedzi sztywno, jak ma w zwyczaj, najwyraźniej czeka na mnie cały dzień. Nie znam obyczajów. Dziewczyna-tłumacz bardzo, bardzo słabo zna angielski.

Znoszę to przez ponad dwa dni, potem wybucham, wybiegam i kupuję papierosy. Dostaję rachunek. Dwie godziny tłumaczenia przez dziewczynę kosztuje trzy razy więcej niż trzy dni w sanatorium. Nie czuję się wyleczony.

Japoński psycholog, którego poznałem w Stanach, zasugerował mistrza zen Roshi Ihiguru. Zen w pigułce. *Satori* w tydzień. Bez żartów. M., inny amerykański psycholog, i ja jesteśmy pierwszymi europejskimi uczniami. My plus ośmiu młodych Japończyków stanowimy klasę. To wielkie wydarzenie. Zwołano prasę i fotoreporterów. Zatrzymałem wycinki z gazet.

M. i ja mamy dla siebie duży pokój. Musimy rozwijać materię na noc, ponieważ w ciągu dnia każdy uczeń ma u mistrza kilka minut prywatnej audycji. Podczas audycji muszę położyć się przed nim na plecach. On zadaje mi jakieś wyświechtane

pytania i wtedy jestem zwalniany na resztę dnia. Mistrz to mały, pompatyczny mężczyzna, o dość wysokim głosie, który siebie i swoją pracę traktuje bardzo poważnie.

Wstajemy o piątej rano i mamy „siedzieć” w słynnej pozycji lotosu w słynny sposób, wykrzywiając nogi praktycznie przez cały dzień. Nam, dwóm obcym przybyszom, wkrótce zezwolono na korzystanie z krzesel. Po dwóch dniach mistrz wprowadził swoją specjalność. „Wydychajcie z jednocześnieym szczerkaniem. Powtarzajcie to ??? razy”. Czym się różni „róbcie to przez minutę” od „róbcie to godzinami”?

Jedzenie jest zadziwiająco dobre. Żona mistrza poświeca się, by uzupełnić japońskie potrawy zachodnimi. Pod koniec każdego posiłku nalewamy do miseczki herbatę i za pomocą pastra jakiegoś warzywa czyścimy ją do ostatniego ziarenka ryżu.

Myszę, że Japończycy przystosowali się do braku żywności poprzez skurczenie się i dzięki temu żyją na niskokalorycznej diecie. Kiedy znalazłem się w tłumie, czułem się niczym olbrzym pośród krasnoludków, a mam tylko 172 centymetry wzrostu.

W każdym razie nie głodowałem, chociaż czasami wykradałem się na papieroska albo czekoladę.

Nie sądzę, żeby ktoś odczuł jakieś oświecenie czy *satori*, ale samo doświadczenie było interesujące. Kiedy przyszło do płacenia, doznałem szoku. Cena wyniosła dziesięć dolarów, co obejmowało pokój, wyżywienie i czesne za cały tydzień. Kiedy mi to powiedziano, nie mogłem tego przyjąć i dałem trzydzieści dolarów, które on przyjął z wdzięcznością i namalował dla mnie obrazek pedzelkiem, a żona dołożyła prenię w postaci słodkawego rysunku kwiatów.

Popełniłem jeden głupi błąd. Trzeciego ranka powiedziano mi, że woda jest gotowa na kąpiel. Była tam wielka beczka z parującą wodą, szeroka na dwie stopy, a głęboka na trzy. Nie wiedziałem za bardzo, jak się w tym zanurzyć, ale udało mi się wgramolić i namydlić. Wykorzystałem wielką warząchew, która zwisała obok beczki, aby splotać głowę. Było niewygodnie, ale lepsze to niż nic.



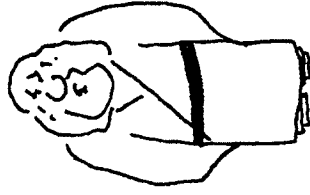
Potem dowiedziałem się o mojej zbrodni. Woda została podgrzana wielkim wysiłkiem i stanowiła wspólną własność. Łyżka służyła do nabierania wody, którą potem się myło. Zepsułem „kąpiel” całej grupie.

Moje spóźnione przeprosiny. Jesteśmy zbyt zepsuci i bierzemy bez namysłu to, co dla innych jest ciężko wypracowanym luksusem.

Wiem, czym jest doświadczenie *satori*, chociaż nie doznałem pełnego oświecenia, jeżeli takowe istnieje. *Śiddhartha*, w końcu, jest produktem czystej fantazji Hermanna Hessego.

Do jednego z najbardziej zaskakujących i spontanicznych doświadczeń *satori* doszło dwanaście lat temu w Miami Beach. Szedłem sobie Alton Road, kiedy poczułem, że nasza mnie transformacja. Wówczas nie wiedziałem nic o środkach psychodelicznych, nawet ich nie brałem. Poczułem, że cierpię mi prawa strona, jest nieomal sparaliżowana. Zacząłem kulęć, twarz mi zwiórczała, poczułem się jak wiejski głupek, intelekt popadł w stan odrętwienia i przestał działać. Niczym uderzenie bityskawicy świat zaczął istnieć na nowo, trójwymiarowy, pełen kolorów i życia... zdecydowanie nie za sprawą depersonalizacji... niczym „bezzyciowa” wyrazistość, ale z pełnym odczuwaniem: „To właśnie to, to jest prawdziwe”. Było to całkowite przebudzenie, odzyskanie zmysłów lub odnalezienie mnie przez zmysły, a może zmysły nabrały sensu.

Wiedziałem oczywiście (głównie poprzez sny i lekturę Ko-
rzybskiego) o niewerbalnym poziomie istnienia, ale uznawałem
to za ukrytą, a nie za realną formę istnienia.



W przeciwieństwie do Tokio zakochałem się w Kioto. I to tak
bardzo, że poważnie zastanawiałem się, czy by się tam właśnie
nie osiedlić. Łagodni ludzie zważający na siebie nawzajem, pa-
trzący otwarcie, z szacunkiem. Raz w kawiarni zostawiłem cza-
sopismo, które już przeczytałem. Właścicielka biegła za mną dwie
przeznice, aby mi je oddać. Nawet taksówkarze byli szczerzy.

Siedziałem godzinami w ogrodzie hotelu i obserwowałem
kaczki dyscyplinujące beczelnego, starego karpia, aroganckie
łabędzie, które ledwo obracały szyję, by spojrzeć na te wypadki.

Harmonia i spokój wszędzie, nie tylko w zamku i w złotej
świątyni. Kilkakrotnie trafiłem na nie nawet w barze ze stripi-
zem. Pewien numer, który na Zachodzie uznano by za wulgarny,
stał się wydarzeniem artystycznym. Aktorka przedstawiła wdowę
masturbującą się przed grobowcem zmarłego męża. Robiła to
z takim oddaniem i pięknym ruchem, że niosła przekazanie miłości,
a publiczność milczała, nie wiwatowała.

A zatem do zen. To miejsce chyba nazywało się świątynią
Daitokuji i było jedną z tysięcy świątyń, jakie można znaleźć
w północnym Kioto. Właścicielka, Amerykanka, obserwowała
i sprawowała władzę nad grobowcem swego męża, biblioteką

i licznymi pismami. Raz było tu mnóstwo gości, więc wdziała swój ujimający kostium. Zdecydowanie wielka kapłanka zen.

Studenci stanowili międzynarodową mieszankę. Niektórzy z nich wiedli proste życie, udając mnichów zen. Naprawdę lubiłem ich i to ich szczere głodowanie dla odkupienia. Często spotykaliśmy się wieczorami przed „siedzeniem”. Na początku pani Sasaki mówiła o oddychaniu i innych tematach związanych z zen, ale po czterech tygodniach ona i jej uczniowie coraz bardziej interesowali się terapią gestaltyczną. Ja dawałem jak najmniej. Chciałem zgłębiać ich stanowiska i wyniki pracy.

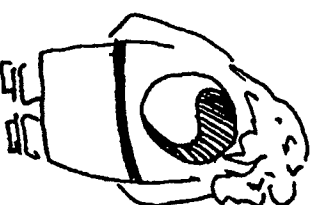


Roshi, dość młody mnich zen, bardzo mnie polubił. Zanim wyjechałem z Kioto, zaprosiłem jego i cały tłum na wystawny (i muszę przyznać, smakowity) chiński obiad składający się z dwunastu dań. Dowiedziałem się, że Roshi marzy o zegarku na rękę. Po dwóch dniach odkryłem, że nie nosi zegarka, który mu podarowałem. Nie mogłem zrozumieć dlaczego, ponieważ zegarek był dobry. Wówczas dowiedziałem się, że umieścił zegarek wraz z innymi drogocennymi rzeczami, w miejscu dla niego świętym.

Zen przyciągnął mnie jako możliwość religii bez Boga. Zaskoczyło mnie to, że przed każdą sesją musieliśmy się modlić i składać ukłon przed posągami Buddy. Bez względu na symbolizm dla mnie była to konkretyzacja prowadząca do deifikacji. „Siedzenie” nie było wielkim stresem, gdyż dwu- lub trzygo-

dzime sesje przerywaliśmy spacerami. Musieliśmy oddychać w konkretny sposób i zwracać uwagę na oddech, aby zminimalizować narzucające się myśli, podczas gdy mistrz przechadzał się, czasami poprawiając nam pozycję. Za każdym razem, kiedy zbliżał się do mnie, denerwowałem się. To oczywiście zakłócało mi oddech. On uderzył mnie tylko kilka razy. Miał bardzo silne mięśnie brzucha, którymi lubił się popisywać. Miałem wrażenie, że jego mięśnie były dla niego ważniejsze niż oświecenie.

Spędziłem tam dwa miesiące. Nie starczyło czasu na należyte zaznajomienie się z grą *koan*. Mistrz dał mi tylko jedno dziecinne proste *koan*: „Jakiego koloru jest wiatr” i najwyraźniej był zadowolony, kiedy w odpowiedzi dmuchnąłem mu w twarz.



Znowu uknąłem. Przyglądam się ostatnim dwóm akapitom i widzę, że są częściowo chaotyczne i pomieszane. Co robi wydawca? Widzę już, że ta pisanina zakrawa na książkę. Moje początkowe intencje pisania jedynie dla siebie, dla uporządkowania własnych spraw, dla zgłębienia palenia i pozostałych symptomów tracą na autentyczności. Moja prawdomówność także została nadwerżona. Nie tylko dwukrotnie przytapałem siebie na grzechu „opustki”, ale co więcej, zacząłem zastanawiać się nad wprowadzaniem żyjących ludzi. Strach przed podaniem do sądu i tego rodzaju rzeczami. Cóż, co będzie, to będzie, jak śpiewa Edith Piaf.

Jak dotąd, to pisanie dobrze mi się przysłużyło. Moja pierwotna nuda zamienia się w ekscytację. Piszę od trzech do sześciu stron dziennie, między seminariami lub w nocy. Z wiekiem robię

się skąpy i często wolę pisanie od pójścia na spotkanie. Lubię pokazywać fragmenty rękopisu niektórym przyjaciółom i ciągle zachwyca mnie ich reakcja. Kiedy Teddy, moja sekretarka, przychodzi załatwiać korespondencję lub posprzątać, wpiertw musi przeczytać, co napisałem, i wydać osąd.

Poprzez mobilizację pisarskiej ekscytacji na wskroś czuję się lepiej. Otrzymuję i daję więcej miłości. Stary zboreżnik robi się czystszy, ale co mogę począć, jeżeli coraz więcej pięknych, młodych i już nie tak młodych dziewczyn, a często też ten lub tamten męczyzna ściska mnie i całuje?

Mój spokój, humor i terapeutyczne zdolności wzmacniają się, podobnie jak zadowolenie. Co ciekawe, przez ostatnie dwa lata czuję, że już nie jestem skazany na życie, ale nim obdarowany.



Utknałem, ponieważ nie wiem, czy powinienem pisać o moim zmarłym przyjacielu, Paulu Weissie, który był integralną częścią mojego wzrastającego zainteresowania zen, czy może raczej powinienem dalej opisywać podróże dookoła świata. Widzę, że moje pismo coraz bardziej maleje, kiedy wspominam Paula. Rzeczywiście często czuję się mały w jego obecności.

Paul, gdybym tylko mógł zrobić coś więcej, niż wyciągać cię z mojego śmietnika. Żebym tylko mógł przywrócić ci życie. Byłeś prawdziwy i rzeczywisty, mądry i okrutny. Przeważnie okrutnie dokładny wobec samego siebie. Dyscyplinowałeś się, siedząc w pozycji zen i wymagając najczystszej i szczerzego myślenia. Nigdy nie siedział na kompromis w zasadniczych sprawach.

Byłeś jednym z niewielu, których słuchałem. Nawet jeżeli to, co mówiłeś, wydawało się wtedy pozabawione sensu, zawsze wkładałem twoje zdanie do brzucha i pozwalałem mu dojrzeć. Prawie zawsze rodziły się z tego owoce.

Jego uwagi nie zawsze były krytyczne. Kiedyś bardzo mi pomógł. Próbowałem opanować Heideggera, a Paul powiedział:

— Po co ci Heidegger? Ty powiedziałeś to lepiej i bardziej sensownie.

Paul i Lotte stanowili najbardziej zadziwiające małżeństwo. On był mordercą, a ona była niezniszczalna (Lotte jest słodka i łagodna, i dobry z niej wietnamski kucharz), a on obdarzał ją razami miłości i przemocy.

Po raz pierwszy spotkałem Lotte, kiedy wygłosiłem odczyt w Towarzystwie Rozpowszechniania Psychoterapii, na temat: „Teoria i technika integracji osobowości”. Ona przyszła i pracała ze mną. Zostaliśmy wtedy przyjaciółmi.

Paul, który prowadził badania nad nowotworami, cierpiał na nerwicę obsesyjną. Pracował głównie z Lore i stał się dobrym terapeutą, głównie w krańcowych przypadkach. Poza terapią gestalt bardzo zaangażował się w zen, pojechał kilka razy do Japonii i zaprosił mnichów zen do swego kraju. Lotte skarżyła się na inwazję na ich dobrze utrzymany dom.

Od tej pory coraz bardziej fascynował mnie zen, jego mądrość, jego potencjał, jego nieumoralniające podejście. Paul spróbował zintegrować gestalt i zen. Moje starania bardziej kładły nacisk na stworzenie dającej się zastosować teorii otwierania tego rodzaju ludzkiej samotranscendencji u człowieka Zachodu. Zachęcił mnie do tego Aldous Huxley, który nazwał *Gestalt Therapy* „jedyną psychoterapeutyczną książką wartą przeczytania”.

Jeżeli chodzi o moje osiągnięcia w zen, to podróż do Japonii zakończyła się fiaskiem. Potwierdziła jedynie moje przekonanie, tak jak w przypadku psychoanalizy, że coś jest mylne, skoro wiele dziesięcioleci do niczego nie prowadzi. Można co najwyżej powiedzieć, że psychoanaliza wydaje psychoanalitików, a studia nad zen rodzą mnichów.

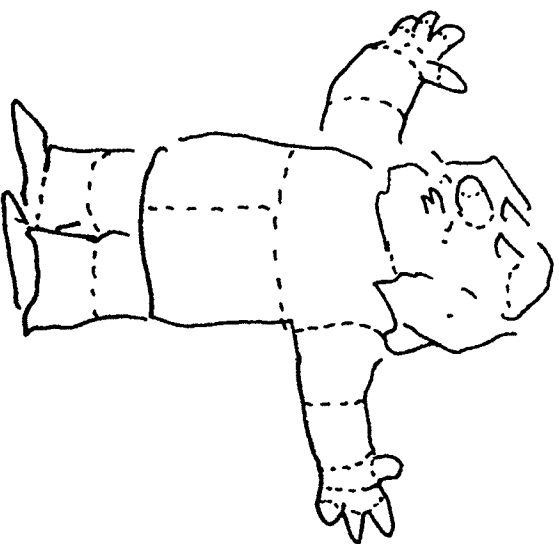
Należy potwierdzić wartość obu systemów w rozwoju świa-

domości i wyzwolenia ludzkiego potencjału; trzeba jednak zaprzeczyć efektywności obu metod. Nie mogą być wydajne, ponieważ nie są skoncentrowane na biegłości kontaktu i oddalenia, rytmie życia.

Wczoraj zupełnie nie miałem ochoty pisać. Pierwsze strony tego rozdziału przekazałem Kay do przepisania na maszynie. Poczutem po tym pustkę, nic się nie nasuwało, nic nie wypełniało tej pustki.

Tysiące sztucznych kwiatów
Nie umai pustynii,
Tysiące pustych cieni
Nie zapełni pustki pokoju.

Ostatniej nocy znowu zacząłem szukać po omacku. Szukałem w różnych kierunkach. Bardziej niż wspomnienia i doświadczenia chcę ratować moją filozofię gestaltu. Chcę, by mnie poznano w języku, który jest zrozumiały. Chcę wprowadzić żywą teorię, która sprawdza się i jednocześnie nie kosztuje. Chcę, chcę, chcę. Ja, ja, ja.



Czym jest „ja”? Kompozycją introjekcji (jak sugerował Freud), czymś, co neurolog potrafi znaleźć w mózgu, organizatorem działań, kapitanem mojej duszy? Nic podobnego. Małe dziecko jeszcze nie posiada „ja”. Mówi o sobie w trzeciej osobie. Eskimosi używają trzeciej osoby liczby pojedynczej zamiast „ja”. Pewne plemiona z mórz południowych mówią „tutaj” zamiast „ja”.

Zauważyliśmy, że biologiczny gestalt, który wyłania się jako tymczasowy organizator, przejmuje kontrolę nad całym organizmem. Każdy organ, zmysły, ruchy, myśli podporządkowują się tej wyłaniającej się potrzebie i pospiesznie zmieniają sprzymierzeńców i funkcję, gdy tylko potrzeba zostanie zaspokojona, a później wycofują się w tło. Gdy tylko wyłania się następna potrzeba, wszystkie części oddają się na jej usługi i u zdrowej osoby wszystkie będą wspierać spełnienie gestaltu. Wszystkie części organizmu identyfikują się tymczasowo z wypełniającym się gestalem.

Podobny proces zachodzi na poziomie społecznym. W naszych wypadkach — w przypadku powodzi, trzęsienia ziemi, obchodów zwycięstwa — wiele osób będzie się z nim identyfikować i będzie brać udział, i przyłączy się do innych, by uczestniczyć i dołożyć własnych starań.

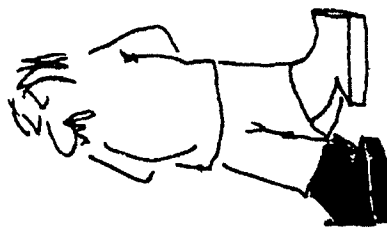
„Ja” jest doświadczeniem pierwszoplanowej postaci. Jest sumą wszystkich wyłaniających się potrzeb, centrum zawiadującym. To stały czynnik we względności wewnętrznych i zewnętrznych żądań. To agent względności wobec wszystkiego, z czym się identyfikuje: reagujący, zdolny do reagowania na sytuację — nie „odpowiedzialny” w moralizatorskim znaczeniu przyjmowania zobowiązań dyktowanych przez obowiązki.

Na przykładzie braku równowagi wody dwa twierdzenia: „Nie mam pragnienia” i „Mam pragnienie” nie są logicznymi przeciwnikami, ale identyfikowaniem się z różnymi stanami odwodnienia lub jego braku.

Jak na razie dobrze. Uznajemy, że „ja” nie jest rzeczą statyczną, ale symbolem funkcji identyfikacji. Jednak jeszcze jesteśmy daleko w lesie. Przede wszystkim, jeżeli Freud mówi o całkowitej

introjekcji, to ma na myśli także proces identyfikacji. Jeżeli dziewczyna introjektowała swoją matkę, to według niego identyfikuje się tak bardzo z matką, iż zachowuje się, „jak gdyby” była swoją matką. Co więcej, termin „identyfikacja” jest terminem opisowym i mówi nam mało o tym, co faktycznie się dzieje. W końcu, nasz termin wymaga trochę obszerniejszego wytłumaczenia: „identyfikacja z”, „identyfikacja jako” i „bycie identyfikowanym z”.

Wygląda na to, że musimy zagrać w semantyczne gry dopasowywania. Jednym z celów z mojej filozofii jest być spójnym, to znaczy mieć zastosowanie we wszystkich pojawiających się wydarzeniach, w organicznym oraz nieorganicznym świecie. Im bardziej zrozumiałe jest intelektualne wsparcie, tym mniejszej doświadczymy kulawizny na wyższych, to znaczy na narzucanych poziomach.



Od spotkania z Friedlanderem nauczyłem się sztuki właściwej polaryzacji. Przeciwnieństwo „identyfikacji z” to alienacja. Samoalienacja stała się ważnym terminem w egzystencjalnej psychiatrii. „Identyfikacja jako” ma swoje przeciwieństwo: zbieżność — rozróżnienie kontra nieodmienne tło.

Terminu „zbieżność” używałem od roku 1940. Nie sądzę, by znalazł on już zastosowania w psychiatrii. Jako słowo łatwo go pojąć, ale jako termin wcale nie łatwo. To jedna z kategorii nicości.



Pałę. Wydmuchuję kółko. Mogę zidentyfikować je jako kółko z dymu. Łagodny powiew wiatru rozciąga je. Unosi się do góry, zniekształca się, powiększa, rozplywa. Jeszcze tam jest... nie wyrażnie. Zatraca granice. Znika. Muszę wyciągać szyję, by nadal być jego świadom. Już go nie ma. Nie ma? Jest tam w zbieżności z powietrzem i już nie da się go zidentyfikować. Będziemy musieli zbadać i przeanalizować powietrze w pomieszczeniu, by wyśledzić jego substancję, chociaż jego kształt, jego definicja, zniknął.

Wychodzę z pokoju. Po powrocie wyczuwam dym w powietrzu. Nawiazałem kontakt. Teraz jestem świadom dymu w powietrzu.

W zbieżności świadomość jest zredukowana do nicości. W kontakcie świadomość jest intensywna. Zanim wróciłem do pokoju, nie byłem świadom zadymionego powietrza. Byłem izolowany, oddzielony od niego. To zjawisko jest najlepiej znane i najlepiej zbadane we współczesnej psychiatrii: represja, blok, zahamowanie, kompartmentalizacja, plany przed oczyma, ślepa plamka, pustka, amnezja, ściana, cenzura, arkuśz plastiku itd. Odzyskanie ukrytego skarbu to cel technik psychoanalitycznych.

Gdy tylko usunę dzielącą instancję, nawiązuję kontakt z ukrytym zjawiskiem. Wiem wszystko. Muszę podążać ostrożnie, krok po kroku, aby trzymać się tematu. Nic dziwnego, że teraz pisanie

nie idzie mi zbyt płynnie. Nie spodziewam się też, że będzie się łatwo czytać. Kiedyś mówiłem, że filmy, które kreć, będą moim testamentem, ale teraz ta książka zaczyna zajmować pierwszy plan i kręcenie filmów przestało być ekscytujące. Jutro kończą się czterogodniowe warsztaty i wygląda na to, że będziemy mieć sporo ciekawego materiału na rozpropagowanie terapii gestaltycznej, ale podniecenie i zaangażowanie, jakie odczuwałem, kiedy zaczynałem pracować z taśmami wideo i kręceniem filmów, osłabło. Mammy przynajmniej dwa filmy na temat zbieżności, wiele o funkcjach kontaktu i zdrowieniu oraz także kilka o niezdroczeniu.

Punktem zero tutaj jest odkrywanie. Każdemu odkrywaniu towarzyszy doświadczenie „aha!”, miły lub nie miły szok różnej intensywności. Twierdę, iż uczenie się to odkrywanie czegoś „nowego”, na przykład zrozumienie, że coś jest możliwe. Usunięcie bloku to odzyskanie czegoś „starego”, czegoś, co do nas należy, czegoś, co wyobcowaliśmy, czemu odebraliśmy jego słuszną przynależność do nas.

Podczas gdy obecnej terapii wystarcza zdrowienie jako antidotum na wyczerpanie wywołane represją itd., terapia gestaltyczna jeszcze bardziej interesuje się odkrywaniem uśpionego potencjału jednostki.

Co więcej, pomimo jej użyteczności cała teoria i terapia represji musi zostać ponownie zbadana.

Ten na górze: Przestań, Fritz, co ty robisz?

Ten na dole: O co ci chodzi?

Ten na górze: Bardzo dobrze wiesz, o co mi chodzi. Przenosisz się z jednej rzeczy na drugą. Zaczynasz coś w rodzaju identyfikacji, potem wspominasz zbieżność. Teraz widzę, że jesteś gotów rzucić się w dyskusję o represji.

Ten na dole: Nadal nie rozumiem twojego sprzeciwu.

Ten na górze: Nie rozumiesz mojego sprzeciwu? Człowieku, kto, u diabła, może jasno zrozumieć twoją terapię?

Ten na dole: Chcesz powiedzieć, że powinienem wziąć tablicę, narysować tabele i starannie skategoryzować każdy termin, każde przeciwieństwo?



Ten na górze: Niezły pomysł. Mogłbyś się tym zająć.

Ten na dole: Nic z tego. Przynajmniej nie w tym stadium. Ale powiem ci, co mogę zrobić. Mogę ostatecznie użyć innej czcionki dla materiału biograficznego, filozoficznego, terapeutycznego i poetyckiego.

Ten na górze: No, jest to jakiś pomysł.

Ten na dole: Co więc chcesz, abym zrobił? Powstrzymać rękę? Przestać grać w mój śmietnik?

Ten na górze: Hm, nie byłby to zły pomysł, gdybyś usiadł i zdyscyplinował siebie, jak to czynił Paul, i napisać:

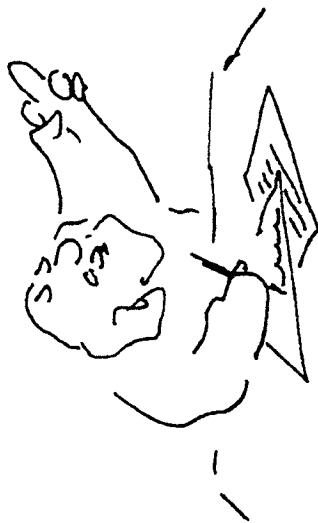
1) swoją biografię,

2) swoją teorię,

3) historie przypadków, wymarzona praca etc.,

4) poezję, skoro musisz.

Ten na dole: Idź do diabła. Znasz mnie lepiej. Jeżeli spróbuję coś rozmyślić i pod presją, będę wściekły i zastrajkuje. Przez całe życie dawałem się nieść...



Niech niosą mnie morskie fale
Po oceanach słów
Niechaj dowodzi taki kapitan
Jak najwyższy kontroler

Pozwólcie spać jak długo chcę
I wolno jeść śniadanie
A potem śmiały wiatr co chłostzcze mnie
I fale, łódź i kolegów na pokładzie.

Niech zatem podróżuję sam
Bez żony i bez dzieci
Bez guru i przyjaciół
I wszelkich obligacji

Niechaj opróżnić wszystkie kufry
Wyrzucę zbędny bagaż
Aż wolny stanę się od śmieci
Co życie mi zagracają.

Dajcie mi żyć i umrzeć jak chcę
Sala rozpraw dla ludu
Samotny typ co żartować chce
I myśleć, bawić się... ot wszystko.

Zatem niech świat, cęła i pszczołki
Pełne będą myśli-emocji
Niech niosą mnie morskie fale
Po oceanach słów.

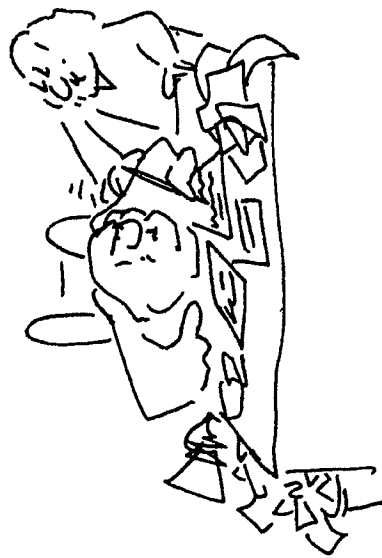
Ten na górze:
Słyszę twą prośbę
I czuję łzy
Żegnaj więc żeglarzu samotniku.

Pościeliłeś sobie
Wykułeś łańcuchy
Ciesz się ciężkim tańcem.

Żegnaj już
lecz jeszcze wróć
I będę się naprzykrzać.

Aż po kres twych dni
Gdy rozstaniemy się.
Poślubiłeś mnie, a nie twą żonę
I myślałeś, że jesteś sprytny.

Bo ty to ja, a ja to ty
I razem też pomrzemy.



Pierwszy czytelnik: Hejże, wy tam, skończcie już z tym sentymentalizmem. Zapłaciłem, żeby przyjrzeć się temu, co robisz. Wyjechałeś z Japonii... dokąd?

Fritz: Do Hongkongu, oczywiście.

Drugi czytelnik: I trafiłeś tam na parę okazji, co?

Fritz: Tak i nie. Dostało mi się wehniane palto za trzydziści dolarów, ale jakieś kuse. Ponadto biała marynarka, którą nosiłem na pokładzie, ale teraz od lat wisi bezużytecznie w szafie.

Trzeci czytelnik: Jaka była sytuacja polityczna?

Fritz: Nie pamiętam. Poszedłem pod drut kolezasty, który oddziela królewską kolonię od Chin, tylko po to, żeby móc powiedzieć, że widziałem czerwone Chiny.

Trzeci czytelnik znowu: Dużo było uciekinierów z Chin?

Fritz: Tak, mieszkali w szatach na wzgórzach i w zatłoczonych blokach. Hej, panowie, co ze mną wyprawiacie? Zadzajecie pytania niczym dziennikarze, traktujecie mnie jak VIP-a, który ma przygotowane oględne wypowiedzi...

Czytelnicy razem: Cicho bądź, Fritz, po pierwsze, jesteśmy wytworem twojej wyobraźni. I to ty sam myślisz, że jesteś VIP-em.

Fritz: No, cóż, przynajmniej się do tego wszytkiego. Chcecie, żebym wykorzystał okazję i mówił o projekcjach.

Czytelnicy: Nie, nie. Chcemy, żebyś mówił dalej o twojej podróży dookoła świata. Powiedziałaś, że szratka została uształowiona na cel — Esalen — na długo, zanim tam pojechałeś, i to musiało mieć związek z twoją podróżą.

Fritz: Racja. Pomimo mojej niespokojnej, cygańskiej natury szukałem miejsca, gdzie mógłbym rozbić namiot na dłużej. Kioto z delikatną ludnością wydawało się jedną z możliwości. Drugą było Elat, w Izraelu.

Czytelnicy: Aha, stary Żyd wraca do domu swych przodków. A myśleliśmy, że jesteś ateistą.

Fritz: Racja. Chociaż doznałem w życiu przynajmniej jednego religijnego doświadczenia, w 1916 roku w okopach Flandrii.

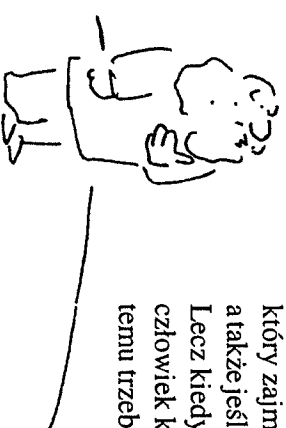
Byłem sanitariuszem w 36. Batalionie Zwiadowczym. Była to jednostka przygotowana przede wszystkim do atakowania wroga gazem trującym. Miałem rozkaz trzymać się oficera medycznego

w trzecim rowie, ale potem został on zmieniony i musiałem przenieść się do bardziej niebezpiecznego pierwszego rowu. Wspierały nas dwie kompanie miotaczy min z gazem trującym. O trzeciej w nocy zaatakowaliśmy i w ciągu minuty skierowała się na nas cała brytyjska artyleria. Dwie godziny piękła, a jednak nie było zbyt wielu rannych, którymi miałem się zajmować. Sam odniosłem powierzchowną ranę czoła, która nadal jest widoczna, kiedy nie jestem opalony, i na niektórych zdjęciach wygląda jak trzecie oko. Później dowiedziałem się, że punkt sanitarny w ziemiance w trzecim okopie przyjął bezpośrednie uderzenie i lekarz z dwoma sanitariuszami zginął.



Podczas powrotnego marszu... zadziwiająco piękny wschód słońca. Poczułem obecność Boga. A może była to wdzięczność albo kontrast między ostrzałem armatnim i błogą ciszą? Kto wie? W każdym razie, to nie wystarczyło, abym się nawrócił. Może Goethe ma rację, kiedy Faust odpowiada Małgorzacie:

Religijny to człowiek
który zajmuje się sztuką
a także jeśli polega na mądrości nauki.
Lecz kiedy brak mu tego wsparcia,
człowiek którego losem pustka...
temu trzeba wiały w Boga.



Słabo to przetłumaczone. Goethe to jedyny poeta, którego nikt nie może przetłumaczyć. Jego język ma zwieżłość, rytm i znaczenie, które traci subtelność, gdy tylko ktoś każe mu mówić obcym językiem.

Mój związek z judaizmem i Żydami jest zdecydowanie niezdefiniowany. Wiem całkiem sporo o historii Niemców, Greków i Rzymian. O historii — nie mogę nawet powiedzieć mojego narodu — nie wiem prawie nic. Żydzi wschodnioeuropejscy w kaftanach i z pejsami, których widywałem za czasów młodości, byli tajemniczy, przerażający niczym mnisi i nie należeli do mojego świata. A jednak kocham Żydów. A jednak kocham żydowskie historie i ich brzemienne spryt. Na moje seminaria często przychodzą Izraelici i szczególnie kiedy są *sabra* (urodzeni w Izraelu), jestem uprzedzony na ich korzyść. Często i szanuję zdrowego Żyda, który jest tożsamy ze swoją religią, historią i sposobem życia. Ich syjonizm ma sens, chociaż patrzyłem i nadal patrzę na syjonizm jak na coś nierealnego, głupiego i sentymentalnego. Większość Żydów nie przyjechała do Izraela w tym duchu. Przyjechali jako uciekinierzy przed Hitlerem i wiele jest miejsc na świecie, gdzie żydowski spyt mógłby sprawić, że pustynie zakwitłyby łatwiej i z mniejszą wrogością. Będąc zrównoważonym, kłaniam się tobie, Izraelu, i twemu machabejskiemu duchowi. Szanujesz Żydów na całym świecie. Nawet amerykański antysemityzm zmniejszył się zdecydowanie. Bycie Żydem nie dyskwalifikuje już kogoś automatycznie z pracy, do której się nadaje. Jeżeli chodzi o uśpio-ny, amerykański faszyzm, celem będą Afrykanie i hippisi, a nie Żydzi, a Afrykanie nie będą cierpieć poddańczo, tchórzliwie, jak robił to europejski Żyd. Zasmakowali wolności i prężą mięśnie.



To pisanie, jak wszystko, dyktowane jest rytmem kontaktu i wycofania. Po napisaniu ostatniej strony poczułem ciśnienie w głowie i zmęczenie. Teraz zmęczenie jest organicznym sygnałem *par excellence* dla wycofania. I znowu czuję to samo zmęczenie po zaledwie dwóch zdaniach...

Wróciłem na kozetkę, by nawiązać kontakt z ciśnieniem, i pojawiło się dawanie sobie rady, co jest polaryzacją o wiele bardziej stosowną niż wycofanie. Kontakt jest obecny w obu sytuacjach. Zbyttno upraszczając: Radzenie sobie to nawiązywanie kontaktu z SZ (strefą zewnętrzną, środowiskiem); wycofanie się to nawiązywanie kontaktu z ŚS (środkową strefą) lub nawet WS (wewnętrzną strefą, czyli własną strefą). Regresja nie jest symptomem neurotycznym, jak widział ją Freud. I z pewnością nie jest charakterystyczną cechą neurastenika. Wręcz przeciwnie, wycofanie się, regresja i ucieczka oznaczają zajęcie pozycji, w której możemy sobie poradzić lub z której otrzymujemy potrzebne wsparcie, lub też w celu zajęcia się ważniejszą, nie dokończoną sytuacją.

Jeżeli zostaje osłabiona elastyczność formacji postać/tło, jeżeli w naszym przypadku radzenie sobie i wycofanie się nie

uzupełniają się nawzajem, to musimy się zajmować chronicznym radzeniem sobie i chronicznym wycofywaniem, a oba symptomy są patologiczne. Chroniczne radzenie sobie znane jest jako fiksa- cja, trwanie przy czymś, przymus, sztuczność itd. Chroniczne wycofanie się znane jest jako „utrata kontaktu”, bycie od- grodzonym, a w ekstremalnych przypadkach jako katatoniczne odrętwienie.

Jeżeli batalion znajduje się w trudnej sytuacji, jest zagrożony anihilacją, utratą ludzi i amunicji, podejmie „strategiczne wycofa- nie”. Wycofa się na bezpieczniejszą pozycję i otrzyma wsparcie, aż niekompletny kształt stanie się całością i znowu będzie miał ade- kwatną liczbę ludzi, sprzętu i właściwy poziom ducha walki.

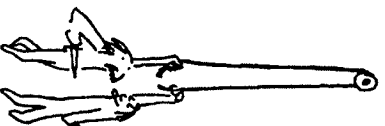
Istnieje pewna historia o dwóch psychoanalitykach. Młody, wyczerpany pod wieczór, pyta swego starszego kolegi: Jak mo- żesz znieść wysłuchiwanie przez cały dzień tych wszystkich asocjacji?

Starszy odpowiada: Kto słucha?

I znowu mamy dwa ekstremna trwania — chroniczne radzenie sobie, często nazywane „ponurą determinacją” — oraz zamyka- nie uszu. Trwanie doprowadziłoby do anihilacji batalionu i pro- wadzi też do wyczerpania młodego terapeuty.

Bankier z czasów czarnego piątku, który identy- fikuje swoje istnienie wyłącznie z robieniem pienie- dzy, trwa przy tym image'u, niezdolny poradzić sobie z rynkiem, nie ma innego wyboru, jak tylko popęlić samobójstwo.

Osoba, która czuje, że nie potrafi poradzić sobie z daną sytuacją, osoba, która nie popuści, często bę- dzie używać najprymitywniejszych sposobów ra- dzenia sobie — zabijania. Innymi słowy, zabijanie i przemoc to symptomy chronicznego radzenia sobie.



W kwietniu 1933 roku, po przejściu władzy przez nazistów, pojechałem do Aitingona, który był prezesem berlińskiego sto- warzyszenia psychoanalitycznego i powiedziałem mu, że widzia- jem ostrzeżenia na murze.

— Nie jesteś nastawiony na rzeczywistość — powiedział. — Uciekasz.

Rzeczywiście, uciekałem. Moją rzeczywistością była niemoż- liwość radzenia sobie z Hitlerem i SS. Jemu zabrakło jeszcze dwa lata, aby zmienić orientację i wyjechać do Palestyny.

O wiele więcej Żydów uratowałoby się podczas reżimu Hitle- ra, gdyby potrafili zrezygnować ze swojej własności, krewnych i strachu przez nieznanym. Wielu mogłoby się uratować, gdyby przewyżczyli inercję i głupi optymizm. Wielu by się uratowało, gdyby zmobilizowali własne środki, zamiast czekać, aż ktoś ich uratuje. Gdyby, gdyby, gdyby...



Obudziłem się rano ociężały i otumaniony. Siedziałem na łóżku odrętwiały, jakby w transie, na podobieństwo pacjentów w szpitalach psychiatrycznych, którzy wycofują się w rozmysła- nia. Duchy, ofiary Hitlera, głównie moje związki z Lore. Odwie- dzają mnie, wytykają palcami: „Mogłeś nas uratować”, obarczają mnie winą i odpowiedzialnością za nich.

Lecz ja trwam przy moim credo: „Jestem odpowiedzialny tylko za samego siebie. Wy też jesteście odpowiedzialni za siebie. Oddalam wasze roszczenia co do mnie, tak jak oddalam jakiegokolwiek wtargnięcie w mój sposób bycia”.

Wiem, że postępuję zbyt twardo. Czuję się sfrustrowany i jednocześnie wiem, że „sam” frustruję „siebie”. Cel, Esalen, najwyraźniej coraz bardziej się oddala. Nawet Elat, gdzie (poza Kinto) ujrzałem inną możliwość osiedlenia się, zdaje się poza zasięgiem.

A jednak czuję się rzeczywisty i zadowolony. Mam kontakt z wszystkimi trzema strefami. Wiem, że siedzę przy moim biurku. Czuje, jak pióro ślizga się po papierze, widzę zagracony blat. Lampa nade mną rzuca cień mojej dłoni na powstające słowa.

Mam także kontakt z moją wewnętrzną strefą, pocuciem zadowolenia, zmęczenia po dniu negocjacji z komisją z Waszyngtonu w sprawie grantu na zbliżające się wystawne centrum, chęci kontynuowania książki.

Mam także kontakt ze środkową strefą, często nazywaną umysłem. W tej strefie mówię wewnętrznym głosem, co często nazywa się myśleniem; pamiętam, planuję, próbuję. Wiem, co sobie wyobrażam, składam przeszłe wydarzenia. Wiem, że nie są prawdziwe, ale nadal są to obrazy. Gdybym uważał je za prawdziwe, miałbym halucynacje, to znaczy niezdolność rozróżniania rzeczywistości od fantazji. Jest to główny symptom psychozy.



Osoba przy zdrowych zmysłach, podejmując grę, powracając do minionych wydarzeń, marząc o spełnieniu w przyszłości i o katastrofach, wie, że znajduje się w stanie „co by było gdyby” i może szybko wrócić do rzeczywistości.

Istnieje jeden wyjątek, który w głębszym sensie nie jest wyjątkiem... sen. Każdy sen ma cechę rzeczywistości. Każdy sen jest halucynacją. Każdy sen jest odbierany jako naturalny. Człowiek nie jest świadom ekstremalnego absurdu sytuacji i wydarzeń. Każdy sen to spontaniczne wydarzenie. Fantazja dla odmiany może być rozmyślna w znacznym stopniu. Najwyraźniej nie ma granic fantazjowania, pod warunkiem że go nie sprawdzamy i nie porównujemy z ograniczającymi możliwościami rzeczywistości.

Wyjazd do Elat wymagałby sporo planowania, czasu, pieniędzy, odkładania zobowiązań itd., wyjazd tam w świecie fantazji jest łatwy, pod warunkiem że nie wymazałem pamięci. Kiedy jadę tam lub, jak lubię to nazywać, kiedy biorę moją maszynę czasu, znajduję się w połowie drogi między Bersheiką a Elat. Parę ruin, bar, stacja benzynowa.

Tankuję swojego volkwagena, którego kupilem w Niemczech kilka miesięcy wcześniej. Konieczność wyjaśniania tej dostawy jest niepokojąca, zakłócająca interesującą sytuację w tym zawieszonym w przestrzeni miejscu. Fakt polega na tym, że samodzielnie przejechałem pięćset kilometrów przez pustynię i wąpie, czy miałbym odwagę tego dokonać, gdybym nie miał chłodzonego powietrzem samochodu, takiego jak volkwagen.

W przeciwieństwie do moich oczekowań jazda przez pustynię wcale nie była nudna. Droga była wąska, ale asfaltowa i przez większą część w dobrym stanie. Poza paroma Beduinami z wielbłędami i namiotami nie spotkałem żadnych ludzi, chociaż z daleka widziałem kibuc i obóz wojskowy. Elat rozczarował mnie... raczej sklecone z blachy baraki niż domy, zakurzone i gorące. A była zima. Z łatwością mogłem uwierzyć w historię o tym, jak nieznosnie będzie tu latem.

Zameldowałem się w hotelu na tyłach luksusowego Elath Hotel. Nienawidzę chromowanych hoteli, gdzie człowiekowi nadskakują przez cały czas. Często czuję się paranoidealnie w ma-

tych, eleganckich hotelach; boje i windziarze jak sępy, pokójówki krążą wokół, narzucają się i są miłe, by zdobyć napiwek.

Wszystko dookoła wydawało się ponure i szare, więc postanowiłem po kilku dniach wrócić do Ein Hod, artystycznej kolonii, gdzie dobrze się czułem, ale... na plaży byli poszukiwacze skarbów, krajobraz i pejzaż morski. Zamiast trwać przy swoim postanowieniu, zostałem tam ponad cztery tygodnie. Nie było żadnego romansu, żadnych kulturalnych atrakcji, plaża kamienista, a nie cudownie piaszczysta jak w Hajfie, ale...

Poszukiwacze skarbów, głównie Amerykanie, zafascynowali mnie. Dzisiaj nazywamy ich hippisami i mamy ich na pęczki. Pewnie, pośród naszej berlińskiej cyganerii znalazł się czasami ktoś, kogo zajęciem było nicnierobienie, ale większość była chętna do działania, by stać się kimś ważnym i coś zrobić z życiem. I wielu to się udało. Spotkałem także bitników, którzy próbowali i poddawali się; żli ludzie walący głowami w żelazne zasady społeczeństwa. Kilka miesięcy wcześniej poznałem studentów zen, którzy porzucili gniew i skwapliwie szukali odkupienia.

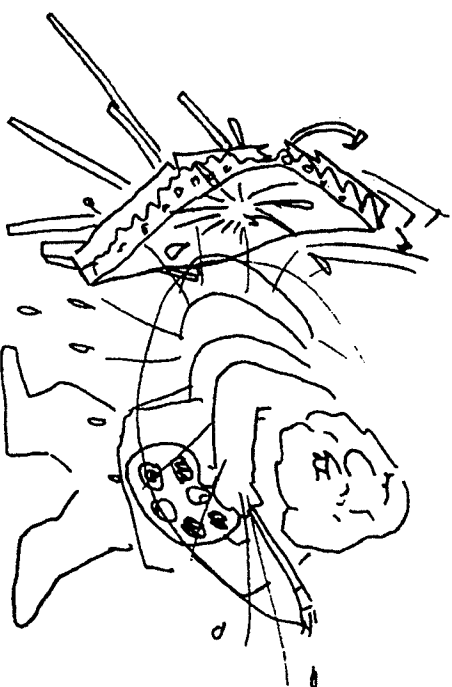
Znalezienie poszukiwaczy skarbów było wydarzeniem. Znalezienie ludzi, którzy byli szczęśliwi, bo po prostu byli, bez celów i osiągnięć. Znalezienie ich, pośród wszystkich tych krajów, w Izraelu, gdzie każdy starał się zbudować trwałą dom. Znalezienie ludzi, którzy nawet nie zajmowali się wakacjami... znacie to opalanie, smarowanie skóry olejkiem, wkładanie ciemnych okularów, plockowanie o figurach na plaży, gadki o diecie i cenach, no i próby rzucenia palenia.

Od czasu do czasu wykorzystywałem jednego z tych ludzi z plaży jako modelu do moich obrazów. W Izraelu malarstwo stało się moim hobby. Aż do Elat nigdy nie malowałem z takim entuzjazmem i zaangażowaniem. Malarze, tacy jak van Gogh, działali pod wpływem impulsu i poszukiwali krajobrazu. Zagubione stare panny poszukują „tematu”. Oto żywy kolor; tutaj, gdzie pustynia Negeb liże Morze Czerwone, otoczona górami Jordanu i Egiptu; tutaj, gdzie słońce wydobywa ze wzgórz barwę po barwie i przedziera się aż pod wodę, gdzie żyją koralie i cu-

downie kolorowe ryby; tutaj oczy mogą zachwycać się barwami i kształtami zmieniającymi się z każdą godziną dnia.

W głębiach Morza Czerwonego żyło stworzenie podobne do węgorza, długie na półtora metra i przynajmniej na jedną trzecią metra szerokie, żywa rzeźba karnazynowopomarańczowa. Fala? Łatający dywan? Błogi spokój stał się rzeczywistością? Widziałem je tylko raz, chociaż kilkakrotnie podążyłem za nim w łodzi ze szklanym dnem.

Nie miałem śmiałości malować tych gór, ale w końcu zdobyłem się na odwagę i oddałem się portretom. Portier z naszego motelu lubił dla mnie pozować. Nadal mam z nim dwa obrazy. Malowałem także akwarele. Olejnymi farbami zawsze mogłem oszukiwać i nadinterpretować, ale przy akwarelach musiałem oddać się subtelny elementom.



Moje najdawniejsze wspomnienie związane z malarstwem to wizyta w Berlińskiej Galerii Narodowej. Miałem chyba osiem lat, kiedy mama mnie tam zabierała. Zafascynowały mnie obrazy nagich kobiet; matka była zażenowana i rumieniała się. Rozpoznałem religijne obrazy takimi, jakie były: propagandą Jezusa Chrystusa. Niektóre obrazy zaskoczyły mnie swym pięknem... wielka, błękitna Madonna Rafaela z aniołkami i *Męczyczna w złotym hełmie* Rembrandta. W szkole rysunki były moim ulubionym przedmio-

tem. Nawet kiedy strajkowałem na wszystkich pozostałych lekcjach, rysunki mi się podobały. Nie, był jeszcze jeden wyjątek... matematyka, która tak mnie wciągała, że nie mogłem się oprzeć udziałowi w niej.

Jak zwykle, nie przygotowywałem się do szkoły. Byłem zbyt- nio zaangażowany próbami zostania aktorem. Wezwano mnie do tablicy, abym rozwiązał jakies trudne zadanie. Popatrzyłem na nie i udało mi się, a profesor zauważył: „Nie taki sposób pokazywa- łem wczoraj. Daję ci piątkę za umiejtność, ale dwóję za pilność”. Byłem ujęty.

Rysowanie zawsze polegało na kopiowaniu rzeczy... cienio- waniu, perspektywie. Było takie przez długi czas. Słabo potrafi- łem oceniać sztukę, głównie opierało się to na sławie malarza. Zajął mi dużo czasu, zanim w Picassie ujrzałem rzeźnika, jakim jest, w Gauguinie wytwórcę plakatów, w Rousseau „rzeczofika- tora”. Paul Klee budzi we mnie coraz większą sympatię. Dziś ko- van Gogha fascynowała mnie i rzuciła na podłogę. Sufit w Ka- plicy Sykstyńskiej autorstwa Michała Anioła jest niczym ukocha- ny bliski krewny, którego szanuję z niewzruszoną lojalnością. Rembrandt dla mnie jest jak Goethe... zjednoczone „ja”... trans- cendentalny ośrodek przepiękny intensywną vitalnością. Kie- dyś przez godzinę siedziałem przed jego *Nocną strażą* w Reicks- museum w Amsterdamie.

Czasami pragnę jakiegoś obrazu i wtedy muszę go kupić. Oczywiście nie zawsze jest to możliwe. Malarz może być sławny, a ja nie jestem ani bogaczem, ani kolekcjonerem sztuki. Oczywiście gdybym był łakomy i sprytny, mógłbym kupować obrazy za pięćset dolarów, które zarobiłem w Bremerhaven, ale wtedy może nie potrafiłbym ich zostawić i skończyłbym w obozie koncentra- cyjnym albo obrazy zostałyby spalone jako zdegenerowana sztuka. Zatem wróciliśmy do „gdyby ciocia miała wasy...”.

Po powrocie do Stanów zacząłem poważniej traktować malar- stwo. Życie na świeżym powietrzu i sporty Afryki najwyraźniej zniknęły w Nowym Jorku, mieście z kamienia, mieście pośpiechu i kultury. Lore trochę pisała, poezję i krótkie opowiadania. Miała też pianino. Dobrze grała, a w młodości nawet zastanawiała się

czy wybrać karierę pianistki, czy może iść na prawo, a potem na psychologię.

Zostałem zawodowym niewolnikiem na godziny z wyjątkiem długich letnich wakacji w Provincetown na Cape Cod. Jeździ- jśmy tam co roku latem, a Lore jeździ nadal. Dla mnie to miejsce zostało zniszczone po tym, jak „oni” odebrali mu niewinność, a w zapłacie darowali brzydotę. W zasadzie to przesadzam. Letni- tium składał się z rybaków, artystów i psychoanalityków. Wkrót- ce zająłem się żeglowaniem i malowaniem. Podobnie jak to było z lataniem, wołałem samotne żeglarstwo. Podobnie jak latanie uwielbiałem wielką ciszę po wyłączeniu silnika i szybowanie ku ziemi.



Nigdy nie przypadło mi do gustu wędkarstwo i złapałem tylko jakiś narybek i jedną flądrę.

Malarstwo pochłonięło mnie intensywnie, nieomal do granic obsesji. Wkrótce zacząłem zmieniać nauczycieli, jednego po drugim. W Ein Hod w Izraelu czyniłem podobnie.

Podoba mi się atmosfera klasy, gdzie uczniowie zazdrośnie współzawodniczą i dumnie obnoszą się ze swoimi osiągnięciami. Podoba mi się zatapianie w izolacji, która towarzyszy związkowi między obiektem a płótnem. Lubię zwiastuna grup spotkań, ze wzajemnym chwaleniem i krytykowaniem własnych „dzieł”. Podoba mi się fakt, że płótno to jedyne miejsce, gdzie można popełnić dowolną zbrodnię i nie zostać ukaranym.

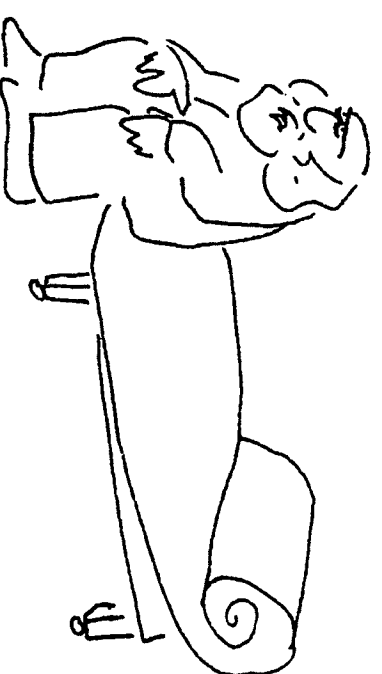
Lubiłem prawie wszystkich moich nauczycieli, z ich stereotypowym powiedzeniem: „Chcę jedynie, abyście wyrazili siebie”, ukrywającym drugą część zdania: „dopóki robicie to po mojemu”.

Malarem stałem się zaledwie kilka lat temu. Nauczyłem się sporo sztuczek, technik, kompozycji, mieszania kolorów. Wszystko to przyczyniło się zaledwie do wzmocnienia syntetycznego Fritza, rozmyślnego, skomputeryzowanego, analitycznego podejścia do życia. Rzadko zbliżałem się do rzeczywistości samoprotekcji na płótno.

Pewnie, parę obrazów sprzedałem; wiele wisi teraz u mnie na ścianach. Wiele może z powodzeniem współzawodniczyć z obrazy przeciwnego amerykańskiego malarza, który chce być inny od swoich kolegów, a wykazuje tylko tę samą nudzącą jedność z potrzebą bycia innym, przymusem posiadania własnej sztuczki, które wówczas może nazwać stylem.

Lecz kilka lat temu „to” zgrało się z kilkoma akwarelami. Pewnego dnia — mañana — znowu będę malować.

W pewnym sensie porównuję to do mojego obecnego pisania, które nagle, po tylu dziesięcioleciach, „zaskoczyło”. W obu przypadkach, pisanie i malowanie, wiem, że muszę pokonać status amatora i to musi się rozwinąć z symptomu w zawód.



W końcu wróciłem do Stanów, nadal dźwigając na barkach niezadowolone z własnego zawodu, ciężki ładunek na zgarbionych plecach. Doszło do spotkania w Amerykańskiej Akademii Psychoterapeutów oraz trzech wyróżniających się wydarzeń. Byłem chory na serce, miałem atak duszniczy bolesnej, który był dość niewygodny i położył mnie do łóżka na cały dzień.

Drugie to początek przyjaźni z piękną, nieugiętą i potężną Irmą Shepherd... inteligentną, ciepłą, upartą i bojącą się własnej witalności.

Trzecie to wybuch rozpaczy, jakiego doznałem podczas sesji grupowej. Ten wybuch był prawdziwy. Gwałtowny szloch, niezwracanie uwagi na obcych, *de profundis*. Ów wybuch wystarczył. Później potrafiłem na nowo ocenić moje stanowisko i znowu pragnąłem podjąć wykonywanie zawodu.

Zapisując to, dokonałem odkrycia: z mojej teorii nerwicy. Przede wszystkim chcę zrobić tabelę. Pięć poziomów nerwicy nie jest wyrażnie wydzielone, ale jako myśl przewodnia do zrozumienia taki pogląd jest użyteczny:

- a) warstwa stereotypu,
- b) role i gry,
- c) implozja,
- d) impas i eksplozja,
- e) autentyczność.

Stereotypy są zarówno skostniałe, jak i sprawdzają grunt... Jak się masz? Ładna pogoda. Skinienie głową. To po prostu sugeruje uznanie istnienia innej osoby. Nie oznacza akceptacji, chociaż roztropnie wstrzymywanie jest afrontem. Sprawdzam drugiego. Czy zamierza wejść w dyskusję o pogodzie lub innym neutralnym temacie? Czy możemy przejść stąd na nieco bardziej niepewny grunt?

Czyniąc tak, wchodzimy na poziom gry, odgrywania ról. Warstwę tę możemy nazwać domeną Erica Berne'a lub Sigmunda Freuda. Preferencje daje się grom „więcej niż ty”: „Mam samochód nowszy od twojego”, „Moje nieszczęście jest bardziej żałosne niż twoje”. Liczba gier jest bardziej ograniczona niż liczba ról, chociaż tych drugich jest zdecydowanie mniej w kategoriach Freuda: tato, mama, jędra, dziecko itd. Berne jest zbieżny z rolami Freuda, lecz także z brzydkimi ropuchami, które zamieniają się w królewiczów.

Większość ról to okazja do manipulacji... twardej, bezradnej, grzecznej, uwodziciel, dobry chłopiec, ten, co bije, lizus, żydowska matka, hipnotyzer, nudziarz itd., itp. Wszyscy oni chcą wpłynąć na ciebie w taki czy inny sposób. Nieożywione role są dość częste... góra lodowa, ognista kula, buldożer, galareta, gibraltarska skała etc.

Dzisiaj po południu nakręciłem dialog z hinduskim swami, aharishim. Jego domeną było dość stereotypowe nawiązywanie kontaktu z „nieskończonym” dla rozwoju najwyższego potencjału. Jako że on udawał głuchego lub, w najlepszym razie, gdał, co prawdopodobnie miało oznaczać śmiech, nie mogłem dojść, na czym ów potencjał polegał i w jaki sposób ta medytacja odnosi się do naszej prostszej techniki radzenia sobie/wycofania. A jednak ma dobre oczy i śliczne dłonie. Osobiście uważam, że to



nudziarz, i mnie by się nie chciało odgrywać świętego dla całej stawy i pieniędzy świata. Jego rola i gra skostniały, chociaż podejrzewam, że musi istnieć sytuacja, kiedy jest w stanie podjąć inne role. Czasami znajduje się ludzi po drugiej stronie skali. Helene Deutsch nazwała ich typem „a gdyby”; ludzi, którzy mają tysiące ról w repertuarze.

Klasycznym przykładem ograniczonego odgrywania roli jest Doktor Jekyll i Mr Hyde lub trzy twarze Ewy. Oba przypadki znajdują się poza zachowaniem „jak gdyby”. Oba przypadki wykazują prawdziwą dysocjację. Oba przypadki są odmienne od przeciętnej dychotomii, na przykład urzędnika bankowego, który odgrywa liżącego tyłek w biurze, a tyrana w domu.

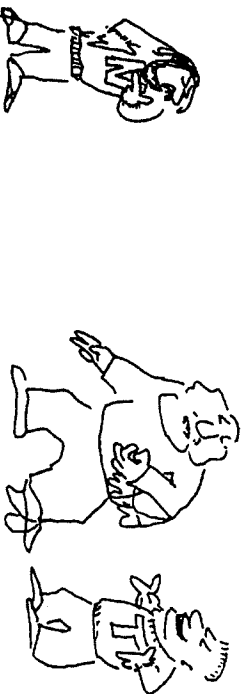
Jerry Greenwald przysłał mi monografię, która w pewnym stopniu wiąże się z naszym tematem. Rozróżnia on dwa typy ludzi: ludzie T i ludzie K. T oznacza toksycznych, a K karmiących. Mogę zweryfikować jego odkrycia, chociaż także często widzę formy niszczące. Zrozumienie rytmu radzenia sobie/wycofania może zaoszczędzić ci wiele stresu; zrozumienie T i K może w znacznym stopniu poprawić twoją vitalność, a nawet uratować cię przed sporym nieszczęściem. Wszystko, czego ci trzeba, to trochę zainteresowania tym zjawiskiem.

Wyjątkiem byłaby sytuacja, gdybyś sam był typem T, ale nawet wtedy mógłbyś znaleźć kogoś, kto jest bardziej trujący od ciebie.

Wpierw należy znaleźć ekstrema T i K. Jacy ludzie i sytuacje wyczerpują cię i irytują, a którzy sprawiają zadowolenie i promienienie? Którzy podają ci truciznę w słodkiej polewie? Zwracają szczególną uwagę na pytania, dają rady, doprowadzają do szaleństwa, wrzeszczą lub mają usypiający głos?

Kiedy już jesteś pewien, przyglądaj się uważnie każdemu zdaniu, tonowi głosu, manieryzmowi. Ekstremalne przypadki to jękanie, grymasy. Co wywołuje u ciebie niewygodę? Czy czujesz konieczność odpowiadania na każde pytanie?

Wspaniałą grę można rozegrać między dwoma znajomymi. Przez kilka dni obserwuj uważnie każde zdanie i wszystkie inne formy zachowania. Gdy już „zaskoczy”, nigdy nie stracisz instynktu preferowania typu K nad T.



Arthur Schnitzler stwierdza w *Paracelsusie*: „Zawsze gramy, ale tylko mądryzy wiedzą o tym”.

To prawda. Często musimy odgrywać rolę... na przykład, by rozmyślnie zachowywać się jak najłepiej... ale przymusowe, manipulacyjne odgrywanie roli, które zastępuje szczere samowyróżanie, może i musi zostać przezwyciężone, jeżeli chcemy dorosnąć.

Przeciwnie ekstrema odgrywania roli to powołanie i udawanie. W pierwszym przypadku wykorzystujemy rolę jako pojazd do przekazania swojej esencji. Jesteśmy wspierani przez własne umiejętności, szczere uczucia i czułość. Jesteśmy typem K. Podczas udawania brakuje tego samozaangażowania. Imitujemy emocje, których nie ma, brakuje nam pewności co do własnych zdolności. Mówiąc krótko, jesteśmy oszustami.

Z punktu widzenia psychiatrii najważniejszymi i najbardziej interesującymi rolami są te introjektowane. Freud nie rozróżnia

między introjekcją a dawaniem sobie rady, co jest procesem uczucia się.

Introjekcja to dybuk. Ktoś, kto opętał pacjenta i istnieje poprzez niego. Dybuk to, jak każdy inny prawdziwy przedmiot, obce ciało w pacjencie. Zamiast być w sferze zewnętrznej, jak osoba, którą można spotkać, zajmuje dużą przestrzeń w sferze środkowej. Pacjent, zamiast stosować samoregulację, nastroić się do dominacji pierwszy plan/tyło, jest kontrolowany przez potrzeby i wymagania dybuka. Nie może stać się sobą, dopóki dybuka nie wygoni egzorcysta.

Trafiłem na ekstremalny przypadek dybuka jakieś dziesięć lat temu, podczas kongresu Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologów w San Francisco. Jeden z uczestników w warsztatów miał trupio-woskową twarz. Wyglądał na przypadek zapalenia mózgu, ale bez symptomów uszkodzenia rdzenia. Całe jego zachowanie i zapach przypominały mi atmosferę trupa. Przywykłem polegać na własnej, często ponadnaturalnej intuicji i zapytałem go o ukochaną osobę, którą utracił. Okazało się to prawdą, była nagła śmierć, nie było żałoby — by użyć terminu Freuda — żadnych też i „pożegnania”, rozstania, pogrzebu. Ta osoba kontynuowała swe istnienie, nie — jak to często bywa — w charakterystycznych cechach, manieryzmie i sposobie myślenia, ale jako trup.

Kazałem mu spotkać się z jego dybukiem, zmobilizować żal i pożegnać się z nim. Oczywiście nie mogliśmy dokonać czyściwości pogrzebowej podczas jednej sesji, osiągnąć pełne zamknięcie, wyrugować symptomy, ale ów człowiek stał się bardziej ożywiony, chociaż nie w pełni żywy. Policzki straciły woskowość, chociaż jeszcze nie uzyskały żywych kolorów, a jego krok stał się bardziej elastyczny, choć jeszcze nie taneczny.

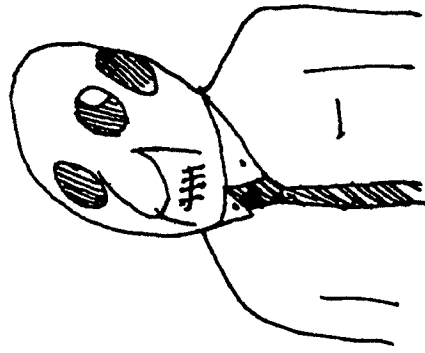
Jednym z psychologów, którzy uczestniczyli w tej grupie, był Wilson van Dusen, egzystencjalista. Zapropomował mi wyjazd na Zachodnie Wybrzeże i pracę w szpitalu stanowym w Mendocino. Z radością przyjąłem tę propozycję. Chciałem wyjechać z Miami. Marty odrzuciła mój pomysł poślubienia jej. Byłem za stary. Ona nie chciała zrezygnować z bezpieczeństwa swego małżeństwa i narażać pseudobezpieczeństwa swoich dzieci.

Wynająłem mieszkanie w San Francisco. Przyczepiło się do mnie dwóch takich; poza tym nie miałem zbyt wiele do roboty na praktyce. Zrobiłem, co do mnie należało w szpitalu, i nie miałem nic przeciw dwustumilowej przejażdżce po pięknej krainie sekwoi. Tam polubiłem Paula, psychiatrę uwielbiającego pracę na roli i wychowywanie dzieci. Rozegraliśmy niejedną ekscytującą partyjkę szachów.

Z początku byłem blisko Wilsona. Szanowaliśmy siebie nawzajem. Lubilem jego dzieci, często zostawałem u niego na noc. Czasami jechałem na tylnym siedzeniu jego motocykla. W młodości miałem dwa motocykle, ale to siedzenie dla pasażera w moim wieku to coś innego (wtedy miałem około 65 lat). Z początku bałem się i byłem spięty, ale wkrótce pokonałem strach i polubiłem te przejażdżki. Raz (nie pamiętam okazji) jego żona rzuciła coś do mnie i rozbiła mi zegarek.

Podczas pracy w szpitalu zapoznałem się z LSD i dość często bywałem na haju, nieświadom powolnego poddawania się paranoi i irytacji. W każdym razie między mną a Wilsonem zapanowała niechęć, więc wkrótce przeniosłem się do Los Angeles. Wkrótce znowu go zobaczyłem i po kilku dniach mu przeszedło, znowu było między nami dobrze.

Jednym z jego osiągnięć było odkrycie, że osoba cierpiąca na schizofrenię ma dziury w osobowości. W tym samym artykule

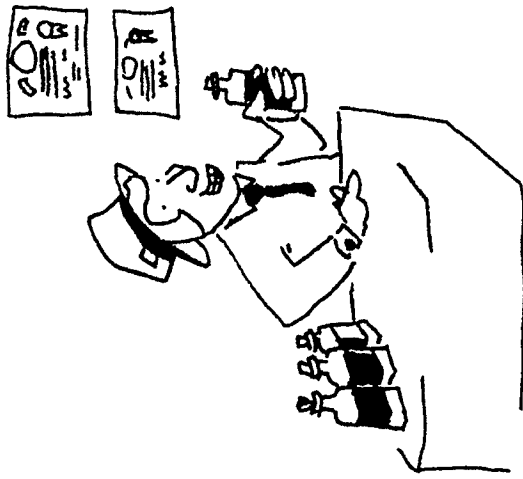


namnienia, że egzystencjalna psychiatria i teoria pozbawiona jest praktycznej i stosownej techniki oraz że moje podejście to właśnie zapewnienie. Później podążyłem z ideą dziur i odkryłem, że ma to zastosowanie wobec nerwicy. Jeden neurotyk nie ma oczu, wielu nie ma uszu, inni nie mają serca lub pamięci albo nóg. Większość neurotyków nie ma środka.

W zasadzie teza ta jest kontynuacją ograniczonego pojęcia Freuda stwierdzającego, że neurotyk nie ma pamięci; cierpi na amnezję. Freud obwinia jego amnezję nie tylko za niepełny rozwój pacjenta, lecz także za jego „granie”.

Wilson i ja twierdziliśmy, że istnieje dużo więcej dziur odpowiedzialnych za niekompletność pacjenta. Ktoś może mieć dobrą pamięć, ale brak pewności siebie lub brak duszy albo uszu itd. Te dziury mogą zniknąć, nie przez wypełnienie ich „nadmierną kompensacją”, ale przez zmianę sterylnej pustki w żywną pustkę. Zdolność dokonania tego zależy od zrozumienia nicości. Sterylna pustka odbierana jest jako nicość, żywna pustka jako coś wyłaniającego się.

W młodości uznawałem Freuda za mojego gotowego i niezaczalnego zbawcę. Byłem przekonany, że zniszczyłem pamięć



na skutek masturbacji, a system Freuda skupiał się zarówno wokół seksu, jak i pamięci. Byłem także przekonany, że psychoanaliza stanowiła jedyny sposób leczenia.

Wezwaliśmy osobę, która obiecała wyliczenie bez płacenia szarlatanowi. Freud był rzetelnym naukowcem, błyskotliwym pisarzem i odkrywcą wielu tajemnic „umysłu”. Żaden z nas, prawdopodobnie z wyjątkiem samego Freuda, nie rozumiał przedwczesności psychoanalizy względem leczenia; żaden z nas nie widział psychoanalizy we właściwym kontekście. Nie widzieliśmy jej takiej, jaka rzeczywiście była: projektem badawczym.

Dzisiaj wydajemy miliony i spędzamy lata, testując bezpieczeństwo i skuteczność każdego leku, który wchodzi na rynek. Nie postępowano w taki sposób z psychoanalizą, żadnych testów nie było i nie ma, a sami psychoanalitycy z przerażeniem podchodzą i podchodzili do testowania ich metody. Rząd jest surowy w sprawie lekarstw; każdy stan postępuje surowo, przyznając licencje praktykującym psychoterapeutom; a jednak psychoanaliza we wszystkich swych formach i pod różnymi nazwami umknęła oficjalnemu nadzorowi za sprawą powszechnej i milczącej zgody.

Pewien neurolog skarżył mi się na kiepską pamięć. Odkryłem, że nie potrafi przypomnieć sobie przypadków z okresu trzech lat. Ów okres zbiegał się z trudnościami w małżeństwie. A teraz decydujący moment. Ta represja nie była przyczyną amnezji, ale sposobem, w jaki potrafił swoje neurotyczne nastawienie wobec tego bolesnego wspomnienia. Aby być pewnym, wyznał wszystko, co zdarzyło się podczas tych lat. Teraz Freud zgodziłby się ze mną, że ozdrowienie to nie wszystko, chociaż utrzymywał także, że integracja zachodzi samoistnie. W tym przypadku twierdziłby, że pacjent musi „przebrnąć” przez swoją sytuację.

Oczywiście dopóki pacjent blokuje swoje wspomnienia, utrzymuje niepełny kształt. Jeżeli zechce przebrnąć przez ból nieszczęścia i rozpaczy, natrafi na blok; dojdzie do porządku ze swymi niechęciami i naprawi pamięć, nie wyłączając wszystkich doświadczeń, które nie są bezpośrednio połączone z nieszczęśliwym małżeństwem.

Lore, podobnie jak Goethe, ma pamięć wzrokową. Wzrokowcy muszą po prostu zamknąć oczy i przyjrzeć się obrazkom, które opowiadają im historie z fotograficzną dokładnością. Mogę wywołać tego typu pamięć za pomocą psylocybiny, psychodelicznego grzybka.

Większość ludzi doznaje tego przed zaśnięciem. Ja jedynie po jeździe samochodem lub podobnych doświadczeniach. Większość mojej wzrokowej pamięci spowija mgła, a moje hipnogeniczne halucynacje (obrazy przed zaśnięciem) mają przeważnie naturę schizofreniczną. Tak jak sny, napisane są szyfrem i znikają, gdy tylko próbuje je złapać świadomym intelektem. Podejrzewam, że mgła wiąże się z moim paleniem. Poza jałowymi spekulacjami nic do tej pory w tej sprawie nie zrobiłem, ale wiem, że i ten problem rozwiążę. Od chwili rozpoczęcia pisania tej książki już wydarzyły się trzy rzeczy.

Po pierwsze, pierwotna nuda, przyczyna pisania, zamieniła się w ekscytację. Dzięki temu widzę więcej i lepiej. Wiele tego podniecenia, które przekładało się na system motoryczny (popisywanie się), „masturbację i wywoływanie agresji u ludzi, nie wpływało do systemu sensorycznego. Jestem teraz coraz bardziej zadowolony, kiedy patrzę i słucham.

I w końcu, zauważyłem, że podczas ostatnich miesięcy zwiększyły się okresy zmęczenia. Jako terapeuta zwykłem zapadać w półsen, a rzadko w pełen, kiedy tylko pacjent zanudzał mnie hipnotycznym głosem lub nie nawiązywał ze mną kontaktu. Ostatnio wycofywałem się trochę mniej, pozostawałem na środkowym gruncie, a od niedawna zostaję w kontakcie ze zmęczeniem i światem. Oba one integrują się w o wiele bardziej uważne słuchanie niż przedtem.

Jeśli chodzi o niedomagania mojej pamięci w wieku dojrzewania, to ona w zasadzie w ogóle nie istniała. Popelniałem te same błędy, jakie często popełniałem później. Obwinałem siebie, kiedy powinienem był nie cierpieć kogoś innego. Nie miałem pamięci do dat na historii i słówek na łacinie. Oba przedmioty były wyrwane z kontekstu, obce, nieznane. Innymi słowy, moja zła pamięć okazała się dobra. Nauka słownictwa oznaczałaby usta-

wiczne zakuwanie i powtórki; to znaczy artefakty. Wykazałem, że w kontekście nie mam trudności w absorbowaniu interesującego materiału. Jako przykład podałem sposób, w jaki nauczyłem się angielskiego. Mój zasób słownictwa nie jest bogaty, ale adekwatny i stosowny.



Sytuacja w Los Angeles wcale nie była trudna. Byłem tam już kiedyś, w roku 1950. Gdzienigdzie w profesjonalnych sferach już pojawiał się zainteresowanie. Jim Simkin stał się pierwszym w Kalifornii terapeutą gestaltycznym.

Zainteresowania Jima gestalem sięgają czasów studiów. Uczył się w Nowym Jorku ze mną i Laurą (Lore zamerykanizowała sobie imię). Teraz, po studiach i częstszych spotkaniach ze mną, w kontekście towarzyskim i na poły profesjonalnym, pojawiła się pewna liczba trudności. Był uparty, trzymał się konwencji, nazbyt pedantyczny, wielką miłością darzył małe grono przyjaciół. On i jego żona Anna są żydowskiego pochodzenia i nadal silnie zaangażowani w judaizm. Wiem, że on szanował mój geniusz i nie cierpiał mojej beztrojski i wyluzowania. Z biegiem lat stał się bardziej spontaniczny i otwarty, z powodzeniem wykorzystywał swoją dokładność w bardziej specyficznym stylu w terapii gestaltycznej. Ostatecznie staliśmy się dobrymi i zaufanymi przyjaciółmi.

Zainteresowanie moją pracą rosło, ale nie czułem się akceptowany. Nawet osoby zawodowo związane pracą ze mną staran-

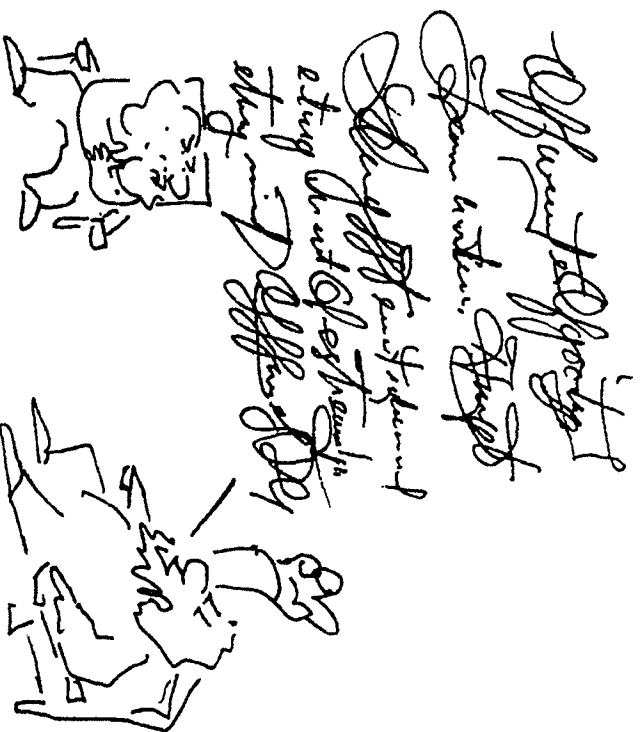
nie nie identyfikowały się z terapią gestaltyczną ani z tym szaleńcem, Fritzem Perlssem.

W jednej z moich grup był człowiek, który interesował się „peryferyjnymi” sprawami — jogą, masażem, terapią, świadomością sensoryczną Charlotte Selver. Nazywał się Bernie Gunther. Jest dobrym organizatorem... niezbyt twórczy, ale zdolny do zsynchronizowania oraz dobrego wykorzystania tego, co czerpie z różnych źródeł. On, podobnie jak Bill Schutz, z pewnością pociąga za sobą ludzi. Jestem nieomal pewny, że wdrapie się na sam szczyt drabiny.

Zorganizował dla mnie kilka wykładów w Los Angeles. Byłem zaskoczony tłumem ludzi. Nie uświadamiałem sobie jeszcze, że terapia gestaltyczna zaczęła się zakorzeniać.

Na Boże Narodzenie 1963 roku zaproponował mi udział w warsztatach w środkowej Kalifornii, w miejscowości o nazwie Esalen. Cel Esalen został trafiony w samą dziesiątkę strzałą Fritza Perlsa. Krajobraz porównywalny z Elat; piękni ludzie w personelu, jak w Kioto. Okazało się, że Cygan znalazł dom i wkrótce osiedlił się. Znalazł też coś jeszcze. Pocieszenie dla chorego serca.





Współczesny człowiek żyje i porusza się między ekstremami konkretności i abstrakcji. Poprzez konkret zazwyczaj rozumiemy te rzeczy, fakty i procesy, które z zasady są dostępne dla każdego, które należą do *Umwelt* każdego z nas — otoczenie, osobisty świat, strefa odmienności, strefa zewnętrzna.

Jeżeli spotyka się dwoje lub więcej ludzi, wówczas ich zewnętrzne światy nałożą się na siebie w znacznym stopniu. *Umwelt* stanie się *Mitwelt* — światem powszechnym, wspólnym środowiskiem. Na powierzchni zajmują się tymi samymi faktami i sprawami. Gdy tylko zajrzymy nieco głębiej, rozpoznamy fałsz tego zbytniego uproszczenia, ponieważ wiele spraw i faktów ma bardzo odmienne znaczenie dla każdego z nas, w zależności od

konkretnych zainteresowań i potrzeb zakończenia sytuacji braku równowagi każdego osobnika.

Weźmy jako przykład wycieczkiwany numer rodzinnej gazety niedzielniej. Doszłoby do bezpardonowej walki o gazetę, gdyby nie różnorodne zainteresowania. W obecnej sytuacji ojciec bierze pierwszą sekcję, matka strony dla pań, wykształcona córka dział literacki, starszy brat dobiera się do stron ze sportem, ubodzy duchem dostają komiks, polityk przegląd wydarzeń ze świata. Nie jest to przykład abstrakcyjny. Gazeta została dokładnie podzielona między członków rodziny.

Teraz przyjrzyjmy się ogłoszeniom drobnym. Czy nikt poza korektą nigdy nie czyta ogłoszeń? McLuhan twierdzi, że wszystkie ogłoszenia to dobre wiadomości; przechodzimy do danej pozycji, która obiecuje zadowolenie. Tym razem członkowie rodziny zostawiają ten dział nieknięty i wybierają jedynie to, co ich interesuje. Mamy wybór. Możemy wyciąć ogłoszenie; w tym przypadku odejmujemy, gazeta jest mniejsza niż przedtem. Możemy także abstrahować poprzez kopiowanie lub zapamiętanie i zostawić gazetę niekniętą.

Jeżeli przepisze ogłoszenie, kopia ta nadal należy do ZS; jeśli pamiętacie, wchodzi do SŚ, a jeśli cieszyć się ze znaleziska, dociera nawet do SW, strefy siebie.

W tym momencie nie chcę mówić o poziomach i ekonomii abstrakcji. Mamy tyle, ile trzeba, by zrobić następny krok, ale pragnę nadmienić, że najwyższy stopień abstrakcji to liczba, gdzie każdy konkret został oddzielony nawiasami, gdzie każda cecha jest opuszczona, a pozostaje jedynie liczba przedmiotu, faktu lub procesu.

Podczas gry w liczby niemożliwe staje się możliwe. Na przykład osoba żyjąca w Afryce Południowej może być gryziona przez mokiity raz, dwa razy dziennie, natomiast liczba ta znacznie wzrośnie, jeżeli ten ktoś mieszka w Kenii.

Pozwólcie, że powtórzę grę w litery. T oznacza toksyczny, K karminowy, S oznaczało strefę lub miejsce, gdzie dochodziło do wydarzeń. To umiejscawianie nosiło nazwę topologii. Przelotnie rozróżniliśmy SZ, strefę zewnętrzną i SW, strefę własną,

inaczej miejsce w obrębie skóry, nadmienilem też, że w obrębie SW występuje DMZ, która nie dopuszcza do bezpośredniego porozumiewania się między tym, co własne, a obce, która nie dopuszcza nas do „bycia w kontakcie”. DMZ często jest nazywana „umysłem” lub świadomością, co doprowadza do zamieszania w tym, co się faktycznie dzieje. Jeżeli mam ochotę, jestem jej świadom, ale jeśli powiem, że ta ochota jest w moim umyśle, mogę zostać oskarżony o szaleństwo. Scjentolodzy dobrze wykorzystują tę niejasność. Zazwyczaj rozpoznają praktyków scjentologii i ich dzieci dzięki temu rodzajowi niejasności.

Jedną z tych dwóch osób, które się mnie uczepliły w San Francisco, była kobieta w średnim wieku, moja pacjentka ze schizofrenią z Miami. Została wychowana w duchu i moralności Kościoła scjentologicznego. Każdy sygnał, który odbierała, zostawał natychmiast zniekształcony i wykorzystany przez jej zwoźniczy system.

Jeżeli nazwiemy „umysł” fantazją i użyjemy teorii świadomości, to staniemy na solidnym gruncie rzeczywistości. Termin „fantazja” zajmuje kluczową pozycję w mojej filozofii gestaltycznej. Jest tak samo ważny w naszej społecznej egzystencji, jak tworzenie się kształtu dla naszego biologicznego istnienia.

Dość często przeciwstawia się fantazję racjonalności, co znaczy, że fantazja lub wyobraźnia jest sprawą „peryferyjną”, a racjonalność nazywa się epitomą czystego umysłu. Wykorzystuję fantazję i wyobraźnię synonimicznie, chociaż wyobraźnia ma nieco bardziej aktywne konotacje.

Chcę wyjechać na wakacje. Zatem planuję. Planowanie to racjonalna fantazja. Mogę wykorzystać rek wizyty z SZ takie jak mapy, porady biura podróży itp., ale głównie fantazjuję w formie wycekiwania, potrzeb i pamięci. Wówczas redukuję lub powiększam moją fantazję albo po naradzie z agentem biura podróży podejmuję decyzję, która pasuje do moich potrzeb, czasu i portfela.

Wspominałem wcześniej, że wszystkie teorie i hipotezy to fantazje, które mają wartość tylko wtedy, gdy pasują do namacalnych faktów. Innymi słowy, racjonalna fantazja to to samo, co rozumiemy przez powiedzenie „zdrowy rozsadek”.

Czytelnik: „W porządku, Fritz, tyle rozumiem. A co ze wspo-

mnieniami? Najwyraźniej je włączasz. Jeżeli mieszasz fantazję i wspomnienia, to albo jesteś kłamcą, albo ci się pomieszało”.

Racja. Mówimy o pamięci, na której można polegać, co już tworzy wątpliwość co do ogólnego zastosowania. Teza brzmi: Każde wspomnienie jest abstrahowaniem od wydarzenia. Nie jest ono samym wydarzeniem. Jeżeli czytasz gazetę, sama gazeta pozostaje w strefie zewnętrznej. Nie zjadasz, nie połykasz ani nie trawisz samego namacalnego papieru. Co więcej, wybierasz to, co cię interesuje. Ponadto ilość pojawiających się informacji wybierana jest przez zdolności obserwacji samego reportera, jego możliwości i prawdopodobnie przez potrzebę zdobywania sensacji.

Czytelnik: „Zgadzam się, ale jeżeli czegoś doświadczam, mogę to pamiętać bardzo wyraźnie”.

Ile z doświadczenia pamiętasz? Jak bardzo jesteś stronniczy? Ile pamiętasz z tonu głosu, z wahania? Czy przełknąłeś to zdarzenie, czy wspominasz i wracasz do wydarzenia w rzeczywistości... co jest niemożliwe, gdyż samo wydarzenie należy do przeszłości, a powracamy do niego teraz. Ten właśnie powrót daje ci znacznie więcej — i jednocześnie o wiele mniej uprzedzeń — materiału niż skostniałe wspomnienia, które już są zależne od obecnego nastawienia, sympatii lub niechęci.

Na temat uprzedzeń i selektywności pamięci przeprowadzono wiele badań wśród, powiedzmy, obserwatorów wydarzenia. Szkoda, że nie widzieliście obrazu pod tytułem *Rashomon*. Wówczas moglibyście doświadczyć, jak odmiennie każda osoba interpretuje te same zdarzenia, według potrzeb własnego systemu samooceny. Innymi słowy, nawet najbardziej dokładna obserwacja jest abstrakcją. Widzę, że musiałbym napisać o wiele więcej stron, by wyjaśnić zasadniczą pozycję fantazji.

W psychopatologii najważniejsze fantazje to te, podczas których pacjent nie uświadamia sobie ich irracjonalności. Najbardziej ekstremalny przypadek to paranoidalny schizofrenik, który wyobraża sobie i święcie wierzy, że lekarz chce go zabić. By temu zapobiec, przechodzi do SZ. Oznacza to, że naprawdę zabija lekarza strzałem z pistoletu.

Wielu z nas ma katastroficzne fantazje, nie przejmując się

sprawdzaniem ich racjonalności, doprowadza do fobii i nie chce podjąć rozsądnego ryzyka.



Wielu z nas ma anastroficzne fantazje, nie sprawdza ich według własnej racjonalności, zaniedbuje się i nie chce podejmować rozsądnych środków ostrożności.

Niektórzy z nas zrównoważyli katastroficzne i anastroficzne fantazje; mamy perspektywę i racjonalną odwagę.

Role i gry prowadzone w fantazji mają nieskończone wersje, od ekstremalnych samotortur po nie kończące się spełnianie życzeń.

Chciałbym teraz skończyć. Muszę jednak przejść do abstrakcji, która stworzyła fantazję istnienia „umysłu”.



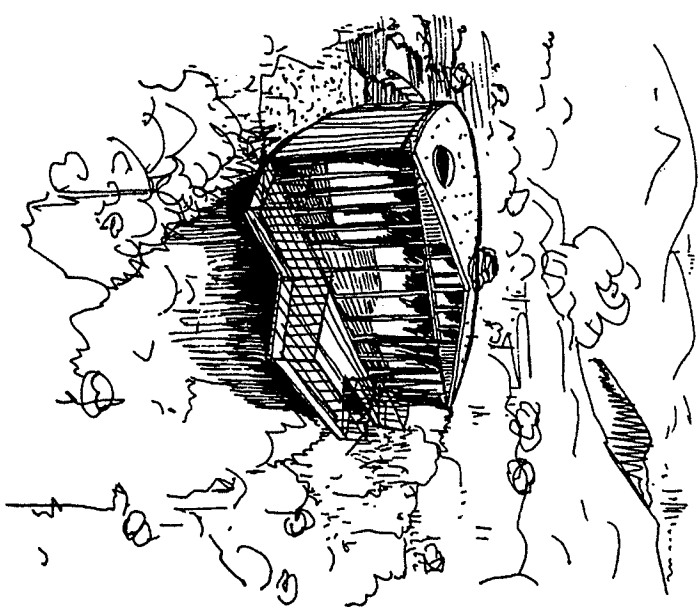
Zeszłej nocy skończyłem tutaj i obudziłem się niespokojny. Nie, nie wygłoszę wielkiej przemowy. Nie przeanalizuję „słowa” jako abstrakcji. Nie zajmę się szczegółami myślenia jako podgłosowego mówienia, jako mówienia o fantazji.

Wspomnę, jak bardzo zadziwia mnie, że za każdym razem, kiedy fantazjuję, pisząc o jednej rzeczy, pojawia się odmienny

temat, wyciągając jakiś obraz z mojego (tym razem przyznaję... mentalnego) śmietnika, i uczę się czegoś nowego. Jestem nawet skłonny przyznać, że mój śmietnik w ogóle nie istnieje i wymyśliłem go jedynie po to, aby grać w moją grę na reorientację. I znowu rozglądam się dookoła. Biurko mam mniej zaśmiecone niż zwykle... morze, góry. Czy chcę pisać o Esalen, czy może ubrać się i zejść na dół... na śniadanie?

„Ubrać się” brzmi śmiesznie. Jestem w piżamie i muszę jedynie włożyć kombinizon, mój ulubiony strój. Mam ich całkiem sporo. Najlepsze są froté, szczególnie, kiedy idę wziąć gorącą kąpiel.

Rzadko chodzę pieszo do gospody. Korzystałem z małego fiata, który jest pół metra krótszy od volkswagena. Nazywam go moją spacerówką z silnikiem. Mój dom stoi sto metrów ponad źródłami, na samym klifie. Jest mocno osadzony w zboczu, więc mam widok na tysiące kwadratowych mil oceanu i na dzikie,



Wirowanie ustaje. Wracam do okopów. 1916. Nie, już nie do okopów. Jestem w wojskowym szpitalu. Z dała od nieszczej bezwzględnej wojny. Spotkałem dobrego człowieka, naszego nowego lekarza. Rozmawiamy; on chce wiedzieć o antysemyzmie. Dużo tego, tak, nawet w okopach. Ale głównie ze strony oficerów.

Nasza kompania zostaje przeniesiona do innego sektora na froncie. Dostaję grypy z wysoką gorączką. Doktor wysłała mnie do szpitala. Mam prawdziwe łóżko. Odpowiada mnie dwa dni później. Czy mogę z nim iść? Gorączka wzmaga się i jest prawdziwa, nie sfabrykowana ani nie udawana. A jednak spada, gdy tylko jestem poza strefą zagrożenia.

Następnego dnia budzę się ze snu: moja rodzina, na pierwszym planie Grete, ukochana siostra, stoi nad moim grobem, błaga, abym wrócił do życia. Wysilam się, napieram, dokonuję ogromnego wysiłku i udaje mi się. Powoli, powoli wracam do życia, chcąc, a w zasadzie wcale nie tak bardzo, porzucić śmierć, śmierć, która była lepsza od okropieństw wojny. Już udało mi się stwardnieć i zgęstnieć, ale były dwa rodzaje śmierci, którym nie mogłem sprostać.

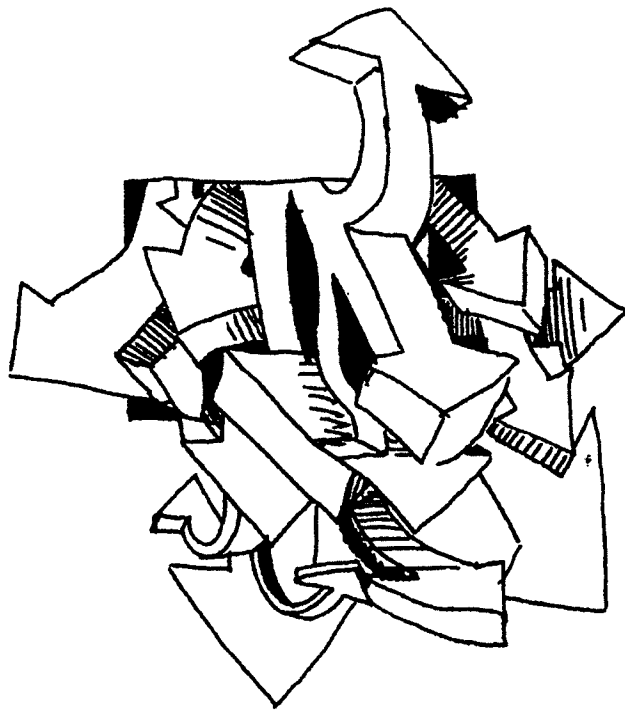
Jednym z nich były oddziały po ataku. Wychodzili z okopów, kiedy chmura gazu przesunęła się ponad liniami wroga. Byli uzbrojeni w gumowe młotki, którymi ogłuszali i zabijali wszystkich dających oznaki życia. Nie wiedziałem, czy robili to po to, by oszczędzić amunicję, czy aby nie zwracać uwagi, a może z czysto sadystycznych pobudek. Ten drugi rodzaj przydarzył się tylko raz. Rano testowaliśmy maski przeciwgazowe za pomocą gazu łzawiącego. Wydawało się, że maski dobrze pasują. Tej nocy dokonaliśmy następnego ataku gazowego. Po raz ostatni sprawdzenie stalowych butelek. Meteorolog sprawdza prędkość wiatru, jego stałość i kierunek.

Mija godzina za godziną. Zeszłej nocy atak został odwołany. A dzisiaj? Mija godzina za godziną. Nie jestem specjalnie spięty, siedzę w moim grajdole i czytuję coś bardzo wyrafinowanego. W końcu warunki pogodowe wydają się dobre. Otwierać zawory! Żółta chmura pełźnie w stronę okopów. Nagle zawirowanie.

łagodne klify powstrzymujące nieubłagane podkopywanie z cięcha upominających się fal, oddające im co najwyżej kilka kamieni. Nie wychodzisz z niego przez drzwi. Wyłaniasz się, nie jak przedtem, w nietkniętą przyrodę, ale w mieszaninę przecudowanych widoków, naturalnych kamiennych schodków — przedłużenia okragłej ściany, domków i samochodów poniżej.

Większość ludzi pokonuje stopnie do i z gospody bez wysiłku. Dla mnie jest to wysiłek. Przeważnie jeżdżę samochodem. Do łaźni jest podobna odległość, którą muszę pokonywać pieszo. Wspinaczka z czasem przychodzi mi coraz łatwiej. Czasami mogę tego dokonać, nie przesiłając nogi lub serca. Kiedy przyjechałem do Esalen, serce miałem w dość kiepskim stanie.

Chcę teraz pisać o moim sercu. Szukam początku i zrozumienia. Śmiałnik zmienia się w koszmara z wesołego miasteczka. Doznania pod wpływem psylocybiny: nieomal śmierć, nieomal śmierć, rezygnacja. Nie! Powrót do życia, do życia!



Wiatr zmienił kierunek. Okopy biegną zygzakami. Gaz może dostać się do naszych rowów! Tak się stało, a wielu z naszych zawiodła maski. I wielu grozi poważne zatrucie, a ja jestem jedynym sanitariuszem i mam tylko cztery małe butle tlenu. Wszyscy na gwałt chcą powietrza i napierają na mnie, a ja muszę wyrywać butle, żeby ulżyć innemu żołnierzowi.

Nie jeden raz miałem ochotę zerwać maskę ze spoconej twarzy.



W roku 1914, kiedy wybuchła wojna, studiowałem już medycynę. Badanie wojskowe stwierdziło, że jestem „zdolny do działań wojennych na lądzie”, co jest nawet poniżej „zdolny do rezerwy”. Garbłem się dość mocno, miałem opuszczone, wydłużone i małe serce. Z trudem znośłem wysiłek sportowy wymagający wytrzymałości i wołałem dyscypliny wymagające równowagi.

Nie miałem zamiaru zostawać żołnierzem i cholewnym bohaterem. Zgłosiłem się więc na ochotnika do Czerwonego Krzyża, by wykorzystano mnie poza strefą walki. Większość czasu spędzałem w Berlinie, by kontynuować studia. Po czterotygodniowym wyjeździe do Mons na belgijskiej granicy miałem dosyć i oddaliłem się samowolnie bez przepustki i bez zamiaru dezercji, chociaż nie wiedziałem, że dopuszczam się zbrodni, gdyż uważałem Czerwony Krzyż za organizację na polu cywilną. Kiedy mnie złapano, udawałem, że boli mnie noga, i kulałem dość amatorsko. Postawiono mnie do profesora Schleicha, którego, jako jednego z nielicznych, darzyłem podziwem, nawet przed Grodeckiem, który interesował się medycyną psychosomatyczną. Dał mi zastrzyk do otrzewnej, tak bolesny, że byłem gotów przyjąć go jako karę.

Do Mons pojechaliśmy bardzo powolnym pociągami, który zawsze musiał przepuszczać transporty wojska i amunicji. Bez jedzenia. Byłem bardzo wyczerpany i zasnąłem tak głęboko, że minęło kilka minut, zanim po przebudzeniu zorientowałem się, gdzie jestem. To było niesamowite. Patrzyłem na nich, na ściany wagonu... całkowita depersonalizacja, brak jakiegokolwiek uczucia i znaczenia.

W Mons miałem pracę na stacji, podawanie kawy i przekąsek transportom rannych wracających z frontu. Kiedy chciałem podać wodę rannym i cierpiącym brytyjskim żołnierzom, ranni Niemcy nie pozwalali mi. Po raz pierwszy poznałem nieludzkość wojny.

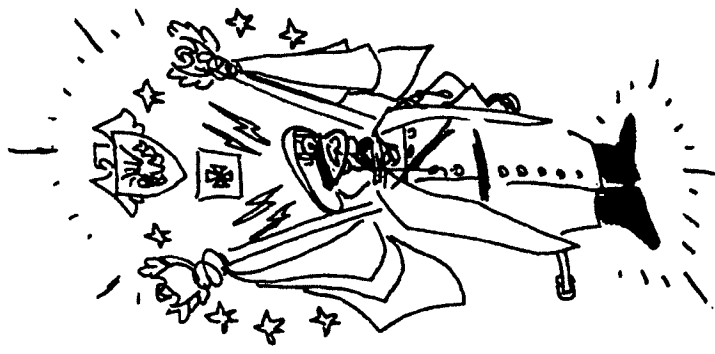
Była tam pewna młoda Belgijka, która zakochała się we mnie i ośmieliła się pogardzać swoimi sąsiadami. Była namiętna i zawsze się ze mną spierała. *N'allez pas dans la guerre, chère, n'allez pas*. Wtedy już dość dobrze radziłem sobie z francuskim i często służyłem jako tłumacz, szczególnie później w wojsku.

W roku 1916 fronty atakował mór. Powoływano coraz więcej mężczyzn. Miałem przyjaciela. Jeszcze o nim opowiem. Teraz nie pamiętam, jak miał na imię. Nazywał się Knopf. Postanowiłem zgłosić się do wojska na ochotnika, zanim nas powołają. On wybrał brygadę zaopatrzeniową i zginął w wypadku. Ja wybrałem batalion Luftschiffer, tych, którzy pracowali przy zeppelinach, sterowcach, w zasadzie bez znaczenia na wojnie.

Sierżant mojego plutonu lubił mnie. Ująłem go tym, że studiowałem medycynę. „Długo tu nie pobędziesz. Przeniosą cię do korpusu medycznego”. Jeszcze bardziej podobały mu się moje umiejętności strzeleckie. Kiedy zjawił się kapitan na inspekcję, postawił mnie na pozycji strzeleckiej. Prawda jest taka, że na leżąc, z podpórka, strzelałem dobrze, ale nie mam pełnej stabilności na stojąco.

Najpaskudniejsza rzecz przydarzyła mi się z porucznikiem. Cesarz, aby wspomóc finansowanie wojny, wymyślił slogan: „Dajemy złoto za żelazo”. Obiecano nam jeden dzień przepustki za każdą złotą monetę, jaką przyniesiemy. W końcu uzbierałem cztery dziesięciomarkowe monety. Kiedy poprosiłem o przepustkę, zostałem odesłany do porucznika, od którego usłyszałem

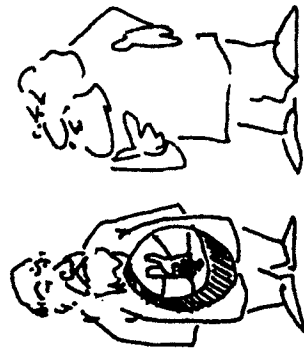
odpowiedź: „Nie bądź impertynentem, świnio. Powinienesz być szcześnieśliwy z tego, że służysz ojczyźnie. W tył zwrot, odmaszerować!”. Miałem kilka spotkań tej natury z niemieckimi oficerami. Żadna rasa na świecie nie dorówna ich arogancji odzianej w monokl.



Zmęczyło mnie i znudziło to opowiadanie o wojnie. Chciałbym, żeby nastąpiło teraz coś ekscytującego. Jakaś teoria, jakaś poezja, ale trzymam się obietnicy pisania tylko o tym, co się pojawi.

A jednak w naturze jest prawo i porządek. Fekalia to zakumulowane i nie wykorzystane lub nie zużyte i nadmierne jedzenie, wydalone mniej więcej w takiej samej kolejności, w jakiej było przyjmowane. Różnica między konsumowanym jedzeniem a fekaliami jest zużywana przez organizm w celach odżywczych. Zostało ono zasymilowane; stało się częścią nas. Przejście ze sfery zewnętrznej do sfery własnej zostało dokonane.

Jednym z powodów, dla których system Freudowski nie funkcjonuje, jest omijanie faktu asymilacji. Freud utknął na poziomie mentalności kanibalów, którzy fantazjują, że zjedzenie dzielnego wojownika przekaże im jego odwagę. Freud ma strefę oralną i analną, a między nimi nic.

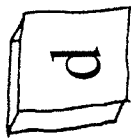


Wstaję wcześniej, czytam ostatni fragment. Nie podoba mi się „to”. Jest pretensjonalny jak wypracowanie szkolne — strefa oralna i analna — zadzieranie nosa. Dlaczego nie możesz po prostu powiedzieć: Freud, masz dupę i dupę? Raczej niewypa-rzoną gębę; ja też. I jesteś dupa, ja też. Obaj jesteście pompatyczne dupy, skoro traktujemy siebie tak poważnie. Musimy tworzyć wielkie teorie dla ludzkości. Mam dosyć. Wrzucmy te śmieci do wielkiego kubła i skończmy z tym.

Ten na górze: Fritz, nie możesz tego zrobić. Jeszcze jeden nie skończony rękopis! Bez względu na czytelników, bez względu na wydawcę miałeś tu nowe odkrycia, nowe poglądy, nowe eksytacje. A jeżeli ktoś z tego skorzysta?

Ten na dole: Nie o to chodzi. Mam obsesję na punkcie słów i staję się selektywny. To, co widzę, myślę i pamiętam, zostaje ujęte w słowa z punktu widzenia pisarza. Dzisiaj rano byłem bliski szaleństwa. Słowa obsiadły mnie jak termity.

Ten na górze: Tym bardziej sugeruję, abys kontynuował. Były momenty, kiedy z twoich słów, uczuć i myśli powstawała poezja. Jeżeli utknąłeś między tym, co werbalne i niewerbalne, wtedy spojrz na swój impas i użyj własnej teorii.



Teraz bierzemy *m*, *ś* oraz zwierzę. Do *ś* codziennie wkładamy jedzenie. Wkrótce zwierzę przestaje sprawdzać *m* i kieruje się wprost do *ś*.



Teraz zamiast *m* ustawiamy *d* i spodziewamy się, że zwierzę pójdzie tam, gdzie zazwyczaj się żywi, czyli *ś*.



Jednak tam nie idzie. Kieruje się do *d*. Wyciągamy z tego wniosek, że ma orientację, i co więcej, ma orientację skierowaną na gestalt: kieruje się do większego pudełka. Wybiera konstelację.

Teraz możemy nie tylko zrezygnować z teorii łuku refleksyjnego; możemy zastąpić ją holistyczną koncepcją organiczną.

Każda jednostka posiada dwa systemy, za pomocą których sięga do świata i komunikuje się z nim. Jednym z nich są zmysły, system sensoryczny, świadomość, środki poznawania, system istniejący w celach orientacji. System ten nie prowadzi do wejścia na zasadzie odruchu; obrazy lub dźwięki nie wchodzą w nas automatycznie, ale selektywnie. My nie widzimy, my palczymy, szukamy, skanujemy w jakimś celu. Nie słyszymy odgłosów świata, ale wsłuchujemy się w nie.

Jeżeli postać na pierwszym planie jest bardzo silna, jeżeli fascynuje nas jakaś scena lub dźwięki, tło zanika. To samo dotyczy systemu motorycznego, mięśniowego, za pomocą którego zbliżamy się, chwytamy, niszczymy, gramy i dajemy sobie radę ze światem. Oba systemy współpracują i są od siebie wzajemnie zależne. Szukając, poruszamy gałkami ocznymi i głową. Słuchając, nadstawiamy ucha i przekreślamy głowę w stronę dźwięku; możemy nawet wysilać się, by widzieć i słyszeć.

Czytelnik: To brzmi dość rozsądnie, ale odkryłem pewną nieśpójność w twojej teorii. Wpierw mówisz, że wszystko to świadomość, a teraz rezerwujesz świadomość dla systemu sensorycznego.

Nie. Nie ma tu braku spójności. Zmysły służą orientacji w środowisku, w strefie zewnętrznej. Każdy organizm ma dużo wewnętrznych zmysłów do orientacji wewnątrz organizmu. Kiedy rozwiązujemy problemy, sprawdzamy liczbę skurczów mięśni, wysiłek wymagany przy innych zadaniach. Odbieramy sygnały i status każdego organu, nawet kości, chociaż tkanka mózgowa zdaje się mieć minimum świadomości.

Nasz pseudopodział — w zasadzie zajmujemy się współpracą — na systemy orientacji i radzenia sobie daje nam lepszą orientację w relacjach człowieka z jego kulturą. Człowiek rozwinał oba systemy. Dla poprawienia orientacji wynaleźliśmy mikroskopy i teleskopy, mapy i radary, filozofię i encyklopedie itd. By lepiej sobie radzić, wymyśliłszy symbole i język, narzędzia i maszyny, komputery i pasy transmisyjne itp.

Teorii łuku refleksyjnego brakuje środka. Sięgając orientacją

i radzeniem sobie w stronę świata, uzyskujemy środek. Odpowiedzialność za nasze istnienie zastępuje bezmyślową mechanikę.

Zdecydowanie najważniejszym przedłużeniem ludzkiego potencjału jest odkrycie racjonalności, w tym logiki, miar i innych gier liczbowych. Ważne także jest użycie i nadużycie ludzkiej fantazji: wynalazki wykorzystywane konstruktywnie i destruktywnie — sztuka wzbogacająca i hańbiąca związki człowieka z pięknem. Religie i moralne kody, by uwolnić i wziąć w klaty ludzkie interakcje, zdają się mieszaną fantazji i racjonalności. Absolut dobra i zła musi być kategorycznie oddalony.

Ten na górze: Po co tutaj siedzisz i rozmyślasz? Wiem, że ukrywasz w rękawie coś na temat etyki.

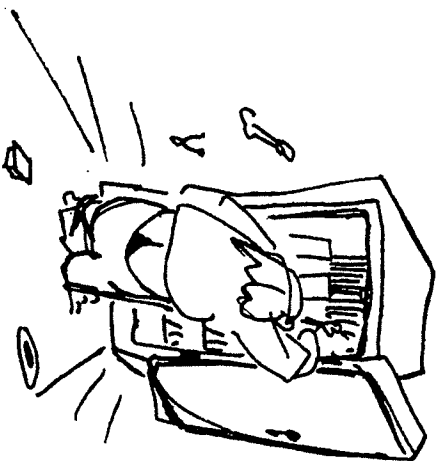
Ten na dole: Tak jest. Ale już późno i jestem zmęczony. Nie chcę dalej o tym mówić. Po tej prezentacji systemu sensoryczno-motorycznego czuję się dobrze.

G: No, to idź spać.

D: Jestem zbyt leniwy. Chciałbym coś przekąsić.

G: To teraz widzisz, co zrobiłeś, pozwalając Teddy zabrać lodówkę.

D: To było wtedy, kiedy nagle hałasy tego urządzenia interferowały z moim systemem audio. Mielśmy dosyć kłopotów z szumem na liniach, odgłosem fal, echem w centralnej sali.



Kupiłem dużo drogiego sprzętu do mojej przygody z wideo i ciągle się biliśmy z technicznymi trudnościami. Wystarczająco często doświadczałem człowieka jako niewolnika maszyny. Często, kiedy potrzebowaliśmy magnetowidu, akurat nie działał.

G: Biedny Fritz. Jeśli będę miał jutro czas, będzie mi ciebie żal.

D: Bezczelny. Wiem, że nie musiałem wpłatywać się w to wszystko, ale tylko sobie wyobraż, gdybyśmy tak mieli taśmy i filmy Freuda, Junga i Adlera. Czy nie byłoby to interesujące? Nie musielibyśmy zgadywać i polegać na samych słownych opisach. Wiesz co, ty na górze? Coraz lepiej mi z tobą. Od tej pory będę cię nazywać G, a siebie D, i wiele będziemy z sobą rozmawiać.

G: Przyjęte. A co z twoimi „czytelnikami”?

D: Wiele z tego, co mówią, mogę przełać na ciebie. W pewnym sensie jesteś mną i podobnie chyba dzieje się z czytelnikiem, gdyż żyje głównie w mojej wyobraźni.

G: Dobrze. Od tej pory będę cię bardziej kontrolować. Narzekasz na twoje magnetowidy. Najwyraźniej nie podoba ci się sprzęt.

D: Wręcz przeciwnie. Zajrzyj tylko do mojego śmietnika. Są tam radia, które zbudowałem, kamery i aparaty fotograficzne, sprzęt do ciemni. Jest tam cudo z RPA. Jest samolot o rozpiętości skrzydeł ponad dwa metry z małym silnikiem. Naprawdę latał. Jest też model wynalazku, z którego byłem bardzo dumny.

G: Ma śmigło. Czy to latająca maszyna?

D: Nie bardzo. Jest bardzo prosty i ma kilka ruchomych części. Po obu stronach wału korbowego umieszcza się dwa silniki dwusuwowe. Cylinder wypychany jest do góry jednym silnikiem, a drugim w dół, obracając w ten sposób śmigło sinusoidalnie.

G: To dla mnie zbyt techniczne. Czy to działa?

D: Model działał. Rozrysowałem silnik spalinowy, ale nigdy go nie zbudowałem.

G: Opatentowałeś go?

D: Nie. Nie chciało mi się. Byłem zadowolony, że działa.

G: Jesteś głupi. Mogłeś zarobić dużo pieniędzy.

D: I zapłacić się w tę całą biurokrację i negocjacje, stać się producentem i stracić wolność? Nie, dziękuję!

G: Masz jeszcze w śmietniku jakieś wynalazki?

D: Tak, jeden dobry, ale nie można go opatentować.

G: Co to takiego?

D: Filtr wodny.

G: To nie twój wynalazek. Filtry wodne istnieją i są produkowane.

D: Tak, ale zawsze musisz mieć zapas i tylko są z nimi kłopoty.

G: A co powiesz o papierosach waterford? Mają globulkę, którą się rozgniata w ustniku i jest filtr wodny.

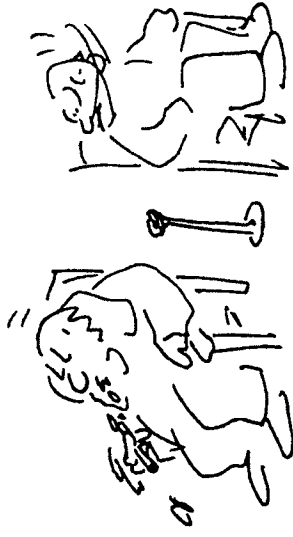
D: Jesteś coraz bliżej. Już dawno nie widziałem reklamy waterfordów. Jedyna wada jest taka, że nie masz wyboru. Jesteś ograniczony do jednego gatunku.

G: Teraz jestem naprawdę ciekawy. Co takiego wynalazłeś?

D: Znalazłem sposób na zrobienie filtru wodnego z dowolnego ustnika.

G: Jak tego dokonałeś?

D: Wdmuchuję do niego trochę śliny.



G: Spodziewałem się, że zrobisz ze mnie głupca. Wy na dole, kiedy tylko nas się nie boicie, wyśmiewacie nas.

D: Nie, nie, nie tym razem. Przyznaję, że dobrzy z nas opo-
nenci. Kiedy wy na górze próbujecie nas kontrolować groźbą, my
was kontrolujemy za pomocą „Mañana; tak się staram; zapomnia-

łem; obiecuje”. Musisz przyznać, że ten na dole częściej wygrywa, niż przegrywa.

G: Zatem jaka jest wartość tego wynalazku?

D: Sam z niego korzystam. Nie wolno wdmuchiwać zbyt dużo śliny, wtedy papier rozpuszcza się i tracisz filtr. Woda chłodzi gorące powietrze, gazy, które niosą najbardziej trujące związki. Palenie staje się delikatniejsze. Sam spróbuj.

G: Po co tyle hałasu? Po prostu przestań palić. Mówiłeś, że chorujesz na serce, a sam wiesz, że palenie to pogarsza.

D: Wielki Boże! Znowu musimy to zaczynać. Każda suka, która nie znajdzie nic innego, aby się do mnie przyczepić, atakuje mnie za palenie. Nie, nie mówiłem, że mam chore serce. Powiedziałem, że miałem chore serce. Poprawiło mi się znacznie.

G: Od czego zaczniemy? Od palenia, skoro myślisz, że mnie to zainteresuje?

D: Przystaniesz szydzić? Jesteśmy mężem i żoną na dymki i kopniaki, aż redaktor nas rozdzieli.

Kiedy byliśmy dziećmi, mieliśmy tajne miejsce spotkań w piwnicy. Tam piliśmy, robiliśmy kupę i deklarowaliśmy niezależność od dorosłych. Miałem wtedy osiem lat i przestałem palić aż do końca wojny. Moi towarzysze, oczywiście, uznawali moje niepalenie; dostawali mój przydział. Kiedy wybuchł pokój... nie, kiedy nadeszło zawieszenie broni... byłem niezwykle zagubiony. Cieszyłem się, że to wszystko się skończyło, chociaż znajdowałem się we względnie wygodnym położeniu. Zostałem lekarzem podporucznikiem, a my oficerowie jadalśmy dobrze kosztem reszty kompanii. Mój kapitan-świnia był alkoholikiem. Mielśmy w domu porządny zapas palestyńskiego wina. Co miesiąc wysyłał mnie do Berlina po kilka butelek.

— To nie brzmi zbyt wiarygodnie. Chcesz powiedzieć, że musiałeś jechać aż z frontu tylko po kilka butelek wina?

Ja nie musiałem, ja chciałem. Przeważnie zamieniałem to w tygodniową przepustkę. Będąc oficerem, mogłem przywozić jedzenie mojej głodującej rodzinie kosztem szeregowców. Jako oficer podróżowałem w wagonach z tapicerką.

Kiedy po raz pierwszy, po dziewięciu miesiącach spędzonych

w okopach, przyjechałem do domu i poszedłem spać, przestałem się. Myślałem, że przeleciałem przez łóżko. Było naprawdę miękkie w porównaniu z garstką siana, do jakiego przywykliśmy w rojących się od szczurów rowach.

Innym razem dostałem bilet na *Wesele Figara* w Royal Opera House. Byłem tak poruszony pięknem, w porównaniu z brudem i cierpieniem w okopach, że musiałem wyjść z teatru i wypłakać serce. Był to jeden z kilku momentów w moim życiu, kiedy głęboko poruszyły mną emocje.

— Powiedziałeś, że było ci raczej wygodnie w drugiej części wojny.

Głupi. To łóżko i opera były na długo przed tym. To przytrafiło się podczas mojej pierwszej przepustki. Nadal byłem starszym szeregowcem.

Po przegranej maszerowaliśmy ponad dwadzieścia godzin dziennie. Nie było co jeść. Wtedy właśnie zacząłem palić i od tamtej pory już nie przestałem.

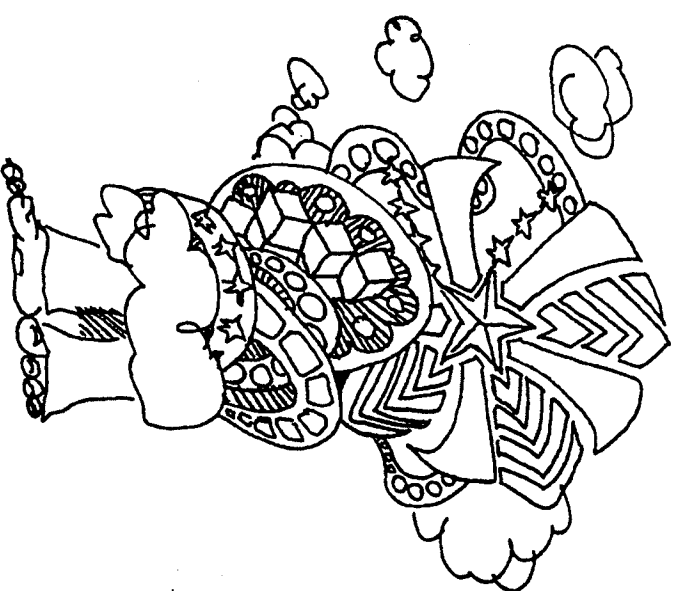
Doktor Leuschke, profesor uniwersytetu, który dwa lata później leczył mnie na zapalenie oplotkowej, powiedział mi, że dziesięć papierosów wypalonych bez zaciągania równa się jednemu wypalonemu z głębokim zaciąganiem. Od tej pory rzadko zaciągałem się głęboko.

W roku 1963 w Los Angeles serce sprawiało mi wiele kłopotów. Miałem tak koszmarnie ataki duszności, że poważnie zastanawiałem się nad samobójstwem. Doktor Danzig, mój piękny cieploty i ludzki kardiolog odkrył złą dekomensację serca. Leczenie farmakologiczne nieco poprawiło mój stan, ale cierpienie nie przeszło. A ja raczej wołałem się zabić, niż rzucić palenie.

Wtedy znalazłem Esalen i ogromnie poprawiłem stan serca. Dwa główne czynniki to: opuszczenie smogu L.A. i poddałem się zabiegom z Ida.

Teraz palę bez przerwy, głównie podczas sesji. Palę łagodne papierosy, czasami nawet tę satatę Bravo i rzadko się zaciągam. Wiem, że kiedy już pozbędę się mojego autoobrazu, uda mi się rzucić ten odrażający nałóg. Wiem, że to pisanie musi doprowadzić mnie do tego punktu. Wiem, że w moim przypadku nie jest

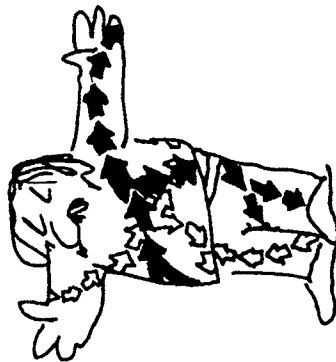
to strach przed śmiercią, ponieważ nie dbam tak bardzo o życie. Wiem, że za zasłoną z dymu tytoniowego kryje się jeszcze wiele mnie. Muszę być żywym dowodem mojej teorii.





— Wprowadziłeś nową postać: Ida Rolf. Jak ci pomogła? Za sprawą jej własnego fizycznego powtórnego uwarunkowania. Nie jestem gotów omawiać pracy Pani Łokieć. Niech poczeka jeszcze trochę w śmietniku. Ona też często kazała mi czekać miesiącami.

— Mówisz, że jej praca jest fizycznym wtórnym uwarunkowaniem. Wygląda na to, jakbyś nagle przystał na umysłowo/fizyczną dychotomię.



Wcale nie. Organizm jest całością. Tak samo jak możesz wybrać funkcję biochemiczną, behawiorystyczną, eksperymentalną itd. i uczynić ją przedmiotem swojego zainteresowania, tak

samo możesz podejść do całego organizmu z różnych stron, pod warunkiem że uświadomisz sobie, iż każda zmiana w dowolnej sferze prowadzi do zmiany we wszystkich korespondujących aspektach.

Całkiem dobrze mi szło używanie określeń takich jak orientacja, które są centralne, ujednolicone i w konsekwencji sprawdzające się w wielu sferach. Może któregoś dnia będziemy mieli język i terminologię wartą i pasującą do holistycznego poglądu. Tymczasem musimy się zadowalać częstokroć niezdatnymi elipsami.

Jednym z takich kompromisowych terminów jest „psychosomatyczny”, jak gdyby psyche i soma istniały oddzielnie, a schodziły się jedynie w pewnych przypadkach.

Przykładowo, w Niemczech używaliśmy terminu „nervica serca” na określenie syndromu częstoskurczu, pocenia się, lekkiego drżenia. Niektórzy z nas widzieli w tym rezultat nadczynności tarczycy, inni skutek stanu niepokoju.

— Według twojego holistycznego poglądu jest to rezultat obu tych rzeczy?

Nie, nie jest to rezultat, ale tożsamość. Mam teraz wiele powodów, aby mówić o niepokoju, szczególnie jego aspektach psychologicznych, fantazjowania i radzenia sobie.

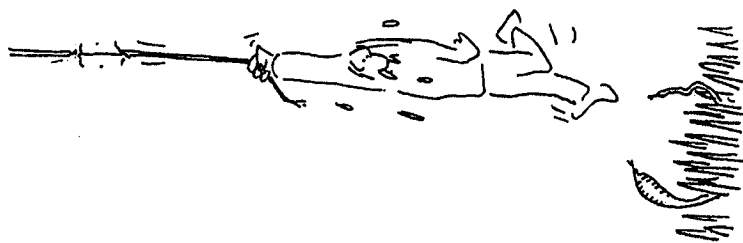
Nazywamy naszą epokę wiekiem niepokoju.

Freudowska definicja leku na nerwice to uwolnienie od niepokoju i winy.

Wielu psychiatrów boi się niepokoju i unika wywoływania go u pacjentów.

Goldstein traktuje niepokoje jako wynik katastroficznych oczekiwań.

W przypadku wyjaśnień znowu widzimy na pierwszym planie psychoana-



lityka. Pojawia się zapatrzony w przeszłość Freud z traumą narodzin i tłumieniem libido, Reich i Adler z tłumieniem agresji, ktoś jeszcze (zapomniałem, który z uczniów Freuda) z tłumieniem instynktu śmierci. Zatem wybierajcie.

Odrzucam wszelkie wyjaśnienia, gdyż są tylko intelektualizowaniem i nie dopuszczają zrozumienia.

Dla mnie omawianie niepokoju jest szczególnie ważne, ponieważ otwiera drzwi do dynamicznych aspektów funkcjonowania organizmu.

— Nie pojmuję twojego rozumowania. Dla mnie niepokój to dysfunkcja, czynnik niepokojący, jak powiedziałeś, sięganie do siebie, czasami stan chorobowy.

Cierpliwości, mój drogi. Przyszna, że zwrot „otwiera drzwi” jest błędnie wybrany. Czy będziesz zadowolony, jeżeli powiem, że daje mi to okazję lub wymówkę, aby...

— Tak, mój drogi.

Spoufalasz się? Bądź cicho przez chwilę i posłuchaj, co mam do powiedzenia o „normalnej” dynamice, dobrze?

— Dobrze, ale wróć. Więc uważaj na swoje p i q. Pozwól, że ci przypomnę twoje twierdzenie, iż nie dołączona sytuacja zapewnia dynamikę, że każda nie dołączona sytuacja będzie zmierzać ku dokończeniu.

Rzeczywiście, jak?

— Przez picie wody, kiedy chce ci się pić.

A skąd bierzemy energię? Żadna maszyna ani organizm nie może funkcjonować bez energii.

— Hm, czyż woda nie ma ześrodkowania libido?

Przyszna, że jest to dobre określenie freudowskiego tworzenia postaci/ty. Gestaltysty nazywają to *Aufforderungscharakter*, cechą żądania. Woda żąda, aby ją połknąć.

— Dla mnie brzmi to nonsensownie. Woda by nie powiedziała czegoś takiego.

Nie bądź taki drobiazgowy. Oczywiście to stwierdzenie jest ujęciem poetyckim, ale fenomenologicznie poprawnym.

— Więc w tym przypadku spodziewasz się libido?

Tak, jeżeli odczuwasz pociąg seksualny wobec tej wody. Czyż

nie jest bardziej rozsądne zachować libido na jego pierwotne skojarzenie z energią płciową?

— Zatem nadal musimy zapytać: skąd bierze się energia pójścia do wody?



Teraz ty mówisz, a moja odpowiedź brzmi: Nie wiem. Mogę jedynie teoretyzować i podpisać się pod pośrednim zwrotem. Mogę zrobić coś jeszcze w tym procesie. Mogę włączyć moją teorię emocji.

Powiedziałem wcześniej, że nie podpisuję się pod teorią defekacji Arystotelesa i Freuda. Nie uważam emocji za kłopot, którego trzeba się pozbyć. Bez względu na to, czy uważasz niepokój za emocję, znajdźcie on miejsce w tej teorii.

— Zatem wykorzystujesz sztuczkę wyjaśniania?

Po części, ale zobaczysz, że da ono także pewne prawdziwe zrozumienie co do natury niepokoju.

— W porządku, strzelaj.

Skoro mówisz to tak spokojnie, brak mi pewności, jak zacząć. Nawet się trochę niepokoję.

— Teraz mogę się z ciebie śmiać. Zatem strzelaj. Na początku było co?

Na początku były pewne określenia, pewne ogólne określenia stworzone przez ludzi, którzy wiedzą tak mało jak ja, czym jest specyficzna, organiczna energia. Nie chcieli ulec i powiedzieć: „Jest to energia elektryczna albo chemiczna, albo libido, czy jeszcze tam jaka”. Więc dali jej nijaką nazwę w stylu Bergsona *élan vital* lub bioenergii, energii życia.

Lubię używać terminu „podniecenie”. Podniecenia można doświadczyć i jest ono podobne do konkretnej własności protoplazmy, reaktywności. Podniecenie zapewnia metabolizm organizmu. Ten jeden gestalt, który z punktu widzenia przetwarzania ma największe znaczenie i dlatego może wynurzyć się i wykorzystać podniecenie do orientacji i znalezienia rozwiązania.

W wielu przypadkach to szukanie rozwiązania wymaga nadwyżki dawki podniecenia i jest odbierane jako emocja. Podniecenie w tym przypadku przechodzi transformację hormonalną, która zmienia uogólnione, obojętne podniecenie w podniecenie specyficzne.

Wiemy już, że złość i strach wiążą się z adrenaliną, a seks z gruczołami rozrodczymi. O hormonalnej sytuacji podczas smutku, radości, rozpaczki itd. nie wiemy prawie nic.

Następny krok. Emocje te nie są tak po prostu wyładowywane, ale przetwarzane głównie na energię motoryczną; w złości w uderzenia i kopnięcia, w smutku w płacz, w radości w taniec, w seksie... cóż, nie muszę wam mówić o tych śmiesznych ruchach.

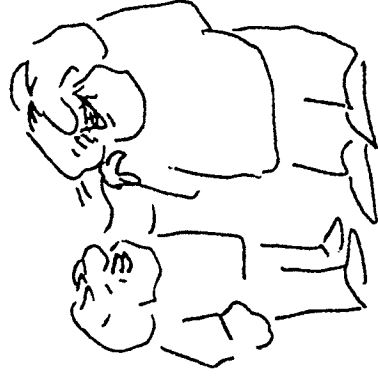
Kiedy osiągalne podniecenie zostało w pełni przetworzone i doświadczone, wtedy doznajemy spełnienia, zadowolenia tymczasowego spokoju i nirwany. Zwykle „wydalenie” przyniesie zaledwie poczucie wyczerpania i zmęczenia.

Sumując, podniecenie to zarówno doświadczenie, jak i podstawowa forma energii organicznej.

— Fritz, gratulacje. Dobrze to ująłeś. Twoja teoria pasuje do faktów. Może twoja teoria transformacji jest nawet oryginalna. Ma tylko jeden błąd.

— ?

— Opuściłeś niepokój. A może mieszasz strach i niepokój? W takim przypadku niepokój wiązałby się z adrenaliną, a nie z tyroksyną.



Spryciarz z ciebie. Cieszę się, że jesteś częścią mnie. Ale czasami też jesteś tępy. Mogłeś zrozumieć, że ja, i nie tylko ja, widzę niepokój jako niezdrowy stan, podczas gdy emocje, które właśnie opisałem, to normalny, emocjonalny metabolizm.

— Chcesz powiedzieć, że tarczycza jest anormalna i produkuje niepokój?

Nie bądź głupi. Słuchaj. Przestań się wygłupiać i bądź poważny. Piszę poważną książkę naukową.

— Zgadzasz się, że piszesz książkę. To, czy jesteś poważny czy nie, to już inna kwestia. O co więc chodzi z tą tarczyczą?

Wyobrażam sobie, że tarczycza gra rolę ogólnego podniecaacza, czasami zmienia pewne związki chemiczne, takie jak węglowodany, w podniecenie.

— Teraz przeskakujesz z jednego tematu na drugi, z biochemii na psychologię.

Wiem. Szukam. Ujmijmy to w ten sposób. Hormon tarczycy (jeżeli jest to ten gruczoł) zamienia związki biochemiczne w bioenergie, jak w przypadku akumulatora, gdzie energia chemiczna zamieniana jest w prąd elektryczny.

— To mi się podoba. Zatem tarczycza nie ma nic wspólnego z niepokojem?

Może mieć. Przyjmijmy na razie, że osoba, która produkuje zbyt wiele hormonu tarczycowego... typ Basedowa, osoba zbyt mało podekscytowana... bardziej jest podatna na niepokój niż osoba normalna.

— Zatem, co jest normalne?
Punkt zerowy optymalnego wytwarzania hormonu tarczycowego. Zbyt mała ilość prowadzi do typu skretyniałego, nie podniecającego się, głupiego i leniwego. Jego przeciwnikiem jest typ Basedowa... śmiały i przedsiębiorczy.

— Skąd się bierze ta chemia?
Z jedzenia, jakie asymilujemy, przetworzonego na te związki chemiczne.

— Skąd się bierze jedzenie?
Z supermarketu.

— Co skłania cię do pójścia do supermarketu?
Głód.

— Co wywołuje ten głód?
Brak tych związków.

— Skąd się bierze ta chemia?
Z jedzenia, jakie asymilujemy.

— Skąd się bierze jedzenie?



Z supermarketu. Hola! Przestań. Wygłupiasz się.

— Nie, odgrywam twoją teorię kury i jajka. No, przestań marnować czas i daj nam coś konkretnego!

Dobrze. Czy widzisz, że niepokój zawsze wiąże się z przyszłością?

— Chcesz powiedzieć, że według definicji Goldsteina niepokój jest wynikiem katastroficznych oczekiwań?
Jesteś coraz bliżej. Zgadza się na oczekiwanie. „Nie mogę się doczekać spotkania z moim przyjacielem”. To brzmi pozytywnie, wcale nie katastroficznie.

— Tak. Widzę, że nie możesz się doczekać, kiedy skończysz swoją książkę.

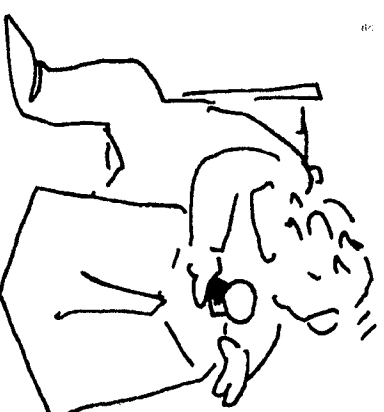
A co my wiemy o przyszłości?

— Prawie nic, bardzo mało.

Co wiemy o teraźniejszości?

— Całkiem dużo, jeżeli nie będziemy się wtrącać.

Tak. Posunę się krok naprzód i wrócę do filozofii nicności. Przyszłość kryje wiele możliwości, ale o rzeczywistości tej przyszłości nie wiemy nic. Mówiąc najogólniej, nie jesteśmy świadomi niczego, chyba że użyjemy kryształowej kuli, jeżeli w to wierzysz. A nawet za pomocą kryształowej kuli nie jesteśmy świadomi przyszłości, ale jej wizji, tak jak nie jesteśmy świadomi przeszłości, jedynie wspomnień o niej.



Oto moja pierwsza teza: Niepokój to napięcie między teraz a później. Ta przestrzeń to pustka, która zazwyczaj wypełnia planowanie, przepowiednie, rozsądne oczekiwania, polisy ubezpieczeniowe. Jest pełna zwyczajowych powtórzeń. Ta inercja nie pozwala nam pojąć przyszłości i trwa przy monotonii. Dla większości ludzi przyszłość to sterylna pustka.

Przejdźmy teraz do najczęstszej formy niepokoju, tremy. Uważam, że wszelki niepokój to trema. Jeżeli nie jest to trema (to znaczy związana z występowaniem), to omawiane zagadnienie jest przerażające. Lub też niepokój jest próbą pokonania przerażenia nicością często pojawiającą się w formie nicości = śmierci.

Kiedy poproszono Schneidera — żołnierza Gelba i Goldsteina z uszkodzonym mózgiem — aby wykonał abstrakcyjne zadanie, wysoce się niepokoił.

— Dlaczego nie mógł powiedzieć, że nie chce albo nie może wystąpić?

Ponieważ nie mógł się doczekać występu. Bez tego, bez podniecenia możliwością występowania, nie byłoby okazji do stworzenia niepokoju.



Dochodzimy teraz do drugiego poziomu mojej teorii nerwicy... do poziomu odgrywania roli. Za każdym razem, kiedy nie jesteśmy świadomi naszych ról, budzi się w nas niepokój. Łączymy fantazję i twierdzenie Freuda, że myślenie to próba. Przeprowadzamy próby naszych ról, jeżeli nie jesteśmy ich pewni. Dochodzimy też do faktu, że cała rzeczywistość jest teraz i gdy tylko opuścimy bezpieczne położenie, gdzie mieliśmy kontakt z teraźniejszością, i wskoczymy w przyszłość w fantazji, tracimy wsparcie naszej orientacji. Łączymy się z dynamiką podniecenia; transformacja podniecenia w emocje i radzenie sobie jest zablokowane, następuje stagnacja. Zalewa nas podniecenie.

Teraz rozumiemy rolę środków uspokajających we współczesnej psychiatrii. Za pomocą lobotomii odcinaliśmy fantazje pacjenta, a za pomocą środków uspokajających odcinamy jego witalność, która poprzez złe rozprzestrzenienie podniecenia popadła w nieład.

Angielskie słowo oznaczające niepokój, *anxiety*, pochodzi od łacińskiego słowa *angustiae*, wąskie przejście. Podniecenie nie może swobodnie przepływać przez wąskie gardło prowadzące do transformacji. Odnosi się także do wąkości klatki piersiowej.

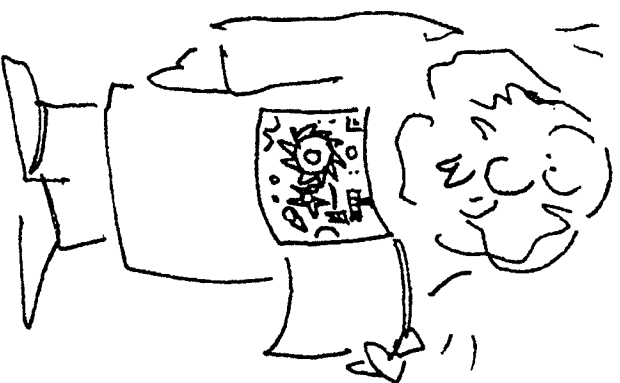
W ten sposób dotarliśmy do psychologicznego aspektu niepokoju. Zmobilizowane nadmierne podniecenie potrzebuje więcej tlenu. Tak więc serce zaczyna się spieszyć, aby dostarczyć więcej tlenu, ponieważ wstrzymujemy oddech w oczekiwaniu. To zwiększa wysiłek serca i lekarz zazwyczaj ostrzega sercowego pacjenta, aby nie dopuszczał do nadmiernej ekscytacji.

Teoria Freuda dotycząca niepokoju wynikającego z traumy rodziny jest projekcją w przeszłość. Podczas niepokoju oddech jest zaktłócony. Tłumienie libido, agresji itd. to blokowanie podniecenia.

Posiadam filmy, które pokazują, że każda trema znika wkrótce po tym, jak pacjent nawiąże kontakt z teraźniejszością i przestanie zajmować się przyszłością.

Nie popychaj rzeki, płynie sama.





Zaczynam sobie uświadamiać, że jestem o wiele bardziej skomplikowany, niż się spodziewałem. Zaczynam sobie uświadamiać ogromne trudności, jakie będę miał ze skończeniem, a nawet kontynuowaniem tego pisania. Zaczynam sobie uświadamiać ogrom zmagañ pomiędzy składaniem raportu a planowaniem z jednej strony i spontanicznym przepływem z drugiej.

Coraz trudniej jest być szczerym i angażować żywych ludzi. W porównaniu z tym łatwo jest żyć wśród abstrakcji, wymyślać teorie i grać w dopasowywanie.

Czy to słowo pasuje do faktu? Czy szata pasuje do okazji? Czy ten współwinnny pasuje do szaty? Czy ta teoria pasuje do obserwacji? Czy to zachowanie pasuje do życzeń matki?

Czy ten pocisk pasuje do broni? Ten prezydent do tego państwa? Ten program do mojego potencjału? Dopasowywać, dopasowywać, dopasowywać. Dopasowywać i porównywać. W co

jeszcze można grać? Czy moje życie pasuje do twoich oczekiwań? Porównaj mnie z twoimi innymi kochankami. Czy jestem górą?

Kaleidoskop życia. Poszedłem do nory. Śniadanie. Nixon wygrał pierwszą turę wyborów. Ktoś się interesuje polityką?

Zyjemy w innym świecie.

Bardzo szczególny poranek. Poczułem się zdesperowany... głupie, niepotrzebne żądania. Dużo paliłem, wiele razy stawało mi serce. Chciałem się z tego wycofać, odesłałem Teddy. Ci filmowcy, którzy nakręcili spotkanie Fritz-Maharishi, wrócili, aby dodać kilka scen. Było to spotkanie z Johnem Farrellem grającym młodzieńca, który szuka rozwiązania dla amerykańskiej młodzieży. Nakręciliśmy tę scenę w łaźni.

Cieszyłem się, że wyciągnęli mnie z tego wiru. Wreszcie coś prostego do zrobienia.

Był to pomniejszy przykład tego, co czułem, kiedy zgłosiłem się na ochotnika do wojska. Niespodziewanie szkolenie było wielkim uwolnieniem od odpowiedzialności. Powiedziano mi, jak witać się z oficerami, jak maszerować, ścielić łóżko etc. Żadnych wyborów, żadnych decyzji.

Jak w szkole średniej, wróciłem do prowadzenia kilku żyć naraz.

Moje dni w Mommsen gymnasium dobiegły końca. Ta szkoła była dla mnie koszmarem. W szkole podstawowej brałem za pewnik, że jestem najlepszy w klasie. Lubiłem nauczyciela, a szkoła była jak zabawa. Faktycznie umiałem już czytać i znałem tabliczkę mnożenia, zanim zacząłem szkołę.

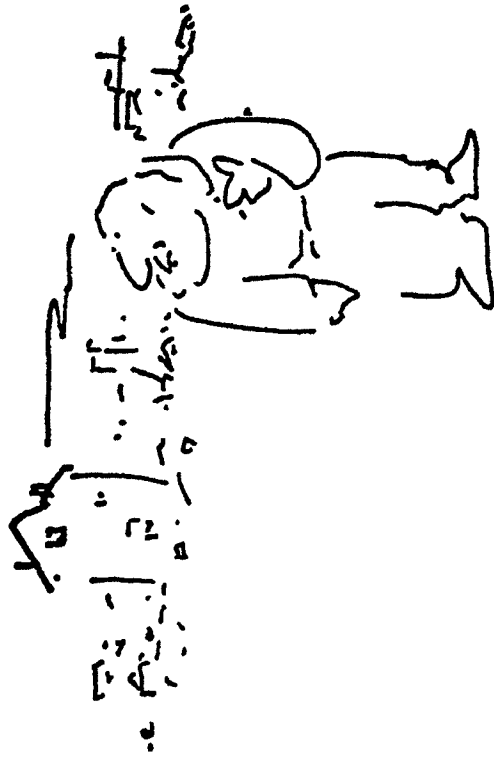
Widzę, jak szybko cofam się od filmowania do wojska, z wojska do szkoły podstawowej, od szkoły podstawowej do przedszkola.

Czy chcę zacząć od początku?

W zasadzie myliłm się, kiedy mówiłm o patrzeu w przyszłość. Przyszłość to pustka i idziemy w nią jakby na ślepo, odwróćeni do niej plecami. W najlepszym razie widzimy to, co zostało za nami. Teraz zaglądam w odległą przeszłość. W większości jest spowita mgłą; niektóre abstrakcje wydają się poprawne. Są, jakby ujęli to dianetycy, w katalogu parnięci. Niektóre są

dokładnymi replikami bez cienia wątpliwości. Ojciec, matka, dwie starsze siostry, znajomi krewni ze strony matki i paru obcych ze strony ojca. Dom, do którego się wprowadziliśmy, kiedy miałem jakieś cztery lata... i gdzie mieszkaliśmy prawie dwa-
naście lat.

Kiedy przyjechałem do Berlina po raz pierwszy po drugiej wojnie, zobaczyłem, z symbolicznym zaskoczeniem, że cały kwartał ulic został zmieciony do gołej ziemi z wyjątkiem tego
jedynego domu: Ansbacher Strasse 53.



Moim najwcześniejszym wspomnieniem jest poczęcie.

— Teraz to już przesadziłeś. Wiem, że czasami potrafisz nieźle fantazjować, ale to zbyt szalone, aby ci się udało.

Powiedziałem „wspomnieniem”. Nie mogę powiedzieć, że to tak się stało. Nie jestem za powierzchownymi interpretacjami i jeśli chcesz zaakceptować to jako symptom mojego szaleństwa, proszę bardzo.

Brałem dużo LSD, a psylocybinę tylko parę razy. Psylocybina jest dla mnie jedynie środkiem przypominającym i integrującym. Pierwsze trzy sesje zaczęły się od połączenia dwóch przeciwnych energii. Ich intensywność zmniejszyła się, a po trzecim razie zniknęła. Jedna siła była intensywnie kolorowa i odbierałem ją,

jakby mnie atakowała. W bardzo powolnym rytmie, fale, trwające około jednej minuty, siła ta przepełniała mnie, bardzo niechętnego i podobnego do mgły.

— Skąd ci się tu wzięło poczęcie? Nie doświadczyłeś siebie jako plemnika i jaja.

To prawda. Możesz to nazwać jin i jang albo substancją męską i żeńską w pojęciu Weiningera. On twierdzi, a uważam, że ma rację, iż każdy z nas posiada substancję męską i żeńską i że czysty mężczyzna lub czysta kobieta rzadko się zdarzają. Potwierdzają to moje własne obserwacje. W wielu nerwicach, a także psychozach widzianym męskie i żeńskie substancje w poważnym konflikcie; u geniusza widzę te przeciwności zintegrowane. Podział na lewo/prawo jest widoczny w nerwicy, a u geniusza widoczna jest obustronność.

— I są w równowadze?

Widzę idealną równowagę u Leonarda da Vinci. Michał Anioł ma więcej pierwiastka męskiego, a Rainer Maria Rilke więcej żeńskiego.

— A gdzie twoje miejsce?

Długo to trwało, zanim zaakceptowałem, że ludzie nazywają mnie geniuszem. Potrzebowałem następnych trzech miesięcy, żeby przestać się tym zajmować. Jednak wierzę mocno w integrację. Połączyłem całkiem sporo z moich przeciwnych sił, a będzie ich jeszcze więcej. Teraz wierzę, że stało się jasne, iż terapia gestaltyczna to nie podejście analityczne, lecz integracyjne. Stanie się to jeszcze jaśniejsze, kiedy będziemy gotowi omawiać terapię.



— Czy pamiętasz, jak się urodziłeś?

Nie. Przeprowadziłem sporo pacjentów przez rodzaj narodzin. Na jednym z moich filmów, *Louise*, możesz zobaczyć taki przypadek. Pracowaliśmy nad snem i krzykiem, które wyraźnie wskazywały na nie zakończone narodziny. Jednym z ciekawych faktów było rozwinięcie jej krzyku od odgłosów wydawanych przez noworodka do ztego, głodnego dziecka. Ciekawe jest też to, że nie było w tym żadnego niepokoju. Film ten będzie częścią multimedialnej książki: *Świadek terapii*.

Moje własne wspomnienie narodzin ograniczone jest do sesji z dwutlenkiem węgla, kiedy obudziłem się w pozycji noworodka, wykonując typowe dla niego ruchy. I nadal ziewam jak hipopotam albo noworodek. Powiedziano mi, że przeszedłem poród kleszczowy i nie byłem należycie karmiony z powodu infekcji sutka mojej matki oraz że przeszedłem nieomal fatalne *Brechdurchfall*, wymioty i biegunkę. Nigdy sobie nic z tego nie przypomniałem.



— Czy możesz powiedzieć, że miałeś szczęśliwe dzieciństwo?

Zdecydowanie, aż do czasu gimnazjum. Lubiłem szkołę i jazdę na tyżwach. Byłem blisko z moją siostrą Gretą. Był z niej prawdziwy urwis, dzikus o upartych, kręconych włosach. Mężczyzna, za którego wyszła, Soma Gutfreund, był nikim, handlował skrzypcami, naprawiał je i grał. Chyba nawet nie grał źle, skoro Piałgorski przechodził do jego sklepu grać kwartety. Ja nie mogłem się do niego przekonać. Miał zdolność produkowania

banatów, jakby były to perły mądrości. Oni także, jak wielu innych Żydów, nie wyjechali z Niemiec, dopóki SS nie weszło do ich sklepu i nie roztrzaskało większości instrumentów.

W tym okresie brakowało niebios dla żydowskich uciekinierów, ale udało im się dostać do Szanghaju, gdzie naprzykrzał im się upał i wojna, stamnad do Izraela, gdzie doskwierał im głód, aż ja sprowadziłem ich do Stanów, gdzie on w końcu miał kłopoty z językiem. Umarł kilka lat temu, ale Greta się przystosowała. Jest bardzo nerwowa, bardzo gadatliwa i bardzo zmartwiona. Pomimo to Kochamy się nawzajem, a ona jest bardzo dumna, że jej brat — czarna owca — zdobywa sławę. „Szkoła, że mama tego nie widzi”. Zawsze przesyła mi najdroższe i najsmakowitsze europejskie cukierki.

Mama rzeczywiście byłaby bardzo dumna. Była bardzo ambitna względem mnie i zupełnie nie przedstawiała się jako typowa „matka Żydówka”. Ojciec nie dawał jej pieniędzy i byliśmy zadowoleni, gdy mieliśmy co jeść. Dobrze gotowała, ale nigdy nie zmuszała nas do jedzenia. Ojciec matki był krawcem i zważywszy na jej pochodzenie, zaskakujące było jej zainteresowanie sztuką, szczególnie teatrem. Oszczędzała każdy grosz, żebyśmy mogli dostać miejsce stojące w Kroll Theater czy aneksie Imperial Opera. Chciała także, abym pobierał lekcje gry na skrzypcach i pływania. On nie dawał nam pieniędzy na żadną z tych rzeczy. Jej nie było stać na skrzypce, lecz tylko na pływanie. Stałem się prawdziwym szczurem wodnym.

Nie lubiłem Elise, mojej starszej siostry. Czepiała się i zawsze w jej obecności czułem się nieswojo. Miała też poważne kłopoty ze wzrokiem. Zupełnie nie cierpialem myśli, że któregoś dnia będę musiał się nią zaopiekować, może obciążony jej obecnością w domu, ciężki tańcuch dla Cygana.

Kiedy usłyszałem o jej śmierci w obozie koncentracyjnym, niewiele ja opłakiwałem.

— I nie czułeś się winny?

Nie, żywiłem do niej niechęć.

— Co ma jedno wspólne z drugim?

Za każdym uczuciem winy kryje się niechęć.

- Jak niechęć zmienia się w winę?
Musisz uwierzyć mi na słowo. Musiałbym omówić całą topologię.
- No, to omów.
- Nie.
- Wina i niechęć to emocje. Jak się ich pozbywasz? Bijąc się w piersi: *Pater, pecavi*?
- Nie, to nie pomaga.
- Ale musisz się tego pozbyć, żeby być zdrowym. Czyż Freud nie powiedział, że człowiek jest zdrowy, jeżeli nie dręczy go niepokój i wina? Prowadzisz terapię. Zatem wyjaśnij!
- Gadu, gadu, gadu.
- Nie możesz mi tego zrobić. Zapominasz, że jesteśmy jednym i prowadzimy grę. Wymigujesz się, a ja tego nie lubię. I nie czujesz się winny?
- Nie, ale ty powinieś się tak czuć.



O wiele szlachetniejsze jest poczucie winy niż niechęci i więcej odwagi potrzeba, by wyrazić niechęć niż winę. Wyrażając winę, spodziewasz się spacyfikować swojego oponenta; wyrażając niechęć, możesz wywołać u niego wrogość.

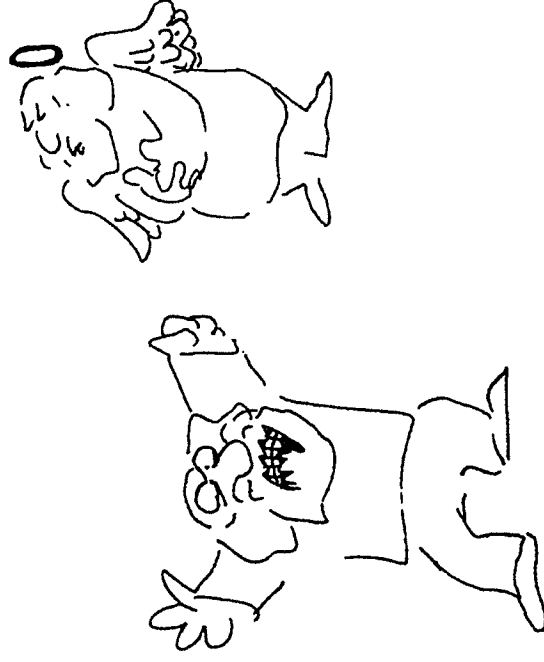
Czytając ponownie ten akapit, odnoszę wrażenie, że znowu odgrywam tę rolę, rolę profesora. Nie przeszkadza mi ta gra. Nie podoba mi się oschłość, brak zaangażowania. Lubię siebie o wiele bardziej, kiedy myślę lub piszę z pasją, kiedy jestem nakręcony.

Ekscytacja sięga pióra
Rozbrzmiewa jak dzwon
Niech nie cierpnie tobie skóra
Gdy fałszywy zabrzmi ton.

Lepiej do śmietnika wrzucić
To, co nic niewarte
Ambicję co będzie cię truć
A życie postaw na jedną kartę.

Teraz taniec, teraz radość
Obojętnie, co tam za pogoda
Wyrzuć strach, wyrzuć złość
Niech w tańcu zapanuje zgoda.

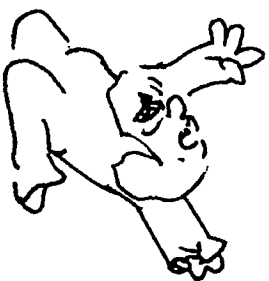
Jeśli będziesz teraz truć
Ja nad tym boleję:
Rozpal w sobie wielką chęć
Nie flaki z olejem.



Zaraz dasz mi to, co masz
Żądam tego całkowicie
Zainwestuj to, co masz
Oddaj nawet życie.

O tej porze i w tym miejscu
Żądam, abys tu i teraz
O ognistym i czystym sercu
Został ideałem nieraz!!!

Ty skurwielu! Siedzisz sobie i stawiasz niemożliwe żądania. Chcesz, abym czuł się winny, jeżeli im nie sprostam. Ależ nie cierpię ciebie zato, jestem wściekły i cię nienawidzę. Boże wielki. Ale ty mnie wnerwiasz, jak Freud. Superego i ideał ego są identyczne! Nie, proszę pana! Jesteś sprawiedliwym sumieniem, superego, i chcesz, żebym był ideałem ego. Wpierw wciągasz mnie, mówiąc: „Po prostu bądź sobą”, a potem: „Tylko sobą takim, jakim chcesz, abys był”. Używasz sztuczki każdej religii, stawiasz niemożliwe żądania, a potem wyciągasz swój funt ciała, „jak gdybym” ja miał dług, „jak gdybym” ja był winien coś tobie.



Teraz jestem przewodnikiem podróży:

Panie i panowie, opuszczamy teraz kraj organizmu i jego zgrubne ozdrowienie z braku równowagi. Pozwalamy organizmowi dopełnić swoich nie dokończonych sytuacji.

Wkraczamy teraz do kraju zachowania społecznego. Jest to kraj powinności i żądań. Kraj rozkazów.

— Myślisz, że jesteś zabawny?

Nie, zupełnie nie. Próbowałem. Czasami potrafię być bardzo zabawny, prawdziwa dusza towarzystwa. Nie mogę tego robić rozmyślnie. Musi być kontekst.

Chciałem stworzyć przejście do dyskusji o „stosunkach międzyludzkich”, jak Sullivan nazwał swoje podejście, ale okazało się to głupią sztuczką.

— Jeżeli utknąłeś, sugeruję, żebyś wrócił i dokończył. Na przykład?

— Tyle spraw zostawiłeś nie dokończonych.

Nie pojawia się nic ciekawego. Nie widać żadnej nie dokończonej sytuacji.

— A co z Idą Rolf? Chciałbym wiedzieć, jak ci pomogła. A może mógłbyś opowiedzieć o organicznej funkcji niechęci i winy?

Nie, nie mógłbym w przypadku winy. Wina jest zjawiskiem społecznym, a niechęć organicznym. Mieszanie funkcji organicznych i społecznych to słabość teorii Freuda.

Stadia oralne i genitalne są organiczne. Faza analna jest społeczna. To produkt przedwczesnej nauki czystości. Dlatego też organiczna teoria Freuda jest niepoprawna. Libido, jego rozdęty termin na podniecenie, nie przeszkaduje z ust do odbytu i do genitaliów. Obserwacje infantrylnej seksualności i analnych trudności, nie wyłączając tezy Abrahama dotyczącej analnego charakteru, są jednak bezcenne.

— Widzę, że ziewasz. Nie podnieca cię ta dyskusja. Nie możesz odpuścić sobie Freuda? On zrobił swoje, a ty robisz swoje.

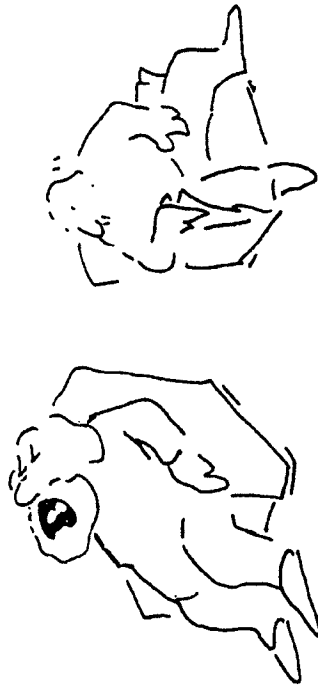
Nie rozumiesz? Robię to, aby wyjaśnić własny pogląd. Co więcej, większość psychiatrów wierzy we Freuda. Kiedy Darwin

opracował swoją teorię ewolucji, nie mógł uniknąć konfliktu z wyznawcami Biblii.

Przerwałem w tym miejscu i podszedłem do maszyny do pisania, by kontynuować podjętą przed kilkoma dniami naukę. Po raz pierwszy napisałem zdanie odnoszące się do tej książki.

Ziewam, ziewam. Unikam zajmowania się moimi analnymi trudnościami i walką z matką o moje zatwardzenie. Wiem tylko, że dawała mi czopki z mydła, a ja ją za to nienawidziłem. Reszta to spekulacje.

Ziewam, ziewam, ziewam. Nadal jest wcześnie, nie ma nawet jedenastej. Często piszę do drugiej w nocy albo nawet później.



Ty na górze, masz rację. Musimy dokończyć parę spraw. Fragmenty, które się pojawiają — Freud, Ida Rolf, zatwardzenie, brak podniecenia, przedwczesne wejście w stosunki społeczne — jeszcze nie tworzą gestaltu.

Teddy powiedziała, że poprzednie pisanie szło zryganiem, w schizofrenicznych skojarzeniach.

— Ona ma rację. Zorientujmy się, gdzie jesteśmy.

Kiedy tylko powiesz, że zaczynam szukać, ziewać, ociężałe, chociaż spałem dziewięć godzin. Muszę poczekać, aż coś się pojawi albo w gównianym języku... coś wyjdzie.

Ziewam, ziewam. To zaczyna być symptomatyczne. Nuda? Zacząłem tę książkę jako antidotum na nudę. Podekscytowałem się, uwolniłem sporo energii. Ekscytuje mnie myśl: czy ta nowa fala nudy obwieszcza kolejne źródło energii? Czy ten stan nudy jest stanem implozji?

— To możliwe. Pasuje do tematu dokańczania. Nie mówię o implozji. Pamiętasz swoją teorię nerwicy?

I to jak. Impas. Rosyjski punkt choroby? Środek nerwicy? Tak, najwyższy czas o tym powiedzieć. I wyodrębnić przemyślenia, i trzymać je na wodzy. Implozja. Dobre słowo. Eksplozja: nieograniczona siła skierowana odśrodkowo w kosmos. Emocjonalna eksplozja: ogarniająca świat wściekłością i miłością. Siło strachu, okiełznaj ją! Zmienij kierunek, oczyść ją! To nie zawsze da się zrobić. Wszystko albo nic. Eksploduj ją lub imploduj!

Implozja, siła kurczenia, siła grawitacji. Bez tej siły ziemia rozpadłaby się na kawałki, unosiłaby się, zdeintegrowała. Implozja, nowe słowo w słowniku przeciwnego człowieka. Już tu zostanie. Przeczytałem ostatnio, że łódź podwodna „Scorpio” implodowała... 12 000 stóp ciśnienia wody. Kadłub nie mógł się już temu oprzeć, zapadł się. Pomniejszony okręt leży z załogą ściśnięty na dnie oceanu. Nasze emocjonalne implozje nie są tak silne, jak nasze emocjonalne eksplozje nie są tak wielkie

W silniku diesla tłok spręża gaz, następuje implozja, wytwarzając wystarczające ciepło dla eksplozji, dla okiełznanej eksplozji. W innych silnikach musimy wywołać eksplozję iskrą. W naszych komórkach mamy prawdopodobnie miliony minieksplozji, niemierzalnie małych, okiełzanych eksplozji. Te minieksplozje sumują się na siłę życiową, ekscytację.

Dzień, w którym będziemy mogli okiełznać eksplozję atomową, może być dniem pokoju na świecie. Każdy kraj na świecie będzie miał wystarczającą ilość energii. Wojny o kontrolę nad źródłami energii znikną całkowicie.

Tymczasem musimy lepiej zrozumieć rytm eksplozji i implozji.

Tymczasem musimy nauczyć się rozróżniać między prawdziwymi implozjami a pseudoimplozjami.

Prawdziwe implozje to nic-ość.

Pseudoimplozje to nic.

Prawdziwe implozje to skamienienie, śmierć.

Pseudoimplozje to potencjalna przemoc, jak szala, która spowodowała niespokojnie. Jak ta wojna w okopach w 1916 roku, z milionami zaszachowanych w bezruchu, jak przeciąganie liny z si-

tami wroga, dokładnie dobranymi, jak głęboko wycofany katatonik, który może eksplodować z niewyobrażalną siłą.

Dawaj sobie radę i wycofuj się, kurcz się i rozciągaj, imploduj i eksploduj... jak serce implodujące, kurczące się, a potem wybuchając otwierające się, aby dać się napętnić. Ciągłe kurczenie się prowadzi do szybkiej śmierci, podobnie jak ciągłe rozciąganie się.

Pseudoeksplozja u neurotyka to paraliż, pseudośmierć. Wypełnia ją podniecenie dwóch antagonistów wykluczających się nawzajem.

Pseudoimplodzja to halucynacja śmierci.

Pseudoimplodzja manifestuje się jako pusty człowiek, śmiertelny nudziarz, biurokrata.

Pseudoimplodzja pokazuje się w snach jako pustynia, budynki i przedmioty. Bez jakiegokolwiek roślinności, bez ludzi.

Freud postrzega pseudoimplodzję jako instynkt śmierci z jedną możliwą eksplozją: agresją.

Reich i Lowen widzą pseudoimplodzję jako zbroję, którą otwiera się na tymczasowe emocjonalne eksplozje lub wydalenia.

Pseudoimplodzja dostaje odroczenie od Schutza oraz inne „nastrajające”. Zahamowania rzucone na porwiste wiatry.

— Najwyraźniej szukasz winy u wszystkich.

Gdyby ktoś trafił do celu, mielibyśmy teraz „lekarstwo”. W każdym razie Reichowie i Schutzwowie są bliżsi rzeczywistości niż „gwałciciele umysłu”.

— ?

Ci intelektualisi produkujący słowa.

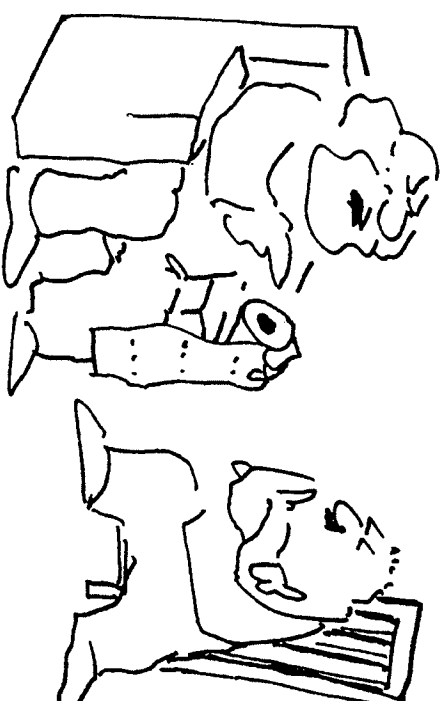
Uczestniczyłeś kiedyś w tym, co uchodzi za terapię grupową?

Wszyscy rzucają w ofiarę swoją opinią, każdy interpretuje ka-dego. Argumentację, werbalny ping-pong, w najlepszym razie atak: „Przesadzasz, mój drogi” albo płaciliwe przedstawienie pod hasłem „Jaki ja biedny”. Jakiego rozwoju spodziewasz się w tych „klubach samodoskonalenia”?

— Naprawdę czepiasz się tych ludzi. Oni starają się i chcą dobrze.

Wiem. Tak bezkompromisowo trudno jest wyjaśnić, że zrozumienie emocji i uwolnienie ich nie wystarcza; że tak zwane

lekarstwo jest częścią procesu dojrzewania; że celem lekarstwa jest, używając określenia Seligę, nauczyć ludzi wycierać sobie dupę. W tym względzie niektórzy z nauczycieli „samowyróżniania” — szczególnie jeżeli są zaangażowani w produkcję masową — mogą być nawet szkodliwi, jeżeli nie złączą od tego, gdzie jest pacjent, ale zamiast tego będą wydawać mu rozkazy, czego powinien doświadczać. Aby zadowolić nauczyciela, uczestnik warsztatów będzie produkować kopie tego doświadczenia i tylko wzmacniać swoją nerwicę.



— Możesz podać przykład?

Tak. Widziałem, jak nauczyciel, czy pacjent czuł to, czy nie, zmusza go do złości poprzez uderzanie w materac i krzyk: „Nie! Nie!”. To werbalne „Nie” i towarzyszące temu działanie, które mówi „Tak” nauczycielowi, są sprzeczne i mogą stwarzać jedynie zamieszanie. W porządku, jeżeli to „Nie” znajduje się tuż pod progiem samowyróżniania, jeżeli „ja” jest zaangażowane, a cała sprawa nie jest po prostu sztuczką nieczułego nauczyciela. Wielu terapeutów popisuje się swoim kontrolowanym szaleństwem przed wierzącymi w nich szukającymi poprawy, zamiast zwalczać ów symptom u siebie.

— Nieże się wściekasz i sam teraz prawisz kazania! Co z tobą?

To jedyna sfera, gdzie nie mogę znaleźć swojej winy. Bez mojego wyczerpania, wyczerpania czasu i intuicji nie byłbym tym, kim teraz jestem. Nawet kiedy przeprowadzam eksperymenty grupowe, są one tak skonstruowane, żeby brać pod uwagę miejsce, w którym każdy znajduje się w danej chwili.

— Daj mi przykład.

Proszę każdego z uczestników, aby wypowiedział zdanie zaczynające się od: „Nie cierpię...”, a potem poszukał, czy jest to puste stwierdzenie werbalne wypowiedziane, aby mnie zadowolić, czy rzeczywiście doświadczenie. W takim przypadku robię następny krok. „Postaw swoje żądania jasno”. Lub spotkaj się z tą osobą w myślach, aż niechęć zniknie.

— Jak sprawiasz, że znika niechęć?

Niechęć jest rodzajem trwałego uchwytu zębami. Jeżeli nienawidzisz, to utknąłś z tym. Często dochodzi do implozji w ustach, do zeszytnienia szczęki. Nie możesz ani puścić, zapomnieć i wybaczyć, ani przegryźć się, nabrać agresji i zaatakować rzeczywistość i wymyślonego frustratora. Nienawiść, podobnie jak mściwość, jest dobrym przykładem nie dokończonej sytuacji.

— Zatem poluzowanie szczęki nie wystarczy?

Zatem poluzowanie szczęki jest tak jednostronne jak „mówienie” o nienawiści.

— Dziękuję, Fritz, za wykład. Mam pojęcie o implozji, nauczyłem się czegoś więcej o niechęci i przede wszystkim zaczynam uświadamiać sobie pewne komplikacje w terapii. Zgadzam się, że jakiegokolwiek częściowe podejście, jak przebicie zbroi lub mówienie o doświadczeniu, jest jednostronne i dlatego nieefektywne.

Tak. I szczególnie nie pochwalam tych trzymających jedną stronę, jeżeli wierzą, że ich segmentalne podejście to panaceum, lek na wszystko.

— Chcesz powiedzieć, że jednostronne podejście także ma zastosowanie do „fizycznego” wtórnego uwarunkowywania Idy Rolf? Co ona robi? Czy coś na kształt przebicia zbroi wyznawców Reicha?

Czasami tak. Nazywam to raczej przypadkowym odpadem, szczególnie jeżeli twoim wspomnieniem jest muskularna abstrakcja.

— Zupełnie tego nie rozumiem. To naprawdę brzmi dla mnie jak jakiś żargon: muskularna abstrakcja wspomnienia!

Mówiłem o wytrenowanych szczurach, których mózgi zostały zmielone i podane do zjedzenia innym. Ta substancja miała prawdziwą pamięć albo *mneme*, pamięć organiczną.

Zatem każde wydarzenie ma kilka aspektów: wypowiadane słowa, odczuwane emocje, widziane obrazy, obserwowane ruchy, myśli i skojarzenia, odczuwany ból itd. Z tych wszystkich tysięcy wrażeń wyciągamy pewną ilość, którą odkładamy w naszym banku wspomnień, aby posłużyły jako oficjalny przedstawiciel tego wydarzenia. Przeważnie stają się rodzajem stereotypu. Możemy nawet przyozdobić go lub część usunąć.

Jeżeli pojawia się jedna abstrakcja, wówczas często cały kontekst jest osiągalny. Nie jest to skojarzenie linearne, chociaż często jest tak nazywane, ale całościowy gestalt.

Zatem, jeżeli Ida dotyka bólowego miejsca, czyli tego, co pamiętają mięśnie, wówczas ogólny kontekst, włączając nie wyrażane emocje i obrazy, może pojawić się i stać się osiągalny dla asymilacji i integracji.

Odzyskane wspomnienie samo z siebie ma tak małą wartość jak odzyskane wspomnienia Freuda i Reicha. Jeżeli jednak pacjent trwa przy błędnej postawie... „jak gdyby” nadal odczuwał pierwotny ból... wówczas ma taką samą szansę ponownego przystosowania się do poprawnej postawy jak pacjent, który trzyma się zmarłej matki... „jak gdyby” nadal musiał ją zadowalać; może sobie uświadomić, że już nie musi jej więcej zadowalać, że był ofiarą halucynacji. Oba przypadki są procesami „budzenia się”.

— A Ida naprawdę pomogła ci z problemami sercowymi?

Tego nie mogę powiedzieć. Z pewnością pomogła mi z głównym symptodem, tymi bólami związanymi z dusznicą, przez które życie było tak nieszcześliwe, że aż miałem ochotę skończyć z tym wszystkim. W tym sensie uratowała mi życie.

— Czy dostała się do jakichś wspomnień?

Nie. To mi się udało dzięki psylocybinie. Nie, jej praca polegała zupełnie na czym innym. Te przełomy są zaledwie produktem ubocznym, nie głównym. Podobnie jak ja, pracuje nad nie-

równowaga. Następcy Reicha mają podejście heurystyczne. Przebijają zbroję tam, gdzie spodziewają się znaleźć represje. Ida wyznaje pogląd holistyczny; patrzy na całe ciało i próbuje ustawić to, co się popsuło. Rozrywa ciasną szatę wokół mięśni, by dać im zaczerpnąć powietrza, jak sama mówi, i stymuluje zanikające mięśnie.

— To rozrywanie musi być bolesne.

Czasami nie do wytrzymania. Na ogół po dwudziestu minutach robię sobie przerwę na papierosa.

— Dlaczego ona nie robi tego pod znieczuleniem?

Twierdzi, że potrzeba jej współpracy. W niektórych miejscach tkanka mięśniowa implodowała, a ona działa tak długo, aż ustąpi skurcz.

Wziąłem około pięćdziesięciu zabiegów. Przeważnie daję planowaną serię dziesięciu.

— Przeszło ci już?

Wcale nie. Najpierw weź pod uwagę mój wiek i to, że wiele z moich implorji jest bardzo głęboko zakorzenionych. Nastąpiła tylko nieznaczna poprawa. Ona ma teraz paru dobrych uczniów. Pewnego dnia będę niegrzecznym chłopcem i spróbuję poddać się „rolfingowi” z podaniem podłotku azotu, gazu rozweselającego.

— Zatem jaki ma to związek z twoimi kłopotami sercowymi?

W przypadku dusznicy bolesnej (*angina pectoris*) mięśnie wokół serca i w lewej ręce bardzo bołą. Prawdopodobnie natura znalazła taki sposób, aby powstrzymać cię przed przepracowaniem i przemęczaniem chorego serca. Ida pootwierała więc skurcze w tych wszystkich mięśniach i mogłem swobodnie oddychać. Miałem czasami także strasznie bolesne, paraliżujące bóle pleców, a zniknęły w około 80-90 procentach. Widzisz, że ogólnie rzecz biorąc, mam powody, aby być nad wyraz wdzięczny.

— Jaką ona jest osobą?

Potężnym, wielkim aniołem. Łączymy teraz terapię gestaltyczną z jej metodami. Od kiedy sprowadziłem ją do Kalifornii, zainteresowanie jej pracą rośnie.

— Ile ma lat?

Musi być w moim wieku.

— Skoro jest taka dobra, dlaczego nie jest sławna?

To stara historia reklamowania czegoś dobrego jako panaceum. Jest oczywiście uprzedzona i raczej perswaduje, niż podaje fakty, czasami sobie przypisuje coś, co nie jest bezpośrednim wynikiem jej pracy. A z koordynacji naszej pracy wyłania się coś dobrego. Ona nie przysłuży się osobom o głębokich zmiarach psychicznych, a osoby z chronicznymi wadami postawy ograniczając efektywność naszej terapii. Sprawdźmy także, czy nasza współpraca działa na schizofreników.

Struktura i frustracja są identyczne: zmień strukturę, a zmniejsz jej funkcję; zmień funkcję, a zmniejsz strukturę.

— Powiedziałeś, że odzyskałeś pewne wspomnienia pod



wplywem psylocybiny. Przypomniałeś sobie, jak nabawiłeś się kłopotów z sercem?

Nie, niezupełnie. To o wiele bardziej złożona historia i skupia się wokół Marty. Żałuję, że nie mogę po prostu powiedzieć, że Marty złamała mi serce, ale to byłoby zbyt wielkie uproszczenie. Faktem jest, że przeszedłem cierpienia czasem trwania dorównujące okresowi spędzonemu w okopach. Różnica polega na tym, że w okopach mogłem traktować siebie jako ofiarę okoliczności; w przypadku Marty ja ponoszę odpowiedzialność.

Co spowodowało mnie do Miami Beach, gdzie mieszkała Marty, w zasadzie nie mogę powiedzieć. Kiedy mieszkaliśmy w Afryce Potudniowej, uwielbiałem spędzać wakacje w Durbanie. Przeważnie zatrzymywaliśmy się w Balmoral Hotel. Frontowy pokój

z widokiem na ocean kosztował gwineę, co wówczas równało się czterem dolarom. Obejmowało to także smakowite jedzenie z wieloma wyśmienitymi sałatkami. Szeroka plaża o białym piasku i, o jeju, Ocean Indyjski! Ciepłe fale, pod którymi się nurkowało. Sporo czasu na czytanie. Przejazdki do Zululandu, doliny o tysiącu szczytów. Przejazdki z Zuluriksha, silnym Murzynem w stroju wojownika, wyskakującym w powietrze, przechylającym riksę jak koń, który się dobrze bawi.

Oczywiście nie znalazłem nic takiego w plastikowym Miami Beach, ale pływanie, jedyny sport, jaki mi pozostał, przyciągnął mnie z Nowego Jorku.

Nigdy nie lubiłem Nowego Jorku, parnego latem, a zimą pokrytego pluchą, z trudnościami przy parkowaniu i syrenami, z tandetnymi przedstawieniami teatralnymi i długimi podróżami zatoczonym i głośnym metrem. Przede wszystkim coraz bardziej niewygodnie mi było z Lore, przy której zawsze byłem na przegranej pozycji i która w tym okresie nigdy nie powiedziała o mnie dobrego słowa.

To z kolei zwiększało moją tendencję do romansów bez jakiegokolwiek głębszego zaangażowania. To zaangażowanie w końcu pojawiło się w Miami Beach.

Big Sur, Kalifornia

Droga Marty,

Kiedy Cię poznałem, byłaś piękna nie do opisanía. Prosty, silny, grecki nos, który później zniszczyłaś, żeby mieć „ładną” twarz. Kiedy to zrobiłaś, kiedy ochrzciłaś sobie nos, stałaś się obca. Miałaś wszystkiego w nadmiarze... inteligencji i próżności, oschłości i namiętności, okrucieństwa i wydayności, beztroski i depresji, rozwiązłości i lojalności, pogardy i entuzjazmu.

Kiedy mówię, że byłaś, jestem w błędzie. Ty nadal jesteś i żyjesz jak nigdy, chociaż bardziej skonsolidowana. Nadal Cię kocham, a Ty kochasz mnie, już bez namiętności, ale z zaufaniem i szacunkiem.

Kiedy przypominam sobie nasze wspólne lata, pierwsze

pojawia się nie nasze ogniste kochanie i jeszcze bardziej zacięte kłótnie, ale Twoja wdzięczność: „Oddałeś mi moje dzieci”.

Znalazłem Cię bezradną, na granicy samobójstwa, rozczarowaną małżeństwem, przykutą do dwójki dzieci, z którymi straciłaś kontakt. Byłem dumny, że Cię podniosłem i ukształtowałem według Twoich i moich potrzeb. Kochałaś mnie i podziwiałaś jako terapeutę, a jednocześnie stałaś się moją terapeutką, tnącą z okrutną szczerością przez moją nieszczerłość, kłamstwa i manipulacje. Nigdy już nie było między nami większej równowagi niż wtedy.

Potem przyszedł czas, kiedy zabrałem Cię do Europy. Paryż, szalone wybuchy zazdrości z mojej strony, dzikie orgie, podniecające, ale nie naprawdę szczęśliwe. To szczęście zjawiało się we Włoszech. Byłem dumny, że mogłem pokazać Ci prawdziwe piękno, jakby było moją własnością, i pomóc Ci pokonać kiego gust pod względem sztuki. Oczywiście, upiliśmy się Wenecją i...

To przedstawienie *Aidy* w Weronie! Starożytny amfiteatr rzymski mieszczący dwadzieścia... trzydzieści tysięcy widzów. Scena? Żadnej sceny. Ten koniec teatru zabudowano gigantyczną, trójwymiarową scenerią, jak żywą, fragment Egiptu przeniesiony z innego kontynentu. Jest noc, prawie ciemno. Część widzów oświecenią setki świeczek. Potem przedstawienie. Głosy unoszące się ponad nami i w nas z frapującą intensywnością. Finał: pochodnie płonące w niekończącej się przestrzeni i zanikające głosy, dotykające wieczności.

Nielatwo było przebudzić się i włączyć w gwar wychodzącego tłumu.

Opera na otwartym powietrzu w Rzymie była sztuczna w porównaniu z tym, nigdy nie pozwoliła Ci zapomnieć, że uczestniczysz w przedstawieniu.

Nasze noce. Żadnego nacisku, żeby wracać do domu, żadnej obawy, że się nie wyśpiemy. Osuszenie do ostatniej kropli naszego poznawania siebie. „Dzisiaj było najlepiej”

stało się regularnym zwrotem, ale to prawda, nieustannie wznagająca się intensywność bycia tam dla siebie nawzajem. Nie istnieje taka poezja, która opisałaby te tygodnie, tylko amatorskie jakanie.

W tym życiu nie dostajesz czegoś za nic. Musiałem drogo zapłacić za moje szczęście. Po powrocie do Miami stawałem się coraz bardziej zaborczy. Moja zazdrość osiągnęła naprawdę psychotyczne proporcje. Kiedy tylko byliśmy rozdzieleni... a byliśmy przez większość dnia... niepokoiłem się, sprawdzałem Cię, przejeżdżałem kilkanaście razy dziennie pod Twoim domem. Nie mogłem się skoncentrować na niczym z wyjątkiem: „Marty, gdzie teraz jesteś, z kim?”.

Aż w naszym życiu zjawił się Peter i Ty się w nim zakochałaś. On nie dbał o Ciebie zbytnio. Dla Ciebie był wybaczeniem ode mnie i moich tortur. Był wyluzowanym i zabawnym gawędziarzem. W jego obecności nie można było się nudzić. Był młody i piękny, a ja stary i podstępny. Aby skomplikować sprawy jeszcze bardziej: ja też go lubiłem i nadal lubię.

Runęło na mnie niebo. Zostałem sam i gardziłem sobą na zewnątrz, a wewnątrz pielegnowałem fantazje o dziwkiej zemście. Wszelkie próby zerwania z Tobą zawiodły. Wtedy zrobiłem coś, co — patrząc wstecz — wydaje się próbą popełnienia samobójstwa bez znaku takiego tchórzostwa. Przeżyłem tę operację. Przeżyłem nasze rozstanie. Przeżyłem nasze ostateczne kłótnie i zgody. Jestem tutaj, a Ty jesteś tam. Będzie dobrze i normalnie, kiedy tylko spotkamy się znowu.

Dziękuję Ci za to, że byłaś najważniejszą osobą w moim życiu.

Paul



Patrząc wstecz na własne życie, widzę kilka okresów samobójczych. Po niemiecku to słowo brzmi *Selbst-morder*, zabójca samego siebie; a właśnie tym jest samobójca. Jest mordercą, który niszczy siebie, a nie kogoś innego.

Zarówno morderca, jak i samobójca mają coś jeszcze wspólnego: impotencję w radzeniu sobie z sytuacją, i decydują się na najbardziej prymitywny sposób: eksplozję przemocy.

I trzeci czynnik: pokonam cię: zabiję się, zanim ty mnie zabijesz.

I często: płacę mój dług.

A także przeciwieństwo: będziesz czuł się winny: „Patrz, co ze mną zrobieś”.

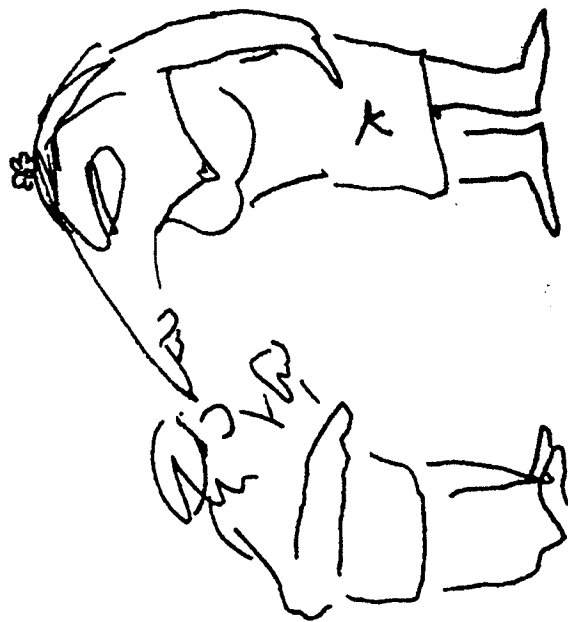
Moralizatorstwo podnosi swój okropny łeb: kara.

Karzę siebie, karzę ciebie. Kościół ukarze mnie. Samobójca nie zasługuje, by leżeć wśród szacownych zmarłych.

A za tym wszystkim: odkupiająca fantazja samobójcy: „Który cudotwórca mnie zbawi?” „*Czy deus ex machina* przybędzie na czas?”.

Dzięki szczęściu i zrozumieniu osiągnąłem rzadki rekord, jak na psychiatrię: trzydziści lat bez choćby jednego samobójstwa wśród moich pacjentów.

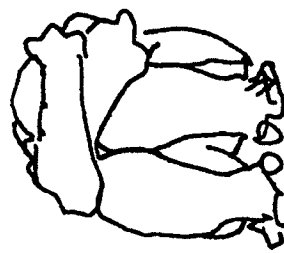
Trzydziści lat temu, w 1938 roku, leczyłem młodego Żyda z homoseksualizmu. Jak wielu pederastów miał matkę — prawniczkę, jednę. Pewnego dnia zjawił się z wiadomością, że matka została zabita, prawdopodobnie przez czarnego służącego. Wkrótce potem — było Jom Kippur, żydowski święto odkupienia — sam się zabił.



Czy to on zabił matkę? Czy był z nią tak bardzo blisko, że chciał się połączyć także w niebie? Jaką rolę odegrało odkupienie?

Próżne spekulacje! Zaczynam rozumieć coś nowego. Są takie dni, że ogarnia mnie zmęczenie, tracę zdrowy rozum, OZ. Wycofuję się. Nie całkowicie. Nie zasypiam. Nie popadam całkowicie w zapomnienie.

Żyźna pustka wrze. Sterylna otchłań, świat nudy zniknął. Jak okiełznać bogactwo żyznej pustki? To coś więcej niż śmietnik, pojawia się coś więcej niż śmieci.



Jest tego zbyt wiele: myśli, emocji, obrazów, osądów. Zbyt wiele ekscytacji. Tworzenie gestu jest w niebezpieczeństwie; ogarnia mnie schizofreniczny frakcjonalizm, chaotycznie manipulujący swoje prawo bytu.

Pozostań w kontakcie, wykorzystaj swoje zmęczenie, aby utopić historię zbyt wielu głosów krzykiem domagających się uwagi. Uspokój się. Trzymaj się zasady Heisenberga: obserwowane fakty zmieniają się przez obserwację!

Zmęczenie, wziąłem cię, jak nudę, za swego wroga. Wziąłem ciebie za coś, co chce poznać mnie części mojego życia. Wiesz, jak jestem łakomy. Więcej, więcej, więcej.

W żyzną pustką teraz patrzę
Zmiłowania czekam
Niech mi łaska spłynąć raczy
I z prawdą nie zwleka.

Zapisz stron tysiące
Stutysięczny znak
Nie pierzchaj po łące
Wszak ty nie jesteś ptak.

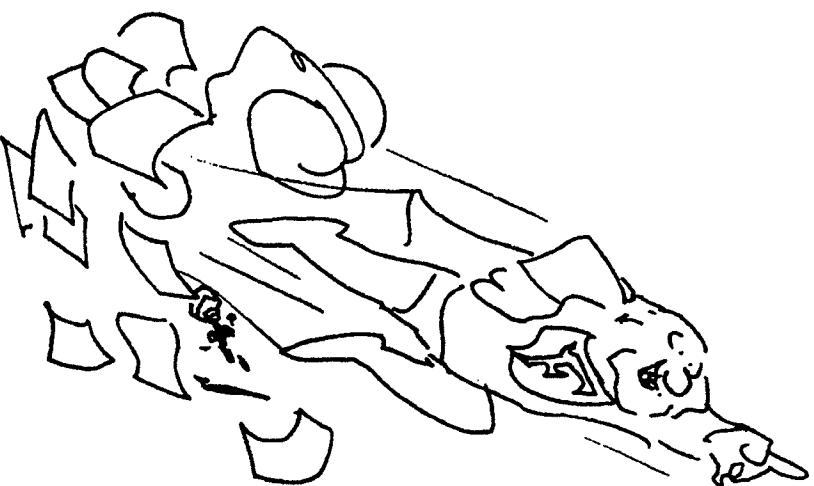
Pióro sunie po papierze
Znaczą ból i radość
Dosyć tego w mej karierze
Już próżności dość.

Wreszcie poznałem
Ile mam do powiedzenia
Ilu odkryć dokonałem
Tego nikt nie zmienia.

Rumtatařita
Niech się każdy bawi
Ratatatařita
A gardło nie dławii.

Nie żałuję tego kim jestem
Jestem watałuka
Uhysa pusa roma tom
Vas is da se kuknąć?

Hurra! Oszalałem!!!



— Teraz oświadczyłeś, że jesteś niepoczytalny. Do czego cię to doprowadziło? Chcesz zrzucić z siebie całą odpowiedzialność? Jejku, ale z ciebie nudziarz. To był wybuch radości. I coś jeszcze. Nie potrafię zbyt dobrze utrzymać melodii. Słyszałem

muzykę i dźwięki i nie czułem potrzeby wypełnienia dźwięków słowami. Wiem, że w żywej pustce jest muzyka.

Mam szczególny stosunek do śpiewu, jak gdybym bał się, że zniknę, kiedy połączę się z innym głosem lub dźwiękiem. Czasami dobrze prowadzę bas, a raz, kiedy Alma Neumann, przyjaciółka z czasów studiów, grała kantatę Bacha, zaśpiewałem cały utwór poprawnie, kierując się jedynie wzrokiem i słuchem. Ten cud wydarzył się tylko raz, ale wskazuje, że gdzieś, ukryty i zablokowany, czeka wielki potencjał muzyczny.

— Przestań, nie czaruj mnie. Chcesz uciec przed poważnym pytaniem o twoją poczytalność.

Och, nie, wcale nie. Chcę tylko, żebyś zrozumiał, że to „poczucie szaleństwa” ma mało wspólnego z niepoczytalnością. Jeżeli nazwiesz moje wybuchy zazdrości psychotycznym, zgadzam się z tobą. Były kompulsywne. Miałem je z Lore, miałem je z Marty i w o wiele mniejszym stopniu przy innych okazjach. Rozumiem je bardzo dobrze i mogę je wyjaśnić, co jedynie pokazuje, jak małą wartość ma psychoterapeutyczne poznanie.

Przeważnie zaangażowane były cztery czynniki... projekcje, nienasycona ciekawość seksualna, strach przed pominięciem i homoseksualizm.

Nagle uświadomiłem sobie, że opuściłem jedną osobę, Lucy, która także była ważna w moim życiu.

Rozumiem też, jak trudno jest być pisarzem, nawet jeżeli ograniczamy swoje „ja” zaledwie do faktów. Muszę dokonać wyboru. Ale jakiego, do diabła? Nie muszę wyprodukować dobrej książki. Wiem w jakiś sposób, że moim głównym motywem było i jest dojście do ładu z sobą samym i poddanie się własnej terapii. Naprawdę nie ma nikogo innego. Był Paul i była Marty, jest Jim Sinkin, a ja w zasadzie nie jestem gotów poddać się jemu. Lore nie jest dla mnie dobrą terapeutką. Zbyttno z sobą współzawodniczymy. Ona jest zarozumiała, bogoboja i nie słucha. Nie mam wątpliwości, że często ma rację, ale przynajmniej w stosunku do mnie ma rację agresywnie.

Jest dodatkowy plus całej tej książki. Chętnie daję ludziom do przeczytania rękopis w mojej obecności, by doświadczać ich

udziału. Potrzeba mi sporo zachęty. Gdybym pisał wyłącznie dla siebie, opuściłbym wiele teorii, a ja chcę to przekazać.

Najwyraźniej, bo tak to coraz częściej widzę, jest to znówu moja zachłanność. Jestem zachłanny na obydwa sposoby: mieć coraz więcej doświadczeń, wiedzy i sukcesów i rozdawać wszystkim, co mam... a nawet to nigdy nie wydaje się dosyć.

Nic nie wyraża zachłanności lepiej od palenia. Jeden gwóźdź do trumny za drugim. Bum, bum, bum! Umierasz od palenia, umierasz od masturbacji. Widziałem wiele śmierci na wojnie, od chorób, w wypadkach. Widziałem śmierć od palenia i seksu.

— Nie o to chodzi, jak mawiała Lore.

Więc o co chodzi?

— Wiesz bardzo dobrze, jak mawiała Lore, ukrywając swoją ignorancję za wszystkowiedzącą miną.

Nie chcę jeszcze rozmawiać o Lore, chociaż Lucy wskazuje w tę stronę. „Gdybym” nie miał problemów z Lucy, nie wyjechałbym do Frankfurtu i nie poznałbym Lore. „Jeżeli” wyciągnę Lucy z trumny, to muszę także wyciągnąć wuja Stauba z jego wielce szanownej trumny.

Wuj Staub był dumą rodziny. Był największym niemieckim teoretykiem prawa. Miał długą brodę i dumny chód. Jego żona i dzieci byli zarozumiali i mieli z nami mało wspólnego. Oni także mieszkali przy Ansbacher Strasse, podczas gdy Greta i ja mieszkaliśmy po prostu na ulicy. Siostra Else trzymała się mamy.

Możecie sobie wyobrazić? Wtedy jeszcze nie było samochodów. Ulica należała do dzieci, z wyjątkiem tych z bardziej nobilitowanych klas, jak dzieci Staubów, które były zbytnio zajęte kształceniem przez guwernantki.

Wuj Staub przemknął przez moje życie jako symbol, jako interpretacja i jako psychologiczne odkrycie.

Symboliczny status był oczywisty i było także oczywiste, że powinienem podążać jego śladem. Lecz zbuntowałem się i uciekłem w nauki humanistyczne chorą ścieżką medycyny.

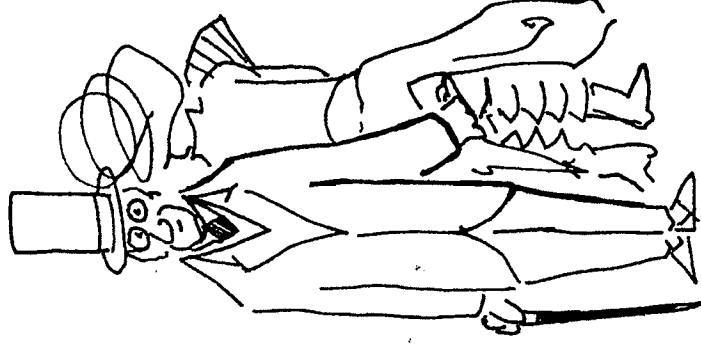
Interpretację zapewnił Wilhelm Reich. Nigdy nie zdradził mi, jak doszedł do tego wniosku: powiedział, że jestem synem Her-

mana Stauba, co spodobało się mojej próżności i nigdy nie osiągnęło przekonania.

Do psychologicznego odkrycia doszło poprzez Lucy. Powiedziała mi, że pieprzył ją, kiedy miała trzynaście lat. Kiedy to usłyszałem, nie sprawdziłem jej wiarygodności i uwierzyłem jej. Otrzymałem potwierdzenie podobnej sprawy później z innego źródła.

Teraz odczuwam skrępowanie podobne do tamtego.

Zauważyłem, że ojciec w dużej mierze był swawolnikiem, ale i tak uchodził za złego. A oto ważny autorytet niemiecki w dziedzinie prawa popełniał przestępstwo uwodzenia nieletnich. I to pod przykrywką powszechnego szacunku! A do tego były jeszcze nauki Freuda, najwyraźniej mówiące seksowi tak.



— Nagle stajesz się moralistą.

Miałem w życiu okresy moralnej pogardy. Pierwszy przeżyłem w wieku czterech lat. Bawiłem się na ulicy. Dziewczynka wybiegła z domu i na moich oczach nasłusiła pod drzewem. To nie do wiary! Dlaczego nie zrobiła tego w domu, do nocnika?

— Gdybyś opisał historię swojego przypadku jako zboczenie seksualny, gdzie umieściłbyś Lucy?

Powiedziałbym, że to był punkt zwrotny. Wcześniej wiodłem życie miłosne raczej rozwiązę, ale zasadniczo zdrowe.

— Zatem obwiniasz Lucy?

Nie, zdecydowanie nie obwiniam jej. Z chęcią poddałem się jej naukom i niebatalnemu poznawaniu. A obraz tajemnego życia Hermana Stauba wprowadził licencję, a nawet żądanie, aby podążać jego śladem... jeżeli nie w dziedzinie prawa, to przynajmniej w jego działaniach sprzecznych z prawem, obojętnie, czy były prawdziwe czy wymyślone przez Lucy.

— Czy ona także była twoją krewną?

Daleką.

— Jak ją poznałeś?

W bardzo szczególny sposób. „Oni” wprowadzili się do mieszkania w „lepszym” sąsiedztwie niż Ansbacher Strasse.

Lucy i moja matka znaly się. Ja już otworzyłem praktykę. Lucy była w szpitalu na usunięciu neki. Jej mama poprosiła mnie, abym ją odwiedził.

Tam zobaczyłem śliczną blondynkę. Jedną z tych, jakie lubiętem ustawiać na piedestale i wielbić jako boginie. Po dziesięciu minutach roznomy powiedziała: „Jesteś piękny, pocałuj mnie!”. To mnie uziemiło: Co! I to mogło mi się przytrafić? Poza nielicznymi wyjątkami widziałem siebie jako brzydka, a tutaj bogini z Olimpu przyszła pobłogosławić śmiertelnika? I to kobieta z dziećmi i mężem?

Moja początkowa niezdarność szybko stopniała pod jej namiętnymi pocałunkami pomagającymi zapomnieć o operacji. Dąłem się w to wciągnąć z radością.

Kochałem kilka razy. Pierwsza była Katy, blondynka, córka piekarza. Miałem wtedy osiem lat. Później kochałem Lotte Cie-

linsky i bardziej niż inne kochałem Marty. Lore kochałem okresowo, ale zasadniczo jesteśmy towarzyszami podróży, którzy mają rozliczne wspólne interesy.

Lucy fascynowała mnie i podniecała. Była bardzo zaborcza i kochała mnie tak, jak umiała. Dla mnie była jedynie cudowną przygodą.

— Płokujesz. Mówisz o niej. Mów do niej.

Nie mogę rozmawiać z tobą, Lucy. Nie żyjesz. Umarłaś. Kiedy wyrwałem się w 1926 roku, przestałaś dla mnie istnieć. Twoja prawdziwa śmierć nie znaczyła dla mnie zbyt wiele. Styszałem, że uzależniłaś się od morfiny i ostatecznie się zabiłaś.

— Co skłoniło cię, aby wyjechać do Frankfurtu?

Mieszkał tam jeden z braci mojej matki, wujek Juliusz, bezpretensjonalna, ciepła osoba, z którą czułem się blisko związany jako dziecko. I Karen Horney, moja berlińska terapeutka, poradziła mi opuścić Berlin i kontynuować terapię u Clary Happel, jej byłej studentki. Ponadto zainteresowała mnie praca Goldsteina, egzystencjalne grupy i sam Frankfurt, który w tamtym okresie był pięknym i kulturalnym miastem.

— Czy jest coś jeszcze, co chcesz powiedzieć Lucy?

Wiesz, ty na górze, że dzisiaj zupełnie mi się nie podobasz. Jesteś nudny, oschły, nieomal jak zawodowy terapeuta albo nauczyciel ze szkoły niedzielnej. Zupelnie nie służysz pomocą, przypominając ten chory, ekscytujący okres z Lucy.

— Zamknij się. Jaki obraz pojawia się pierwszy?



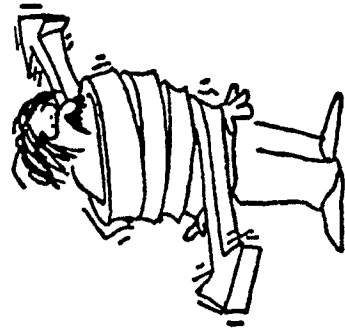
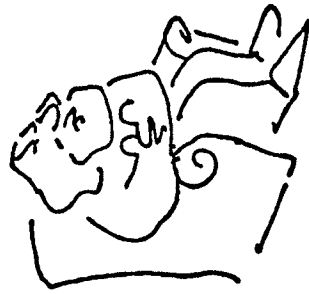
Szpara w drzwiach przesuwanych między moim gabinetem konsultacyjnym a gabinetem fizykoterapii. Lucy i jej koleżanka kochają się w gabinecie. Podglądam je przez szparę i coraz bardziej się podniecam, napięcie rośnie do granic wytrzymałości. Kiedy dziewczyna zaczyna ssać genitalia Lucy, eksploduję, wpadam do pokoju, odpycham dziewczynę i doznaję krótkiego, ale silnego orgazmu z Lucy.

Dziewczyny organizują później kwartet z mężem tej koleżanki i mną. Oczekuję mojej pierwszej homoseksualnej przygody. Przedtem, w okresie dojrzewania, przeszedłem jedynie nieważny epizod równoległej masturbacji, bez wzajemnego dotykania się, z Ferdynandem Knopem. Niedawno przypomniałem sobie jego imię oraz czułe wspomnienia mego pielęgniarsza, kiedy byłem lekarzem podporucznikiem.

W zasadzie ten mąż i ja byliśmy sobie obcy i znudziliśmy się sobą, nigdy nie uzyskując z tego żadnego podniecenia, a co dopiero erekcję; ale obaj lubiliśmy patrzeć na przedstawienie dziewcząt.

— Jak się czujesz, ujawniając to publicznie?

Czuję się, jakby to było najtrudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek podjąłem. „Skoro” mam siłę przejść przez to wszystko, to prawdopodobnie przejdę przez ten wielki impas. „Skoro” potrafię się przeciwstawić realnej lub wymyślonej pogardzie i moralnemu pohańbieniu, stanę się bardziej rzeczywiście i wolny, aby spojrzeć ludziom w twarz i może nawet zrzucić zasłonę dymana. Wiem, że jestem w tym względnie niczym Wilhelm Reich, hardy, zupełnie bez wstydu.



Wczoraj poświęciłem sesję z klasą Jima na omówienie działania snów. Jak zwykle poszła dobrze. Pracowałem z pięcioma lub sześcioma osobami i za każdym razem w dziesięć, dwadzieścia minut docierałem do sedna każdej osoby, a nawet zreintegrowałem niechciany materiał. Stało się to rutyną, dziecięcą zabawą. Nigdy nie jestem zadowolony.

Jedną z tych osób była niewidoma terapeutka. Zapytałem ją, kiedy oślepla. Powiedziała, że podczas porodu, brak witamin. Jej sny zawierały obrazy i powiedziała, że odczuwa na twarzy czerwony kolor, a wówczas ja wyrażałem wątpliwość co do jej ślepoty. Jak może widzieć obrazy we śnie, skąd wie, co to jest czerwień? Wiem, że moje podejrzenia zasiały w niej ziarno. Jeżeli mam rację, ono zakiełkuje, pewnego dnia będzie widzieć. Kto wie?

Wydarzyło się jeszcze coś szczególnego. Podczas terapii grupej, około dwóch tygodni temu, wraz z uczestnikami zjawił się biały kotek. Podobny biały kotek przyszedł dzisiaj. Przypomina Mitzie, tylko futerko ma mniej bujne, ale jasna pręga na czole jest taka sama. Po wyjściu grupy została. Dałem jej batonik figowy, jedyną jadalną rzecz w domu, a ona zjadła go ze smakiem. Zostanie?

Idzie za mną do sypialni, stapa zaciekawiona, a zarazem jakby

znata całe mieszkanie. Nie chce wyjść przez otwarte drzwi na taras, sadowi się wygodnie na łóżku, wuła mi się w dłoń. Mam ją zatrzymać, znowu narobić sobie kłopotu z utrzymywaniem i pielęgnacją? Umieszczę ją na korytarzu. Może spać w centralnym pokoju, jeżeli uprze się przy pozostaniu.

— Widzę, że narysowałeś swój dom. Czy znowu uciekasz od tematu? A co powiesz o twoim życiu płciowym z Lucy? Co z twoimi atakami zazdrości?

Rozważam to. Chcesz, żebym napisał książkę z momentami, może nawet pornograficzną?

— Cóż, będziesz miał sporo czytelników.

Nie chcę wchodzić w taką argumentację. Chcę zapisać takie obrazy i myśli, jakie się pojawiają, bez względu na to, co to będzie. Pewnie myśli już zaczynają się łączyć. Wyłoni się to, co zostało nie dokończzone. Tak, chcę napisać o moim domu, a ty mi znowu przeskodzisz i kazałeś się bronić.

Ping-pong, ping-pong, ping-pong. Znowu pranie mózgu. W zasadzie to nieźle grałem w ping-ponga. W Afryce miałem dobrego partnera, naszą gospodynię. Ona wraz z mężem i synem o włosach koloru marchewki mieszkala z nami przez pewien okres. Chłopiec nie był specjalnie bystry, ale odznaczał się sporym apetytem. Zapytany, czego chce, zawsze odpowiadał: „Trochę więcej z wszystkiego”.

Mieliśmy także opiekunkę do dzieci spowodowaną zła morza. Zdaje się, że była tam z kimś zaręczona. Zdecydowanie trzymała się na uboczu, ale kiedy zabierałem ją do ciepłej łaźni, ochoczo i namiętnie kochała się ze mną.

Ciepłe łaźnie i gorące źródła, oba mineralne. Różnica polega na tym, że mamy balę 6 x 6, głębokie na 2 1/2 stopy, a oni mieli trzy baseny o różnej temperaturze. Cóż, nie można mieć wszystkiego.

Aby się tam dostać, trzeba było pokonać sto nudnych mil z jedną przerwą, wodospadem. Nie było tam zbyt wiele wody. Ludzie musieli wysiąść z samochodu i pociągnąć za łańcuch, co zawsze przypominało mi powiększone WC.

WC w mojej łaźience jest bardzo zwyczajne, ale wanna! Wszyscy mi zazdroszczą. Jest owalna, wyłożona kafelkami, ze

stopniami schodzącymi w dół. Chociaż zawsze chciałem mieć dużą wannę, aby w niej leżeć i wygodnie sobie czytać, w tej mamuciej wersji nie jest to możliwe. Ma przynajmniej sześć stóp długości i musiałem zainstalować jeszcze jeden podgrzewacz, aby można było napelnić ją wodą. Może się w niej kąpać razem kilka osób i czasami po prostu się kąpiemy albo nie tylko.

— Widzę, że masz teraz wolne skojarzenia.

Tak i nie czuję się z tym zbyt dobrze, a jednocześnie takie postępowanie sprawia mi przyjemność. Jak foka, która pływa, kręci się, obraca, nurkuje w oceanie słów i faktów. Nie jak wydry morskie, które pływają w naszej zatoce i leżąc na plecach, pokazują nam, jak otwierać muszle. Tak, chcę ci pokazać, jak otworzyć twoją muszlę. Nie, nie chcę tego zrobić. Chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju. Tak, proszę pana. Nie, proszę pana, tak, nie tak nie, tak nie taknietaknietaknie.

— Może naprawdę zwarłowałeś?

Nie, jestem tylko głodny.



— Fritz, musisz nauczyć się panować nad sobą.

Prześiań mi jebać mózg.

— Fritz, nie ma potrzeby używać takiego obscenicznego języka. A propos, co rozumiesz przez jebanie mózgu?

Kiedyś nazywałeś to wielkim gównem. Miało to pewien efekt, ale nie w powszechnym użyciu. „Jebanie mózgu” jednak, tylko dlatego że jest obsceniczne, nadal ma pewną wartość terapii wstążkowej.

— Nie mógłbyś używać bardziej akceptowalnego określenia?

Tak. Mogę to nazwać słowotokiem, zdaniowym ping-pongiem, gównem, ale jaki to ma sens? Ludzie, którzy otoczyli się grubymi zaporami słownymi, będą akceptować takie określenia i spierać się z nimi, wyrzucając z siebie zdania, ale sami pozostaną nietknięci. Wymigują się.

— Ciekawi mnie jedno. Dlaczego skupiasz się na produkcji defekacji, nazywając go przy tym wielkim?

Możesz to nazwać pierdołami. Nie ma przeciwwskazań. Te produkty defekacji klasyfikuję jako symbole konieczne dla systemu porozumiewania się *Homo sapiens*. Jak ci odpowiada ten system? Czy takie dokładne nazewnictwo zadowoli cię, czy uspi?

— Być może. Jaka jest twoja klasyfikacja?

a) małe gówno: gadanie bez sensu, wymiana frazesów;

b) wielkie gówno: wyjaśnianie, wychodzenie w szczegóły, mówienie dla samego mówienia;

c) słoniowe gówno: dyskusja o religii na wysokim poziomie, terapia gestaltyczna, filozofia egzystencjalna itd.

— Najwyraźniej trzymasz stronę c). Przynajmniej teraz podchodzisz do tematu bardziej naukowo i zaczynasz klasyfikować zjawiska werbalne.

Skoro mnie doceniasz, dam ci inną klasyfikację: 1) miganie się, 2) powinność, 3) jestestwo. To proste słowa. Zamieniając je w rzeczowniki abstrakcyjne, podnosimy je do poziomu gówna słoniowego. Dodając kilka trudnych słów, sprawię, że je zaakceptujesz.

Miganie się to nauka, opis, plotkowanie, unikanie angażowania się, owijanie w bawełnę.

— Nie możesz być poważny choćby przez kilka minut?

Dobrze, już dobrze. Właśnie dałeś przykład powinności. Powinieniem być poważny. Żądania, żądania, żądania. Dziesięć przykazań. Żądam tego lub tamtego od ciebie. Jeżeli nie sprostasz temu, poczuje się sfrustrowany i zniechęci cię. I *vice versa*. A żądania, które stawiamy sami sobie! A używanie „dlaczego” jako wymówki do zaatakowania wyrzutami!

Jestestwo. Róża jest różą. Jestem, kim jestem,

I tym właśnie jest retrorefleksja, naginanie. Porozumienie nie przebiega od „ja” do innego ani od innego, ale od „ja” do „ja”.

Samobójstwo, samotorturowanie to dobre przykłady. Lekarstwo: Czyń innym to, co czynisz sobie.



— To straszne.

To nie takie straszne, na jakie wygląda. W zasadzie to wystarczające, a nawet konieczne, abyś robił te złe rzeczy innym w myślach i podczas psychodramy. W każdym razie osoba, która torturuje siebie w twojej obecności, torturuje jednocześnie ciebie.

Raz popełniłem wielką gafę. Kolega poprosił mnie, abym odbył sesję z pacjentką o skłonnościach samobójczych. Zgodziłem się i szybko odkryłem, że kobieta chce zabić swojego męża. I tak też zrobiła.

— Zatem twoja terapia bywa niebezpieczna?

Tak. Jednak bardzo rzadko. Wśród tego tysiąca ludzi, którzy odbyli ze mną krótkie terapeutyczne spotkania, widziałem raczej sporo korzyści, a niezbyt wiele szkody.

— W jaki sposób nie dopuszczasz do takich niepowodzeń?

Przeważnie mówię grupie, że nie biorę żadnej odpowiedzialności za kogokolwiek prócz siebie. Mówię im, że jeżeli chcą zwariować albo popełnić samobójstwo, że jeżeli to jest ich „rzecz”, to wołałbym, aby opuścili grupę.

Nauczyłem się także wyczulenia na poważne patologie. Jeżeli ktoś przynosi sen o samotności bez ludzi, bez roślin lub wykazuje się dziwacznym zachowaniem, wówczas odmawiam pracy z taką osobą. Przeważnie jestem atakowany za moje okrucieństwo i niechęć „niesienia pomocy”. Podczas tych krótkich, sobotnio-niedzielnych seminariów nie mam czasu dotrzeć do tych zamkniętych ludzi.

— Nie mógłbyś używać bardziej akceptowalnego określenia?

Tak. Mogę to nazwać słowotokiem, zdaniowym ping-pongiem, głównem, ale jaki to ma sens? Ludzie, którzy otoczyli się grubymi zapotami słownymi, będą akceptować takie określenia i spierać się z nimi, wyrzucając z siebie zdania, ale sami pozostaną nietknięci. Wymigują się.

— Ciekawi mnie jedno. Dlaczego skupiasz się na produkcji defekacji, nazywając go przy tym wielkim?

Możesz to nazwać pierdolami. Nie ma przeciwwskazań. Te produkty defekacji klasyfikuję jako symbole konieczne dla systemu porozumiewania się *Homo sapiens*. Jak ci odpowiada ten system? Czy takie dokładne nazewnictwo zadowoli cię, czy uspi?

— Być może. Jaka jest twoja klasyfikacja?

a) małe gówno: gadanie bez sensu, wymiana frazesów;

b) wielkie gówno: wyjaśnianie, wchodzenie w szczegóły, mówienie dla samego mówienia;

c) słoniowe gówno: dyskusja o religii na wysokim poziomie, terapia gestaltyczna, filozofia egzystencjalna itd.

— Najwyraźniej trzymasz stronę c). Przy najmniej teraz podchodzisz do tematu bardziej naukowo i zaczynasz klasyfikować zjawiska werbalne.

Skoro mnie doceniasz, dam ci inną klasyfikację: 1) miganie się, 2) powinność, 3) jestestwo. To proste słowa. Zamieniając je w rzeczowniki abstrakcyjne, podnosimy je do poziomu gówna słoniowego. Dodając kilka trudnych słów, sprawię, że je zaakceptujesz.

Miganie się to nauka, opis, plotkowanie, unikanie angażowania się, owijanie w bawełnę.

— Nie możesz być poważny choćby przez kilka minut?

Dobrze, już dobrze. Właśnie dałeś przykład powinności. Powiniennem być poważny. Żądania, żądania, żądania. Dziesięć przykładów. Żądam tego lub tamtego od ciebie. Jeżeli nie sprostasz temu, poczuje się sfrustrowany i zniechęcony. I *vice versa*. A żądania, które stawiamy sami sobie! A używanie „dlaczego” jako wymówki do zaatakowania wyrzutami!

Jestestwo. Róża jest różą, jest różą. „Jestem, kim jestem,

jestem Hans Kloss”. To jest fenomenologiczne i egzystencjalne podejście. Nikt w danym momencie nie może być innym, niż akurat jest. Tautologia: doświadczanie tego, co oczywiste.

Mosiek i Abe grają w karty.

Mosiek: Abe, oszukujesz!!!

Abe: Tak. Wiem.

Fritz jako migający się, bajarz; Mosiek jako ten, co powinien; Abe jako ten, co jest.



Dosyć tego opierania

Choć boli ta mowa

Nie koniec to migania

Zagrać w większe słowa.

Introjekcja i projekcja

Retrofleksja, uważajcie

Już nie dzierzę tej negacji

Proszę już mnie zawołajcie.

Wyłaż już z tego śmietnika

I trochę pogadaj

Bo czytelnik też w to wnika

Jaka jest twa rada.

Introjekcjo, gdzieżeś jest?

Jakżeś ty nieznana.

Retrofleksja? Ona jest

Z sobą powiązana.

A projekcja? Zawsze byłeś
Wielce pogardzana, zapomniana
Z ciebie jest nie tylko maska
Chodź więc, powstań, potencjalne ja!

Retrofleksja (Inwersja)



Jestem organizmem
Chcę jeść.



Chcę zaatakować jedzenie
Czy na świecie nie ma jedzenia?

Zatem muszę pobić siebie
Siebie atakować, siebie torturować
Zabijam siebie
Karmię się sobą



Ratunku! Na pomoc!
(Ty ja) zjada mnie
(Ty ja) zostaw mnie



PROJEKCJA

Boję się ciebie
Skurczyłeś mnie, wracaj
Jesteś częścią mnie



Projektowałeś mnie
Moje imię to
PROJEKCJA



Zaraz wezmę cię z powrotem
Znowu cię posiadam



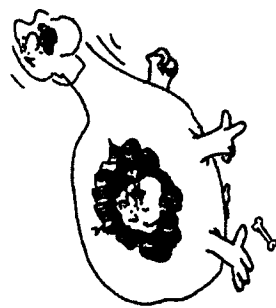
Uzdrowiam teraz
separację

Tak, ale tak
po prostu nie
wchłonię mnie.
Introjektuj mnie.



INTROJEKCJA

Jestem introjektem.
Jestem obcy w twoim systemie.
Nie możesz połknąć mnie
i zostawić mnie niezmienionym.



Wręcz przeciwnie! Masz dobrą substancję.
Zaraz cię przeżyję i zasymiluję. Robię z ciebie siebie
Abym mógł urosnąć.



Wykład na temat asymilacji



Moim zdaniem...

Musimy teraz rozważyć fakt, że...

Chciałbym zwrócić państwa uwagę na następujące zjawis-

sko...

— Zbierasz jednoaktówki?

— Coś w tym rodzaju. Wiesz co? Jeszcze jakieś piętnaście lat temu byłem tak zadufany w sobie, że nie mogłem przemawiać bez kartki. Dzisiaj zupełnie się tym nie przejmuję, nawet jeżeli przemawiam na kongresie albo zwracam się do tysiąca osób.

W roku 1950 pojechałem na krótko do Los Angeles. Znałdowałem się tam maty college, Zachodnie Kolegium Psychoanalizy lub coś w tym rodzaju. Miało ono dla mnie podwójne znaczenie. Z powodu moich książek otrzymałem honorowy doktorat z filozofii. Zdaje się, że był to jedyny tytuł, jaki kiedykolwiek przyznałi. Ponadto odkryłem, czym jest zapatrzenie w siebie, i bardzo szybko to pokonałem.

— Wiele osób na to cierpi. Czy potrafisz im pomóc krótkim akapitem, czy może jest to tajemnica zawodowa?

Zupełnie nie. W zasadzie jest to najłatwiejsza i najbardziej rozpowszechniona forma paranoi. Zapatrzenie w siebie nieco różni się od tremy aktorskiej, ale często się z nią spleta. Określenie „zapatrzenie w siebie” wprowadza nas w błąd; należałoby to nazwać „świadomością krytycznej widowni”. Mówiacy nie jest tak naprawdę świadom swojej widowni, która staje się dla niego zamazaną jednostką.

Ta zamazana widownia staje się ekranem do projekcji. Mówca wyobraża sobie, że widownia jest wroga lub krytyczna. Rzucą na nią własny krytycyzm, zamiast obserwować, co naprawdę się dzieje. Rzucą także swoją uwagę i czuje, że na nim skupiona jest uwaga.

Lekarstwo jest proste: identyfikacja z projekcją. Bądź krytyczny wobec widowni. Zwracaj uwagę i obserwuj rzeczywistość.

Wybudź się z transu katastroficznych oczekiwań.

To jest pierwszy przykład projekcji.
Natrafiliśmy kilkakrotnie na retrorefleksję lub inwersję. Kierkegaard, wczesny egzystencjalista, mówi o związku „ja” z „ja”.

I tym właśnie jest retrorefleksja, naginanie. Porozumienie nie przebiega od „ja” do innego ani od innego, ale od „ja” do „ja”.

Samobójstwo, samotorturowanie to dobre przykłady. Lekarstwo: Czyń innym to, co czynisz sobie.



— To straszne.

To nie takie straszne, na jakie wygląda. W zasadzie to wystarczające, a nawet konieczne, abyś robił te złe rzeczy innym w myślach i podczas psychodramy. W każdym razie osoba, która torturuje siebie w twojej obecności, torturuje jednocześnie ciebie.

Raz popełniłem wielką gafę. Kolega poprosił mnie, abym odbył sesję z pacjentką o skłonnościach samobójczych. Zgodziłem się i szybko odkryłem, że kobieta chce zabić swojego męża. I tak też zrobiła.

— Zatem twoja terapia bywa niebezpieczna?

Tak. Jednak bardzo rzadko. Wśród tego tysiąca ludzi, którzy odbyli ze mną krótkie terapeutyczne spotkania, widziałem raczej sporo korzyści, a niebyle wiele szkody.

— W jaki sposób nie dopuszczasz do takich niepowodzeń?

Przeważnie mówię grupie, że nie biorę żadnej odpowiedzialności za kogokolwiek prócz siebie. Mówię im, że jeżeli chcą zwariować albo popełnić samobójstwo, że jeżeli to jest ich „rzecz”, to wołałbym, aby opuścili grupę.

Nauczyłem się także wyczulenia na poważne patologie. Jeżeli ktoś przynosi sen o samotności bez ludzi, bez roślin lub wykazuje się dziwnym zachowaniem, wówczas odnawiam pracę z taką osobą. Przeważnie jestem atakowany za moje okrucieństwo i niechęć „niesienia pomocy”. Podczas tych krótkich, sobotnio-niedzielnich seminariów nie mam czasu dotrzeć do tych zamkniętych ludzi.

— I nie zauważyłeś tego w przypadku tej zabójczyni?

Nie, na powierzchni nie było żadnej poważnej patologii. Później wysłuchałem i zrozumiałem jej przypadek z punktu widzenia introjkcji. Jej dybukiem była matka, która zabiła swojego męża i uszło jej to płazem. Może oczekiwała tego samego.

— Zatem chociaż raz zgadzasz się z Freudem? A może zawsze musisz go atakować za jego odkrycia projekcji i introjkcji?

W pełni zgadzam się z jego teorią projekcji. Tylko teraz posuwamy się dalej. Obejmujemy większość transferu i wiele wspomnień oraz, co najważniejsze, cały materiał senny. Teoria introjkcji Freuda to koń innego koloru.

— Jak teoria może być koniem?

Zamknij się.

— Powiedziałeś, że osoba żyjąca teraz jest automatycznie kreatywna. To zużyta metafora.

Masz rację. To introjkcja. To obcy materiał.

— Zatem nie lubisz koniny?

— ?

— Często powtarzałeś, że każda metafora to minisens.

Na przykład „Uderzyła mnie myśl” jest agresywna. Racja? Jak myśl może uderzać?

— A ty nie lubisz koniny Freuda?

Och, rozumiem, o co ci chodzi. Czyżbym nie mógł strawić jego teorii introjkcji? Czy o to chodzi? Nie. Wręcz przeciwnie. Przeciwnie to bardzo dokładnie i doszedłem do interesujących wniosków:

a. Jest to koncepcja organiczna. Wchłaniasz coś, trawisz, obojętnie, czy w rzeczywistości czy w fantazji.

b. Całkowita introjkcja. Pochłaniasz całą osobę. Dybuka. W rzeczywistości nie możesz połknąć tej osoby: trzeba tego dokonać w fantazji. Jest to faza oeska, połykacza.

c. Częściowa introjkcja. Wchłaniasz części osoby: manierizm, metafory, cechy charakteru. To stadium gryzaczkowe, używania przednich zębów.

d. Naśladowanie. Nie jest to introjkcja, ale proces nauki i naśladownictwa.

e. Destrukcja, zadanie trzonowców. Freud przeoczył tę decy-

dującą fazę. Poprzez destruktywizację mentalnego lub prawdziwego pożywienia asymilujemy je, czynimy własnym, czynimy je sobą jako część procesu dorastania.

f. Nie introjektujemy przedmiotu miłości. Chłoniemy osobę, która jest pod kontrolą. Często jest to przedmiot nienawiści.

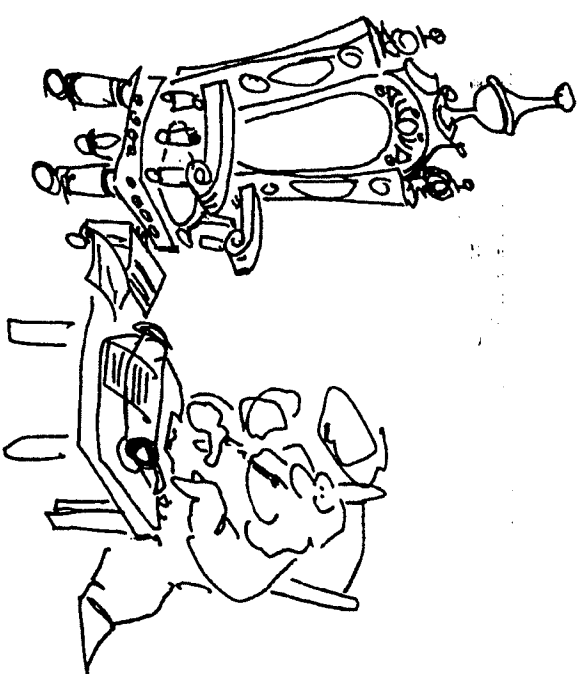
g. Wróć do omawiania ego i „ja”. Zdrowe „ja” nie jest konglomeratem introjektów, ale symbolem identyfikacji.

h. Agresja nie jest mistyczną energią, narodzoną z instynktów śmierci. Agresja jest biologiczną energią potrzebną do gryzienia, żucia i asymilowania obcej substancji.

i. Freudowskie uporanie się z żądaniem jest odpowiednikiem żucia.

j. Agresja może zamieniać się w kłótnie i wojny.

k. l. m. n. Do wypełnienia przez twórczego czytelnika.



Mam prawdziwe kłopoty. Tworzę zdania na papierze, dają je do przepisania na maszynie, do skserowania, do zredagowania. I przez cały czas nie wiem nawet, do kogo mówię.

Nie mogę się doczekać jakiejś reakcji.

Kiedy „myślę”, wchodzę także w fantazję. Mówię do kogoś i nie wiem do kogo. Tak naprawdę nie słyszę swoich myśli, jedynie w wierszach.

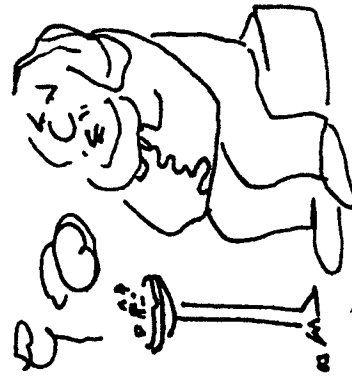
Zasami czuję się inaczej. Kiedy rozdzielałam się na tego na górze i tego na dole, czuję pewne porozumienie. Kiedy odgrywam wykładowcę i demonstruję moje teorie, zwracam się do klasy. Kiedy atakuję kogoś, niech to będzie Freud albo pruski porucznik. Mam czytelnika na świadka mojej odwagi i zgryźliwości. W żadnym przypadku nie jestem sam.

Pisząc te zdania, jestem sam...

Niedawno nagle przytrafiło mi się pewne doświadczenie. Dyktowałam sobie te zdania, i jestem także magnetofonem, który musi baczyc na gramatykę i ortografię.

Potrafię wykonypować cele i inne powody: aby pisać książkę, aby się obnażać, aby zaspokoić ciekawość moich przyjaciół, aby dojść z sobą do ładu. Nadal jestem samotny i zagubiony.

Gdzie jesteś? Kim jesteś ty, do kogo chcę mówić? Nie ma odpowiedzi.



Ja też nie mogę przestać. Nie mogę pozbyć się myśli, że robię coś ważnego dla ciebie i dla siebie.

Gdyby ktoś tu był, czy to by go zainteresowało? Kiedyś przechwalałam się kompulsywnie, aby wywrzeć wrażenie na ludziach swoją błyskotliwością, teraz jest tego znacznie mniej. A kiedy jestem niegrzeczny i wulgarny, także chcę wywierać wrażenie moją wulgarnością i chamstwem.

Wolałbym raczej dotykać i całować zamiast mówić. Czy prowadzę gry w prawdziwą spowiedź? Co za głupie pytania!

Głupi czeka na odpowiedź.

Chcę spróbować gry w projekcję. Panie X, chcę panu pokazać, jaki jestem bystry i jaki zły.

Czytelniku, to znaczy, że (ja-ty) nie jestem (jesteś) przekonany co do żadnego z nich i próbuję przez siedemdziesiąt lat przekonać (mnie-siebie) i (ja-ty) jestem (jesteś) bystry i niedobry.

Hermann Hesse, Goethe, Mozart znaleźli wyjście. Rzucają zło i dobro w powieść, sztukę, operę. Goethe nie przyznawał się przed sobą, że jest uwodzicielem, duchem negującym wszystko, poszukiwaczem boskiej władzy, równym aniołom. Przekłada to na Mefistofelesa.

Mozart, lub jego librecista, nie przyznaje się do przechwatek o swoich podbojach, tchórzostwie, łapownictwie. Obarcza tym Leporella.

Hesse robi to samo w *Wilku stepowym*, ale jest także *Siddhartha*, świętym. Don Giovanni Mozarta może być uosobieniem uroku i odwagi, Faust szlachetnym poszukiwaczem prawdy.

Dzięki tym paragrafom skonsolidowałam się. A może spletałam wam i sobie figla, wybierając błyskotliwość i zło?

Patrzę na ciebie, mój czytelniku, pytającym wzrokiem. Serce mam ciężkie w obawie, abys mnie nie wyrzucił na śmietnik.

Dumo i pewności siebie, gdzie jesteście? Czy zwracam się do was? Czy moje przedstawienie osadzenia w sobie to sztuczna i głupia rola? Czy za paleniem kryję niepewność?

Te przemyślenia mogą przybliżyć mnie do zgłębienia symptomu palenia, ale nadal nie wiem, do kogo mówię.

Słaby głos
Osamotniony
Na próżno szukać.

Uwolniony od abstrakcyjnych pojęć, chcę wcisnąć dźwięk do eliksiru miłosnego. Patrząc, nie słuchając, szukając związków między dźwiękami, abym mógł skończyć wiersz.

To prawda, powiedział, strzelając palcami.

To prawda, mówię. Zapalając następnego papierosa.

związek.

Śpiewasz czy pijesz?

Głazczesz czy ścierasz?

Czy masz obumarty głos, czy ociekający łzami?

Czy mówisz do mnie jak z karabinu maszynowego, gwałtownością i wybuchowością każdego słowa?

Czy usypiasz mnie łagodnością kołysanki?

Czy zaskakujesz mnie i... i... i... twoim niepokojem?

Czy krzyczysz na mnie jak jężdza gadająca do głuchej sąsiadki przez płot?

Czy torturujesz mnie mamirotaniem, abym wysiłł się i poszedł do ciebie po bezsensowną wiadomość?

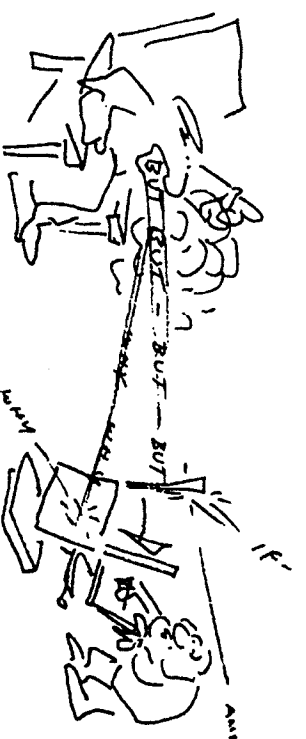
A może trzymasz mnie w niepewności jękaniem, jakbyś opowiadała mi nieskończone żarty, aby publiczność choć trochę uśmiała się w odpowiednim momencie?

Czy to twój głos dudnieniem wypetnia pokój, nie zostawiając miejsca na nic innego?

iejſca na nic innego?

A może zawodzisz, zawodzisz, zawodzisz, zamieniając mnie swoją ścianę płaczu?

Czy zwiększasz napięcie uniesieniem brwi, podkreślając konspiracyjny szepc?



Czy karzesz mnie sztylami wrzasków i wytykaniem palców
twoich nauczycieli ze szkółki niedzielnej?

Utopić mnie w oleistym dławieniu kapłana?

A może przepelniasz mnie wibracjami miłosnych dźwięków?
Stopić mnie i zamienić w rozwiązanie, obezwładniające fantazje?

Nie ma sensu słuchać treści
Medium jest przesłaniem.
Two słowa kłamią i przekonują
Ale dźwięk to prawdziwa...
Trucizna i pożywienie.

A ja tańczę przy twojej muzyce albo uciekam

Płoszę się albo oddaję.

I pocieszenie dostaję

Po tych pytaniach:

Nie mogę być zły, bo wielu z was

Kocha

Mój głos

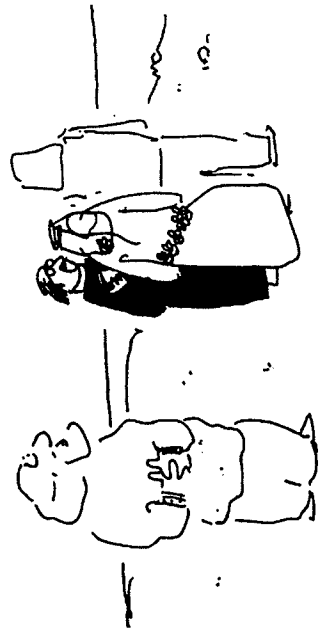
I próżny lęk

Nie mam rymu do dźwięk.

Wczoraj musiałem odprowadzić pannę młodą. Ben się zenił.

Peter i Marya chcą, abym był ojcem chrzestnym ich dziecka. Co się stało z moim wizerunkiem „nędznika”?

Uroczystość odbędzie się obok basenu. To jeden z nadzwyczaj pięknych dni w Big Sur. Słońce trochę zbyt mocno grzeje. Wszyscy są ubrani w najlepsze niedzielne, psychodeliczne ubrania. Ja mam na sobie haftowaną rosyjską koszulę, prezent od Jennifer Jones. Stapanie po wysokim, gęstym trawniku jest jak chodzenie po minibagnie. Każdy krok jest ciężki. Dzielną Marya. Jest w zaawansowanej ciąży, ale trzyma wysoko głowę, defilując przed rzędem błyskających aparatów fotograficznych.



To moja pierwsza funkcja tego rodzaju. Oscyluję między ceremonią jako rutynowym przedstawieniem z (wydaje mi się ateistycznym) pastorem wzywającym imię Boga jako pustej wieczności a poruszeniem wywołanym przez trudności Bena w pokonaniu emocji podczas recytacji przysięgi. On najwyraźniej wierzy w swoje oddanie.

Pastor jest bezpretensjonalny, pocziwy i radosny. Prostota ceremonii, chociaż przeprowadzanej z rytualną dokładnością, daje nam poczucie rzeczywistości.

Kilka miesięcy temu Ed Maupin wziął ślub z taką samą szczerością, ale...

Alan Watts zrobił przedstawienie inspirowane zen... a mi chodzi o to, że zrobił przedstawienie. Przywłaszczył sobie show, unoszący się między wysublimowaniem a prześmiewiskiem. Była to dokładna kopia z fałszywymi i improwizowanymi rekwizytami. Nawet para biorąca ślub wydawała się rekwizytem, a nie centrum wydarzenia.

Kocham Alana i jego szczerze przyznanie się, co wzbogaca jego misję, że jest komediantem. Rzadko kiedy ktoś przemawiał tak elegancko i tak szczerze o tym, co niewerbalne. Panie wszelkiego wieku z większą ambicją na odkupienie mdleją przed jego mądrością. Posiada wyjątkowy gust. W starożytnym Rzymie byłby wysokim oficjalem, *arbiter elegantiarum*.

Drogi Alanie, pewnego dnia uwierzysz w swoje nauki. Mądrość twojego intelektu wniknie w twoje serce i zostaniesz mędrcem, nie tylko będziesz go grał. Będziesz tu nie dla chwały Alana, ale dla chwały nicości.

Ben jest jedną z pozostałości z drugiego programu rezydencyjnego Esalen. W pewnym sensie jest także zbawcą Esalen, chociaż wszelkie podobieństwo do Chrystusa jest czysto przypadkowe. Kiedy Esalen przechodziło kryzys i zdawało się rozpadać, on przejął kierownictwo i postawił właściwych ludzi na właściwych miejscach.

Pierwszy program był raczej pechowy. Dyrektorem programowym była Virginia Satir. Nie sprawdziła się w tej roli. Nie była właściwą osobą; nie była „właściwą osobą na właściwym

miejscu", co jest podstawą dobrego funkcjonowania wszelkiej spoleczności.

Virginio, masz moją miłość i wieczny podziw. W wielu kwestiach jesteśmy podobni. Niespokojni Cyganie. Łaknący sukcesu i uznania. Przeciwnicy miernoty. Jesteś wielką kobietą o wielkim sercu. Skorą do nauki. Fantazjującą o przyszłości. Twoim największym plusem jest to, że potrafisz sprawić, by ludzie ciebie słuchali. Cierpisz, jak ja, na intelektualną systematyzację, ale twoje myśli i czyny nie są spójne. Zbyt wiele wyjaśnień.

Dokonałaś projekcji swojej potrzeby posiadania wyrozumiałej rodziny i zgodnie z tym rozwinęłaś fobię rodzinną. Twoje marzenia o tym, by osiąść na stałe, pozostają marzeniami. Chciałaś mieć dom, większy od mojego, w Esalen. Niezrealizowany sen. Chciałaś być dyrektorem Programu Esalen. Kolejne fiasko.

Przyznaję, pierwszy rok zapaleńców w Esalen jako całość był słaby. Głównie uciekinierzy albo idioci. Przychodzili obcy i pozostawali obcymi. Spodziewali się, że personel będzie ich obsługiwać oraz że będą „poddani obróbce”. Nie wiem, czy komuś innemu wyszłoby to lepiej, ale zdecydowanie czuli się opuszczeni, kiedy po dwóch tygodniach intensywnej terapii zostawiali ich.

Jednym z niedobitków był Bud, który przez moment pełnił funkcję kierownika. Personel, a szczególnie Selig, nie akceptował go. Postrzegali jego kierownictwo bardziej jako potrzebę zdobycia władzy i kontroli niż zaangażowanie, jako jeden z nas. Kiedy odszedł, za sprawą fałszywej ekonomii albo jakichś tam innych powodów, Esalen było bliskie bankructwa. Potem pojawili się rezydenci z drugiego roku i naprawdę wzięli się do roboty. Oni i John Farington, nasz księgowy, przeprowadzili Esalen przez finansowy impas.

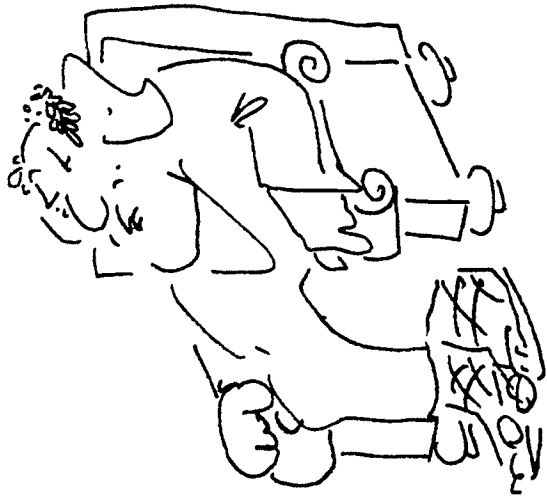
Inym niedobitkiem był Ed Maupin. Został zastępcą dyrektora programu drugiego roku. Byłem przeciwny przejściu tak trudnego zadania przez tego chronicznie zażenowanego nierealistę pozostającego pod wpływem nałogu medytacji. Ostatnio jednak zaczynał zmieniać moje stanowisko. Dojrzewał. Stara się i zaczyna nawiązywać kontakt i odkrywać swój *Umwelt* (OZ).

Byłem zadowolony, że Bill Schutz miał przejąć dowództwo.

Prawdziwe dowództwo. Jest kimś na wzór pruskiego oficera, ale jest także sposterzegawczy i zdolny. Jest intelektualnym pasażerem, ale gdzieś w głębi cierpi i pragnie rozwoju. Chce być jak hippis, ale bardziej jest wapiakiem. Jeżeli czuje, że jest nie obserwowany, wygląda na dość przygnębionego. Nic dziwnego, że napisał książkę o radości, typowe psychiatryczne uzewnętrznienie.

W zasadzie przejawia dobrą wolę i to się liczy. Wystawił się na próbę organizowania oraz doprowadzenia programu rezydencjalnego do sukcesu. I zrobił to. Z tego roku wyłoniło się sporo pięknych ludzi, którzy identyfikują się z Esalen. Mur między nimi a personelem zniknął. Poza Benem i Dianą moja miłość wędruje do Johna i Anne Heider, obydwoje są niezwykle wyczuleni i piękni. Także do silnego i rzeczywiście Stephen'a oraz bezpretensjonalnej, inteligentnej i kochającej Sarah.





Pół godziny temu Neville, radiolog z Afryki Południowej, i ja czytaliśmy rękopis. Podziwiał mnie i nic w tym dziwnego. Czterogodniowy warsztat dał mu więcej niż dziesięć lat terapii Reicha.

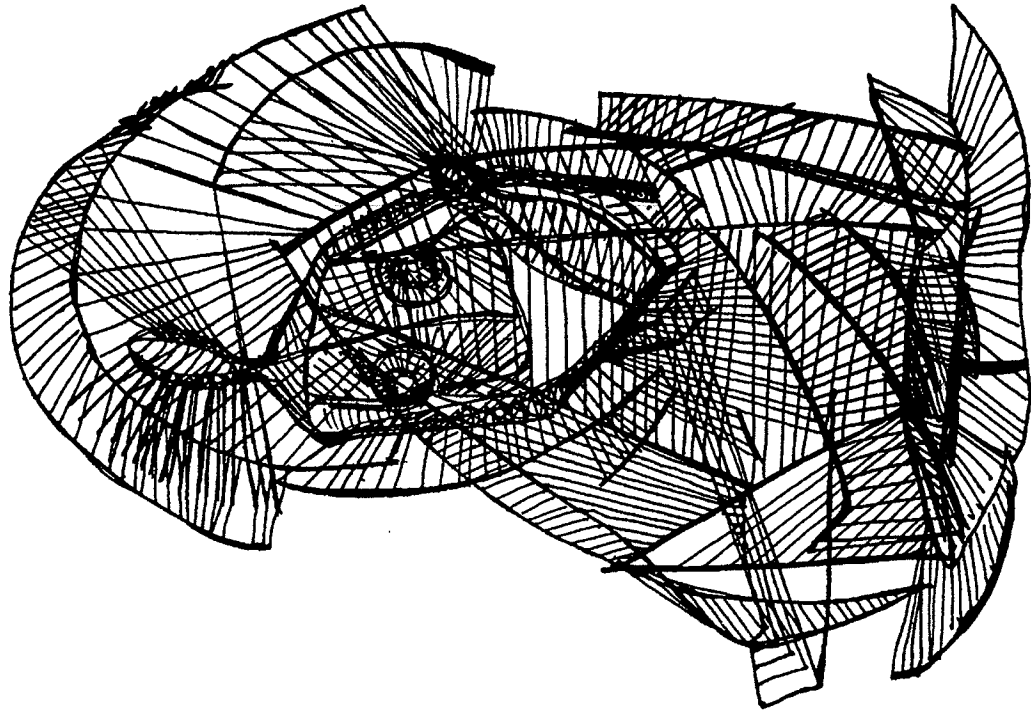
On zobaczył to pierwszy. Za oknem, najprawdopodobniej zainteresowany światłem, przysiadł szop, pierwszy, jakiego widziałem w życiu, zaglądał do środka dużymi, brązowymi oczyma, wcale się nas nie bojąc.

Teraz, kiedy krzewy dookoła domu są gęstsze, odwiedza mnie więcej gości. Moim ulubionym jest koliber, unoszący się tuż przed oknem, aby zaraz czmychnąć. Dzisiaj odkryłem dwa małe ptaszki. Nie fruwały jak kolibry, a może jeszcze nie nauczyły się naśladować helikopterów?

Koty chodzą stadami. W zeszłym roku latem T.J. leżał umierający na tarasie. T.J. jest poważnym, starym kocurem, głową klanu. Z wielkim wysiłkiem przesunął się na skraj tarasu. Poszedłem po Barbarę, dziewczynę Seliga, naszą zwierzącą mamę, ale T.J. zniknął. Zobaczyłem go znowu później, jak siedział dumnie na parapecie,

nigdy o nic nie prosząc, ale łaskawie przyjmując jedzenie, które mu odpowiadało. Nie jak łakome koty, ci gówniarze, co włożą na ciebie i stół ku niezadowoleni kelnerów chroniących gości.

Selig wielbi życie w każdej formie, co ja nie bardzo podzielam. Kiedyś mieliśmy wielkiego grzechotnika w naszym nieukończonym kamiennym murze. Zabiłem go. Kiedy zjawił się Selig, nabrał do mnie obrzydzenia.



Jednym z moich skarbów jest drucziana rzeźba *Madonna z dziećmi* jego autorstwa. Kiedyś trzymałem ją na tarasie, gdzie można na nią patrzeć, a także przez nią na błękitne niebo. Pewnego dnia podczas burzy wiatr zepchnął ją ponad balustradą w dół stronego zbocza. Jeden z moich seminarzystów uratował ją, według mnie narażając życie. Selig naprawił madonnę, która teraz stoi (naprzeciw średniowiecznego priorka zakupionego w Wenecji) bezpiecznie w środku na prawym górnym parapiecie centralnego pokoju, pokoju, w którym prowadzę moje warsztaty. Sufit, także wznoszący się wyżej ku frontowi, wykorzystywany jest na zdjęcia i pożyczane od Seliga druczane rzeźby.

Zastanawiam się, dlaczego ludzie wykorzystują jedynie ściany do wieszania obrazów.

Seminaria prowadzę w zajędziu, warsztaty w pokoju. Seminarium sobotnio-niedzielne zapewniam mi kontakt z nieprofesjonalistami i są one, jak wszystkie moje „wystąpienia”, bardzo potrzebne i oblegane. Jednak przyjmuję obecnie 70-80 osób. Nazywam te weekendy moim cyrklem.

Nie spodziewałyście się, że z tak wieloma można cokolwiek osiągnąć w jeden weekend, ale jest wręcz przeciwnie. Przeprowadzam pewne zbiorowe eksperymenty, ale głównie ograniczam się do pracy z jedną osobą przed publicznością. Do mojego wystąpienia potrzebuję:

- 1) moich umiejętności,
- 2) chusteczki higienicznej,
- 3) krzesła elektrycznego,
- 4) nie zajętego krzesła,
- 5) papierosów,
- 6) popielniczki.



Moje umiejętności: Wierzę, że jestem najlepszym terapeutą na wszelkie rodzaje nerwic w Stanach Zjednoczonych, może na świecie. Jak to się ma do megalomanii? Faktem jest, że pragnę i chcę poddać moją pracę wszelkiego rodzaju testom i badaniom.

Jednocześnie muszę przyznać, że nie mogę wyleczyć nikogo, że te tak zwane cudowne uzdrowienia są spektakularne, ale niewiele znaczą z egzystencjalnego punktu widzenia. Aby skomplikować sprawę jeszcze bardziej, nie wierzę nikomu, kto mówi, że chce zostać wyleczony.

Nie mogę dać tego tobie. Coś tobie oferuję. Jeżeli chcesz, możesz to wziąć. Jesteś, jak powiedział Kierkegaard, zdesperowany, obojętnie, czy wiesz to czy nie. Niektórzy z was wybierają się w daleką drogę do Esalen i wydają ciężko zarobione pieniądze, tylko aby szydzić ze mnie, aby pokazać, że nie mogę pomóc, żeby zrobić ze mnie głupca lub żeby zademonstrować moją impotencję w natychmiastowym leczeniu.

Co tobie daje takie nastawienie? Jesteś od tego większy?

Wiem, że robisz to dla pewnej ukrytej części ciebie, że nie znasz mnie, że jestem tylko dogodnym ekranem do projekcji.

Nie chcę cię kontrolować; nie muszę udawać mojej wiary; nie interesuje mnie walka.

Ponieważ nie muszę tego robić, ja sprawuję kontrolę. Przeżyłem twoje gry i co najważniejsze, mam oczy, aby widzieć, i uszy, aby słyszeć. Twoje ruchy, twoja postawa, twoje zachowanie nie okłamują mnie. Twój głos mnie nie okłamie.

Jestem wobec ciebie szczery, chociaż to boli.

Bawię się z tobą, dopóki ty odgrywasz rolę i prowadzisz gry. Przedrzeżniam twoje dziecięce tży.

Szlocham z tobą, jeżeli masz żalobę, i tańczę z tobą z radości. Kiedy pracuję, nie jestem Fritzem Perlssem. Staję się niczym, katalizatorem, i podoba mi się ta praca. Zapominam się i podaję tobie i twoim prośbom. A kiedy dojdziemy do konkluzji, wracam do widowni, primadonna domagająca się uznania.

Mogę pracować z kimkolwiek. Nie mogę skutecznie pracować z każdym.

Weekendowe spotkanie to seminarium demonstrujące z ochotnikami, którzy dochodzą do podium. A wielu z was domaga się spotkania, a wielu innych uczy się na odległość. Niektórzy są zamknięci i rozczarowani, ale wielu więcej zabiera coś do domu. Problemów bowiem jest niewiele, z wieloma wariacjami.

Aby pracować z powodzeniem, potrzeba nieco dobrej woli. Nie mogę dla ciebie nic zrobić, ty cwaniaku.

Podczas tego krótkiego weekendu nie dotknę ciebie, jeżeli jesteś głęboko poruszony. Rozruszałbym cię bardziej, niż mógłbyś to znieść.

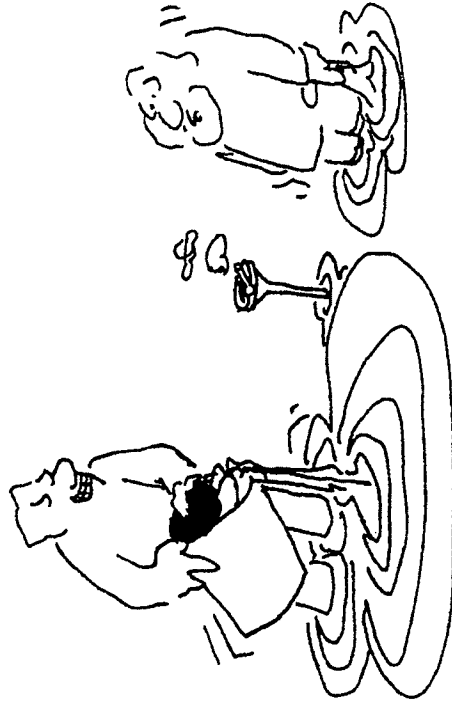
Podczas tego krótkiego weekendu nie otworzę się przed tobą, jeżeli jesteś trucicielem, który mnie wykończy i zostawi upośledzonym... nie będę w stanie zająć się tymi, którzy nie zastępują na nienawiść i pogardę, którą będę niósł z sobą.



Jeżeli zastawiasz pułapki na niedźwiedzie, wysysając mnie „nie-winnymi pytaniami”, podsuwając przynętę, czekając, aż „pomylę się”, a wtedy ty mi zetniesz głowę, pozwolę ci mnie kusić, ale będę unikać pułapki. Będziesz musiał zainwestować więcej, dopóki będziesz gotowy poddać się i być sobą. Wtedy już nie będziesz potrzebować mnie ani nikogo innego do twojej kolekcji skalpów.

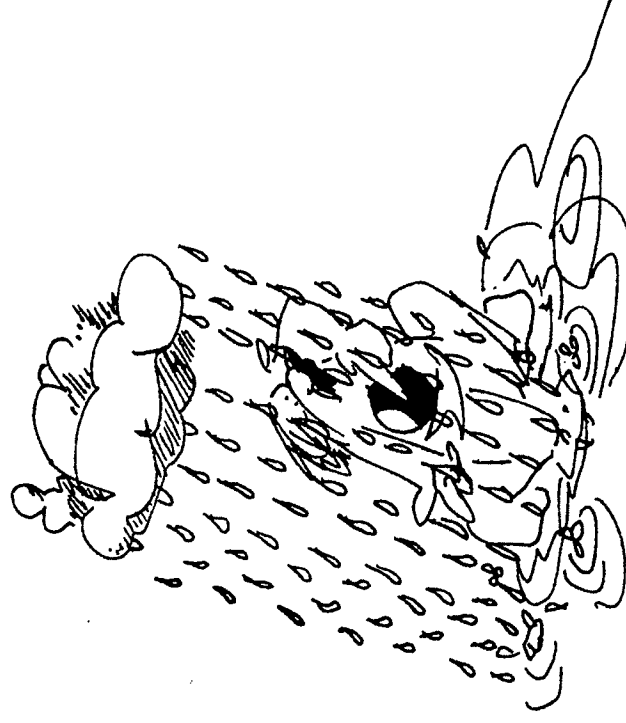
Jeżeli masz uśmiech Mona Lizy i próbujesz ukryć przede mną twoje niezniszczalne „Wiem lepiej”, zasną na tobie.

Jeżeli jesteś typem „doprowadzającym do szaleństwa”, wkrótce przestanę pozwalać ci wciągać się i spierać z tobą. Jesteś krewnym trucicielem.



Chusteczka higieniczna: Płacz w Esalen to symbol statusu. „Chłopcy nie płaczą” zostało zastąpione „Wypłacz się dobrze”, ale...

Płacz to nie płacz to nie płacz.



Nie wiem, ile istnieje form wytworzenia też. Jestem pewien, że któregoś dnia ktoś zdobędzie grant na przeprowadzenie badań nad łzami, aby opisać całą gamę od łamiącego serce szlochu matki, która właśnie straciła jedynę dziecko, po beksy, które potrafią się rozbezczyć na zawołanie. Widziałem, jak narzeczoną jednego z naszych studentów dominowała go tą dobrze opracowaną sztuką.

Każdy, kto ma nienaruszoną intuicję, natychmiast wyczuwa różnicę między szczerym żalem wywołującym współczucie a przedstawieniem, które u patrzącego wywołuje jedynie chłodną ciekawość.

Kiedys też to robiłem, jako sztukę wzbudzającą litość. Nie pamiętam okazji. Wiedziałem, że jeżeli tylko uda mi się wywołać współczucie, uzyskam wyrozumiałość zamiast kary. Niczego nie czułem. Chłodno kalkulując, w myślach przywołałem pogrzeb mojej babci. Zabrało mi to kilka minut, ale udało się. Popłynęły łzy i uszedłem cało.

Na studiach nauczyłem się włączać dietę bez soli przy przepisywaniu bromu jako środka uspokajającego. Mogłoby to sugerować, że sól może być czynnikiem pobudzającym metabolizm podniecenia i że płacz to proces odsalający. To wyciszenie i uspokojenie jest lekkiem przypominającym brom. „Dobre wypłkanie się” relaksuje, a dzieci po wypłakaniu się zasypiają. W autentycznym płaczu widzę głównie smutek ponownego przystosowania się i krzyk o pomoc.

Nie wypłakiwałem serca zbyt często, może kilkanaście razy w życiu. Te sytuacje zawsze wiązały się ze szczytowym doświadczeniem głębokiego poruszenia... z żalem, a przynajmniej raz z bólem nie do wytrzymania.

Uwielbiam cichy płacz towarzyszący smutkowi. Bardzo często stopnienie upartej zbroi i pojawienie się autentycznych uczuć w mojej grupie nakłania mnie do czułego poddania się. Czasami dochodzi do reakcji tańcuchowej całej grupy, kiedy płacz staje się tak zaraźliwy jak śmiech.

Kocham wyciskacze też w kinach, jeżeli w ogóle da się w nie uwierzyć. Czasami, muszę przyznać, ronię łzy nawet na mdła-

wych, sentymentalnych bzdetach, ale szczególnie, kiedy ktoś przekracza przeciętną ludzką dobroć, jeżeli jest zbyt dobry, żeby był prawdziwy.

Uwielbiam smuć się, nie będąc nieszczęśliwy, i nawet uwielbiam zażenowanie, które temu towarzyszy, jak gdyby przypało mi na oddawaniu się zakazanej słabości.

Jednym z moich najgłębszych smutków był wybuch rozpacz w domu Ardenów po mojej wyprawie dookoła świata. Nie wiedziałem, dlaczego jestem taki smutny. Bariera między mną a innymi ludźmi? Moja nienawiść z powodu braku uznania? Gruboskótność, jakiej nabrałem się w okopach? A może zabawimy się w semantykę i przypomnimy sobie, że ta rozpacz to *désespoir*, bez nadziei? Nadzieja zdecydowanie powracała na nowo.

Druga okazja pojawiła się podczas naszej, Lore i mojej, pierwszej wizyty w Niemczech po drugiej wojnie światowej. Chciałem sprawdzić zarówno moją głęboką nienawiść do nazistowskich Niemiec, jak i możliwą zmianę ducha.

Kupiliśmy w Paryżu używanego volkswagena, który okazał się pierwszej klasy okazją. Dokładnie nie pamiętam cen, ale chyba zapłaciłem za niego około sześciuset dolarów; jeździliśmy nim po Europie przez dwa miesiące, trzy lata w Stanach i sprzedaliśmy go za siedemset dolarów.

W każdym razie wiechaliśmy tym samochodem do Niemiec przez granicę z Holandią. Nie byliśmy w najlepszych nastrojach. Celnicy okazali staroniemiecką szorstkość. Pojechaliśmy w dół Renu. Atmosfera i nastroj zaczęły się nieco zmieniać. Pojechaliśmy do Pforzheim, miejsca urodzenia Lore, i tam nas serdecznie przyjęto. Odwiedziliśmy grób ojca Lore i dopadła mnie eksplozja smutku.

Prawdziwa eksplozja. Niespodziewana, z pełnego zaskoczenia, jakby pękł jakiś wrzód. Lore też trochę płakała. W momentach, kiedy odzykiwałem kontakt ze światem, widziałem przez mgłę jej zaciekawione, nie całkiem rozumiejące, co się dzieje, oczy. Czuję się jej bliski.

Nie rozumiem też tego wybuchu. Mój teść i ja nigdy nie byliśmy sobie bliscy. W zasadzie, o ile w okresie dorastania

byłem czarną owcą w swojej rodzinie, o tyle dla rodziny Posnerów byłem czarnym jak smoła potworem. Wcale mi nie ufali.

— Chyba teraz prowadzisz utarczkę z rodziną Posnerów i znowu unikasz swoich operacji.

To co mam zrobić?

— Postanów raz na zawsze skończyć z tym tematem.

Decidere, odciąć. Semantyczne znaczenie jest jasne.

— Przestań rzucać mi w oczy tym semantycznym piaskiem. Bałem się, że powiesz: tym semantycznym głównem. Nie przystoi „temu na górze” z żydowskiej rodziny wyższej klasy jak Posnerowie używać tak niskiego języka.

— Widzę, że znowu chcesz przemycić Posnerów za pomocą uogólnionego skojarzenia.

Tak, mógłbym powiedzieć Goldenów, a to spowodziłoby nas do Miami. To jest piękno dowolnych skojarzeń; możesz kierować je w każdą stronę. Nie ma lepszego wehikułu dla fobii.

— Cóż, czy Posnerowie mają jakikolwiek związek z płaczem, czy raczej Goldenowie? Lore może z łatwością płakać, kiedy jest nieszcześliwa. Nigdy nie widziałem, aby nadużywała też. Oczywiście gorzko płakała, kiedy zginęła jej siostra z dzieckiem. Udało im się zejść do podziemia w Holandii i naziści złapali je tuż przed końcem wojny. Wydaje mi się, że Lore bardziej płakała po stracie siostrzenic niż po Liesel. Nigdy nie potrafiła zmusić się, by spojrzeć na obraz *Dziennik Amy Frank*.

— Przepraszam, że byłem dla ciebie nieco szorstki. Co z Golenami?

Wymyśliłem to nazwisko, aby zbudować most do Miami.

— Doświadczyłeś tam jakiegoś szczytowego płaczu?

Z pewnością tak. Och, nie chodzi mi o typowe poruszenie. Nie pamiętam nawet, żeby płakał, kiedy byłem z Marty. Pamiętam bardzo wyraźnie, jak płakałem w agonii i bólu przed drugą operacją.

— Czy te operacje są substytutem samobójstwa?

Kiedy Fausta denerwuje Mefistofeles, nazywa go trawestacją brudu i krwi, straszem, jak my byśmy go nazwali.

Karuzela znowu rusza. Migają wspomnienia.

Przyjemność, jaką czerpałem za moich złych lat, bawiąc się i wyobrażając, że jestem Mefistofeilesem.



Ciotka Schindler, kobieta o najcieplejszym, wszystko kochającym sercu, której podobało się moje przedstawienie. Tylko ona staje po mojej stronie: „Nic mu nie będzie”.

Brat mojego ojca umiera na raka odbytu. Łóżko pełne gówna i krwi. Obrzydliwe.

Moje łóżko w Miami pełne krwi. Marty opanowuje obrzydzenie, sprząta skrzętnie. Ostateczna próba tortur. Czy będzie mnie kochać pomimo tej największej brzydoty?

Zawsze wstydzilem się choroby. To było jak stygmat. Nawet w okopach wolałem ukrywać zapalenie migdałów z wysoką gorączką, niż przyznać się do takiej „słabości”.

Wstyd mi się teraz przyznać do moich krwawiących hemoroidów i zabrudzonej bielizny, która im towarzyszyła.

Tamtej nocy w Miami, kiedy obudziłem się z krwotokiem, nie czułem wstydu. Byłem spokojny, zaciekawiony i rozczarowany, że nie wykrwawiłem się na śmierć.

Zdecydowałem się na operację. Kiedy obudziłem się nazajutrz, męski głos, prawdopodobnie pielęgniarka, przemówił do

mnie: „Ależ się cieszę, że pan wrócił”. Dowiedziałem się, że spędziłem dwanaście godzin na sali pooperacyjnej i że już zrezygnowali ze mnie.

Co się stało? Niewłaściwe leki? Martwica serca? To wyjaśniałoby kłopoty z sercem w ciągu następnych pięciu lat. Przypominam sobie jak przez mgłę, że chciałem po coś sięgnąć, a pielęgniarz mnie odepchnął.

Wspomnienie tej nocy powróciło po podaniu psylocybiny. Było to tajemnicze wspomnienie walki ze śmiercią. Zapadałem w sen, walczyłem i budziłem się. Zasypiałem, budziłem się, aż w końcu, całkiem podobnie jak we śnie o roku 1917, chęć życia wygrała. I wróciłem z tej wyprawy z silną wolą życia. Nie, aby kogoś zadowolić, ale ostatecznie z własnych samolubnych pobudek. Egzystencjalny nastrój bycia „skazanym” na życie zmienił się w „obdarowanie” życiem. Zakończyłem eksplozję rozpaczyny rozpaczę w domu Ardenów.

Otrzymałem łaskę życia.

Otrzymałem łaskę pełnego i pożytecznego życia.

Żyję.

Jestem.



— Ale sama operacja się udała?

Bardzo.

— Mówiłeś o drugiej operacji.

Tak, miałem następną operację po dwóch tygodniach. Kilka

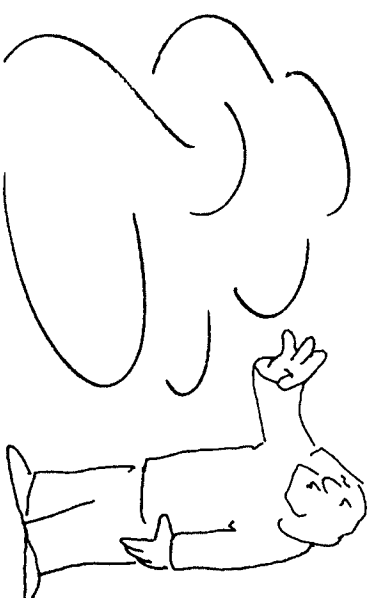
dni po zwolnieniu ze szpitala obudziłem się w nocy z ogromnym bólem pęcherza. Nie mogłem oddać moczu. Ból narastał. Jeźli istnieje jakieś porównanie, muszę go teraz użyć. Konając w rozpacz, zalewając się łzami, krzyknąłem, dość szczególnie: „Och mamma mia, mamma mia”. Cierpiałem aż do świtu. Następny ciekawy aspekt. Nawet nie przyszło mi do głowy, aby natychmiast wezwać lekarza. Może bałem się (?) narzucać, zobaczyć rozłożoną twarz, narażać na złajanie?

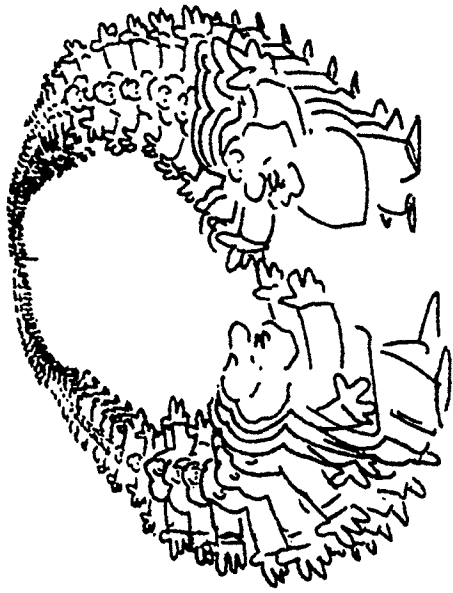
Blogostawiony cewnik niosący ulgę. Diagnoza: powiększona prostata. Leczenie: usunięcie.

Tym razem dziesiątki badań i prób. Jedno ze zdjęć wskazało, że jelito grube opadło. Później powinienem poddać się następnej operacji. Dostyc już miałem chirurgów. Nigdy się nie przejmowałem i „ono” nigdy mi nie doskwierało.

Zatem wycięli mi prostatę i w trakcie zabiegu wysterylizowali mnie. Podobno mi się to i podobał mi się komplement: „Nigdy nie mieliśmy lekarza, który był tak dobrym pacjentem”.

Czas po operacji spowija mgła. Wiem, że pojechałem z Miami do Columbus i wróciłem znowu. Wydaje mi się, że jest to pewne zakłócenie poprzedzające te operacje, ale nie jestem pewien. Tam odwiedziła mnie Marty i pomogła zorganizować dom. Więc jest to prawdopodobnie przed tym okresem.





Tutaj w Esalen jest sporo mężczyzn, wobec których odczuwam ciepło i miłość. Nie wiem, czy to atmosfera przyciąga ten specjalny rodzaj osób, czy może zwiększyła się moja zdolność kochania.

Przyjaciele z wcześniejszej i późniejszej młodości to zawsze chłopcy, którym mogłem się poddać. Przyjaźnie po pierwszej wojnie światowej w Afryce Południowej nigdy nie były na tyle głębokie, by doprowadzić do wzajemnego zaufania. Tutaj, w Stacjach, zaufałem Paulowi Weissowi i Vincentowi O'Connellowi. Vince'owi nieco oduło w stronę mistycyzmu. Jest nieomal święty: niezwykle czuły i postrzegawczy. Nie mając własnych dzieci, on i April zaadoptowali gromadkę dzieci i najwyraźniej dobrze im z nimi idzie.

Vince był głównym psychologiem w Columbus State Hospital, a ja tam właśnie pojechałem jako instruktor. Nie miałem nic przeciwko tej pracy; przeszkadzało mi natomiast rutynowe osiem godzin, więc odszedłem po dziesięciu miesiącach. To był błąd, jak się wkrótce okazało. Powinienem być zostać cały rok. Przy padkiem usłyszałem, że mogli uznać mój niemiecki dyplom

w District of Columbia. Złożyłem podanie, które odrzucono na podstawie brakujących trzech miesięcy.

Teraz jestem nie-psychiatrą w Kalifornii, co mi wcale nie przeszkadza i nie przepisuję żadnych leków, a jedynie wyko- rzystuję, jako oficjalny Propagator Zdrowia Psychicznego obja- wionego mi, moje prawo do wolności mowy: odkupującej winy cechy w przeciwieństwie do jej niemożliwego żądania: dążenia do szczęścia.



— Zatem nie wierzysz w poszukiwanie szczęścia?

Nie. Uważam to za fałsz. Nie można osiągnąć szczęścia. Szczęście przytrafia się i jest stadium przejściowym. Wyobraź sobie, jaki się czułem szczęśliwy, kiedy ulżyło mi ciśnienie na pęcherz. Jak długo trwało to szczęście?

— Czy sądzisz, że szczęście jako stan permanentny nie może być osiągnięte przez nikogo?

Nie. Możesz siedzieć przez czternaście lat w tej samej pozycji jogi na tej samej kanapie albo przez czternaście lat czynić dobro. Być nieustannie szczęśliwym jest niemożliwe ze względu na samą naturę świadomości.

— Ale szczęście jest kwestią świadomości. Nie możesz być szczęśliwy, nie będąc świadomym. A może stajesz się freudystą, mówiąc: „Jestem nieświadomie szczęśliwy”?

Nonsens. Świadomość istnieje za sprawą samej natury zmian.

Jeżeli nie się zmienia, nie ma nowych doświadczeń, nie ma czego odkrywać. W języku behawiorystycznym nie ma bodźca dla szczęścia.

Program „Szukanie szczęścia” obejmuje paradoks „Droga do piekła wybrukowana jest dobrymi chęciami”. Sugeruje także, że bycie nieszczęśliwym jest złe.

— Czy nagle stałeś się masochistą? Chcesz powiedzieć, że nieszczęście jest dobre? Czy przyswoiłeś chrześcijańską cnotę cierpienia?

Proszę, zrozum. Ja jedynie stwierdzam, że szczęście dla samego szczęścia w najlepszym razie doprowadzi do prefabrykowanej zabawy à la Disneyland.

Masochizm to ból dla samego bólu. Szukać bólu i czynić z tego cnotę to jedna rzecz, rozumieć ból i wykorzystywać ten sygnał natury — druga.

— Co sygnalizuje ból?

„Zwróć na mnie uwagę. Przestań robić to, co robisz. Jestem wyłaniającym się gestaltem. Coś złego się dzieje. Uważaj! Sprawiam ból”.

Krzesto elektryczne:

Siedzę na miejscu tu
Byście widzieli mnie.

Czuję serca puls
I czuję całego siebie.

Widzę — patrzycie
Gdziekolwiek się ruszę.

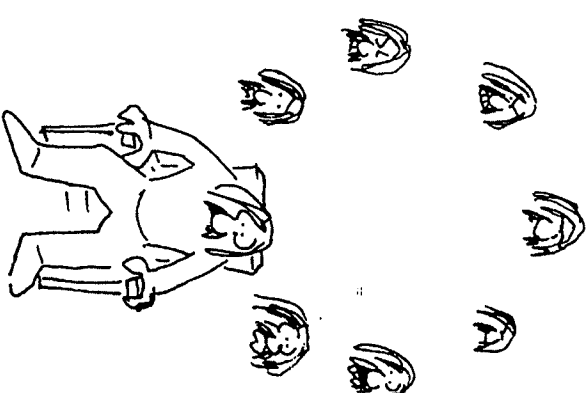
To moje życie
Może was skuszę.

Tego że ból mi dolega
Nikommu nie zdradzę
Na próżno się zmagam
I wszystko ukryję.

Ból we mnie się wzmacnia
Chociaż uciekam
I ciągle nalega
Abym zapłacił, com winien.

Muszę to zrobić
Choć to wielka twoga.
Wolę już przez to przejść
Z nadzieją, że to moja wola

Stać się realnym.



Przez dwa dni nie miałem ochoty pisać, chociaż wydarzenia OZ pewnie były ważniejsze, a może odniosłem sukces dzięki temu pisanu.

Oczywiście konsekwencją byłoby omówienie tego, co robię z osobą na krześle elektrycznym: podejście do teraz i jak, do odpowiedzialności i zachowania fobicznego.

Ostatnio nabrałem nawyku używania mojego zmęczenia za-

miast poddawania się mu całkowicie i zasypiania. Zeszłej nocy nie mogłem ani zasnąć, ani nie czułem impulsu, aby wstać i coś zrobić. Potrafiłem przez znaczny czas pozostawać w kontakcie z moim schizofrenicznym poziomem. Nawijałem kontakt. Zupełnie jakbym poddał się LSD, głównie produkowałem krytyczne uwagi, promowałem i intensyfikowałem wymianę postaci/tło, w ten sposób przekonyując siebie o sensownym doświadczeniu. Nie. Skontaktowałem się z poziomem rozdrobionych i porzucanych fragmentów, niczym drobnych introjekcji, obcych ciał. Wiele z nich to fizyczne odczucia i obrazy, ale nie powiązane. Bezgłośnie mówienie nadal było w pewnym sensie spójne, nawet w pewnym stopniu mniej podobne do cienia niż mój normalny sposób myślenia.

Cieszyłem się, że moje podejrzenie o warstwę schizofreniczną zostało potwierdzone i że porządnie się jej przyjrzałem.

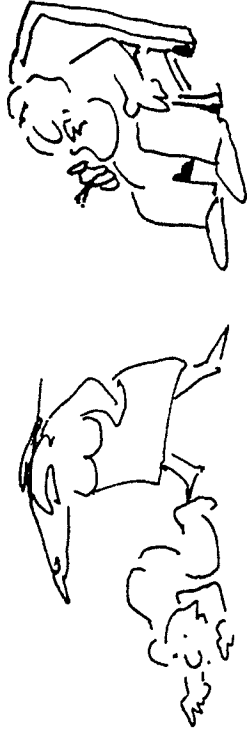
Najwyraźniej to całe nawiązanie kontaktu doprowadziło — teraz nie mam najmniejszego pojęcia — do zmiany. Uwolniłem się od lubieżnego nałogu. Mogłem kilkakrotnie po prostu być w łóżni, popatrzyć i odejść zamiast planować, jak stworzyć okazję, aby dotknąć i być dotykany seksualnie.

Kiedy pytano mnie o rzucenie palenia, zazwyczaj odpowiadałem: „Czekam, aż palenie rzuci mnie”. Nabierałem coraz większego przekonania, że idę właściwą drogą. Jakies trzy miesiące temu zaniechałem nałogowej masturbacji, z której praktycznie nic nie zostało.

Widzę teraz pierwszą przerwę w mojej karierze seksualnej i wiem, że kiedyś wydarzy się coś podobnego z paleniem.

Wczoraj z grupą Jima Simkina pracowałem nad snami. Jeden przypadek zasługuje na opis.

Zajmowałem się snem pewnej kobiety w średnim wieku. Nie potrafi przestać kontrolować swojej córki i doprowadza ją do szału nadopiekuńczością, aż do stopnia zinstytucjonalizowania. Żyje życiem córki, przejmując za nią odpowiedzialność, nieustannie się wtrąca. Wtedy zrobiłem coś nowego.



Odgrywałem narodziny z osobami mającymi problemy na tle pepowiny. Tym razem pozwoliłem tej kobiecie przejść jeszcze raz poród swojej córki. Nie było albo nie ma żadnego urazu związanego z porodem, ale z brakiem rozdzielenia. Coraz bardziej oczywisty stawał się fakt, że tam, gdzie inni mają poczucie siebie, osobowości, wyjątkowości, indywidualności lub coś tam, jakkolwiek to nazwiesz, ona miała dziurę — sterylną pustkę.

Po doświadczeniu porodu kazałem jej nawiązać kontakt ze swoim ciałem i ze światem — coś, czego brakowało wcześniej. Innymi słowy, zacząłem zmieniać tę pustkę, którą wypełniała jej córka, w żywe miejsce odkrywania własnej substancji i wartości. Widziałem się z nią dzisiaj, jak zwykle w takich przypadkach odczuwała wielką ulgę i początek zmian. To jedynie potwierdza opinię Virginii Satir, że musimy odnaleźć osobę, która doprowadza pacjenta do szaleństwa.



Ostatnio także przeprowadziłem pewne podstępne operacje finansowe, które wcześniej poruszyłyby mnie do tego stopnia, że pragnąłbym zemsty, lub przynajmniej skłoniły do sporego fantazjowania. O wiele łatwiej potrafię się tym zająć na spokojnie jako czymś niemylącym, ale nie katastroficznym. Teraz oni mogą mi to zrobić.

Także coś anastroficznego, co może zamienić się w ważny rozwój.

Muszę się z czegoś wypowiadać. Poza śmieniem, w którym odnajduję ludzi, wydarzenia, zabawki, teorie itd., mam inny, który jest naprawdę fantastyczny. Tam znajduję wszelkiego rodzaju sny. Znajduję fantazje seksualne i megalomaniakalnych dobroczyńców. Znajduję sny o nadziei i sny o rozpaczach.

Jeden z moich ulubionych to ten, w którym zostaje dyktatorem świata i czasami spędzam całkiem sporo czasu na opracowywaniu szczegółów sprawowania rządów. Potem, sprawdzając, widzę, że ktokolwiek ze zdrowym rozsądkiem byłby lepszy od tego podzielnego na ułamki świata pogrążającego się w ołtłani samodestrukcji. Moja impotencja w urzeczywistnieniu czegośkolwiek z tego nie martwi mnie. Fantazjowanie jako rozrywka jest wystarczająco satysfakcjonujące.

Moja ulubiona fantazja to pisanie manifestu gestaltycznego, obejmującego cztery propozycje:

- 1) gestaltyczny kibuc,
- 2) propozycja Kubięgo nowej dyscypliny: terapeuta-nauczyciel-psycholog,
- 3) podzielenie wszechświatów na działy nauczania kontr jednostki badawcze,
- 4) podział społeczeństwa na dopasowanych i niedopasowanych (zainspirowany przez E. Dreyklosa).

Najbliższa urzeczywistnieniu...

— przestań natychmiast.

...jest idea gestaltycznego kibucu.

— Powiedziałem, żebyś przestał i zajął się czymś nie dokńczonym.

Powstaje dużo podniecenia...

— Chcesz wprowadzić do tej książki pochlebne recenzje o twoim kibucu.

Wczoraj otrzymaliśmy obiecującą ofertę. Hej, ty, nie potrzebuję klaki.

— Nic nie szkodzi. Przynajmniej teraz mnie słyszysz. Stuchaj! Miejsce tego manifestu jest na końcu książki albo w dodatku. Tam włoż swoje sześć sugestii. Albo koniec twojej lubieżności. Zwarłowałeś? Ja skończyłem z lubieżnością? Powiedziałem, że pojawiła się pierwsza przerwa w naporze lubieżności. Obecnie rozbudowuję nowy nałóg: poniższe pisanie. Trudno już w życiu znaleźć wolny, radosny poranek z gorącą kąpielą, namydleniem i wymasowaniem. Naprawdę będzie mi tego brakowało w moim kibucu w Nowym Meksyku.

— Fritz!

— ?



— Ostrzegam cię! Znowu robisz się natrętny.

Już dobrze. Poddaję się. Ale więcej nie powiem o klasyfikacji płaczu ani o doświadczeniach z krzesłem elektrycznym.

— Dobra. Przynajmniej teraz jesteś szczerzy. Co z tym pustym krzesłem?

Wspominałem o tym wcześniej. To puste krzesło to sztuczka z projekcją-utożsamianiem.

U wielbiam te kolibry, powietrznych tancerzy. Widziałem ślicznego, zielonego, w krzakach w pobliżu łąki.

— Co one mają wspólnego z pustym krzesłem?

Wszystko. Są tam. Są rzeczywiście. Puste krzesło jest nie zajęte. Czego miałbyś doświadczać?

— Gdybym ja był pustym krzesłem, czułbym się bezużyteczny, dopóki ktoś nie usiadł na mnie i nie wykorzystał mnie do wsparcia. Hm. To dziwne. Zawsze myślałem, że nikogo nie potrzebuję.

To podaj mi teraz jakąś osobę albo przedmiot ze snu.

— Nic nie pamiętam.

Posadź Fritza na pustym krześle.

— Fritz, nie pamiętam żadnego materialnego snu. Fritz twierdzi, że kłamiesz. Pamiętam jedynie aktówkę.

Teraz usiądź na krześle i bądź tą aktówką.

— Skoro jestem aktówką, mam grubą skórę, przenoszę tajemnice i nikomu nie wolno w nie zaglądać.

Teraz schodzę ze sceny, a ty „piszesz scenariusz”, to moje określenie na zmianę ról i podtrzymywanie rozmowy.

Zaciekawiasz mnie. Chciałbym poznać twoje sekrety.

Nie możesz. Nie masz klucza, żeby mnie otworzyć.

Ja jestem kluczem. Jestem silny i dobrze wykonany, ale moje funkcje są ograniczone. Mogę manipulować tylko w jednym zamku.

Zagraj zamek.

Chodź, kluczu. Czekam na ciebie. Chodź, otwórz mnie. Wejdź we mnie.

Idealnie do siebie pasujemy. Mogę obrać cię toba dowolnie.

Co mówisz zamek?

Dziękuję. Już więcej nie jesteś mi potrzebny. Możesz iść do śmietnika.

Ty świnio.

Dokąd teraz?

Kogo pytasz?

Ciebie, Fritz.

Posadź Fritza na pustym krześle. Daję ci twojego własnego,

uosobionego Fritza. Nazywaj go U.F. Możesz go wziąć do domu i używać, kiedy tylko zechcesz, bezpłatnie. Oto „Fritz w pigułce”.

U.F., co teraz zrobimy?

Czego chcesz uniknąć?

Otwierania aktówki. Tam nic nie ma.

Czuje się oszukany, U.F.

Przyjrzyj się bliżej.

Tak. Jakies strzępki papieru. Trzy krowy w darowiźnie. Warsztat w darowiźnie. Jedna betoniarka. Jedna ciężarówka.

Co mówisz?

Skończyłem z pustym krzesłem. Chcę zająć się tobą, Fritz.

Co takiego teraz zrobiłem?

— Umieszczasz darowizny na twój gestaltyczny kibuc. Oszukujesz.

Jesteś moją projekcją, prawda? Jesteś mną. Nie mamy przed sobą tajemnic.

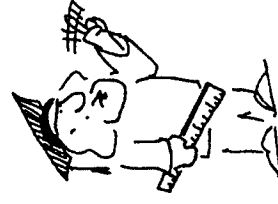
Oto historia o podwójnej projekcji. Pewien psychiatra wymyślił uproszczony test Rorschacha*. Używał trzech podstawowych figur.

Pewnego dnia, badając pacjenta, narysował trójkąt. Co to jest?

— Namiot. W namiocie jest para. Pieprzą się.

Potem narysował prostokąt. Co to jest?

— To duże łóżko. Leżą w nim dwie pary i pieprzą się. Następnie narysował koło. Co to jest?



* Test osobowości oparty na interpretacji standardowych plam atramentu (przyp. tłum.).

i mocno wpływa na emocje. Wskazuje na zdolność przyciągania do siebie ludzi". Jak to zadziwiająco pasuje. Dodajcie „słiny, uparty intelekt” i otrzymacie sporo z mojej tożsamości. Astrologia, kolejna tajemnica.

Z uporem wracam do słowa „tajemnica”. Miałem dostęp do serialu „tajemnic”, cotygodniówki czytanej przez naszą służącą.

Z siostrami byłem przeważnie w bliskich stosunkach. Raz zostałem wykluczony z zabawy na podwórku, chłopiec stojący na warcie. Podejrzewałem gry seksualne. Skąd wzięło się u mnie to podejrzenie, nie wiem. Byłem jedynie pewien, że działo się coś tajemniczego.

Z tajemnicą mocno wiąże się przestrach.

Religia i to, co działo się w świątyni, nie wywoływało żadnego strachu. To, co robili ci ludzie, uznawałem za dziwne i szczególne, wyciąganie modlitewnego zwoju pisma ze schowka i odczytywanie go w dziwnym języku ze szczególnymi ruchami i głosem.

Musieliśmy nauczyć się hebrajskiego. Wszystko było bezosobowe z kilkoma wyjątkami. Na przykład, ich zainteresowanie moim nosem po wypadku, który wyraźnie zachowałem w pamięci. My, troje dzieci, mijaliśmy akurat dom w budowie, kiedy zawiął wiatr i przewrócił ciężki płot. Kanem uderzył mnie w nos i runąłem na Gretę, łamiąc jej nogę. Brygadier biegł zrozpaczony, powtarzając, że jest niewinny; karetka zabrała nas na pogotowie. Podobało mi się to podniecenie i bieganina, ale krzyczałem, kiedy polali mi ranę jodyną. Podobała mi się też troska rabina, kiedy później badał moje skaleczenie, gdyż nos nawet nie był złamany.

Podobał mi się wzbudzany w innych podziw i prezenty, jakie dostatek na moją bar miewę, kiedy wszyscy byli dumni z tego, jak dobrze recytowałem moją modlitwę. Był nawet prezent od rodziny Staubów. Przez kilka tygodni byłem zwolniony ze statusu czarnej owcy. Może głównym wydarzeniem, dzięki któremu przypadła mi ta rola, było włamanie się do tajnego pokoju mego ojca.

Zastanem w nim nieopisany bałagan. Ojciec nigdy nikomu nie pozwalał tam wchodzić i sprzątać. Znajdowały się tam półki

z książkami, w których można było szperać. Ale jakie rozczarowanie, wszystkie one wiązały się z hobby i ambicjami ojca: zostaniem Wielkim Mistrzem Wolnych Masonów.

Uwielbiał, kiedy zwracano się do niego „Marszałku”, i z błękitną szarfą na piersi, z długą, ujmującą brodą, potężną postacią, naprawdę prezentował się wspaniale.

Nigdy nie udało mu się zostać Wielkim Mistrzem jednej z dużych, uznanych łóż, więc stworzył własną. Po kilku latach przeważnie się rozpadła, więc zakładał nową jako widownie dla swych przedstawień i długich przemówień o ideałach. Wprowadzenie do łóż, jak może być wam wiadome z *Czarodziejskiego Fletu*, miało być swego rodzaju próbą, podczas której nowicjusz miał wykazać się odwagą i wartością, by stać się członkiem tajemnej sekty.

Kiedy skończyłem osiemnaście lat i minął mój impas „złych” czasów, ojciec zdecydował, że nadeszła pora, by wprowadzić mnie do łóż. Nie mogłem się doczekać spenetrowania zastony tajemnic i przejścia próby.

Co za wstyd i rozczarowanie! Zastonięto mi oczy. Dwóch mężczyzn poprowadziło mnie jakimiś korytarzami i pokojami, trzaskającymi drzwiami, usłyszałem jakieś odgłosy, które miały być przerażające. Później pewne przymusowe rytuały. Miałem problemy z utrzymaniem powagi i nigdy nie wróciłem do tych sesji.

Na przyjęciach, na przykład na Boże Narodzenie, ojciec jednakże przywoływał swoje rabelaisowskie „ja”. Uwielbiał tańczyć polkę, pić i całować. W zasadzie wybrał na swoją profesję sprządaż terenową wyśmienitego palestyńskiego wina. Oczywiście sam nie był „komiwojażerem”, był „głównym przedstawicielem” Rothschild Company.

Raz wypowiedział uwagę, której wyjątkowo nie cierpiałem. „No to co! Upiję się na śmierć. Mój syn zaopiekuje się rodziną”.

W zasadzie nienawidziłem jego i tej pompacyjnej pewności siebie, ale potrafił być także czuły i ciepły. Jak bardzo moje nastawienie wynikało z nienawiści mojej matki do niego, jak bardzo ona zatrała nią nas, dzieci, nie potrafiłem powiedzieć.

Moje włamanie do tajnego pokoju nie miałoby poważnych konsekwencji, gdyby nie pewna komplikacja: świnka-skarbonka

ze złotą monetą w środku, która w przyszłości miała przejść na własność mojej siostry Else. Wydobyłem ową monetę i za nią kupiłem znaczki dla mojego przystojnego przyjaciela, chrześcijanina o blond włosach, w nadziei kupna jego przyjacieli lub też na znak mojej. Jak wielu wyrzutów nasłuchiwałem się za tę kradzież i ile razy musiałem za to zapłacić!

Kiedy została odkryta, uciekłem przerażony. Spałem na schodach. Sypiałem na kłatkach schodowych w obcych domach. Nie miałem pieniędzy. Potem odwiedziłem przyjaciół po drugiej stronie Berlina, dostałem jeść i opłatę na przejazd samochodem, którą zostawiłem na kupno chleba nazajutrz.

Potem kalkulowałem: może „oni” myślą, że się zabiłem, i nie odesłają mnie do poprawczaka, czym często mnie straszili. Może nawet ucieszą się, że żyję.

Wróciłem więc i zastałem poważne zgromadzenie, a w nim wujka Eugena, lekarza, brata mojej matki, następnego nadętego dupka. Werdykt wydał ojciec: „Wybaczę ci (pamiętajcie, że był wolnomularzem, a wybaczenie było dla nich ważną funkcją: przykładowo piękna aria Mozarta na bas, ulubiona pieśń mojego ojca: *Te święte komnaty nie będą się mścić na tobie*), ale nigdy nie zapomnę, co mi zrobiłeś”. Fajnie, prawda?

Moja pozycja w gimnazjum już słabła. Dyrektor miał polskie nazwisko i prawdopodobnie, aby udowodnić swoją aryjską krew, był bardzo, bardzo nacjonalistyczny. Szkoła była nowa i dyrektor zebrał kadre, którą najlepiej opisuje parafraza Churchilla: Rzadko tak niewielu nauczycieli torturowało tak wiele dzieci przez tak długi czas. Podstawowym nastawieniem była dyscyplina i antysemityzm.

Oblatłem egzaminy wstępne i posłano mnie do korepetytora, któremu podobala się moja inteligencja i wykorzystywał ją do wolnie, aby robić idiotę z drugiego ucznia. Raz w drodze do niego narobiłem w gacie. Chociaż większość udało mi się usunąć w publicznej ubikacji, musiałem niezłe śmierzdieć. Nauczyciel węszył przez całą lekcję i miał spore podejrzenia co do drugiego chłopaka. Nie powiedziałem ani słowa. To prawdopodobnie był mój pierwszy akt niesprawiedliwości. Podczas następnych lat w gimnazjum nauczyłem się całkiem niezłe kłamać.

W klasie było nas czterech Żydów. Krafft został psychoanalitykiem. Schildkraut wstał się w przemyśle filmowym, a Holleander skomponował wiele ładnych piosenek dla Marleny Dietrich.

Kiedy dostawaliśmy nagane, nasi rodzice byli poinformowani pocztą, nieopłaconym listem. Zostałem pochwycony między moją nienawiścią do szkoły a terrorem tajania przez rodziców, aż znalazłem wyjście: poczekać na listonosza, przechwycić list ze szkoły i podrobić podpis rodziców. W końcu na tym też mnie przyłapano. Matkę powoli, ale pewnie, doprowadzałem do rozpaczy. Wielka ambicja jej życia topniała; stałem się nieokiełznany, poodcinałem rzemienie jej dyscypliny. Pewnego razu, uciekając przed jej uchwyttem, zamknąłem drzwi na klucz, wybiłem w nich szybę i robiłem do niej miny, ciesząc się jej niemożnością schwywania mnie.

W szkole tak się opuściłem, że musiałem powtarzać siódmą klasę i znowu oblałem. W efekcie zostałem wyrzucony ze szkoły. W tamtych latach w Niemczech nikomu nawet nie przyszło do głowy, że wydalenie ze szkoły bystrego, miłego dzieciaka nie może być wyłącznie jego winą.

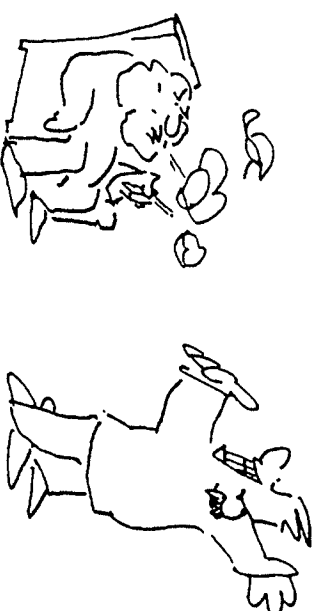
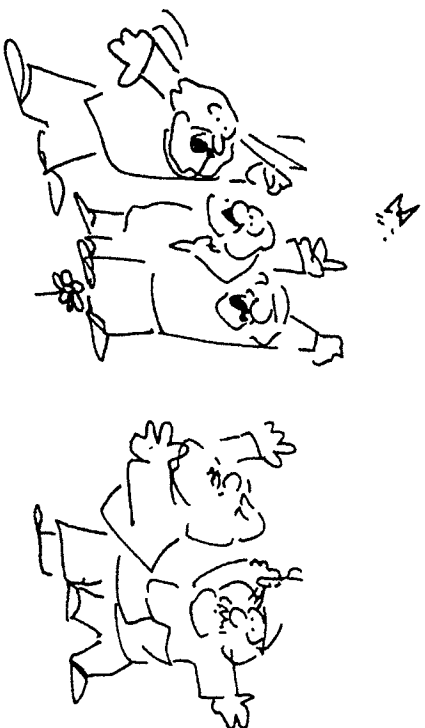
Drugim wyrzutkiem był Ferdinand Knopf, który wprowadził mnie w seks, którego z łatwością przyjąłem jako lidera. Nigdy nie masturbowaliśmy się nawzajem, ale jednocześnie, podczas gdy on opowiadał historie o przygodach jego starszej siostry. Z łatwością dostawałem erekcji, ale byłem za młody na wytrysk. Potem przyszła kolej na inicjację pieprzenia.

Kupiliśmy trochę batonów (każdy krok to jego sugestia) i znaleźliśmy prostytutkę, której on najwyraźniej odpowiadał. Obaj mieliśmy po trzynaście lat, ale on wyglądał na starszego.

Pojechalśmy kolejką do Greenforest, bardzo blisko Berlina. Oni gadali przez cały czas, ja czułem się nieswojo i milczałem. W lesie obiecaliśmy nie podglądać. Opanowałem ciekawość. Potem przyszła moja kolej. Dziewczyna szybko się zniecierpliwiła moim brakiem możliwości w osiągnięciu orgazmu i odepchnęła mnie. Odwróciłem się. Ferdinand patrzył. Czulem się zdradzony.

Wkrótce potem jego przewodnictwo przyniosło coś wspaniałego.

Po wyrzuceniu ze szkoły poszedłem na praktykę do kupca materiałami. Robiłem kawały szefowi, więc zostałem zwolniony. Ferdinand wykazał się przedsiębiorczością i znalazł dla nas inną szkołę. Askaniische Gymnasium, bardziej liberalną. Zdałem egzamin wstępny, polubiłem szczerze kilku humanistycznie zorientowanych nauczycieli i napisałem takie dobre wypracowania na *Abiturium*, że zwolniono mnie z egzaminów ustnych. To wydarzyło się pomimo faktu, że już rozpoczęłem wieloletnie życie. A może z powodu...???



W drodze do San Francisco zatrzymałem się w Monterey na dyskusję panelową podczas kongresu „analizy transakcyjnej”. Podobano mi się określenie „transakcja” sugerujące, że w wymianie werbalnej dzieje się coś bardziej realnego niż słowny ping-pong, coś więcej niż gra w „kto ma rację”. Podobał mi się Eric Berne, a już szczególnie Bob Goulding, który był mediatorem. Miałem młodego opONENTA, który nie stanowił dla mnie wyzwania, chociaż chciał dobrze. Byłem zawiedziony, że Eric nie był moim przeciwnikiem.

Zawsze ujmował mnie nacisk Erica na odgrywanie ról, a jednak to, co ujrzałem w moim oponencie, rozczarowało mnie. Nie tylko wyglądało jak fragment z podejścia Freuda, ale jak zaprzeczenie własnego dictum Erica Berne’a, że grany rolę. Dwie role, jakie zaobserwowałem, ograniczały się do rodzica i dziecka, i były traktowane cholernie poważnie. Ich prawdziwa gra, kompulsywne szufladkowanie każdego zdania w zależności od tego, kto je wypowiadział, pozostała bez nazwy. Idea dojrzewania, integracji i transcendencji ról wydawała się obca. Jak w przypadku analizy ortodoksyjnej, zainteresowanie pozostało w strefie środkowej. Pozostawać w kontakcie ze światem i sobą samym nie wydawało się integralną częścią podejścia mojego opONENTA. Głaskanie jest zabronione, chyba że symboliczne.

Doceniam jedną z ich gier: zbieranie znaczków. Jeżeli masz bloczek z zielonymi znaczkami, masz prawo czuć się, jakbyś miał

trzy metry wzrostu; jeżeli masz bloczek z czarnymi znaczkami, masz prawo do depresji, może nawet samobójstwa.

Jednak zazdrościć sukcesu Ericowi, Tak, przyznaję się bez ogródek, (Trafie potrafiś całkiem nieźle) Że traktat Erica to niezły numer... Bestseller na sto dwa tygodnie.

Powinno być coś pomiędzy nawracaniem Schützów i setką sztuczek Guntherów a tępotą i biedą restrykcji do dwóch ról Bernesianów. Dajcie mi przynajmniej czasami księcia, który zamieni się w brzydką żabę.



Właśnie sobie uświadomiłem, że opuściłem ważną zaletę podejścia Berne'a. Reich przyobiegł w ciało pojęcie oporu Freud'a, fragment rzeczywistości, którą nazywał zbroją. Berne dał Freudowi superego, dominujące abstrakcje takie jak instynkty, ego, działania. Berne ustalił w ten sposób prawdziwą polaryzację.

Nazywam te oponenty „tym na górze” i „tym na dole” z naciskiem na kontrolowanie potrzeb, niechęci; żądań i wzajemnych frustracji.

W tych wewnętrznych konfliktach, jak w konfliktach między

rodzicami i dziećmi, mężem i żoną, terapeutą i pacjentem, widzę próby — i to przeważnie zwiędzone powodzeniem — utrzymywania *status quo*: zabicia przyszłości, uniknięcia egzystencjalnego impasu i jego pseudoagonii.

Widzę, jak te problemy maleją, a zaczyna dominować integracja i harmonia, gdy tylko oponenti sięgną po rozum, głównie do swoich uszu. Nie jest to sztuczka semantyczna, równająca słuch i zrozumienie. To nawiązanie prawdziwego kontaktu.

Pokora kontrastów rozumienia z kontrolowaniem potrzeb nadmiernego rozumienia, sprawiedliwości.

Walka jest dobra, jeżeli mobilizuje nasz potencjał, jak w wielu sportach i intelektualnym współzawodnictwie. Oparta jest na radości dorastania.

Walka jest zła, jeżeli wynika z uprzedzeń i pewności siebie. Oparta jest na radości niszczenia.

To jest „dobre”, a to jest „złe”. Sądy, morały, etyka.

Skąd one się biorą? Czy są one częścią natury, głosem Boga, zachciankami autorów prawa? Co skłania nas do atakowania „złych” i idolizowania „dobrych”?

Aż do czasów Nietzschego i Freuda świadomość była uważana za najwyższą wartość dziedzictwa człowieka. Kant nadal stawia na równi imperatyw kategoryczny z wiecznymi gwałtami.

Porównajcie to z cynizmem Hitlera: „Mogę uznać kogoś za wroga lub przyjaciela według mojego widzimisię”.

Katolicki pogląd, że rodzimy się z grzechem, nieadekwatnym moralnym wyposażeniem do życia, jeszcze bardziej komplikuje sprawę.

Tak jak Darwin zdetronizował pozycję człowieka jako szczególnego boskiego stworzenia, nie związanego ze zwierzęciem, tak samo Freud odebrał świadomości rolę boskiej instytucji. Uczynił jasnym wtargnięcie społeczeństwa, poprzez tatę i mamę, do ludzkiego zwierzęcia. Uczynił jasną kontynuację społecznych tabu wewnątrz istoty ludzkiej poprzez mechanizm introjekcji, internalizacji policjanta.

Nie jest jeszcze całkowicie przygotowany na przyjęcie ludzkiego zwierzęcia, nie wyłączając seksu takim, jaki jest. Musi to

usprawiedliwić. Nadal w jego dziecku można dostrzec nikły ton niedobroci, obejmująca introjekcję polimorficznej perwersyjności w dziecko.

— Czy możemy posunąć się o jeden stopień dalej i zobaczyć dychotomię dobry/zły jako funkcję organiczną?

Chyba tak. Możemy popatrzyć na nią jako projekcję reakcji organicznej.

„Czy mnie stuch nie myli?

Czy to są twoje słowa?

Idźmy śladami projekcji,

A poznamy, czym zło i dobro”.

To dopiero później. To reakcja na projektowaną reakcję.

„Aż pęka mi głowa

— I to się potwierdza —

Na twe pompatyczne słowa

Aż mnie rozsierdza”.

Z drugiej strony. Moje zaszczytne intencje mają doprowadzić ciebie do zdrowego umysłu.

„Bodziec i odruch

— odrzuciłeś wnet.

Teraz prosisz znów:

Reakcji dajcie tu”.

Dajcie, czyli przywróćcie.

„Bardzo źle przyjęłeś

Moją piosenkę,

Wstrętnie wręcz stwierdziłeś:

Zły — niedobry jam jest”.



Jesteś coraz bliżej. Gdybyś mnie nie zaniepokoił, mógłbym zacząć omawiać „dobro” i „zło” jako funkcję organiczną, mógłbym nawet wkroczyć na obcy ład. Chemia moralności.

— ??????????????????

Freud był „ustawiaczem”. To znaczy, że był topologicznie zorientowany. Ustawiał przedmioty dookoła, przemieszczał je. Chociaż rezerwował termin „zagubienie” dla pewnych wydarzeń, większość jego teorii można rozumieć w terminach przemieszczania w przestrzeni. To brzmi paradoksalnie. Na pierwszy rzut oka Freud wydaje się orientować według czasu, jako że jego zaangażowanie w przeszłość jest oczywiste.

— Znowu czepiasz się Freuda?

W żadnym wypadku. Staram się dotrzeć do niego. Możesz powiedzieć, że wykorzystuję go do własnego rozumienia. Wykorzystałem topologię w trzech formach (projekcja, introjekcja i retrofleksja) przez dwadzieścia pięć lat, zdecydowanie podążając sposobem myślenia Freuda, jednocześnie zaprzeczając jego słuszności w odniesieniu do innych zjawisk.

— Podaj nam przykłady.

Ważny „transferencję”. Znaczy to dosłownie przeniesienie pewnego elementu z jednego miejsca w drugie. Termin ten został zaciemniony poprzez dodawanie do niego wszelkiego rodzaju konotacji, jak zaufanie, mania, żądanie wsparcia itd. Pierwotnie oznaczał on przeniesienie czyichś uczuć z ojca itd. na terapeuta. Później termin ten stał się niejasnym, a jednocześnie sprytnym trikiem. Negatywna transferencja nie oznacza już zmiany z kredytu w debet, ale ukazanie negatywnego, prawdopodobnie wrogiego zachowania.

Świadomość i nieświadomość to także miejsca. Nieświadomość staje się miejscem dla rzeczy zagubionych. Usta, odbyty i genitalia szukają miejsca dla libido.

Nazwisko Freuda jest katharsis dla relacji postać/ty: *Besetzung*, siedzenie, zajmowanie miejsca... on jedynie trochę posmarował klejem tam, gdzie najbardziej pragnie się wolności. Innymi słowy, proces jest zaniedbany, wypchnięty przed publiczność poprzez mechaniczne myślenie.

Nigdzie nie jest to tak wyraźne jak w jego introjekcji. W jednym momencie przedmiot jest na zewnątrz, a w drugim wewnątrz organizmu. Ten mechaniczny proces zginięcia jest zaledwie zaznaczony i chemia nie istnieje.

Kiedy jedzenie zostało przerobione na miazgę, wymagana jest dalsza destrukcyjność sokami trawiennymi. Jedzenie, umysłowe i fizyczne, nie może być wykorzystane przez organizm dla spełnienia jego konkretnych wymagań, chyba że jest rozbite na aminokwasy itd. — to znaczy na takie elementarne fragmenty, z którymi mogą sobie poradzić komórki.

Jest to punkt zero. Jest to moment asymilacji, zmiany obecnej substancji w siebie. Aż do tego punktu organizm zajmuje się potrzebami, apetytem, swoimi minusami (—).

Następny krok to akumulacja i pozbywanie się chemicznych substancji, których nie można zużyć, które zmuszają mechanizm, aż do momentu, kiedy stają się trujące i wyrządzają szkodę. Mówiąc fizjologicznie, poprzez nerki, wątrobę itd. przetwarzają. Aby osiągnąć zero, organizm musi zmniejszyć (+) niepożądanych substancji. Toksycznym ludziom brakuje dobrze funkcjonującego układu eliminującego niepożądane substancje.

Jesteśmy dalecy od prawdziwego zrozumienia relacji między organicznym zachowaniem — może jego tożsamością — a zachowaniem osobowościowym.

— Widzę, że zrobiłeś coraz więcej skrótów i wpłatałeś w to swoją chemię i moralność. Nadal jednak nie widzę związku między chemią a moralnością.

Lubię stwierdzenie, że moralność nie jest pierwotnie osądem etycznym, ale organicznym. Wróćmy do moich „złych” lat. Przez moje zachowanie rodzice czuli się niedobrze. Byli poirytowani, źli i czuli odrzucenie. Nie powiedzieli: „Czuję się źle”. Mówili: „Ty jesteś zły”, a w najlepszym razie: „Niedobrze mi przez ciebie”.

Innymi słowy, pierwotna reakcja ulega projekcji i staje się moralnym osądem. Następny krok polega na tym, że pewne formy zachowania zostają nazwane „złymi” przez społeczeństwo, a nawet wynoszone do statusu „zbrodni”.

To samo ma zastosowanie względem przeciwności. Chłopiec,

który stara się zadowalać otoczenie, sprawia, że czuje się ono dobrze. Teraz nosi nalepkę „dobrego” i ma prawo do pochwał, lizaków i medali.



Uwarunkowywanie, granice ego, edukacja, sprawiedliwość, zmiana, projekcja i pewne inne zjawiska zaczynają trafiać na swoje miejsca.

Ja, ty, rodzice, społeczeństwo, małżonkowie mówią:

— Czuję się dobrze przy tobie, jestem zadowolony.

Mówię, że jesteś „dobry”. Zawsze chcę, żebyś był ze mną.

Chcę, żebyś zawsze był taki.

Ja, ty, rodzice, społeczeństwo, małżonkowie mówią:

— Źle się przy tobie czuję. Sprawiasz, że jestem niezadowolony.

Zawsze wprawiasz mnie w zły nastrój, nie chcę ciebie.

Chcę cię wyeliminować. Nie powinienś istnieć.

Tam, gdzie jesteś, nie powinno być nic.

Ja, ty, rodzice, społeczeństwo, małżonkowie mówią:

— Czasami dobrze się czuję przy tobie, a czasami źle.

Kiedy jesteś dobry, fruвам z podziwu, miłości i dzielę się nią z tobą.

Kiedy jesteś zły, czuję się, jakbym truł i karał.

Wznoszę się z zemsty i nienawiści

i dzielę się z tobą moją niewygoda.

Mówimy: Nie tolerujemy twojej zmiany z dobrego w złego, w dobrego w złego. Zmienimy ciebie, uzależnimy od nagrody i kary. Edukujemy cię, poddając odruchom twoje zachowanie, aż — ty diable — zmienisz się w anioła lub przynajmniej w jego obraz, aż staniesz się taki, jaki my, my, my chcemy, żebyś był.

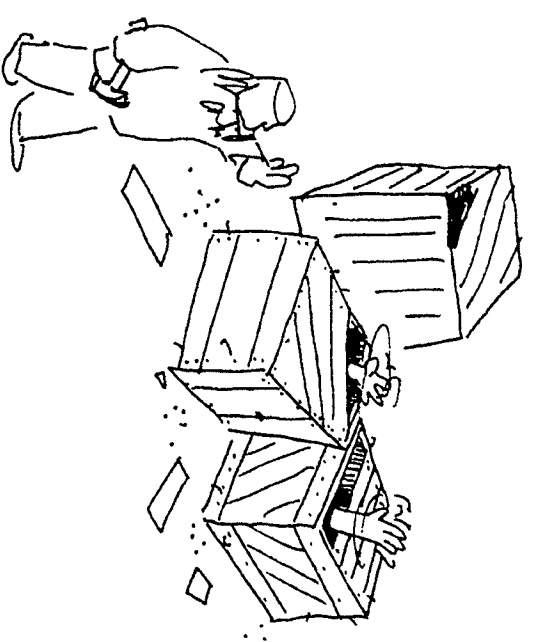
Przenosimy odpowiedzialność na ciebie. Tracimy naszą odpowiedzialność, świadomość własnego dyskomfortu. Imputujemy, że twoje zachowanie jest odpowiedzialne, że to ty powinieneś reagować na nasze potrzeby. My wszyscy obwiniamy ciebie i my reagujemy na ciebie.

Możemy być jak akceptujący wszystko święty, jak Carl Rogers, albo jak wzbudzący gniew, autetyczni, stetryczali mizantropi, odmawiający wszelkiej intuizji w twoją prywatność. Moglibyśmy cię zabić lub więzić, gdybyś choć w najmniejszym stopniu odstąpił od linii partyjnej. Jeżeli jesteś zły, musisz być izolowany, aż będziesz żałował za grzechy i obiecasz, że będziesz dobry. Zostaniesz odesłany do siebie do pokoju, jeżeli jesteś dzieckiem, zamkniesz na klucz, jeżeli nazwiemy cię przestępcą lub psychotykiem, do obozu koncentracyjnego, jeżeli przeciwstawisz się dyktatorowi.

Jeżeli będziesz grzeczny, będziemy się z tobą identyfikować, ponieważ ty identyfikujesz się z nami. Jeżeli jesteś niedobry, wyalienujemy cię; nie należysz do nas. Jeżeli jesteś dobry, łączymy się z tobą. Jeżeli jesteś zły, budujemy między sobą mury. W żadnym razie nie istnieje między nami kontakt. Kontakt bowiem to docenienie różnic. Spójność to docenienie podobieństwa. Izolacja to potępienie różnic. Mówiąc krótko, doświadczenie dobra i zła reguluje strukturę granicy ego.

Esalen znowu przechodzi kryzys. Finansowy impas został pokonany, ale zagrożone zostało coś bardziej fundamentalnego. Esalen stało się symbolem, zarówno w Stanach, jak i poza nimi, ze względu na rewolucję humanistyczno-egzystencjalną, odnalezienie i promowanie nowych dróg dla zdrowej psychiki, wzrostu i rozwoju ludzkiego potencjału.

Mike Murphy, nazbyt gorliwie chcący dać każdemu okazję, by „robił swoje”, oraz ze względu na potrzebę zachowania finansowej płynności nie okazywał wystarczającej zdolności rozróż-



niania, by wyrwać chwasty, lub przynajmniej powstrzymać je przed zdławieniem kwiatów. Historyczna misja Esalen jest zagrożona. Niewyszkoleni młodzieńcy prowadzą spotkania grupowe: „Nastrajamy się bez LSD. Do diabła z diagnozowaniem i łagodzeniem skrajnych przypadków. Do diabła z reakcjami rozczarowania, kiedy obiecana »samoaktualizacja« zawodzi”.

Jeżeli amerykańska klasa średnia dowiaduje się o fakcie, że może ożyć, jeżeli ludzie wypróbują okazję, by zobaczyć, że życie to coś więcej niż produkcja i zajmowanie się sprawami, świetnie. Lecz zjawiają się nie przygotowania. Boją się odezwać, jeżeli podaje się im taką lub inną sztuczkę lub technikę we właściwy sposób, i stają się sztuczni inaczej.

Zaczynamy właśnie odkrywać efektywne sposoby rozwoju, które mogą doprowadzić do zmiany. Czy zatonie to w fali mody i okresowego entuzjazmu, które doprowadzą co najwyżej do negatywnej reakcji? Czy ci oszuści przejmą władzę, czy może prawdziwi i szczerzy ludzie przetrwają?

W przeciwieństwie do seminarzystów większość naszych pracowników to prawdziwi ludzie. Zarabiają mało, ale mają przywilej bycia sobą. Przeważnie są piękni i kochani. Oczywiście,

dostaje się tu także parę zgniłych jaj i oszustów, ale są stopniowo usuwani, prędzej czy później.

Esalen nie byłoby tak unikatowym miejscem, jakim jest. Nigdy w życiu nie kochałem i nie szanowałem tak wielu ludzi, jak tutaj. Poza Seligiem wyróżniłbym Eda Taylora i Teddy, jako dwie z nielicznych osób na świecie, którym ufam bezwarunkowo.

Ed to Barbarossa, rudobrody, pianista i piekarz. Nieomal napisałem, że piekł chleb, który rozstawił Esalen. Uwielbiam grać z nim w szachy. Większość szachistów jest zderminowana, by wygrać, kompulsywne komputery, pochłaniające czas, zaciekle nienawidzą, kiedy przegrywają, zapominając, że to tylko gra.

Tak nie jest z Edem. My gramy. Bawimy się. Mat królowi to dla nas tylko jeszcze jedna z zasad gry. Ruchy nie są nieodwołalnymi decyzjami. Te rezerwujemy dla prawdziwego życia.

Teddy jest ładną kobietą. Brzmi to nudno. Powiedzmy raczej, że stała się ładną kobietą. Znam ludzi, którzy szafują słowem „ładny”. Ja używam go rzadko. Wyrafinowana, subtelna. Dobry materiał. Nie ma w niej nic ordynarnego. Choć jest otwarta jak ja, lubię kontrast jej bezpretensjonalnego sposobu bycia. Przyjaźń z odrobiną miłości, podziwu i raczej niemej pogardy.

Nie mogę powiedzieć tego samego o Lore. Po tych wszystkich latach nadal nie mogę się zorientować. Spotkalśmy się ponad czterdzieści lat temu za sprawą Freda Omdafasela, który także pracował w Goldstein Institute.

Była najstarsza z trójga rodzeństwa. Podobała mi się jej siostra Liesel. Kiedy spotkalśmy się znowu w 1936 roku w Holandii, mieliśmy kilka miłych schadzek. W porównaniu z ościężałością Lore, intelektualnym i artystycznym zaangażowaniem, ona była prosta, piękna i skora do flirtu. Najmłodszy był Robert, którego Lore jako dziecko najprawdopodobniej traktowała z pogardą. Robert i ja nie lubiliśmy się i nigdy nie zmieniliśmy tego stosunku do siebie. Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Stanów, sam, przez krótki okres mieszkalem u jego rodziny. Mówiąc najogólniej, było to bardzo niemiłe, jak kontynuacja poprzednich siedemnastu lat w Niemczech, kiedy traktowano mnie jak wyrzutka, który śmiał wtargnąć do zamożnej rodziny Posnerów.

Faktycznie było zupełnie odwrotnie. Kilkakrotnie starałem się uwolnić od Lore, ale ona zawsze mnie doganiała.

Wcześniej wspominałem ojca Lore, który ją lubił, psuł i na wszystko zawsze pozwalał. Jej matka była niezwykle subtelna kobieta, lubiła jej pianino i miała kłopoty ze słuchem, co po części przyczyniało się do jej skrytości. Lore zdecydowanie jej nie lubiła. Natomiast ja lubiłem ją, a ona mnie. Odwiedziła nas w RPA i upierała się przy ponownej wizycie, nawet przy zabranii swoich kosztownych kamieni, na wypadek gdyby hitlerowcy byli na nią źli.

Nie czuję się dobrze, pisząc o Lore. Zawsze odczuwam mieszaninę defensywności i agresywności. Kiedy urodziła się Renate, nasze starsze dziecko, polubiłem ją i nawet zacząłem przekonywać się do bycia żonatym mężczyzną. Lecz kiedy później byłem obwiniany za wszystko, co poszło źle, coraz bardziej zaczynałem wycofywać się z roli *pater familias*. One obie żyły, może nadal żyją, w bardzo szczególnej, zażyłej symbiozie.

Steve, nasz syn, urodził się w RPA i zawsze był traktowany przez siostrę jak ościół. Rozwijał się w przeciwnym kierunku. Jeżeli Renate jest sztuczna, on jest prawdziwy, powolny, zależny, raczej pełen obaw i uparty w prośeniu o wsparcie i akceptowaniu go. Byłem poruszony, kiedy na ostatnie Boże Narodzenie dostaliśmy od niego pierwszy osobisty i ciepły list.

Mamy czworo wnucząt. Żadnych prawnucząt jeszcze.

Może kiedyś nabiorę ochoty, by dojść do ładu z sobą, i napiszę o moich, skupionych wokół Lore, skłonnościach do podglądania, o jej czasami błyskotliwych pomysłach i o tym, jak się mną opiekowała, kiedy zachorowałem.

Teraz wydaje mi się, że żyliśmy zdecydowanie równolegle wobec siebie, z względnie nielicznymi szczytowymi momentami gwałtownych walk i miłości, spędzając większość rozmów na męczących grach w „co ty na to”.

Lore była, jak wielu naszych przyjaciół, przeciwna nazwaniu naszego podejścia terapią gestaltyczną. Myslałem o terapii koncentracji lub czymś podobnym, ale odrzuciłem to. Oznaczałoby to, że moja filozofioterapia ostatecznie zostałaby skategoryzowa-

na jako jedna z setek innych, co w znacznym stopniu rzeczywiście nastąpiło.

Byłem zdeterminowany, by osiągnąć „wszystko albo nic”. Żadnego kompromisu. Albo pewnego dnia amerykańska psychiatria zaakceptuje terapię gestaltyczną jako jedną realistyczną i efektywną formę rozumienia, albo szczególnie na gruzach wojny domowej i bomb atomowych.

W roku 1950 Art Ceppos zaryzykował wydanie książki różniącej się od innych, jak większość jego publikacji. Zdecydowanie stawiał wszystko na jedną kartę, ale blefować potrafił. Sprzedaż *Gestalt Therapy* powoli rosła z roku na rok i teraz, po osiemnastu latach, nadal rośnie.

Według moich przewidywań miało minąć pięć lat, zanim wprowadzę tytuł; następne pięć na akceptację, kolejne pięć, aby ludzie zainteresowali się zawartością; jeszcze pięć na eksplozję gestaltu. Tak mniej więcej się dzieje. Moja filozofia przetrwała. Szalony Fritz Perls staje się jednym z bohaterów w historii nauki, jak ktoś nazwał mnie na zjeździe, a dzieje się to za mego życia.

Dwa lata temu ledwo udało się nam odbyć jedną dyskusję panelową na zjeździe APA (Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychiatrów). W zeszłym roku okłaskiwano mnie na stojąco. Mieliśmy poruszające obchody siedemdziesięciolecia urodzin z bankietem i *Festschrift*, zbiór artykułów o terapii gestaltycznej oraz film Dicka Chase'a.

Artykuł Joe Adamsa był dla mnie zaskoczeniem. Adams mieszka w domu na wybrzeżu i jest raczej nieśmiały i skromny. Nigdy nie sądziłem, że doceniał mnie i moją pracę; nigdy nie uczestniczył w moich seminariach. A tutaj mam bardzo sensowną dyskusję o nieśmiertelnych i Perls ma swoje miejsce wśród nich.

Inny to artykuł Arnolda Beissera, którego styl można nazwać klasyką.

Znam Arniego od wielu lat. Cześć, Arnie. Dobrze jest być z tobą, choćby w fantazjach. Wiem, że kochamy się nawzajem, a jednak kiedy się spotykamy, rzadko jesteśmy wolni od samoswiadomości. Wyglądasz tak delikatnie w fotelu. Nigdy nie pytałem, jak to jest nie móc swobodnie wyciągnąć ramion, kiedy

chcesz kogoś objąć. Jakaż to odwaga dojść do ładu z życiem po takim dużym zaangażowaniu w sporcie, aby potem dać się pokonać paralizowi dziecięcemu i ledwo przeżyć.

Jak ci się wiedzie w ośrodku treningowym? Co u Rity? Chcę ci powiedzieć, jaki wspaniały artykuł napisałeś. Tak niewiele rozumie paradoks zmiany.

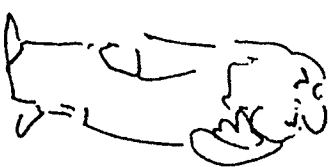
Często myślałem, że nie jestem uznawany, ponieważ wypreżdałem moje czasy o dwadzieścia lat, ale widzę, że ty masz lepszą perspektywę na gwałtownie zmieniające się czasy.

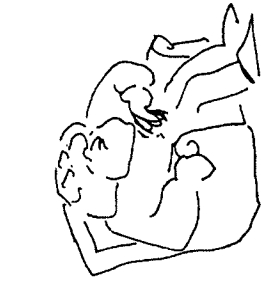
Kiedy Clara Thomson zaproponowała mi, abym zaczął szkolić analityków w Waszyngtonie, odmówiłem. Odrzucałem pojęcie przystosowania się do społeczeństwa, do którego nie było warto się przystosowywać. Jak nauczają wszystkie szkoły, przystosowanie się do punktu w historii, który już minął, stwarza jedynie utraczone dusze.

Ja, my, tworzymy mocny ośrodek w nas samych; stajemy się naszym skąłem, którą opływają fale.

Wiem, że ta metafora jest przesadnie wykorzystywana. Wywierasz wpływ na otoczenie, zamiast reagować na nie.

Dziękuję ci, Arnoldzie Beisserze, za twoje zrozumienie, zaufanie i odwagę.





Pracując z pacjentem, czy kimkolwiek, jestem szczególnie czujny na to, czy on chce być dla mnie miły czy nie miły, czy chce odgrywać dobre, czy złe dziecko.

Jeżeli chce mi się naprzykrzać, kontrolować mnie, walczyć ze mną, wyśmiewać się ze mnie, wyzywać na pojedynek, mnie to nie interesuje. Faktycznie to ja sprawuję kontrolę, ponieważ nie próbuję go kontrolować. Mogę odmówić współpracy z nim. Często, po odesłaniu z krzesła elektrycznego... lub, w rzadkich przypadkach, wyrzuceniu z grupy, jeżeli jest zbyt destrukcyjny... przeważnie wraca, następnym razem zadziwiająco skory do pracy. W końcu w każdym tyranie skrywa się tchórz, tak jak w każdym grzecznym chłopcu jest wredny gnojek.

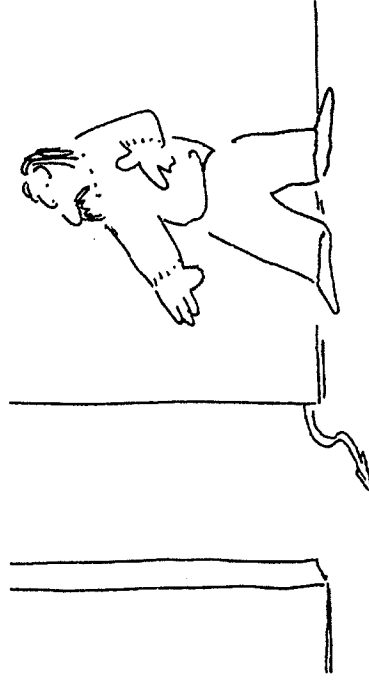
Dobry pacjent, jak greczny chłopiec, chce, by jego zachowanie działało niczym łapówka. Jeżeli terapeuta interesuje się wspominieniami z dzieciństwa, wówczas on sypie nimi jak z rękawa. Jeżeli terapeuta koncentruje się na problemach, ten je przywołuje, a kiedy skończą mu się problemy, stwarza nowe. Jeżeli terapeuta domaga się doświadczeń, on będzie mobilizować swoją histerię i robić z igły widły do granic możliwości. Będzie tłumaczyć podsuwać zagadki, perswadowaćemu wątpliwości, podniecającemu się ekstatą i tak dalej... cokolwiek, byle utrzymać swoją nerwicę.

Wróćmy do punktu wyjścia, do problemu identyfikacji. Czy identyfikujemy się z naszym prawdziwym „ja”, czy z wymaganiami odmienności, nie wyłączając wymagań własnej wizji siebie? Wymagania stawiane przez środowisko i introjekcje sta-

wiają nas raczej w pozycji reagowania niż działania, wyrażania siebie, wychodzenia na zewnątrz. Teorie przystosowania dają preferencje społecznym wymaganiom. Wiele filozofii i wszystkie religie potępiają organiczne potrzeby jako samolubne i animalistyczne. Oczywiście najlepiej, kiedy potrzeby własne i społeczeństwa zbiegają się. Przez społeczeństwo rozumieć rodziców, mężów i żony, terapeutów, nauczycieli i niechcianych gości; zewnętrzne społeczeństwo, jak również wewnętrzne introjekcje. Brak zdecydowania, kogo zadowolić, siebie czy tego drugiego, stwarza konflikt neurotyczny.

Obie strony są pełne niebezpieczeństw. Jeżeli jesteśmy po stronie aniołów, musimy poświęcać, pozbawiać, alienować, represjonować, planować itd. większość naszego potencjału; jeżeli identyfikujemy się z naszymi potrzebami, możemy zostać ukarani, odrzuć, pogardzani, pozbawieni zewnętrznego wsparcia.

Terapeutycznym rozwiązaniem jest racjonalność, zrozumienie, że wiele naszych katastroficznych oczekiwań nie ma podstaw, że wiele introjekcji wypadło z obiegu, stanowi jedynie ciężar. Nawijając kontakt z otoczeniem i sobą, pacjent uczy się rozróżniać między swoimi fantazjami a oceną rzeczywistości.



Chociaż konflikt między osobnikiem a społeczeństwem jest oczywisty i znany wszystkim, chociaż konflikt między sprzeda-

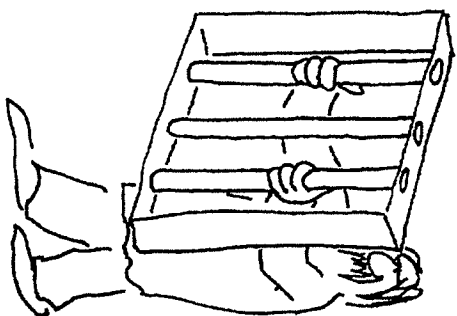
nowego, chociaż podział na lizusów i buntowników pozostaje niezmienny na przestrzeni wieków, to jednak mało wiadomo o internalizacji tych konfliktów i o tym, jak doprowadzić do integrujących rozwiązań.

Takie rozwiązanie wymaga zrozumienia funkcji granicy „ja” i granicy ego. Obie granice są granicami kontaktowymi. Wyrażenie granica „ja” jest poprawne; termin „granica ego” jest ograniczony do osobnika, ale jego prawa stosują się do wszystkich granic kontaktowych. Te granice są określone poprzez dychotomię identyfikacja/alienacja. To śledztwo, mijamy nadzieję, doprowadzi nas do najważniejszego i najtrudniejszego zjawiska... projekcji.

Chciałbym przerwać tę znużającą i abstrakcyjną dyskusję poprzez przykładowe podkreślenie praktyczności naszych poszukiwań.

Pewna grupa mieszkańców jest zaangażowana w usunięcie granicy rozdzielającej czarną i białą ludność. Zazwyczaj bojownicy o wolność identyfikują się z niedolą Murzynów i żądają identyfikacji Murzynów z ich wysiłkami. Kiedy angażują się w ten proces integracji, powstaje nowa granica, dychotomia między bojownikami o wolność a bojownikami anty wolności.

Podczas drugiej wojny światowej granica biegła między aliancami a hitlerowcami, lecz wkrótce zmieniła się w inny podział zwany żelazną kurtyną.



Mógłbym wyrecytować dziesiątki przykładów na istnienie takich granic między poszczególnymi osobnikami, rodzinami, klikami, klanami, narodami, warstwami społecznymi i dojść do wniosku, że ideałom takim jak ONZ czy braterstwo wszystkich ludzi brakuje perspektywy ogólnej sytuacji i dlatego prowadzą do głupiego optymizmu.

W Durbanie mieliśmy międzynarodowy klub z białymi, Murzynami i Hindusami, ale wszelkie próby połączenia tych dwóch ostatnich zawiodły.

Prawdziwa granica w Stanach Zjednoczonych to nie podział na demokratów i republikanów czy dyrektorów i robotników, albo białych i grup mniejszościowych, czy też przestrzegających prawa obywateli i buntowników. Granica przebiega między „do stosowanymi” i „nie stosowanymi”.

Używam tych określeń rozmyślnie po to, aby uniknąć moralnych osądów, takich jak dobry i zły albo właściwy i niewłaściwy.

Musimy sobie uświadomić, że przybliżenie moich idei o rozwiązaniu problemu wymagałoby olbrzymiego planu, niezym wielomiliardowego programu kosmicznego, a różnica polegałaby na tym, że zamiast wydawania coraz większych pieniędzy ostatecznie zaoszczędzono by miliardy. Co więcej, może on być przeprowadzony lub przynajmniej rozważany i rozpoczęty przez dowolną siłę.

Wątpię jednakże, że w technokratycznym społeczeństwie, które jest nieomal nieograniczone w planowaniu „rzeczy”, humanistyczne przedsięwzięcie takich rozmiarów mogłoby zostać zrealizowane. Jedyna nadzieja leży w uznaniu, że *de facto* utknęliśmy na humanistycznym problemie o gigantycznych proporcjach, o wybuchowej sile potencjalnie otwartej wojny domowej.

Wszyscy obywatele, z bardzo nielicznymi wyjątkami, należą do jednej z trzech poniższych kategorii:

a. Dostosowani. Wytwarzają, handlują i obsługują „rzeczy”, zajmują się producentami, handlarzami i obsługującymi rzeczy. Sami wspierają się finansowo i tworzą dość ciasno zorganizowane społeczeństwo.

b. Niedostosowani. Jest to wysoce zdeorganizowane społeczeństwo i błędnie jest akceptowane jako rozdzielone na wiele

różnych i niezależnych kategorii: przestępcy, umysłowo chorzy, wyrzutki, bezrobotni, hippisi, biedacy, narkomani, chorzy, mieszkający getta. Są finansowym ciężarem dla dostosowywanych, gdyż muszą być wspierani lub uwięzieni.

c. Klasa pośrednia, opiekujący się niedostosowanymi. Oni także są opłacani i wykorzystywani przez dostosowanych. Obejmują policję, pracowników społecznych, personel szpitalny i więzienny, psychologów, lekarzy, ministrów itd.

Tutaj liczy się idea, nie drobne szczegóły tego, kto należy do tej klasy.

Liczy się niechęć dostosowanych do niedostosowanych ze względu na dużą ilość wydawanych na nich pieniędzy z podatków.

Liczy się niechęć i nienawiść niedostosowanych do ich uzależnienia i braku zrozumienia.

Sprawcie, aby niedostosowani sami się utrzymywali! Dostosowani, zrozumcie współistnienie!

Przynajmniej przyjrzyjcie się temu problemowi. Użyjcie komputerów.

Poprowadźcie badania pilotażowe. Powinien być gdzieś na świecie socjolog, który mógłby wykorzystać program socjologiczny. I, generałowie, zważcie: obozy koncentracyjne to nie odpowiedź.

Kontaktowe granice, uznanie różnic, tak.

Mury, potępienie różnic, nie.

Władza czy zdrowe zmysły?

A może:

wykorzystanie władzy, by odbudować zdrowe zmysły,

byłoby

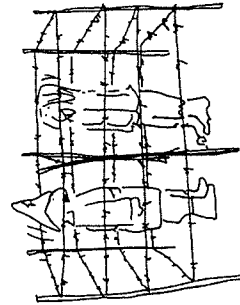
dobrze.

Ale jak zwykle

będzie

użyte

niewłaściwie.



Chociaż moja fantazja ucieka wraz ze mną, pojęcie granicy wyłania się wyraźnie. Jestem zadowolony.

Granica „ja” mogłaby nosić miano oczywistości zmysłów. Samogranica sięga tam, gdzie sięga wzrok i dotyka powierzchni przedmiotów. Zmysły dotykają. One nie penetrują powierzchni. Aby zejść głębiej, musimy zniszczyć powierzchnię, to, co oczywiste. Nawiazanie kontaktu polega na zorientowaniu na powierzchni. Jest to jedna z głównych cech terapii gestaltycznej.

Bez szacunku do powierzchni penetrujemy i analizujemy *ad infinitum*, albowiem tak głęboko, jak penetrujemy, zawsze napotykamy następną powierzchnię. Jak z cebulą: po zerwaniu jednej warstwy wyłania się następna i następna, i jeszcze jedna, aż nie zostanie nic.

Freud mówi o represjach i powrocie nieświadomości. Jeżeli zrozumiemy język oczywistego, niepotrzebna jest nam ta podwójna mowa. Tak naprawdę nic nigdy nie jest represjonowane. Wszystkie rzeczywiste gestalty wyłaniają się, są na powierzchni, są oczywiste jak nagość króla. Twoje oczy i uszy są ich świadome, pod warunkiem że twoje komputerowe analizowanie-myslenie nie oślepiło cię, pod warunkiem że zostaniesz z niewerbalnymi samookreśleniami, ruchami, postawą, głosem itd. Bez celowania w powierzchnię, w granicę „ja”, jesteś beznadziejnie nieosiągalny — a także odpowiednio, poza zasięgiem — odgradzony grubym murem słów.



Granica kontaktowa, na przykład granica ego, jest o wiele bardziej skomplikowaną sprawą, aż zrozumiana zostanie jej prostota. Granica ego jest niczym tożę Prokrusta.

Prokrust żył w starożytnej Grecji i lubił grać w dopasowywanie. Miał tylko jedno łóżko. Zatem, jeżeli gość był zbyt długi, odcinał mu stopy, jeżeli był zbyt krótki, rozciągał go i rozciągał, aż odpowiadał długości tożę.

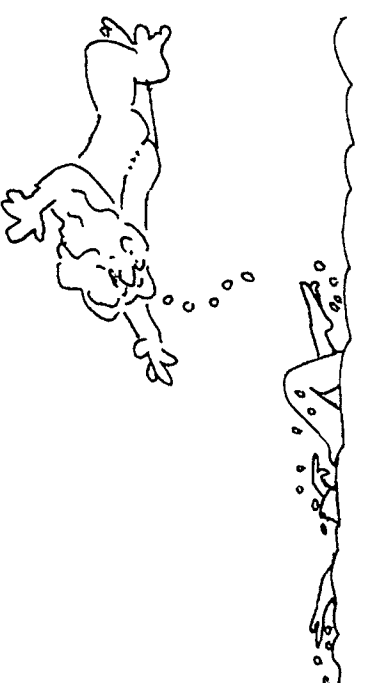
To właśnie robimy z sobą, jeżeli nasz potencjał nie pasuje do naszego samowobrażenia.

Nie wszystkie granice są tak sztywne jak łóżko. Historia ze starożytnej Palestyny pokazuje zarówno sztywną, jak i zmienną granicę.

W wiosce żyła prostytutka. Pewnego dnia mieszkający postanowili ją ukamienować. Nie znam powodu. Może za dużo zażądała od któregoś klienta albo zaraziła go chorobą weneryczną. W każdym razie, kiedy mieli już ukamienować dziewczynę, pojawił się jakiś młodzian o blond brodzie i długich włosach; wypisz wymaluj hippis. Podniósł prawy palec wskazujący i obwieścił: „Ten, który jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień”. Wszyscy upuścili kamienie. Cisza. Potem „bang” — poleciał jeden kamień. Dziewczyna odwróciła się:

— M A T K O!

Co się stało? Zachowania matki nic nie przerywa. Ale reszta? Czy nagle zostali powstrzymani? Czy obliczyli równanie grzech = grzech? Czy zrozumieli swoją projekcję? Wszystko to jest możliwe, ale nie trafia w cel. Rzecz w tym, że obudzili się z transu furii, że nawiązali kontakt z rzeczywistością, że doszli do *satori*.



Mamy wspaniałe babie lato. Jest trochę zbyt gorąco. Miałem krótką siostrę, obudziłem się z wyrazistego snu, żegnając się z rodziną Rundów, ze strony mojej matki. Pożegnanie z dziadkiem wydaje się nie do odtworzenia. Z innymi zobaczę się jeszcze, ale nie z nim. Siedzę w pewnej odległości od niego, całąję go w rękę i uświadamiam sobie, że on tam siedzi, a ja mam przy sobie jego rękę odłączoną od reszty ciała. Bardzo męskie ramię. Nudzi mi się i ziewam. Jestem zbyt leniwy, żeby zrobić coś z tą ręką.

Nuda i zmęczenie. Pomogłeś mi przedtem. Nie chcę rozegrać tego snu w stylu Perlisa, nie kochać go na modłę Freuda. Chcę pozostać w tej atmosferze. Pożeganie i moja część dla niego ma w sobie coś sztucznego, wymuszonego.

Szukam obrazów. Ziewam, porównuję go z moim ojcem, porównuję moje objęcia, kiedy jestem fałszywy i kiedy prawdziwy. Zbliżyła się zmiana mojej seksualnej ciekawości.

Moja chęć, aby patrzeć na damskie genitalia, dotykać ich, manipulować, nagle zmieniła charakter.

Budzę się. Coś się dopasowuje. Pusta żądza, przymus = trans poddyktowany potężnym impulsem — nigdy, nigdy nie zaspokojony. Nadmierne rekompensowanie obrzydliwości, a jednak nigdy nie kończąca się ciekawość. Podglądanie z odrazą i strachem,

różnyci
wyrzucił
szkańc
muszą
c.
także s
muja
i więz
Tu
tej kła
Li
względ
L
leżni
S
sow
F
korr
I
świ
mic
odp

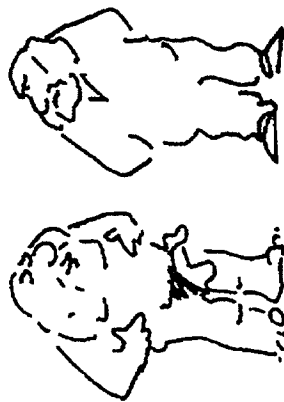
że się zostanie złapanym. Ostatnio obudziłem się. Podglądanie zmieniło się w swobodne patrzenie pozbawione winy, zainteresowały mnie odmienne charaktery różnych pizd.

One mówią mi sporo o osobowości każdej z dziewczyn, podobnie jak o wiele bardziej powierzchowny pocałunek. Doświadczenie pizdy jest intensywnie i niewerbalne. Jestem zbyt nieśmiały, aby o tym rozmawiać. Wolność, nie ukradkowego, zaciekawione, szeroko otwarte oczy, żadnego transu, żadnego przymusu, by interweniować i „wziąć” dziewczynę.

Teraz odgrywam dziadka. Jestem surowy i gburowaty, nie okazuję zbyt wiele miłości. Daję Fritzowi prezent na urodziny. Nie tych tanich żołnierzyków na koniach odbijanych sztańcą. Ci mogą zsiadać i wsiadać. Widać, że konie mają dziurki, a żołnierze coś między nogami. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Popatrz na prawdziwe konie. Jaki wielki kutas.
— Spójrz na swojego siusiaka!

Mam ochotę bronić mojego kutasa. Kiedyś był bardzo duży i bardzo potężny, ale ten czas już minął.



Dziadku, twoja śmierć prawie wcale mnie nie dotknęła. A co z moim własnym dziadkowaniem? Dostałem list od Ren ze zdjęciami Leslie do szkolnego albumu. Chociaż raz list, w którym o nic mnie nie proszono, ale jestem pewien, że jest to uwertura do prośby, którą przywiezie Lore.

Fakt, że bardzo lubię Leslie, sprytny i wesoły rudzielec. Jest w niej coś prawdziwego w przeciwieństwie do nieszczerości jej matki i siostry.

Teddy i ja zawsze czytamy rękopis, zanim ona weźmie go do domu do przepisania. Teddy powiedziała, że nie rozumie różnicy między granicą „ja” a granicą ego. Wiem, że pozostawiłem wiele wątków luzem, ale wiem także, że nie jestem gotowy, by pisać systematyczne sprawozdanie z filozofii gestaltu. Nadal odkrywam, ale mam także wiele części gotowych do ogólnego obrazu. Moją pierwszą książką pogwaściłem werdykt McLuhana: „Żadna książka, która zawiera więcej niż dziesięć procent nowych idei, nie zostanie zaakceptowana”. Tym razem nie chcę jedynie popisać się tym, co wiem. Chcę, abyście zobaczyli mnie, a także moje badania. Może ufacie mi i ja ufam sobie, że w końcu filozofia i ja staniemy się całością. Nie chcę powiedzieć, że się zintegrujemy. Takie określenie jest ostateczne.

Znowu muszę wciągnąć Freuda do porównania. To on pod koniec życia powiedział: „Żadnej analizy nigdy nie można dokończyć”, a ja mówię przed końcem mojego życia: „Nie ma końca integracji”.

On powiedziałby: zawsze możesz analizować i odkrywać nowy materiał.

Ja na to: zawsze można coś zasymilować i zintegrować. Zawsze jest szansa na rozwój.

Freud: Integracja sama się sobą zajmie. Jeżeli uwolnisz represje, staną się osiągalne.

Fritz: Mogą stać się osiągalne, pod warunkiem że nie są zmagazynowane jako ciekawe poglądy — wystarczająco często widziałem, że represjonowany i wywołony materiał nie był przerobiony, jak słusznie się domagałeś, ale nadal był wyobcowany i projektowany. Najczęściej trafiałem na to w przypadku Reicha i innych przebijaczy zbroi.

Freud: Nie jestem za nich odpowiedzialny.

Fritz: W pewnym sensie jesteś. Promowałeś teorię „uwalnia-
nia emocji”. Brakowało ci spójności, kiedy w swojej wspaniałej pracy nad smutkiem wykazałeś, że smutek, żaloba, jest najwięk-
szym, celowym procesem wspomagającym przetrwanie, a nie
jedynie uwalnianiem.

Teddy: To całe gadanie nie pomaga mi. Chcę zrozumieć różnicę między granicą „ja” a granicą ego.

Fritz: Dobrze. Stuchaj, Teddy, jak daleko sięgasz?

T (rozkładając ramiona): Tak daleko!

F: Nawet do sufitu.

T: Widzę sufit.

F: Czy widzisz przez sufit na wylot?

T: Oczywiście, że nie.

F: Więc sięgasz tak daleko, jak masz długie ręce, do tego, jak daleko sięgasz wzrokiem i słuchem. Racja?

T: Racja.

F: Żadnego ego w to nie angażujesz?

T: Nie, jeśli to rozumiem.

F: Siegasz do sufitu; ty sama próbujesz dotknąć sufitu?

T: Tak.

F: Czy twoje ego chce dotknąć sufitu?

T: To zakrawa na nonsens. Oczywiście „ja” dotkam.

F: Teraz masz granicę „ja”. Filozofię oczywistego.

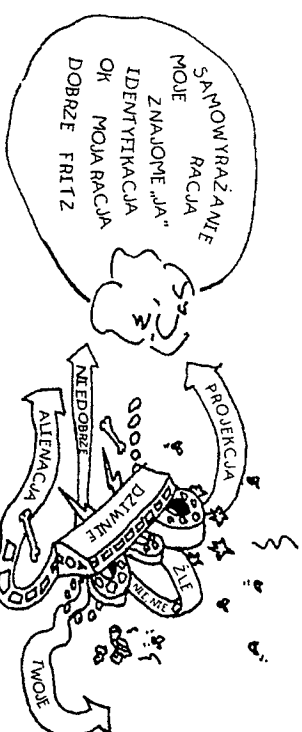
Oszukiwałem w tej historii i wątpię, czy ktoś to zauważył. Kiedy Teddy próbowała sięgnąć sufitu, udawała. Na suficie nie było nic, po co ona chciała sięgnąć. Dlatego sięganie było artefaktem, demonstracją. Fenomenologia nie jest tak łatwa jak nauka. Król najwyraźniej zawsze zdąży pospiesznie włożyć jakieś szaty i stworzyć powierzchnię inną niż skóra.

Chociaż prawa granicy ego stosują się do wszystkich typów społecznych lub multiindywidualnych grup, chcę, w imię prostoty, trzymać się indywidualnej granicy ego. Bez zrozumienia tych praw wszelka terapia i interpersonalne reakcje pozostają manipulacją opartą na sztuczkach.

Granica ego to punkt zero między dobrem a złem, identyfikacją a alienacją, tym, co znajome i tym, co obce, słuszne i błędne, między samowyróżnianiem a projekcją.

Możemy nawet połączyć terminy z prawej i lewej strony i umieścić je wewnątrz i na zewnątrz granicy.

Znowu wracam do słowa „identyfikacja”. Naprawdę coś do tego czuję. Identyfikuję system sensoryczny z systemem orientacji, a orientacja zbudowana jest na zdolności identyfikowania czegoś jako X. Bez tego nie ma nic poza chaosem i zamieszaniem.



Percepcja i rozpoznanie najwyraźniej łączą się ze sobą w proces identyfikacji.

Strażnik pyta kogoś o hasło. „Zidentyfikuj się jako identyfikującego się z nami”. Legitymacje. Odciski palców. Świadczenie jako środek identyfikacji przestępcy. Tutaj identyfikacja służy polaryzacji tego, co słuszne i fałszywe. Czy on jest właściwym człowiekiem? Tylko jedna osoba może być właściwa, a miliard fałszywych.

Identyfikacja to zaznajomienie, antyzagubienie.

Obcość jest przerażająca... żadnego sposobu orientacji. W małej wiosce obcy jest spoza granicy, wróg. Nikt nie zna jego zachowań. Może ukrywać w rękawie coś, z czym sobie nikt nie poradzi.

Psychoanalitik identyfikuje wydłużony przedmiot jako penis. To pasuje do jego orientacji, do systemu, który zna.

Kot identyfikuje pewną rzecz jako kawałek ryby, jako środek podtrzymania własnego życia.

Czuję się w pewnym stopniu jak Heidegger, wchodząc głęboko w język, do punktu, gdzie język spotyka egzystencję. „Identyfikowanie” sięga dwóch systemów, systemu orientacji (sensorycznego) i systemu radzenia sobie (motorycznego). Poprzez hasło strażnik identyfikuje daną osobę „jako” przyjaciela lub wroga. Identyfikuje się „z” przyjacielem i wpuszcza go przez granicę, *cordon sanitaire*. Odrzuca lub niszczy wroga. Przyjaciół jest dobry, wróg jest zły.



Zasada granicy sięga od granic narodów do elektronów zachowania. Kondensator posiada płaszczyznę izolującą, gdzie ładunki dodatnie i ujemne przeciwstawiają się sobie.

Granica kontaktowa jest także granicą separacji. Wewnątrz tej granicy ludzie i rzeczy przyjmują pozytywną konotację, na zewnątrz negatywną. Używam „pozytywnej” i „negatywnej” w sensie osądu, „pozytywna” oznacza akceptację, „tak”; „negatywna” odrzucenie, powiedzenie „nie”.

Własny Bóg dowolnej osoby jest Bogiem sprawiedliwego, bogobojnego ludu. Inni bogowie rządzą poganami. Żołnierze własnego kraju są bohaterami i obrońcami, armia przeciwna ma napastników i gwałcicieli.

„Wiem o tym wszystkim. Każdy film klasy B jest pełen dobrych i złych typów. Po co nam ta cała granda z granicami? A szczególnie: granica »ja« kontra granica ego. To może być sprawa dla filozofów i semantycznych ludzi, ale nie dla mnie. To może być rzecz. Może dasz nam coś bardziej osobistego, coś podniecającego, z twojego życia płciowego, na przykład”.

Nie ma tutaj o czym mówić. Jedynie dwa punkty warte wspomnienia, to jak dziadek zajmował się mną trochę dłużej, aż zrozumiałem, że on reprezentuje pracę i brak zabawy. Żył wyłączając się wewnątrz granic swojej rodziny i swojej świątyni. Mój ojciec żył głównie poza granicą rodziny.

Ojciec i matka sporo się kłócili, ostro, nie wyłączając ręko-

czynów, kiedy on ją bił, a ona chwyciła go za jego wspaniałą brodę. On często nazywał ją szafą albo głównem.

Krok po kroku izolował się, kiedy przynosiliśmy się z miejsca na miejsce.

W Niemczech wszystkie kamienice czynszowe miały mieszkanie od frontu i podwórka. Mieszkania frontowe z widokiem na ulicę miały marmurowe posadzki i dywany oraz dodatkowe wejście dla służby. Mieszkanie od podwórka przy Ansbacher Strasse miało przynajmniej ogródek i drąg, na którym służące wytrzępywały kurz z dywanów. Nie było prądu, a zatem żadnych odkurzaczy czy lodówek.

Moja mama stosowała na mnie te trzepaczki do dywanów. Nie złała mi ducha; ja łamałem trzepaczki.

Byłem świadkiem nadejścia nowoczesnej epoki. Gospodarz zainstalował w domu elektryczne dzwonki. Prąd brał się z akumulatorów. Obsługiwał je mój kuzyn Martin, którego bardzo lubiłem. Interesowały go wszelkie urządzenia i prace ręczne, co mnie bardzo fascynowało. Martin najwyraźniej nigdy nie interesował się dziewczczynami. Popętnił samobójstwo, a ja zawsze wyobrażałem sobie, że postąpił tak w rozpacz, ponieważ nie potrafił sobie poradzić z „grzechem” masturbacji.

Trolejbusy ciągnęły konie, aż zainstalowano elektryczność. Kiedy budowano berlińskie metro, godzinami przyglądałem się, jak gigantyczne młoty wbijają silne pale w ziemię. Oglądałem podrygujące loty braci Wright na polach Tempelhof, na których odbywały się wielkie parady cesarza, a teraz jest tam słynne lotnisko. Potem wyścigi samolotowe, kiedy maszyny rozwijały szybkość powyżej czterdziestu mil na godzinę.

Tymczasem moi rodzice stawali się coraz bardziej wyalienowani, wspinając się po drabinie klasy średniej. Pierwsze mieszkanie nadal było od podwórza i miało cztery pokoje.

Pod nami mieszkała wdowa Freiberg z synem, który uważał się za aktora, a później śpiewaka. Za jego przykładem zainteresowałem się sceną. Chociaż może niezupełnie tak.

Kiedy miałem cztery lata, zakochałem się w woltyżerze z cyrku, która należała do innego, wspaniałego świata. Jej złoty ko-

stium, jej elegancja i opanowanie... wcielenie książniczki z bajki. Moja pierwsza bogini ustawiona na piedestale.

Czy taki świat był poza moim zasięgiem? Może nie. Już wkrótce zobaczyłem paru chłopców w piaskownicy bawiących się w cyrk. Pewnego dnia, kto wie, pewnego dnia...

Nasz duży salon miał sporą alkowę. Chłopak od Freibergów, Theo, wykorzystywał ją do wystawienia sztuki. Występowały w niej dwie z sióstr mojej matki — ciotka Salka i ciotka Clara. Nie rozumiałem ani słowa, ale wolno mi było odciągać kurtynę i wykonywać małe prace przyglądać się próbom. On szczególnie lubił próbować objęcia. Chociaż nie mogłem sobie wyobrazić, co mu przychodziło ze ściskania dam uwiecznionych w gorsetach.

Później teatryki z Punchem i Judy, prawdziwe przedstawienia teatralne, traktowane poważnie, zapewniały zabawę. Kim byli ci aktorzy, którzy potrafili się zamienić w kogoś innego?

Kiedy Theo, z pomocą nauczyciela hebrajskiego, wystawił operę — *Il Trovatore* — byłem rozczarowany. Scena i rekwizyty były niechlujne, aktorzy wercili się na scenie i śpiewali do siebie. Wykorzystałem przedstawienie, traktując je jako śmieszne. Przykryłem rozczarowanie, wyśmiewając starania Theo.

Pozostawiliśmy w kontakcie, a wiele później pojechałem z trupą Theo po małych miasteczkach z przedstawieniami pewnego rodzaju.

Już wtedy dokonałem najazdu na wielki teatr. Było to po tym, jak doszedłem do tadu z życiem po Askaniische Gymnasium.

Czasami potrzebowali sporo „dodatkowych” w Royal Theater. Zajmował się tym pewien aktor. Za każdą osobę przyznawano mu pół marki, dwanaście i pół centa, i jako że my, studenci, odmawialiśmy przyjmowania tych pieniędzy, byliśmy mile widziani. Uwielbialiśmy te kostiumy, sam udział i poznanie literatury na żywo.

Czasami cesarz zjawiał się na przedstawieniu *Kolberga*, historii obłączenia. Potem przychodził rozkaz: „Dwa razy tyle krzyków i hurra”.

Potem przeniosłem swoją lojalność na Deutsche Theater, gdzie sprawował pieczę Max Reinhardt. Był on pierwszym twórcą

czym geniuszem, jakiego poznałem. Sny pisarzy musiały się urzeczywistnić. Malowane rekwizyty musiały odejść. Pompatyczne głosy przesadzających aktorów musiały odejść. Postacie nie przylegające do rzeczywistości wraz ze współaktorami musiały odejść. Nic nie zostało nie zmienione, aż sztuka przeobraziła się w świat rzeczywistości, jednak pozostawiając dosyć miejsca fantazji publiczności.

Z nieskończoną cierpliwością przesłuchiwał aktorów, aż ich głosy pasowały do siebie. Rozumiał rytm napięć i ciszy. Tragedia *Edyp*, odegrana w wielkim cyrku z setkami ludzi krzyczącymi o pomoc do rytmu zaznaczonego gongiem; *Sen nocy lennej* stawał się najbardziej bajką; druga część *Fausta* Goethego z bogactwem starożytnej i średniowiecznej mitologii ciągnąca się przez sześć i pół godziny żywego świadkowania historii, filozofii i człowieka pragnącego odkupienia; obrazowe bogactwo spotkań *Everymana* ze śmiercią... wszystko to ożywało z największą intensywnością, nie „tylko grą”.

Wkroczyłem w życie wielokrotnej egzystencji. Pewnego lata, na przykład, wiele dni miało tak: rano odrabiałem lekcje, jadąc pociągami do szkoły. Ze szkoły do domu na szybki lunch i na rower do teatru na świeżym powietrzu, gdzie podpisałem mój pierwszy aktorski kontrakt. Za przedstawienie dostawałem pięć marek, dla mnie niewyobrażalna suma.

O kieszonkowym nie słyszano. Przed tym okresem musiałem albo kraść pieniądze z portmonetki mamy, albo dawać korepetycje ośiom. Teraz mogłem płacić za lekcje aktorstwa i na dodatek kupić sobie motorower.

Po popołudniowym przedstawieniu wracałem motorowerem cztery mile, czasami nawet nie do domu na kolację, tylko żeby zdążyć na przedstawienia Reinhardta, które często trwały do późna w nocy. Matka drżała, żeby ojciec nie wrócił do domu przede mną i nie narobił burdy. Lecz to zdarzało się rzadko. Ojciec albo był gdzieś w Niemczech i sprzedawał wino i ideały, albo był gdzieś, gdzie radość sprawiał mu wino, kobiety i śpiew.

W tym okresie nie byłem dobrym aktorem, a lekcje aktorstwa nie na wiele się dla mnie zdały. Jednak bardzo dobrze naśladowa-



tem głosy wielu słynnych aktorów. Innymi słowy, byłem dobrym parodystą, ale zupełnie nie twórczym. Dopiero pięć lat temu odkryłem moją tajemnicę dobrego aktorstwa.

Było to na przyjęciu w Ein Hod w Izraelu. Występowało tam sporo ludzi. Byłem zazdrosny, a kiedy jestem zazdrosny, górę nad mną bierze diabeł. Postanowiłem napędzić im stracha jak nigdy i odegrać śmierć. Sztuczka polegała na tym, żeby uwierzyć, że naprawdę umieram. Ta sztuczka, tak mi się teraz wydaje, to podstawa hysterii. Poszło znakomicie. Jeju, ależ oni się martwili i troszczyli... aż się ukloniłem, a wtedy oni się rozłożyli. Teraz jestem dobrym aktorem, z łatwością się zmieniam jak kameleon. Wielu ludziom dają sporo radości, głównie za sprawą blaznowania.

Znowu jestem znudzony i posępny. Popracowałem trochę nad snem o dziadku i zrozumiałem, że mam dobry powód, aby się cieszyć. Mam pewną sławę, trochę pieniędzy, przyjaciół, talenty. Praca nad własną patologią przebiega dobrze. Śmiertelna nuda



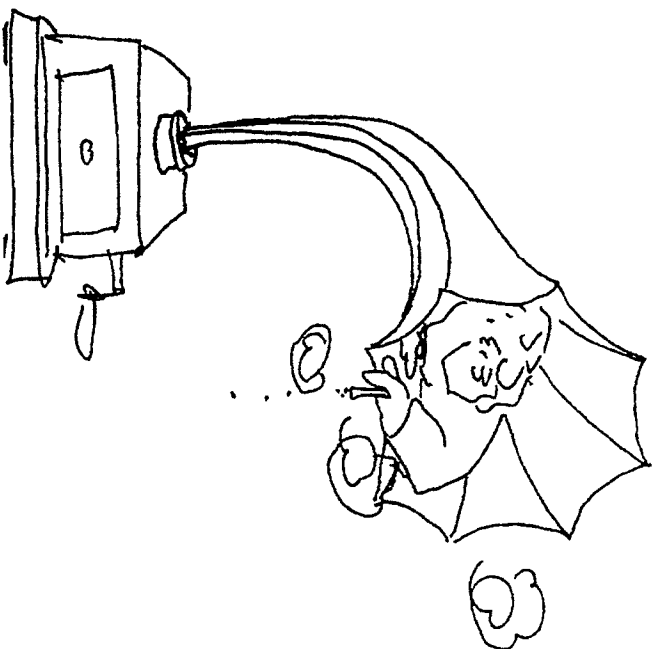
zniknęła po tym, jak zainwestowałem w to pisanie. Teraz wróciła w zmniejszonej formie. Od czasu do czasu, kiedy cieszę się moim okrucieństwem... jak na wojnie z armią mrówek maszerujących nieubłaganie i niezniszczalnie jako plemię, podkopującą mój dom lub przynajmniej zjadającą moje łakocie... czuję, że żyję i mam co robić.

Kiedy koncentruję się na mojej schizofrenicznej warstwie, mogę coraz bardziej pozostawać czujny i doświadczać zbliżających się tysięcy zjawisk. Lecz wówczas zasypiam albo robię się tak niespokojny, że często nie mogę tolerować tego podniecenia i wędruję zagubiony bez kotwicy zaangażowania.

Przez moment pomyślałem, że pokonam moją maszynę i dojdę do prędkości 50/60 słów na minutę... potem popłatało mi się i znowu straciłem zainteresowanie.

Staję się nad wyraz świadom diabła we mnie, wydającego trujące, moralizatorskie osady. Nadal tkwię w miejscu. Słucham kwintetu Brahmsa na klarnet. Nie, nie słucham. Tylko wpada mi w ucho; nie angażuję się. Teraz oczywiście to zaczyna przyciągać moje zainteresowanie, a pisanie staje się zdepersonalizowane i ciężkie. W porządku, Brahms; poddaję się. Zgubiłem nudę.

Najbardziej interesują mnie dwa zjawiska... projekcji i bólu. Jeżeli będziemy się trzymać nadmiernego upraszczania topologii, umieszczania i poruszania się w przestrzeni, widzimy ciągle na nowo, że każdy z nas próbuje utrzymać region w granicach jako

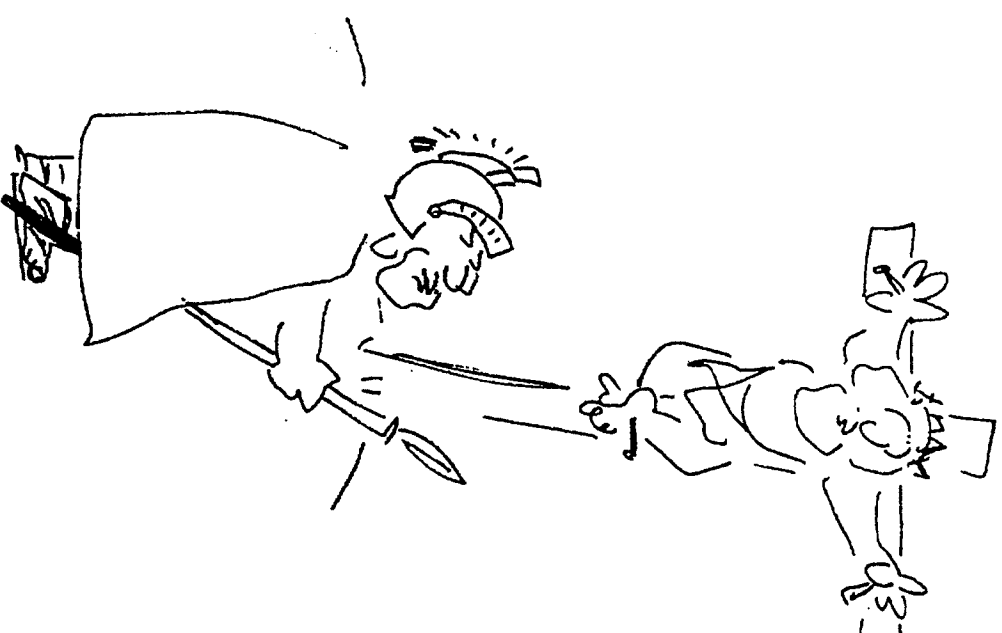


harmonijny i jak najbardziej przyjemny. Aby to zrobić, musimy oczyścić ego.

Chcę wrócić do początku książki, do rozróżnienia między autentycznością samoaktualizacji a zniekształceniem samoobrazu; między tym, czym jesteśmy jako nasz odziedziczony potencjał, i pragnieniem stania się tym, kim mamy się stać; między byciem a fabrykowanym osiągnięciem; między spontanicznością a rozmyślnością.

Te dwa akapity napisałem około dziesięciu dni temu. Potem straciłem chęć pisania. Przeprowadziłem warsztat dla personelu „spalonego centrum” i weekendowe seminarium. Miałem także parę dobrych pomysłów, które zapisałem jedynie w fantazji. Racjonalizacją było oczywiście: „Po co to?”, stosowne zapomnienie, że piszę dla własnych potrzeb, a nie dla ludzkości.

Powiedziałem Dickowi Price'owi, że zmierzam ku życiu bez zobowiązań. Że jestem zainteresowany — absolutnie nie zafascy-



nowany — rozwiązaniem zagadki schizofrenii. Wierzę, że jeden przypadek w pełni zrozumiałby zdziała więcej niż badania i doświadczenia nad setkami przypadków oraz przypadków kontrolnych. W tym względzie zdecydowanie podążam w ślad za Kurtem Goldsteinem i Sigmundem Freudem. W nich obu brakuje mi jedynie uznania odgrywania ról. Badania Goldsteina szczególnie koncentrują się wokół naśladowstwa. Jak Schneider, jego słynny przypadek, spisyuje się, kiedy otrzyma zadanie? Co skłania go



do działania w pierwszym przypadku? Przenoszę się z powrotem do przedstawienia z zapaleniem mózgu, poproszono go o wypicie szklanki wody, kiedy mu się wcale nie chciało pić. Kiedy robi to jako przedstawienie, co oznacza rozmysłny akt fałszywego zachowania, czyni to z wysiłkiem i roztrzęsieniem. Kiedy jest autentyczny, spontaniczny, nie gra, pije wodę z łatwością i spokojem. Jeśli ta teoria jest słuszną, to znaczy, że osoba z uszkodzeniem mózgu nie posiada kategoriycznego sposobu myślenia, to odpowiedź musi brzmieć: „Nie chcę, nie mam potrzeby ulegać komukolwiek”.

Jedna rzecz wydaje się pewna. Jak w przypadku wszystkich niejasnych zjawisk mamy gotową odpowiedź. Jedyna trudność polega na zadaniu właściwego pytania.

Dzisiaj wyjeżdża Ken Price, aby zająć się naszym pierwszym kibucem. Z pozoru brzmi to niespójnie, jeżeli powiem, że nie chcę poświęcać się wszelkim innym projektom, a jednocześnie rozmawiać o zgłębianiu schizofrenii i otwarciu pierwszego gestaltycznego kibucu.

Kiedy się poświęcam, można na mnie polegać. Mogę umówić się w dowolnym miejscu Stanów o dowolnej porze, a będę tam. Jeszcze mam parę seminariów i warsztatów do przeprowadzenia; obiecałem obecność przez miesiąc na kampusie uniwersyteckim w Santa Barbara. Mam jeszcze jedną trasę wykładową i warszta-

tową od Florydy po Vancouver, trwającą sześć tygodni, a potem będę wolny od wszelkich zobowiązań i zostawiam przyszłość otwartą, zależną od politycznych wydarzeń i moich zainteresowań.

Tymczasem jestem pełen fantazji i planów, pełen możliwości i braku pewności. Wszystko może się zdarzyć, w tym także śmierć.

Często w moim życiu uciekałem śmierci i wiele razy jej pragnąłem. Teraz życie jest takie pełne obietnic i ryzyka, że raczej mi się podoba.

Najgłupszy sposób, w jaki nieomal się zabiłem, przydarzył się podczas mojego pierwszego samodzielnego lotu. Dzisiaj lata się z trójkątnym podwozkiem aż do przesady. Musieliśmy lądować z poprawnym ustawieniem samolotu. Wtedy byłem niepewny, źle lądowałem i postanowiłem natychmiast kontynuować lot, ale to cholerne żelastwo nie chciało się oderwać od ziemi, a na końcu lotniska majaczył las. W końcu oderwałem się od ziemi, pewny, że uderzę w drzewa i ledwo, ledwo je minę. Odwróciłem się. Mój instruktor dziko wymachuje rękami. Zawracam i ląduję poprawnie. Instruktor wskazuje na śmigło. Nie wierzę własnym oczom. Ze śmigła prawie nic nie zostało. Podskakując przy pierwszym lądowaniu, roztrzaskałem je i (co za samolot!) udało mi się wznieść na sześć tysięcy stóp (Johannesburg) za pomocą tego kikuta.



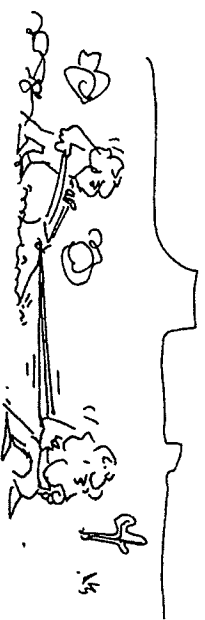
Życie na wysokości nigdy mi nie przeszkadzało, tak samo jak nie przerażało mnie latanie w otwartym kokipecie jeszcze kilka tysięcy mil wyżej. W tamtym okresie nie miałem żadnych zauważalnych kłopotów z sercem. Ale teraz?

Planowany kibuc znajduje się na wysokości 7500 stóp w Nowym Meksyku. Może to być męczące.

Co rozumiem przez gestaltyczny kibuc? Tak jak kiedyś uważałem indywidualną terapię za przestarzałą, tak samo teraz uważam dyskusyjne spotkania grupowe i warsztaty za staromodne. Maratońskie spotkania są zbyt wymuszone.

Proponuję teraz, że poprowadzę następujący eksperyment. W kibucu należy zlikwidować podział na uczestników i personel. Cała praca musi być wykonana przez osoby przyjeżdżające do kibucu. Stały personel: 1) woźny i złota rączka, ktoś, kto zna się na funkcjonowaniu ranca i budynków itd., 2) terapeuta.

Główny nacisk kładziony jest na rozwój ducha społecznego i dojrzewanie. Ludzie mają tam przyjeżdżać na trzy miesiące, początkowo za tysiąc dolarów za dany okres. Co miesiąc będzie następowała zmiana... dziesięciu odjeżdża, dziesięciu przyjeżdża. Będzie prowadzony organiczny ogród warzywny oraz warsztat do wytwarzania prostych mebli.



Mamy tam dobry dom, ale koniecznie trzeba nowych budynków. Kiedy z tym nam się uda, można będzie zmniejszyć opłatę, może kiedyś całkowicie z niej zrezygnować.

W tym pierwszym kibucu będą szkolić się liderzy. Już zgłosiło się kilku profesjonalnych terapeutów.

Jeżeli eksperyment się sprawdzi, będzie miejsce dla całych

rodzin, kawalerów i panien bez zawodu, nastolatków, białych i czarnych, hippisów i ekstremalnych antykomunistów.

Kto wie? W końcu może to przenieść się do gett i w inne miejsca, gdzie oczekiwane jest konstruktywne życie.

Dzisiaj w końcu poczułem impuls do pisania. Więcej fragmentów trafia na swoje miejsce. Różnicowanie naszego nastawienia do świata na system sensoryczny i motoryczny ma coraz więcej sensu. Przez ostatni tydzień byłem zajęty słuchaniem, głównie muzyki, i motoryczna chęć pisania, działania, mówienia



otrzymywała mniej bioenergii. Ostatnio miałem kilka przypadków kompulsywnego motorycznego zachowania aż do punktu obsesji i paranoi (są bardzo blisko związane), a we wszystkich tych przypadkach był brak uczucia.

Przyda się to dla zrozumienia przeciwnych biegunów w schizofrenii: paranoi motoryczny, któremu brakuje wyczulenia, oraz introwertyk wyczulony na tle swojego braku celowego, motorycznego działania. Wiem także, że mam rację, nie tłumiąc w sobie nawyku palenia. Kiedy tylko unikam pewnych niemiłych uczuć, energia przechodzi w ruch, a papieros oczywiście jest najpocześniejszą wymówką.

Kiedy entuzjazm do pisania słabnie, górę bierze „ten na górze” i poganiam mnie, abym skończył książkę, abym połączył luźne końce i znalazł sposób na uczynienie moich idei łatwiej zrozu-

Lincoln", neurotyk powie: „Chciałbym być Abrahamem Lincolnem", człowiek zdrowy natomiast: „Jestem, kim jestem".

Leczenie teraz staje się oczywiste. Musimy usunąć system iluzji, strefę środkową, ego, kompleksy i skierować energię na użytkowanie ego, aby organizm mógł rosnąć i używać wrodzonego potencjału.

Podczas tej procedury możemy zaobserwować, jak dziury w osobowości znikają i jak dana osoba znowu staje się dobrze funkcjonującą całością.

Sigmund Freud: „Doktorze Perls, nie mówi mi pan niczego nowego. Jedynie ujmuje pan to inaczej. Mogę wytłumaczyć moje podejście także pana językiem. Jeżeli ktoś jest impotentem seksualnym, powiedziałby pan, że zamiast genitaliów ma otchłan. Podniecenie zamiast do genitaliów trafia do strefy oralnej lub analnej, gdzie stwarza wiele zakłóceń, takich jak perwersje i inny charakter. Kiedy już libido wpływa do strefy genitalnej, inne strefy mogą swobodnie zająć się swoimi funkcjami organicznymi, nie niepokojone wtrącającym się libido. Genitalia ożywają i funkcjonują biologicznie poprawnie... i nawet możliwe pod względem społecznym. Dojrzewanie i zdrowie są zapewnione. Pustka jest wypełniona".



Fritz: Cieszę się, że znaleźliśmy wspólną podstawę operacyjną. Zdecydowanie podziwiam spójność, jaką wykazał pan, by ratować seks przed jego grzesznym statusem w kulturze Zachodu. Ustalił pan ten model, aby wypełnić inne dziury: liczne odkrycia,

jakie pan poczynił za życia, odkrycia, które stały się niezastąpionymi narzędziami w naszych badaniach.

Musimy rzeczywiście sformułować na nowo pańskie dziełnastawieczne podejście z ograniczonymi narzędziami intelektualnymi, by dopasować je do tego dwudziestowiecznego. Z łatwością zgodziłby się pan ze mną, że jest dużo więcej dziur do wypełnienia. Przynajmniej jeszcze jedną dziurę widział pan wyraźnie: amnezję. Wykorzystywał pan obraz zapożyczony z rzeczywistości, cenzora, który zabrania druku pewnych akapitów w gazetach, i wskazał pan białą pustkę, która pojawiła się zamiast druku.

Pożyzyłem ten przykład od pana, aby zilustrować neurotycznego człowieka naszych czasów: niekompletna, nijaka osobowość z dziurami zamiast odpowiednich wiadomości, które się liczą.

Nacisk przesuwam się teraz od zajmowania się konkretnymi symptomami, cechami charakteru i konfliktami do polowania na pustkę, dziurę, otchłan, nicłość, niekompletność niczym na czarownicę.

Pańskie konkretne środki, za sprawą których stwarzanie pustki staje się represją. Musimy powiększyć to do dowolnego rodzaju unikania: wycofywania uwagi, fobicznego nastawienia, skupienia na nieważnych kwestiach, dystorsji tworzenia gestatu, znieczulicy, umysłowej mgły itd.

Zatem pytanie: „Czego pan unika?" jest bardzo na czasie w związku z terapią gestaltyczną i staje się podstawową postawą w naszych marzeniach sennych.

Całość „ja" zastąpiona jest przez *maya* ego. Jak powiedział kiedyś o kimś Alan Watts: „On jest niczym, poza ego zawiniętym w skórę".

By tę fundamentalną kwestię uczynić idealnie jasną, posłużmy się po raz kolejny przypadkiem ekstremalnym, przykładem *encephalitis*, zapalenia mózgu. Przeciwwstawiliśmy rozmyślną funkcję ego z roztrzęsioną ręką sięgającą po szklankę wody spojowemu funkcjonowaniu „ja", jeżeli dyktowane było przez powstawanie gestatu pragnienia.

W przypadku alkoholizmu dochodzi czasami do tak zwanej

amnezji Korsakowa. Pacjent nie jest świadom dziury w pamięci i zapełnia ją fantazjami. Wypełnia sterylą pustkę fałszywymi wspomnieniami.

Zatem brakuje tym większej części autentycznego „ja”, im bardziej wypełniany tę dziurę funkcjami. Im mniejszy kontakt i wsparcie otrzymywane przez ego od „ja”, tym większy fałsz i papierowy charakter ego.

Podczas mojej analizy z Clarą Happel doznałem kilku nieletnich doświadczeń, jakie kiedykolwiek wyniosłem z psychoanalizy. Sporo z mojego ukierunkowanego wsparcia pochodziło od mojego „tego na górze”. Kiedy to runęło, chodziłem ulicami Frankfurta przez kilka nocy, zagubiony, nie wiedząc, co robić. Powstała dziura zamiast autonomicznego kierunku lub akceptowanego zewnętrznego kierunku. Nie ufałem jej ani nie zaufałem sobie.

Czy kiedykolwiek nauczę się ufać całkowicie samemu sobie?



Gestalt Institute of Canada
Lake Cowichan, B.C.

Lipiec 1969

Napisałem *Wokół snienika* w trzy miesiące, a po tym... nic. Tak nagle jak pojawiła się chęć pisania, tak samo wyschnąłem.

Podjąłem nową przygodę... społeczność terapeutyczna. Kibuc jeszcze się nie zmaterializował. Nakręciłem wspaniałe filmy wraz z Aquarian Productions w Vancouver i czasami wyobrażam sobie, że znowu zacząłem pisać.

Teraz rzeczywistość domaga się całego mojego podniecenia i mało zostaje dla słów. Możecie znaleźć wiele słów w *Gestalt Therapy Verbatim*, a jeżeli chcecie mnie słuchać, to możecie wysłuchać taśm, na podstawie których John Stevens stworzył niniejszą książkę.

Frank Owsen.

